PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI

ZARAZA

KRYMINAŁ

CZARNA OWCA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI

ZARAZA

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Spis treści
Strona redakcyjna
PROLOG
ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
OD AUTORA

Redakcja: Jacek Ring
Projekt okładki: Piotr Cieśliński (Dark Crayon)
Przygotowanie do druku: Kav Studio Pola Rusiłowicz
Korekta: Beata Wójcik
Redaktor inicjujący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © by Przemysław Piotrowski, 2021
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 9788382520712

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5
00-519 Warszawa
www.czarnaowca.pl

DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Romanowi Czarneckiemu –
za wsparcie i nieocenioną pomoc
od pierwszych chwil pisarskiej przygody

PROLOG

Myśl, człowieku, myśl!

Droga krajowa numer trzydzieści dwa wiła się pomiędzy sosnowymi lasami, które rozbłyskały niczym flesze po kolejnych wściekłych uderzeniach błyskawic. Świetliste macki raz za razem rozłaziły się po niebie niczym ramiona jakiejś gigantycznej ośmiornicy próbującej przedostać się do tego świata.

Masz przejebane! Masz, kurwa, przejebane! Coś ty narobił, człowieku?!

Mężczyzna spojrzał na bosą kobietę skuloną w fotelu pasażera. Była tylko w majtkach i jego bluzie. Twarz chowała w kapturze, dłonie trzymała przy brodzie, jakby za wszelką cenę chciała zakryć usta. Drżała.

Głośny klakson i oślepiający blask reflektora sprawił, że mężczyzna gwałtownie szarpnął kierownicę. Tył samochodu nieco zarzuciło, ale przynajmniej uniknął czołówki z nadjeżdżającym z naprzeciwka busem. Przy tej prędkości nie byłoby czego zbierać. Wytarł ręką pot z czoła, ale nie zdjął nogi z gazu.

Popełniłeś przestępstwo. Za to, co zrobiłeś, na bank odwieszą ci zawiasy i znów pójdziesz siedzieć. Kolejna recydywa. Przynajmniej dziesięć lat. Kurwa mać!

Dyszał ciężko, serce łomotało mu w piersi. Kolejne pioruny waliły wściekle, pajęczyna błyskawic rozświetlała niebo, a korony drzew uginały się pod naporem wichury. Z niezdrową fascynacją ponownie zerknął na podkurczone nagie nogi pasażerki i poczuł, że znów zbiera mu się na wymioty.

Skąd pewność, co powie na policji? Żadna! Odpowiesz za to. Na pewno!

Wskazówka prędkościomierza pokazywała, że jedzie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zarzynany silnik starej mazdy wył, narzędzia w bagażniku tłukły się przy każdym ostrzejszym zakręcie. Młotek, cęgi, piła do metalu, palnik acetylenowy i masa innych, które można wykorzystać na wiele sposobów. Ta myśl spowodowała, że znów spojrzał na nagie

uda pasażerki. Zacisnął palce na kierownicy. Jego bagażnik był jednym wielkim dowodem winy.

Nie odpuszczą ci i będziesz siedział. Prokurator tego dopilnuje. Jesteś złodziejem i bandytą. Nikt ci nie uwierzy! Nikt, kurwa!

W oddali zza zakrętu wyłonił się tir. Miał mocne reflektory, które oświetliły siedzącą obok kobietę. Gdy pojazdy się mijały, jasna wiązka omiotła jej dłonie i fragment skrytej pod kapturem twarzy. Zacisnął zęby i zaklął pod nosem. Źle zrobił. Nie przemyślał tej decyzji, a teraz jest już za późno. Cokolwiek zrobi z niechcianą pasażerką, prędzej czy później przyjdzie mu za to zapłacić. Nie wywinie się. Dopadną go i trafi za kratki.

Gdy minął skręt w drogę pożarową, przez głowę przeleciała mu pewna myśl. Nagle stała się bardzo kusząca. Miał w bagażniku łopatę. Poradziłby sobie w godzinę, może dwie. Miał w tym doświadczenie. Zdążył odpokutować. Dwanaście lat w ciężkim więzieniu w podwrocławskim Wołowie to był trudny czas. Ale dał radę. Łza w kąciku lewego oka przypominała mu o tym każdego dnia.

Niebo znów rozbłysło świetlistą pajęczyną, chwilę później piorun gruchnął tuż nad jego głową. Był potężny, ogłuszający. Kobieta szarpnęła się gwałtownie, a następnie podkurczyła nogi do klatki piersiowej i schowała głowę między kolana. Nie miała zapiętych pasów.

Mężczyzna przygryzł dolną wargę z taką siłą, że poczuł w ustach metaliczny smak krwi. Musiał podjąć decyzję. Trzeba było coś z nią zrobić. Od miasta dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia kilometrów. Po drodze kilka wsi. I sporo lasu.

Zwolnił, kiedy wjechał na teren zabudowany, a gdy minął ostatnie gospodarstwo, znów docisnął pedał gazu. Obrzucił spojrzeniem pasażerkę. Jadące z naprzeciwka samochody rzuciły światło na jej skrytą pod kapturem twarz.

– Powiesz coś w końcu? – zagadnął, nie spuszczając wzroku z przedniej szyby.

Zero reakcji. Od momentu gdy wsadził ją do samochodu, nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie umiał ocenić, czy w ogóle kontaktuje.

– No mów coś, do jasnej cholery! – warknął.

W lusterku wstecznym ujrzał reflektory jakiegoś sportowego samochodu. Lekko spuścił nogę z gazu i pozwolił się wyprzedzić. Kątem oka dostrzegł, że kobieta obróciła się do niego plecami. Skuliła się jeszcze bardziej, teraz wyglądała jak przerośnięty embrion.

– Kurwa mać! – syknął i trzasnął dłońmi w kierownicę, a potem jeszcze raz i jeszcze.

Zredukował bieg i wcisnął gaz do dechy, żeby wyprzedzić SUV-a. Silnik zawył żałośnie. Niebo znów rozbłysło, huknął grom. Pozbyć się jej czy nie? Skręcić w las czy nie? To nie zajmie mu wiele czasu. Powinno być jakoś po północy. Wyrobi się do drugiej. Sięgnął po telefon, aby się upewnić.

Zaczął macać okolice wnęki, gdzie odłożył urządzenie, ale nie wyczuł pod palcami znajomego kształtu. Zerknął w to miejsce. Przejechał dłonią po skórzanym wgłębieniu przy dźwigni skrzyni biegów, ale telefonu nie było. Wtedy kątem oka dostrzegł przebijający spod kaptura blask wyświetlacza.

– Ty suko! – warknął, chwytając kobietę za rękę.

Wyrwała mu się. Mówiła coś. Musiała już nawiązać połączenie. Chwycił ją raz jeszcze, klnąc szpetnie. Kazał jej natychmiast oddać telefon, ale ona obróciła się i ugryzła go w rękę. Wrzasnął z bólu i puścił ją, lecz chwilę później ponowił próbę odzyskania urządzenia. Musiał ją powstrzymać za wszelką cenę. Nie chciał trafić do więzienia. Nigdy więcej!

Gdy po raz trzeci spróbował jej wytrącić z ręki telefon, skupił wzrok na kobiecie o ułamek sekundy za długo. Nie dostrzegł, że właśnie wjeżdża w ostry łuk, a gdy się zorientował, było już za późno. Gwałtowne odbicie kierownicy nie pomogło, koła złapały pobocze, a on stracił panowanie nad pojazdem. Samochód ściął słupek, wypadł z drogi i z potężnym impetem uderzył w pierwsze napotkane drzewo.

Ostatnie, co zarejestrował jego umysł, to ciało kobiety, które wylatuje przez przednią szybę. Potem jego głowa roztrzaskała się na kawałki i nie rejestrował już nic.

ROZDZIAŁ 1

Trzy miesiące później

Lało jak z cebra.

Skończyła palić i otworzyła okno, aby wyrzucić niedopałek, po czym od razu je zamknęła. Wystarczyło kilka sekund, aby do wnętrza napadało wody. Ulewa była gwałtowna i złapała ją zaraz po wyjeździe z miasta. Nagle z zachodu nadciągnęły ciemne, niemal czarne chmury i niebo po prostu się otworzyło, wyrzygując ze swoich trzewi całą zawartość. Ludzie kryli się gdzie popadnie, ulice zamieniały się w rwące potoki. Co gorsza, lało nieustannie i zastanawiała się, czy po takim armagedonie będzie jeszcze czego szukać na miejscu zbrodni.

Wycieraczki ledwo zbierały wodę z przedniej szyby, a z głośników walił gitarowy riff Slasha z Guns N' Roses, jej ulubionej kapeli, której była wierna już prawie trzydzieści lat. Sięgnęła po paluszka i schrupała go, nucąc pod nosem znane na pamięć tony, a potem klepnęła się w udo i zamachała głową niczym nastolatka na koncercie grupy rockowej.

Wychyliła się i zerknęła na zasnute czarnymi chmurami niebo. Jakby wiedzieli, pomyślała. Ciekawe, czy dyżurny sprawdził prognozę pogody, zanim nadał jej temat. Co prawda w pierwszej kolejności wysłał na miejsce najbliższy patrol, ale zaraz później zadzwonił do niej.

– Młoda kobieta – powiedział. – Odkopały ją dziki. Leśniczy twierdzi, że widok jest makabryczny, bo dobrała się do niej zwierzyna.

Do tej pory znaleziono tylko jedne ciało. Wyłowiono je na początku marca z Odry, mniej więcej na wysokości wsi Połęcko leżącej tuż przy granicy z Niemcami. Ofiary jak na razie nie udało się zidentyfikować, bo nie miała przy sobie żadnych dokumentów, a zwłoki znajdowały się w stanie daleko posuniętego rozkładu. Sprawę z początku przejęli kryminalni z przygranicznego Gubina, ale szybko ustalili, że mogła być jedną z prostytutek

pracujących dla zorganizowanej grupy sutenerów, którzy łowili potencjalne pracownice w większych miastach, w tym w Zielonej Górze. Według kolegów i koleżanek po fachu nazywała się Iwanka i pochodziła z Białorusi, niestety nic więcej nie udało się ustalić, może prócz tego, że według patomorfologa przed śmiercią była torturowana i wielokrotnie gwałcona. Z początku sprawą zajął się kolega z wydziału, niejaki Artur Kłos. Facet służył w stopniu komisarza. Duży chłop o niewyjściowej mordzie, podobno skuteczny w terenie, choć według niektórych nadgorliwy i mający skłonność do agresji wobec podejrzanych, a nawet świadków. Wypłynął krótko po tym, jak ze służby odszedł niezastąpiony inspektor Romuald Czarnecki, który między innymi z powodu tych właśnie cech przez całą swoją karierę nie dopuszczał komisarza do swojego zespołu. Ona też go nie polubiła. Miał w sobie coś odpychającego i nawet nie chodziło o jego gburowatość, bo akurat do tego rodzaju partnerów była przyzwyczajona. On po prostu nie szanował ludzi.

Po trzech jałowych z punktu widzenia śledztwa miesiącach Kłos został skierowany do innej sprawy, a ona je po nim przejęła, bo nikt inny nie chciał. Nie miała większego wyboru, bo wciąż była w wydziale stosunkowo świeża i musiała jakoś wkraść się w łaski przełożonych. Miała też nadzieję, że dzięki rozwikłaniu śledztwa, które wyglądało wybitnie nierozwojowo, zdobędzie akceptację koleżanek i kolegów z komendy. W końcu z czystej nienawiści do przestępców parających się handlem ludźmi, w tym pedofilów, którzy często się do nich zaliczali, chciała za wszelką cenę dopaść gnoja, który zamordował tę młodą dziewczynę.

Druga ofiara pojawiła się po sześciu miesiącach i też była nią młoda kobieta. Brzmiało co najmniej obiecująco, jeśli w ogóle można uznać, że śmierć kogokolwiek może być czymś obiecującym. Seryjniak? Niewykluczone. W każdym razie ofiara znaleziona przez leśniczego z dużą dozą prawdopodobieństwa mogła mieć coś wspólnego z prowadzonym przez nią śledztwem, wobec czego krótko po telefonie od dyżurnego chwyciła niedojedzoną kanapkę i ruszyła to sprawdzić.

Jechała powoli w akompaniamencie grzmiących we wnętrzu auta ostrych gitarowych dźwięków. Leśna droga była wyboista i dla normalnego samochodu praktycznie nieprzejezdna, nie zdziwiła się więc, gdy natknęła się na ugrzęzły w błocie radiowóz. Dwoje niższych stopniem policjantów siedziało w fotelach, paląc papierosy i gapiąc się w wyświetlacze telefonów. Gdy przejeżdżała po krzakach obok ich pojazdu, pozdrowili ją, ale nie pró-

bowali jej zatrzymać, ona zaś nie kwapiła się, żeby im pomóc. Była pewna, że wcale tego nie oczekują i wolą jeszcze trochę się poobijać.

Sama nie miała wymówki. Wertepy, wypełnione błotem dziury, głębokie rowy nie były jej straszne. Jej nissan patrol dopiero w takich warunkach rozwijał skrzydła. Wbrew pozorom polubiła go bardzo szybko, bo choć bywał krnąbrny na ulicach miasta, na dziurawych jak ser szwajcarski podmiejskich drogach czuł się jak ryba w wodzie. Pokonawszy najbardziej nierówny fragment, nieco przyspieszyła, rozbryzgując zalegające na leśnej ścieżce kałuże. Zatrzymała się przy słupie oddziałowym. Odczytała numer osiemdziesiąt osiem. Według wskazówek musiała przejechać do kolejnego, a następnie odbić w lewo i jechać jeszcze jakieś dwa kilometry, aż zobaczy zaparkowanego jeepa wranglera. To tam, w pobliżu młodnika, miały znajdować się zwłoki.

Na miejsce dotarła po pięciu minutach. Zaparkowała za terenówką leśniczego i wyłączyła silnik. Slash zamilkł, zastąpiony przez dudnienie kropel o karoserię. Przez chwilę zastanawiała się, czy wyjść z samochodu, ale strażnik leśny uprzedził ją i kilkoma susami dopadł do patrola. Aby uniknąć głupich pytań, wyciągnęła na wierzch blachę. Chwilę później facet otworzył drzwi i ciężko dysząc, rozgościł się na miejscu pasażera.

– Pani z policji? – zapytał, a w jego tonie dało się wyczuć zdenerwowanie. Pomyślała, że jej plan jednak się nie powiódł.

– Komisarz Julia Zawadzka – odparła, wyciągając papierosa. – Pali pan, panie…

– Młodszy strażnik leśny Kacper Roszyk. Ja przepraszam, ale nie spodziewałem się…

– Kobiety? – Zawadzka sugestywnie wysunęła paczkę w stronę mężczyzny.

– Nie, dziękuję. Nie palę.

– Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli ja zapalę?

– Nie, nie…

Zawadzka przysunęła płomień zapalniczki do końcówki papierosa. Kątem oka obserwowała reakcję mężczyzny, którego wzrok bezwiednie wylądował na jej prawym policzku. Przyzwyczaiła się. Wszyscy nowi rozmówcy najpierw gapili się na jej bliznę.

Zaciągnęła się i wypuściła dym. Teraz to ona mu się przyjrzała. Mężczyzna miał nie więcej niż trzydzieści lat. Chudy jak szkapa, piegowaty, z garbatym nosem i dużymi brązowymi oczami przypominał jej postać z jakie-

goś filmu o głupkowatych nastolatkach szukających skarbu. Jego wzrok błądził po wnętrzu samochodu, prawa noga tańczyła w sobie tylko znanym rytmie. Widać było, że ta sytuacja mocno go zestresowała, może nawet przerosła.

– Chce pan paluszka? – zapytała, sięgając do wciśniętej w otwarty schowek torebki. Sama wzięła kilka i dwa z nich włożyła do ust. – Proszę się nie krępować. Mamy sporo czasu, bo wątpię, żeby przy tej aurze prokurator i technicy dotarli tu szybciej niż za godzinę.

Chłopak spojrzał na nią niepewnie, a potem głośno przełknął ślinę. Nienaturalnie wystająca grdyka podskoczyła, po chwili wychylił się i zerknął na wiszącą jej na piersi odznakę. Do tego też się przyzwyczaiła. Od jakiegoś czasu jej aparycja nie kojarzyła się ludziom z kimś, kto na co dzień reprezentuje władzę.

– Proszę. W schowku mam jeszcze jedną paczkę – dodała, dostrzegając wyraźne zakłopotanie rozmówcy.

– Szczerze mówiąc, to nie jestem głodny – wydukał Roszyk. – Nie po tym, co tam zobaczyłem. To naprawdę okropny widok.

Zawadzka włożyła do ust kolejne dwa paluszki. Schrupała je w milczeniu, a następnie zaciągnęła się papierosem.

– Gdzie jest ciało? – zapytała, łapiąc spłoszone spojrzenie pasażera.

– Tam.

Mężczyzna wskazał palcem na zrytą przez dziki ziemię, jakieś dziesięć metrów od swojego samochodu. W tej chwili wszystko tonęło w błocie.

– Dotykał pan czegoś?

– Absolutnie.

– Absolutnie tak czy absolutnie nie?

– Nie…

– Jak znalazł pan ciało?

– Akurat byłem na rutynowym patrolu.

– Co pan robił na tym patrolu?

– No… – Roszyk znów głośno przełknął ślinę. – Wie pani… te ostatnie tygodnie były bardzo suche. Mieliśmy dwa pożary, ale ludzie w ogóle nie stosują się do zakazów wchodzenia do lasu. W sumie trzy, licząc ten sprzed trzech miesięcy, gdy po tamtym wypadku spłonęło prawie trzysta hektarów. Pamięta pani? Podczas tej anomalii pogodowej.

– Suchej burzy – przytaknęła. – Tak, pamiętam.

Jakżeby miała tego nie pamiętać? Pożar pożarem, ale to, co wydarzyło się chwilę wcześniej, nawet jej zmroziło krew w żyłach. Zupełnie przypadkiem została wysłana jako zastępstwo właśnie z Kłosem. Na miejsce wypadku przyjechali razem, ale szybko okazało się, że nie będą mieli zbyt wiele roboty, bo auto już płonęło, a pożar lasu gwałtownie się rozprzestrzeniał. Przyjechała straż pożarna, nakazała ewakuację. I ogólnie w całej tej sytuacji nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie jeden szczegół. Stara mazda szóstka owinęła się wokół drzewa jak harmonijka. Trup na miejscu. Patomorfolog stwierdził później, że kierowca zginął, zanim samochód doszczętnie spłonął. Haczyk tkwił gdzie indziej. Dopiero gdy ujrzała pakowaną do karetki pasażerkę, omal nie zwymiotowała. Sprawa błyskawicznie została utajniona i wszyscy świadkowie musieli podpisać papier obligujący ich do milczenia. Od przypadkowego kierowcy, który zadzwonił pod numer alarmowy, przez ratowników, strażaków, na lekarzach kończąc, każdy, kogo wzrok spoczął na ciężko rannej pasażerce mazdy. Na razie wyglądało na to, że sprawa nie wypłynęła i jakimś cudem wszyscy trzymali język za zębami. Wyparcie? Nie zdziwiłaby się. Strach? Jak najbardziej. Ostatnio jednak doszły ją słuchy, że po mieście od jakiegoś czasu krążą dziwne plotki, a dziennikarze węszą sensację. Do tej pory na samą myśl o tym wypadku przeszywały ją dreszcze.

Teraz też się wzdrygnęła. Nagle zdała sobie sprawę, że strażnik wciąż do niej mówi.

– Chwila, panie… – zawahała się.

– Roszyk. Nazywam się Kacper Roszyk.

– Wróćmy do momentu, gdy pan tędy przejeżdżał. Jak pan dostrzegł zwłoki?

– No, normalnie. Jechałem i zobaczyłem lisa, który skubał coś wystającego z rozrytej ziemi. Jeszcze nie padało, więc zatrzymałem samochód i wysiadłem. Lis uciekł i wtedy… – Mężczyzna przetarł chusteczką czoło.

– I co wtedy?

– No zobaczyłem to, to znaczy…

– Miał pan jakieś podejrzenia, co to może być?

– No od razu było widać. Bałem się jak cholera, ale podszedłem bliżej i… – Skrzywił się, jakby właśnie połknął coś obrzydliwego. – No… Chryste… – Ukrył twarz w dłoniach.

– Zobaczył pan ciało kobiety, tak?

Strażnik leśny pokiwał głową, a po chwili wyciągnął kolejną chusteczkę i wysmarkał nos. Drżącą dłonią schował ją z powrotem do kieszeni munduru.

– To naprawdę makabryczny widok, proszę pani.

Zawadzka już nic więcej nie powiedziała. Zjadła ostatniego paluszka i zerknęła przez przednią szybę na niebo, które powoli zaczynało się przejaśniać. Chmury przesuwały się na wschód, a na horyzoncie widać było niemrawe przebłyski promieni słonecznych. Odczekała jeszcze chwilę i gdy ulewa zelżała, a na niebie pojawiła się zjawiskowa tęcza, otworzyła drzwi i wysiadła z auta.

Jej buty od razu zatopiły się w błocie prawie po kostki. Nie przejęła się tym zbytnio. Wyciągnęła z kieszeni mentosa, włożyła go do ust i ruszyła w stronę miejsca, które kilka minut temu wskazał leśnik. Niespecjalnie zmartwiła się faktem, że może zadeptać ślady, bo jeśli jeszcze pół godziny temu takowe tu były, to ten ulewny deszcz z pewnością dokładnie je zmył. Ostatnie metry pokonywała, brodząc w rozmiękczonej ziemi i złorzecząc na buszujące tu wcześniej dziki. Przestało padać akurat w momencie, gdy przystanęła nad wypełnioną brudną wodą dziurą. W nozdrza uderzył ją wyjątkowo paskudny odór, coś jak mieszanina gnijącego mięsa i odchodów. Nie spodziewała się, że woń może być tak intensywna. Żołądek zbuntował się i targnęły nią torsje. Odwróciła się i zwymiotowała, bo choć do tej pory widziała już wiele trupów w najróżniejszym stanie rozkładu, ten smród przebijał absolutnie wszystko, czego do tej pory doświadczyła na służbie.

– To dziki, proszę pani. – Usłyszała za plecami głos leśniczego. – Ich odchody mają bardzo intensywną woń.

Woń, kurwa, pomyślała i raz jeszcze opróżniła żołądek z resztek śniadania. Wyciągnęła z kieszeni nasączoną lawendą chusteczkę i przytknęła do nosa, po czym z powrotem skupiła wzrok na zanurzonych w mętnej wodzie zwłokach. Przez chwilę przyglądała się wystającemu ponad taflę fragmentowi kolana i przedramieniu, a w zasadzie temu, co z niego zostało, bo nie trzeba było być specjalistą, aby ocenić, że spora jego część została pożarta. Dłoni brakowało dwóch palców, resztki tkanki były poszarpane, jakby ktoś włożył ofierze rękę do maszynki do mięsa.

Zawadzka sięgnęła do kieszeni po parę jednorazowych rękawiczek i walcząc z odruchem wymiotnym, przykucnęła przy zwłokach. Złapała za jeden z obgryzionych palców i uniosła przedramię, wzruszając taflę mętnej wody. Na ułamek sekundy pojawiła się twarz ofiary, żeby zaraz zniknąć

pod brudną powierzchnią wody. Komisarz delikatnie opuściła dłoń i rozejrzała się za czymś, czym mogłaby rozgarnąć taflę wody. Wychyliła się i sięgnęła po kawałek gałęzi, którym zamieszała w kałuży. Widok poszarpanych zwłok sprawił, że znów targnęły nią torsje. Tym razem się opanowała, jedynie kilka razy odchrząknęła. W końcu wycofała się na ścieżkę i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym. Przez chwilę stała, bezmyślnie wpatrując się w gęsty młodnik.

– Dobrze się pani czuje? – zagadnął strażnik leśny, który wciąż trzymał się kilka metrów dalej.

– Tak – odparła, odwracając się w jego stronę. Mężczyzna stał obok swojej terenówki, na jego twarzy malowała się szczera troska. Pomyślała, że biorąc pod uwagę okoliczności, młody trzyma się naprawdę nieźle. Wolno ruszyła w jego stronę.

– Pani zdaniem to morderstwo? – zapytał, gdy przed nim stanęła.

– Na to wygląda – mruknęła, ale nic więcej nie dodała, tylko sięgnęła po wibrujący w kieszeni smartfon. Dzwoniła stara znajoma, szefowa zespołu techników kryminalistycznych Anna Borucka. Zawadzka odebrała.

– Cześć, Julka. Jesteś już na miejscu?

– Cześć. Tak, jestem. Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Macie jak dojechać?

– No właśnie toniemy w błocie. – W tle dało się słyszeć odgłos zarzynanego silnika. – Furgonetka ze sprzętem nie przejedzie, ale już nadciągają dwie terenówki. Przełożymy, co się da, i powinniśmy się zjawić w ciągu pół godziny.

– To pamiętaj, żeby wziąć pompę. Zwłoki leżą w płytkim dole, ale trzeba go będzie osuszyć.

– Tak myślałam. Jak to wygląda?

– Nie pytaj.

– Aż tak źle?

– Przygotuj się na najgorsze. Bez klamerki nie podchodź.

– Jezuuu… – Borucka westchnęła. – Ile jeszcze?

– Do emerytury, moja droga.

– Dzięki, Julka. Ty zawsze potrafisz poprawić mi humor.

– Nie ma za co.

– Dobra, muszę kończyć, bo chyba jadą. Narka.

Borucka się rozłączyła. Zawadzka oparła się o nadkole patrola i wyciągnęła kolejnego mentosa. Wsadziła go do ust i zaczęła rozgryzać. Pomy-

ślała, że musi poinformować swojego faceta, aby dziś na nią nie liczył.

ROZDZIAŁ 2

– Idziesz! Dawaj, dawaj, dawaj! Dasz radę! Jeszcze tylko kilka kroków!

Młody mężczyzna w sportowym stroju głośno krzyczał i klaskał. Robił, co mógł, aby zmobilizować go do zrobienia jeszcze jednego kroku. Co z tego, jeśli nogi odmawiały posłuszeństwa.

– Dobrze ci idzie! Jeszcze trzy kroki i pobijesz rekord! Dawaj, dawaj, dawaj!

Igor Brudny zmusił się do maksymalnego wysiłku. Spiął się i zawył jak zwierz. Na skroniach wybrzuszyła się siatka niebieskich żyłek, mięśnie przedramion napięły się, wreszcie dotarł do końca poręczy i runął ze zmęczenia na materac. Rehabilitant zaasekurował go, po czym pomógł mu usiąść na wózek.

– Jeszcze kilka tygodni i staniesz na nogi – oznajmił, wręczając mu butelkę mineralnej.

– Nie pierdol.

– Nie pierdolę. Dziś zrobiłeś czterdzieści kroków, Igor. Dwa razy więcej niż tydzień temu. Rzadko który z moich podopiecznych robi tak błyskawiczne postępy. Mówię ci, że za miesiąc będziesz chodził, a za pół roku przypomnisz sobie, jak to jest skakać po drzewach.

Brudny otworzył butelkę i wypił od razu połowę zawartości. Czuł się kompletnie wypompowany. Kręciło mu się w głowie, a serce waliło w piersi, jakby właśnie przebiegł maraton. Czterdzieści kroków, pomyślał.

– Zawieźć cię do szatni? – zapytał rehabilitant.

– Dam sobie radę.

– W takim razie widzimy się jutro o jedenastej.

– Jasne.

Brudny wytarł pot z czoła i zakręcił kołami wózka. Wyjechał z sali i skierował się do szatni. Była pusta i cicha. Zatrzymał się przed swoją szafką i zamknął oczy. Czterdzieści kroków, pomyślał. Zrobił dziś zasrane czterdzieści kroków. *Wielkie mi, kurwa, osiągnięcie.* Zacisnął zęby, gdy

poczuł przypływ frustracji. Wciąż nie mógł pogodzić się z tym, co go spotkało. Od momentu gdy wybudził się ze śpiączki, minęło już dziesięć miesięcy, a on nadal nie był w stanie przejść kilku kroków bez wspomagania. I tak miał szczęście, że rdzeń nie został przerwany. Tak naprawdę powinien dziękować, że w ogóle przeżył, bo przetrwanie czterech dni w zawalonej piwnicy klasztoru hieronimek zakrawało na cud. Służby pracowały jednak dniem i nocą, bez ustanku, w nadziei że seria eksplozji nie zniszczyła najniższych poziomów.

Podobno gdy do niego dotarli, leżał przygnieciony kupą gruzu i ziemi, w kałuży lepkiej, częściowo zaschniętej krwi. Ale oddychał. Błyskawicznie wydostali go na powierzchnię, a następnie przewieźli na SOR, gdzie podłączyli do aparatury podtrzymującej życie. Diagnoza była ponura, bo pacjent miał dużego krwiaka mózgu, dwanaście złamań, w tym dwa otwarte, ranę postrzałową, pęknięte dwa kręgi i podstawę czaszki. Szczęście w nieszczęściu nie doszło do trwałego przerwania rdzenia, ale i tak dawali mu niewielkie szanse na przeżycie. Przeżył jednak, a oni przez trzy miesiące cierpliwie składali go niczym zepsutego robota, otwierali i zaszywali, wkręcali śruby, wsadzali haki. Krwiak z czasem zaczął się wchłaniać, kości zrastać, stan ustabilizował się na tyle, że zaczęto poważnie myśleć nad próbami jego wybudzenia. Po raz pierwszy otworzył oczy cztery miesiące później, dokładnie czwartego listopada.

– Igor… – Zawadzka siedziała przy nim i ściskała jego rękę.

Nie był w stanie wydusić z siebie słowa, ale uśmiechnął się, a ona rozbeczała się jak nigdy wcześniej. Potem zbiegli się lekarze i pielęgniarki. Zaczęli mu gratulować, sobie wzajemnie, a on zastanawiał się, czy zaraz nie wystrzelą korki szampanów, a zza drzwi nie wyskoczy klaun z balonami i bukietem róż. Pierwsze słowa zdołał wydusić z siebie kilka dni później, krótko po kolejnym badaniu, gdy doktor upewnił się, że reaguje na podstawowe bodźce.

– Dzi…dzię…dzięki – wyjęczał, gdy prowadzący go lekarz, Bartłomiej Rakoczy, poinformował go o stanie zdrowia. Drugim słowem było „Juu… Jul…Julka”, resztę zachował na później, gdy został z przyjaciółką sam na sam.

– Ja ciebie też – odpowiedziała, a potem długo tuliła się do jego policzka.

Dwa dni później odwiedził go emerytowany inspektor Romuald Czarnecki, następnie brat Filip z żoną Anną i bratanicą Lenką. Pojawiła się też

Anna Borucka i Elka Pałka, a nawet była partnerka Oksana Szczypenko, oczywiście kilku dygnitarzy pragnących ogrzać się w blasku jego osoby, w tym prezydent miasta Zielona Góra, tutejszy komendant Wacław Niemiec, a nawet jego główny przełożony – komendant warszawskiej komendy, inspektor Bogdan Beryl. Notabli pogonił gdzie pieprz rośnie, a Berylowi kazał wypierdalać i nigdy więcej nie pokazywać mu się na oczy.

Po miesiącu leżenia nadszedł czas długotrwałej i bolesnej rehabilitacji. Z początku odmówił przyjmowania antydepresantów, co szybko się na nim zemściło, bo wpadł w koszmarnego doła. Rehabilitanci nie byli w stanie z nim wytrzymać, bo o ile wcześniej był mrukliwym i szorstkim w obyciu człowiekiem, o tyle teraz stał się wrednym i złośliwym skurwysynem. Nie słuchał nikogo, nawet Julki, a w pewnym momencie, straciwszy nadzieję, że kiedykolwiek wróci do pełnej sprawności, odmówił współpracy. Pojawiły się myśli samobójcze, ale codzienne wizyty przyjaciółki, teraz już partnerki, która nie dawała za wygraną i robiła wszystko, aby przywrócić mu wiarę w siebie, zaczęły przynosić skutki. Kiedyś nie wytrzymała i dopiekła mu naprawdę mocno.

– I co teraz? Do końca życia będziesz udawał roślinę? – warknęła, wstając od jego łóżka.

– Ja jestem rośliną, Julka – wymamrotał. – I idź już. Chcę spać.

– Nigdzie nie pójdę, rozumiesz? Nie wyjdę stąd, dopóki nie przemówię ci do rozsądku. Masz wziąć te pierdolone tabletki i zacząć współpracować z rehabilitantami. Masz, kurwa, stanąć na nogi!

– Nawet nie czuję palców! Jak mam, kurwa, stanąć na nogi? – odparował.

– Nie czujesz ich, bo nic nie robisz, Igor! Do jasnej cholery! Nie wstyd ci, że pielęgniarki muszą codziennie wycierać ci dupę? Tobie, Igorowi Brudnemu? Że ja muszę to robić?

– Niczego nie musisz…

– Kurwa! Igor! Co się z tobą stało?! Przez całe życie nigdy się nie poddawałeś. Nigdy nie dałeś się złamać! Nikomu! A teraz… – Usiadła na krześle i schowała twarz w dłoniach. – Dlaczego nie chcesz walczyć, Igor? Dlaczego nie chcesz dać sobie szansy? Dać szansy nam?

Rozpłakała się, a potem wybiegła z sali, zostawiając go sam na sam z własnymi myślami. To był trzydziesty pierwszy marca. Następnego poranka poprosił pielęgniarkę, aby zawołała doktora.

– To nie prima aprilis? – upewnił się lekarz.

– A wyglądam, kurwa, na zgrywusa? – bąknął.

Doktor omiótł spojrzeniem jego pokiereszowaną bliznami twarz.

– Nie – odparł. – Zdecydowanie nie wygląda pan na zgrywusa, komisarzu. W takim razie kiedy zaczynamy?

– Teraz?

Tego dnia Igor Brudny przestał być rośliną i znów stał się Igorem Brudnym. Poddał się woli lekarzy, pielęgniarek, fizjoterapeutów. Robił, co mu kazali, a nawet jeszcze więcej. Niecałe dwa miesiące później podniósł się z łóżka i podczołgał do okna, gdzie nielegalnie wypalił pierwszego papierosa od ponad pół roku. Smakował jak gówno, ale miał w sobie coś, co sprawiło, że Brudny choć przez chwilę poczuł się jak przed wypadkiem. Dosłownie przez chwilę, bo zdążył się zaciągnąć tylko kilka razy, gdy do sali wpadła pielęgniarka i kazała mu go natychmiast zgasić. Skarcony jak krnąbrny dzieciak, zaczął pracować jeszcze ostrzej, a gdy mógł już siedzieć, zawnioskował o wózek, dzięki któremu mógł swobodnie wyjeżdżać na papierosa, kiedy tylko miał na to ochotę.

Teraz był osiemnasty sierpnia, a on zrobił czterdzieści kroków.

Otworzył szafkę i wyciągnął spodnie i koszulkę. Większość pacjentów w jego stanie wciąż korzystała z pomocy rehabilitantów, ale on nie miał zamiaru, aby ktoś poza nim samym wkładał mu gacie na dupę. Ściągnął przepocone ciuchy i sięgnął po butelkę. Odlał się, zakręcił ją i odstawił do szafki. Wyjął dżinsy i wygrzebał z kieszeni smartfon. Dwa nieodebrane połączenia od Julki. Wybrał numer.

– Cześć, Igor.

– Cześć. Coś się stało?

– No stało się. Grubo się stało. Mam tu trupa i nie będę miała jak po ciebie przyjechać. Dasz sobie radę?

– Coś wymyślę.

– Przepraszam cię, ale…

– Daj spokój. Nie jestem dzieckiem. Kim jest ofiara?

– Młoda kobieta. Masakra. Opowiem ci, jak wrócę, bo mam tu teraz straszny kocioł. Właśnie przyjechał prokurator i lekarz.

– Jasne. Rób, co musisz. Widzimy się później. Pa.

– Buziak.

Brudny rozłączył się i rzucił urządzenie na podwiniętą nogawkę leżących na ławce dżinsów. Odetchnął głęboko, próbując zapanować nad kolejnym przypływem frustracji. Cała ta sytuacja strasznie go wnerwiała. Nie

Julka i nie to, że akurat dziś wypadł jej jakiś trup. To akurat nie miało żadnego znaczenia. Znał realia, wiedział, że musi zrobić, co do niej należy. Wkurwiała go jego własna niemoc. Do tej pory nie miał pojęcia, z jakimi trudnościami muszą zmagać się ludzie niepełnosprawni. Nagle nauczył się planować każdy swój ruch, każdą trasę, głupie wyjście do sklepu jawiło się jak wyprawa na Mount Everest, czasem kilka schodków nieprzystosowanych dla ludzi na wózkach sprawiało, że nie mógł kupić sobie papierosów. Nie potrafił się do tego przyzwyczaić. Czuł się kompletnie bezużyteczny.

Złorzecząc pod nosem, na raty włożył spodnie, co zajęło mu dobrych kilka minut. Z koszulką poradził sobie szybciej. Zamknął szafkę na klucz i skierował się do wyjścia. Od jakiegoś czasu całkiem dobrze radził sobie na wózku. Szybko dostrzegł, że przedramiona stały się silniejsze, wyżyłowane, nauczył się też kilku sztuczek ułatwiających poruszanie się po bardziej wymagającym terenie. Gdy tylko wyjechał na zewnątrz, od razu wyciągnął paczkę papierosów. Zatrzymał się przy murze budynku Zakładu Rehabilitacji Aldemed. Klinika mieściła się w północnej części miasta, za dworcem głównym, praktycznie przy samych torach. Zapalił.

Niebo było bezchmurne, a powietrze rześkie i przejrzyste. Nad miastem musiała przejść solidna ulewa, bo wszystko wokół było zupełnie mokre, a w kilku miejscach walały się połamane gałęzie rosnących przy płocie krzewów akacji. Powiódł wzrokiem po ciągnących się na niemal całej szerokości ulicy kałużach. Jego wzrok zatrzymał się na kobiecie w średnim wieku, która za bardzo zbliżyła się do krawędzi chodnika i przejeżdżający bus ochlapał ją brudną deszczówką. Posłała za nim soczystą wiązankę, ale kierowca nie przyhamował, nie przeprosił, tylko pojechał dalej.

W oddali usłyszał dźwięk zbliżającego się pociągu, a chwilę później dostrzegł powoli sunący skład. Zaciągnął się jeszcze kilka razy i zgasił niedopałek w śmietniku. Wyciągnął smartfon. Przez chwilę zastanawiał się nad wyborem firmy taksówkarskiej. Ostatnio z każdą miał na pieńku. Wtedy z urządzenia dobiegł utwór ze ścieżki dźwiękowej *Rocky'ego*, słynny *Eye of the Tiger*. Według Julki miał go mobilizować do walki o powrót do zdrowia, choć Brudny był nastawiony do tego pomysłu co najmniej sceptycznie. Zostawił dzwonek dla świętego spokoju.

– Słucham? – odebrał.

– Witam pana, komisarzu Brudny – rozległ się głos po drugiej stronie.

– Dzień dobry, inspektorze Czarnecki. – Brudny pomyślał, że te powitania weszły im w krew.

– Dawno się nie widzieliśmy i dzwonię, bo właśnie rozmawiałem o tobie z żoną. Pyta o zdrowie.

– Żyję. Fizjoterapeuta mówi, że za miesiąc będę chodził, a za pół roku skakał po drzewach.

– Fantastyczna wiadomość. Wiesz, że mocno trzymamy za ciebie kciuki.

– Nie wątpię. Co u ciebie?

– Czytam i tyję. Życie emeryta jest wyjątkowo nudne. Dlatego pomyślałem, że miło byłoby się zobaczyć i powspominać stare czasy. Może wpadlibyście do mnie z Julką dziś wieczorem na kolację?

Brudny przez chwilę zastanawiał się nad propozycją. Ostatnio większość czasu spędzał w czterech ścianach, unikał spotkań, nie odbierał telefonów. Nie to, żeby nie mógł się od nich opędzić, bo w ciągu miesiąca dzwonili do niego – wyłączając lekarzy i rehabilitanta – tylko brat i Ela Pałka, ale ogólnie nie miał ochoty na jakiekolwiek spotkania, pomijając jamesona, z którym rozumiał się bez słów. Wieczory z tym ostatnim stały się już swoistym rytuałem, co Julka zdążyła mu wypomnieć kilka razy, przy okazji brzęcząc nad uchem, że musi się ogarnąć, zacząć wychodzić do ludzi i takie tam ble, ble, ble. W ubiegłą sobotę wyniknęła z tego nawet mała kłótnia, ale nie przejął się tym zbytnio, co wkurzyło ją jeszcze bardziej.

– Porozmawiam z Julką, choć chwaliła się, że dziś trafiła trupa i wątpię, aby miała czas – odpowiedział asekuracyjnie.

– Ooo…

– Młoda kobieta. Tyle wiem.

– W takim razie może jutro albo w weekend?

– Dam znać. Muszę kończyć, Romek. Na razie.

– Cześć.

Brudny odłożył telefon na kolana i jeszcze przez chwilę zastanawiał się nad propozycją Czarneckiego. Nie przypominał sobie, kiedy był u kogoś w odwiedzinach. Ostatni raz u brata, krótko po wyjściu ze szpitala, ale atmosfera była tak drętwa, że drugi raz – pomimo kolejnych zaproszeń – się nie zdecydował. I nie tylko dlatego, że czuł się jak piąte koło u wozu, a wszyscy skakali przy nim, jakby był co najmniej śmiertelnie chory. Nie był głupi, wyczuwał fałsz, który krył się za maską sztucznego uśmiechu pani domu, i był przekonany, że Anna wciąż ma mu za złe to, co wydarzyło się w poprzednie wakacje. To przez niego jej córka omal nie straciła życia z rąk psychopaty. W jej mniemaniu Igor Brudny przyciągał kłopoty i lepiej było trzymać się od niego jak najdalej.

Czy mógł ją winić za taki tok rozumowania? Czy mógł mieć pretensje, że nim gardzi, choć poświęcił zdrowie, prawie życie, aby uratować bratanicę? Nie żywił urazy, nie miał też zamiaru wypominać jej tego, że kiedyś i ją wyrwał ze szponów pewnej śmierci. Wolał się wycofać, nie chciał, by z jego powodu brat kłócił się z żoną. Przez ostatnie dwadzieścia lat żył jak pustelnik, więc samotność nie była mu obca, lubił ją nawet. Sam ze sobą czuł się najlepiej.

Ale spotkanie z Romkiem? Uśmiechnął się pod nosem. Czasem się dziwił, że rozumieją się tak znakomicie. Nie dość, że znali się zaledwie niecałe dwa lata i dzieliła ich różnica pokolenia, to jeszcze charakterologicznie pasowali do siebie jak pięść do nosa. Romuald Czarnecki – dystyngowany inspektor o wysokiej kulturze osobistej, tolerancyjny, uprzejmy, szarmancki, niemal nieskazitelny, on zaś gburowaty, opryskliwy, stroniący od ludzi, szorstki w obyciu jak szczotka do kibla. Mimo to niemal na każdym polu dogadywali się doskonale. Tak, przyznał w duchu, jeśli miałby opuścić cztery ściany i z kimś się spotkać, to właśnie z Romkiem. Julka też powinna przyklasnąć temu pomysłowi. Przy okazji może przestanie zrzędzić.

ROZDZIAŁ 3

Zawadzka zamknęła laptop. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta, a ona do tej pory nie zjadła nic poza lichym śniadaniem i paczką paluszków, które i tak później zwróciła. Nie to, żeby po tym, co zobaczyła, przez resztę dnia dręczył ją wilczy głód, ale teraz, gdy już ukończyła raport i wysłała go do naczelnika wydziału Marka Kotowicza, nagle poczuła, że musi zjeść coś porządnego. Wyciągnęła smartfon i wybrała numer Brudnego.

– Cześć, Igor.

– Hej.

– Jadłeś już kolację?

– Nie.

– Mamy w domu jakieś wino?

– Mamy.

Igor nie należał do mistrzów szermierki słownej. Preferował szybkie i celne pchnięcia. Tak, nie, dobra, mamy, cześć. Ich rozmowy telefoniczne rzadko trwały dłużej niż sześćdziesiąt sekund.

– To wyciągnij, proszę. – Westchnęła. – Zapal jakąś świeczkę. Włącz muzykę. Jestem dojechana i pragnę poczuć się jak człowiek.

– A co z tą kolacją?

– Zgarnę po drodze spaghetti z Koloseum.

– Mam inny pomysł.

– O proszę… – Zaskoczył ją. – W takim razie zamieniam się w słuch.

Zapakowała laptop do torby i wstała od biurka. Przytrzymując telefon przy uchu ramieniem, poukładała jeszcze walające się bez ładu i składu papiery, po czym skierowała się do wyjścia.

– Romek zaprosił nas dziś wieczorem na kolację – kontynuował Brudny. – Odmówiłem, bo założyłem, że dziś wcześnie nie wrócisz, ale jakbym teraz do niego zadzwonił, to chyba jest szansa.

– No… – Po Igorze mogła się spodziewać wszystkiego, ale wyjście w gości znalazłoby się na końcu tej listy. Problem w tym, że akurat dziś nie miała ochoty na nic poza napełnieniem żołądka i lampką wina. Najlepiej we dwoje.

– Nie słyszę eksplozji entuzjazmu.

– Nie, Igor. To… – zawahała się – …to naprawdę dobry pomysł.

– Jesteś zmęczona i chcesz zjeść w spokoju, mam rację?

– Dzwoń do Romka. Jadę od razu do domu.

Rozłączyła się. Igora nie dało się oszukać nawet przez telefon. Oczywiście, że chciała zjeść w spokoju, napić się wina i pójść spać, ale jeśli teraz by mu odmówiła, to kolejna szansa wyciągnięcia go dalej niż do Żabki po fajki mogłaby oddalić się o eony. Poza tym to nie był taki zły pomysł. Wiedziała, że jutro, najpóźniej pojutrze, prokurator Karol Magiera zawnioskuje o stworzenie nowej grupy dochodzeniowo-śledczej. Nie miał wyjścia, bo pierwsze fakty dotyczące zmarłej kobiety sugerowały, że to nie jest zwykłe morderstwo. Romek, w przeciwieństwie do niej, znał Magierę całkiem dobrze i mógł dać jej kilka wskazówek.

Na schodach przy głównym wejściu do komendy natknęła się na Kłosa. Stał i palił papierosa. Wyglądał na podkurwionego.

– Julka! – zawołał za nią.

– No? – Odwróciła się. – Tylko szybko, bo się śpieszę.

– Wysłałaś już raport do Goryla?

– No wysłałam, a co?

– Co w nim napisałaś?

Rzuciła mu kose spojrzenie. Co go to, kurwa, obchodzi? Jak sam stwierdził, adresatem raportu był naczelnik wydziału, więc o co biega?

– Wybacz, Artur, ale… – Pokręciła wymownie głową. – Na pewno dowiesz się w swoim czasie.

– Pytam, bo to gruba sprawa. Wygląda na robotę niezłego psychola.

– Sam sobie odpowiedziałeś na to pytanie. A teraz naprawdę muszę iść. Na razie.

Odwróciła się i ruszyła w stronę zaparkowanego niedaleko samochodu. Nie uszła kilku kroków, gdy – choć nie dałaby sobie ręki uciąć – usłyszała mrukliwe burknięcie Kłosa, które brzmiało jak „suka”. Nie wytrzymała i obejrzała się przez ramię, ale komisarz właśnie znikał w drzwiach budynku komendy. Może się przesłyszała, a może nie lubił jej jeszcze bardziej niż ona jego. Postanowiła, że teraz nie będzie zawracać sobie głowy

takimi bzdurami. W każdej jednostce relacje między policjantami i policjantkami wyglądały podobnie. Dla jednego było się spoko koleżanką, a dla innego wredną suką, zwłaszcza gdy było się Julią Zawadzką i traktowało się facetów dokładnie tak samo, jak oni traktowali Julię Zawadzką.

Olała to, wsiadła do samochodu i ustawiła płytę z najlepszymi kawałkami AC/DC. W drodze do domu słuchała *Highway to Hell*. Podśpiewując wspólnie z Bonem Scottem, nie miała pojęcia, że właśnie włączyła proroczy kawałek.

* * *

– Jeszcze wklepujesz w twarz te niemowlaki?

– Ty jesteś normalny?

Zawadzka wsmarowała w lewą część twarzy resztki żelu koloidowego. Niemowlaki? Co za głupek! Czego on się znowu naczytał w tym internecie? Czasem Igor naprawdę ją wkurwiał. Kochała go, ale cała ta sytuacja wpłynęła na niego bardzo destrukcyjnie. Wcześniej, owszem, nawet wobec niej bywał oschły i mrukliwy, ale ostatnio coraz częściej zdarzało mu się być najzwyczajniej złośliwym. Przecież doskonale wiedział, że jej też nie jest łatwo. Jaka kobieta przeszłaby do porządku dziennego nad tym, że z dnia na dzień straciła swoją atrakcyjność, a pół jej twarzy znaczy rozlazła, odrażająca blizna? Co prawda i tak było już lepiej niż wcześniej, bo po dwóch refundowanych zabiegach w klinice chirurgii plastycznej w Nowej Soli blizna wypłaszczyła się i Julka nie wyglądała już jak potwór doktora Frankensteina. Niestety, dalsze leczenie musiała pokrywać z własnej kieszeni, a żałosna policyjna pensja nie pozwalała na koszmarnie drogie operacje, które i tak nie gwarantowały stuprocentowej skuteczności. Pozostały mniej inwazyjne zabiegi kosmetyczne i regularne używanie żeli i kremów, mających za zadanie poprawienie estetyki tego, czego już nie dało się usunąć.

Przeciągnęła szminką po górnej wardze i krytycznie przyjrzała się sobie w lustrze. Już dawno pogodziła się z tym, że nigdy nie będzie wyglądać tak jak przed eksplozją. Nie zapamiętała wiele, prawie nic, jedynie gorący podmuch. Potem obudziła się w szpitalu z głową owiniętą bandażem elastycznym.

– Miała pani furę szczęścia – tłumaczył jej chirurg od oparzeń, gdy już doszła do siebie i była w stanie się komunikować. – Udało się nam uniknąć

przeszczepu. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby blizny były jak najmniejsze.

– Blizny? – jęknęła.

– Dostanie pani skierowanie na zabiegi do kliniki chirurgii plastycznej w Nowej Soli. Pracują tam świetni specjaliści. Pomogą pani.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła swoje odbicie w lustrze, rozryczała się jak dziecko. Nie załamała się jednak, z czasem pojawił się u niej etap akceptacji, skupiła się na leżącym w śpiączce przyjacielu. Ona nie musiała walczyć o życie, nie była krojona, nie wstawiano jej kolejnych śrub, haków i innych ustrojstw, które zaimplementowane w niebezpiecznej ilości mogły zmienić człowieka w cyborga. Zanim się obudził, zdążyła przejść dwa zabiegi, które doprowadziły jej twarz do jako takiego stanu, mimo to blizny wciąż były widoczne. I jeśli nie planowała wygrać w totka, musiała pogodzić się z tym, że już na zawsze będą jej przypominać o tym, co wydarzyło się w klasztorze sióstr hieronimek.

– Opowiesz mi, jak było na rehabilitacji? – zapytała, poprawiając włosy, które tym razem postanowiła rozpuścić.

– Dobrze.

– A coś więcej?

– Lepiej niż we wtorek.

– Czyli jest progres…

– No jest. Jest też już prawie dziewiąta, a wiesz, że nie lubię się spóźniać…

– Jestem niemal gotowa. Możesz się ubierać.

W lustrze dostrzegła, jak Igor mocuje się z włożeniem butów. To, że jeszcze nie był w stanie sam chodzić, to jedno, ale jego ciało było naszpikowane taką ilością wszelakich ciał obcych, że nawet najdrobniejszy ruch, pochylenie się czy wyciągnięcie ręki dalej niż zwykle sprawiały mu ból. Z początku próbowała mu pomagać, ale nie pozwalał jej na to. Stawał się wtedy nerwowy, mrukliwy, czasem zamykał się w sobie, ale nawet jeśli czynność, która dzięki jej pomocy mogła zająć kilka sekund, jemu zajmowała pół godziny, koniec końców zawsze osiągał to, czego chciał. Za to go uwielbiała. Za ten jego niezłomny charakter, za to, że był taki uparty, zawzięty, niezmordowany w wyznaczaniu sobie kolejnych celów. Nawet jeśli czasami dostawała rykoszetem, to w ogóle nie brała tego do siebie.

– Włożyłeś koszulę. Proszę, proszę…

Zbliżyła się do niego i przesunęła dłonią po jego klatce piersiowej.

– Powiedziałaś, że chcesz poczuć się jak człowiek, więc…

– I jeszcze pachniesz perfumami. Naprawdę zrobiłeś to dla mnie? – Stanęła za nim.

– Mogę się przebrać w koszulkę.

– No nie bądź taki, Igor – kokietowała. – Powiedz, że zrobiłeś to dla mnie. Tak po prostu.

– Chyba jednak lepiej czuję się w T-shircie.

– Jeśli powiesz, to przed snem postaram ci się to wynagrodzić…

Nachyliła się nad nim i zsunęła dłoń w okolice jego krocza. Pamiętała jego obawy z tym związane. Na szczęście się nie sprawdziły. Jego sprzęt od jakiegoś czasu działał bez zarzutu. Teraz też zareagował. Wsadziła mu język do ucha.

– Włożyłem koszulę dla ciebie – mruknął. – Może być?

– A perfumy?

Brudny przewrócił oczami, westchnął, gdy chwyciła ustami jego małżowinę.

– Zrobiłem to dla ciebie, Julka – powtórzył. – Ale jeśli zaraz nie wyjdziemy, to się spóźnimy i…

– Grzeczny chłopczyk – przerwała mu. – Należy się nagroda, ale…

– Julka…

– Dopiero po kolacji u Romka. – Puściła go i sięgnęła po leżącą na komodzie torebkę. – Gotowy?

Brudny nie odpowiedział, tylko podjechał do drzwi i nacisnął klamkę. Gdy zamykała je na klucz, zerknęła przez ramię. Igor już podążał w kierunku windy. Pomyślała, że bardzo go kocha.

ROZDZIAŁ 4

W pomieszczeniu panował półmrok rozświetlany przez blade światło z włączonego telewizora. Akurat leciał jakiś program publicystyczny, w którym czterech polityków obrzucało się wzajemnie błotem z taką zaciekłością, że prowadząca dziennikarka z trudem panowała nad utrzymaniem porządku dyskusji. Na dworze było już ciemno, panowała niezmącona cisza, tylko czasem zawył pies sąsiada.

Mężczyzna poruszył się w fotelu i nadmiar popiołu z trzymanego między palcami papierosa spadł na podłogę. Nie zwrócił na to uwagi. W domu i tak był syf. Sięgnął po szklankę z wódką i wychylił ją do dna. Skrzywił się i wytarł usta wierzchem dłoni, po czym sięgnął po butelkę i dolał kolejną porcję.

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Tak naprawdę wyglądała bardzo, bardzo źle. Świadomość, że może być tylko gorzej, nie poprawiała jego samopoczucia. Frustrowała go. Dlaczego to musiało spotkać akurat jego?

Wrócił pamięcią do wydarzeń sprzed lat. Pamiętał tylko huk, trzask wgniatanej blachy, brzęk tłuczonego szkła. I krew. Dużo krwi. Potem syk płomieni, świdrujący dźwięk piły tarczowej rozcinającej metal.

Skrzypienie zardzewiałego mechanizmu wózka.

– Kiedy przywieziesz mi kolejną?

W mroku rozległ się głos. Był zachrypnięty, przepity, pełen pogardy, wredny. Mężczyzna zerknął w tamtym kierunku. Zacisnął nerwowo zęby. Ten koszmar nie chciał odejść. Przykleił się do niego jak pijawka, która codziennie wysysała z niego chęć do życia.

– Odejdź – rozkazał.

Deski zatrzeszczały, nienaoliwiony mechanizm zaskrzypiał złośliwie. Dostrzegł wyłaniający się w mroku kontur postaci. Gnębiła go od lat, z pełną premedytacją, wykorzystując jego poczucie winy. Czasem myślał, że jest tylko duchem, wytworem wyobraźni, sennym koszmarem, który powraca, aby pastwić się nad nim za to, co uczynił. A może tak właśnie

było? Może nie była realna? Może była tylko imaginacją jego udręczonego umysłu?

– Mówiłeś, że przywieziesz – wychrypiała postać w mroku.

– Odejdź – powtórzył, nie miał sił, aby dziś się z nią użerać.

– Kiedy przywieziesz?

Mężczyzna wypił wódkę i odstawił pustą szklankę na zapaćkany blat. Przez chwilę siedział, czując, jak ciepło rozchodzi się po ciele. Zaciągnął się papierosem.

– Nie wiem – wycedził przez zęby.

– Czuję popęd. – Głos dalej chrypiał z mroku. – Musisz mi jakąś przyprowadzić. Musisz, bo…

– Bo co? – warknął.

– Bo to twoja wina…

Mechanizm wózka zaskrzypiał i postać wycofała się w mrok. Mężczyzna w fotelu zaczął liczyć do dziesięciu, w końcu sięgnął po pustą już flaszkę wódki i zamachnął się z całej siły. Butelka z hukiem roztrzaskała się o ścianę i zasypała podłogę drobinkami szkła.

Z podwórza znów dobiegł skowyt psa. Pomyślał, że ten koszmar nigdy się nie skończy.

ROZDZIAŁ 5

Romuald Czarnecki nałożył sobie na talerz kolejną nadziewaną papryczkę. Uniósł kieliszek wódki.

– Za jak najszybszy powrót do zdrowia – wzniósł toast. Wszyscy wychylili, pani domu popiła sokiem z brzoskwini.

– No mówi, że jest ten progres, ale… – Brudny cmoknął.

– Jeśli tak mówi specjalista, to tylko tego się trzymać – dokończył za niego inspektor. – Od początku ci powtarzałem, że na świecie pozostało jeszcze wielu zbirów do złapania. Dzisiejsze znalezisko tylko potwierdza tę tezę.

Czarnecki upił herbaty i nadział na widelczyk korniszona. Schrupał go, wymownie zerkając na Zawadzką, która przeżuwała farsz z papryczki.

– Wywołujesz mnie do tablicy? – upewniła się.

– Proszę, nie – zaprotestowała Jadwiga Czarnecka. – Nie rozmawiajmy o pracy. Przez trzydzieści lat nasłuchałam się o tych wszystkich psychopatach, także przy jedzeniu. O trupach pogadacie sobie, gdy zjemy, dobrze?

– Wybacz, kochanie. Masz rację. – Czarnecki sięgnął po butelkę wódki i nalał do kieliszków. – W takim razie może powiedz, Igor, jakie masz teraz plany? Do Warszawy nie zamierzacie wracać, mam rację?

– Na razie nie – odparł komisarz i sięgnął po czarną oliwkę.

– Igor planuje zostać prywatnym detektywem. Gdy tylko stanie na nogi…

– Julka… – Brudny przewrócił oczami.

– Co, Julka? – obruszyła się. – Przecież to żadna tajemnica. Rozmawialiśmy o tym i uważam, że to znakomity pomysł.

Brudny westchnął. Nie znosił, gdy ktoś wypowiadał się w jego imieniu. Nie mógł jednak nie zgodzić się z Julką, bo taki pomysł rzeczywiście zaświtał mu w głowie jakiś czas temu, mniej więcej w momencie, gdy postanowił wziąć się w garść. Teoretycznie po przejściu rehabilitacji, a następnie zdaniu egzaminów sprawnościowych i psychologicznych

mógłby wrócić do policji, ale po tym, co wydarzyło się w Warszawie, trudno mu było sobie wyobrazić, żeby jeszcze kiedykolwiek ktokolwiek wydawał mu rozkazy. Długo nad tym myślał. Próbował analizować, czy Beryl mógłby dać się skorumpować, czy może sytuacja miała się zgoła inaczej i został zaszantażowany. Tamten facet w kominiarce, z którym miał nieprzyjemność spotkać się oko w oko, dysponował zapewne szerokim spectrum możliwości, żeby wywrzeć wpływ na jego przełożonego. Mógł dać mu w łapę, ale przecież równie dobrze mógł zagrozić, że zabije jego dzieci. Nie chciał osądzać naczelnika, co jednak nie zmieniało faktu, że nie wyobrażał sobie dalszej współpracy. Na razie wciąż dostawał sto procent pensji i taki stan powinien jeszcze trochę trwać, bez problemu mógłby też postarać się o rentę albo najzwyczajniej w świecie przejść na wcześniejszą emeryturę, bo swoje piętnaście lat służby zdążył wyrobić jeszcze przed wejściem ustawy przedłużającej konieczny czas wysługi do lat dwudziestu pięciu. Do tego doszło jeszcze kilka innych kwestii, na które nie miał wpływu. Cztery miesiące w śpiączce to długi okres, w którym można wyleczyć oparzenia, poprosić o przeniesienie do Zielonej Góry, sprzedać mieszkanie w Warszawie i kupić mały dom na obrzeżach mniejszego miasta. Tak właśnie postąpiła Julka i wiedział, że zrobiła to z miłości.

Brudny przełknął porcję sałatki warzywnej i popił kawą.

– Coś muszę robić, żeby nie zdziadzieć – oznajmił, odstawiając filiżankę.

– Pijesz do mnie, przyjacielu? – Czarnecki uniósł brwi. – Owszem, przytyło mi się kilka kilogramów, ale…

– Daj spokój, Romek – przerwał. – Wiesz, że nie to miałem na myśli. Po prostu pomyślałem, że może da się z tego jakoś wyżyć. Nie chcę już słuchać rozkazów. Mam dość.

– Naczelnicy i komendanci mogą otwierać szampany – wtrąciła Julka, szturchając go lekko łokciem.

– Pewnie tak…

Przez kolejne kilkanaście minut debatowali nad wadami i zaletami profesji prywatnego detektywa, potencjalnymi korzyściami finansowymi, ewentualnymi sprawami, jakie mogą się przytrafić w takim mieście jak Zielona Góra. Zgodzili się, że w przypadku Brudnego pomysł może okazać się strzałem w dziesiątkę, bo od jakiegoś czasu komisarz nie był już zupełnie anonimową osobą, miał renomę i gdyby tylko zdecydował się założyć działalność, na brak klientów zapewne by nie narzekał. Gdy zjedli, Zawadzka

pomogła posprzątać ze stołu, a mężczyźni wyszli na balkon. Czarnecki pomógł Brudnemu podnieść się z wózka i przekroczyć próg, a następnie usiąść na plastikowym krześle.

Sierpniowy wieczór był ciepły i spokojny. W powietrzu unosił się przyjemny kwiatowy zapach, a w tle grały świerszcze. Tylko w nielicznych oknach bloków naprzeciwko można było dostrzec zapalone światła. Większość mieszkańców osiedla albo już spała, albo powoli szykowała się do snu. Brudny spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Poruszył się w krzesełku i poczuł, że koszula klei mu się do pleców. Spojrzał na Czarneckiego, który stał oparty o poręcz balkonu i patrzył w sobie tylko znany punkt gdzieś w oddali. Wiedział, o czym myśli. Był starym psem. Najlepszym.

Brudny sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Wtedy dołączyła do nich Julka. Oparła się pośladkami o parapet. Poczęstował ją i zapalili.

– Na dniach Magiera zapewne powoła grupę dochodzeniowo-śledczą – oznajmiła, bez udawania, że wyszli na balkon w innym celu niż porozmawianie na wiadomy temat. – Prawdopodobnie będą chcieli, abym dołączyła, i pomyślałam, że zapytam cię o kilka rzeczy.

Czarnecki zdjął okulary i przetarł je chusteczką.

– W związku z tą dzisiejszą ofiarą? – zapytał, z powrotem zakładając je na nos. Zawadzka przytaknęła. – Karol tworzy grupę, bo łączy ją ze śledztwem, którym się zajmujesz, czy tak?

– Zgadza się, choć… – Zawadzka zawiesiła głos – …to nie jedyny powód.

– Domyślam się, że to coś poważnego, bo Karol jest bardzo ostrożny w ferowaniu wyroków.

– Ofiara była pozbawiona krwi.

Brudny rzucił im ciekawskie spojrzenie. Julka powiedziała to bez emocji, wręcz oschle. Wcześniej wspomniała mu o tym w drodze do Czarneckich, ale nie mieli czasu rozwinąć tematu. Wymienili tylko kilka uwag, poza tym to wciąż była tylko hipoteza, którą medyczka sądowa postawiła na podstawie oględzin zwłok w miejscu ich porzucenia. Oczywiście miała ona solidne podstawy, ale żeby jednoznacznie potwierdzić przypuszczenie, najpierw należało zrobić sekcję. Czarnecki najwyraźniej był tego samego zdania.

– Kto to stwierdził? – zapytał.

– Kobieta nazywa się Magdalena Obojko. Czterdzieści pięć lat. Dwadzieścia doświadczenia w zawodzie. Niedawno przeprowadziła się do Zie-

lonej Góry z Mazur.

– Doktor Wołoś sobie nie radziła?

Joanna Wołoś zajęła miejsce nieodżałowanego Roberta Krzywickiego, ale wedle wszystkich znaków na niebie i ziemi nie był to najlepszy wybór, zwłaszcza że skomplikowana sytuacja osobista ograniczała jej dyspozycyjność, a to było wymagane w tej pracy. Ostatecznie zdecydowała się odejść, a na jej miejsce zrobiono konkurs, który wygrała Obojko.

– Nie pytaj, Romek. Wiem tyle co ty – odparła Zawadzka. – Ale muszę przyznać, że na pierwszy rzut oka ta cała Obojko wygląda na babkę, która zna się na rzeczy. Po obejrzeniu ciała wskazała kilka wyraźnych ran, przez które krew, jak to ujęła, miała zostać upuszczona albo wręcz odessana.

– To wyjaśnia decyzję Magiery… – Czarnecki chwycił konewkę i w milczeniu podlał wiszące na balustradzie kwiaty. Woda szybko wsiąkła w suchą ziemię. – Ofiara została zidentyfikowana? – zapytał.

– Jeszcze nie. Ale jest młoda. Może nawet niepełnoletnia.

– A tamta dziewczyna? Pamiętasz, ile miała lat?

– Iwanka? Dokładnie nie wiadomo, ale patomorfolog oceniła wiek ofiary na jakieś dwadzieścia.

– Czyli niewiele więcej…

– No…

Brudny przysłuchiwał się wymianie zdań, paląc papierosa. Czuł się nieswojo. Do tej pory w takich dyskusjach zwykle miał coś do powiedzenia. Teraz odnosił wrażenie, że wypadł z gry i jest kompletnie bezużyteczny.

– A ty co o tym sądzisz, Julio? – Czarnecki przysunął Zawadzkiej szklaną podstawkę, która chwilowo miała posłużyć za popielniczkę. Policjantka przygryzła dolną wargę, cmoknęła, zmrużyła oczy.

– Obrażenia nie przypominają tych, które widziałam na zdjęciach zamordowanej Iwanki – rzekła po chwili zastanowienia. – Tamta Białorusinka była pocięta i wielokrotnie zgwałcona, ale nikt nie spuścił jej krwi. Niestety, z powodu daleko posuniętego rozkładu ciała nie udało się jednoznacznie ustalić przyczyny śmierci. Za najbardziej prawdopodobną zostało uznane uduszenie.

– Czyli nie łączyłabyś obu tych morderstw?

Zawadzka prychnęła, a potem zaciągnęła się i zgasiła papierosa.

– Nie wiem, Romek. Naprawdę nie wiem. Jak myślę o tym, że może tu grasować kolejny psychol, to… – Pokręciła głową. – Kolejny seryjniak w tym mieście to byłaby już lekka przesada. Jak tak dalej pójdzie, to nie-

długo zaczną przyjeżdżać tu wycieczki Japończyków z tymi wielgaśnymi aparatami, a FBI przyśle na stałe swoich psychologów, żeby w ciemno chodzili po domach i szukali wśród mieszkańców potencjalnych świrów. Naprawdę uważasz, że coś takiego jest możliwe?

Czarnecki uniósł brwi i otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Poprawił okulary i się zasępił. Brudny wciąż palił, wpatrując się nieobecnym wzrokiem w jakiś punkt na nieodległym, pustym już o tej porze placu zabaw. Widząc, że prawie spala filtr, Zawadzka ze zgrzytem przesunęła po parapecie szklaną podstawkę. Jej partner uniósł wzrok w niemym podziękowaniu.

– Jeśli ktoś spuszcza krew z nastolatki, a potem zakopuje ją w lesie, to na tym nie poprzestanie – rzekł, zgniatając peta. – Ja zacząłbym od zadania sobie pytania, po jaką cholerę mu ta krew.

Czarnecki nic nie odpowiedział, tylko pokiwał głową. Trudno mu było spekulować, nie mając żadnej popartej empirycznie wiedzy na temat tego, co odkryto w lesie. Słowa Zawadzkiej brzmiały jednak bardzo niepokojąco, a Brudny jak zwykle trafił w punkt. Ktoś, kto zadaje sobie tyle trudu, aby pozbawić ofiarę krwi, robi to z jakiegoś konkretnego powodu. Poczuł przyjemne łaskotanie na karku. Pomyślał, że…

Nie! Skarcił się w myślach. To już przeszłość. Teraz jest na zasłużonej emeryturze. Czyta książki, gra w szachy i rozwiązuje krzyżówki. Łapanie psychopatów to już nie jego działka.

– Igor ma rację – rzekł ze stoickim spokojem. – Ale obiecałem żonie, że nie będę się więcej angażował. Wystarczająco długo żyła z cieniem.

– Rozumiem, Romek. – Zawadzka upiła łyk herbaty. – Nie oczekuję tego typu pomocy. Wystarczy, że powiesz mi coś o tym Magierze. Znasz go, prawda?

– Trochę. Pracowałem z nim przed laty w Gorzowie, ale dość krótko. Rozwiązaliśmy wspólnie kilka spraw. Na pewno zabójstwa, chyba dwa w afekcie, jedno z zemsty. To nie były trudne śledztwa. Szybko namierzyliśmy podejrzanych, dowody były mocne, Karolowi pozostało tylko wsadzić ich za kratki. Potem ja trafiłem tutaj, a on kilkanaście lat spędził we Wrocławiu. Do Zielonej Góry przyjechał niedawno, jak zresztą pewnie dobrze wiesz, w ramach uzupełnienia kadry prokuratorskiej po…

Nie dokończył, ale nie musiał. W ostatnim czasie prokuratorzy kończyli w tym mieście marnie. I nawet jeśli w większości nie należeli do najbardziej krystalicznych reprezentantów tej profesji, to trzymał się zasady, że

o zmarłych, zwłaszcza zaś byłych współpracownikach, nie mówił źle. A najlepiej w ogóle.

– Co o nim sądzisz? Jako o człowieku? – ciągnęła Zawadzka.

– To fachowiec, ale ma dość specyficzny klucz w dobieraniu sobie ludzi. Powiedzmy, że w tej kwestii raczej się nie dogadywaliśmy.

– A konkretnie?

– Jest chorobliwie ambitny i lubi poklask. I nie cierpi jakiejkolwiek samowolki. Dobiera sobie ludzi niekoniecznie najlepszych, ale za to wiernych. Poza tym jeśli chodzi o poglądy, to sympatyzuje z obecną władzą, a wiemy, co to oznacza. I choć akurat w tego typu śledztwach to nic złego, lepiej mieć to na uwadze.

Zawadzka pokiwała głową ze zrozumieniem. Pomyślała, że inspektor nawet nie wie, że trafił w samo sedno. Do tej pory ani ona, ani tym bardziej Igor nie wyjawili mu prawdy o tym, co dokładnie wydarzyło się w Warszawie. Tę tajemnicę mieli zamiar zabrać ze sobą do grobu.

– Dzięki, Romek – powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

– Nie ma za co. I żebyś mnie źle nie zrozumiała, Julio. Po prostu rób swoje, a wszystko będzie dobrze.

– Tego będę się trzymać. A teraz chyba czas na nas.

Czarnecki nie oponował. Brudny przytaknął. Stało się jasne, że spotkanie dobiegło końca.

ROZDZIAŁ 6

Obudziły go gitarowe riffy. Ten utwór znał chyba każdy facet na świecie. Zawadzka otworzyła oczy, ale nie wyłączyła budzika.

Risin' up, back on the street
Did my time, took my chances
Went the distance, now I'm back on my feet
Just a man and his will to survive

So many times, it happens too fast
You change your passion for glory
Don't lose your grip on the dreams of the past
You must fight just to keep them alive

Zrzuciła z siebie kołdrę i wyszła z łóżka. Miała na sobie tylko majtki. Potruchtała na palcach do łazienki. Powiódł za nią wzrokiem, aż zniknęła za drzwiami.

It's the eye of the tiger, it's the thrill of the fight
Risin' up to the challenge of our rival
And the last known survivor stalks his prey in the night
And he's watchin' us all with the eye of the tiger

Face to face, out in the heat
Hangin' tough, stayin' hungry
They stack the odds 'till we take to the street
For we kill with the skill to survive

W końcu Brudny sięgnął po telefon i wyłączył budzik. Pomysł Julki, aby ścieżkę dźwiękową z *Rocky'ego* wklepać w każde możliwe urządzenie,

sprawił, że słynny utwór Survivora ostatnio zaczynał działać mu na nerwy. Nastała cisza. Przetarł kąciki oczu. Usłyszał, jak Julka spuszcza wodę w toalecie, a potem zaczyna szorować zęby. Zaraz umyje włosy, wysuszy je, wstawi wodę na kawę, następnie wróci do pokoju, włoży dżinsy, koszulkę i pójdzie przygotować dla nich śniadanie. Raczej nie zjedzą go wspólnie, bo jemu wszystkie te czynności zajmą przynajmniej godzinę. I to bez mycia włosów.

Okropnie go to frustrowało. Wierna przyjaciółka, która po latach wzajemnych podchodów w końcu stała się jego życiową partnerką, teraz mu dodatkowo matkowała. Nie dość, że pracowała, to zwykle szykowała jedzenie, sprzątała chatę, wczoraj przed snem zrobiła mu nawet obiecaną laskę. Dom, w którym mieszkali, też należał do niej. Pomyślał, że przynajmniej nie jest darmozjadem. Pieniądze z chorobowego regularnie wpływały na konto, a całkiem niedawno wywalczył okrągłą sumkę z ubezpieczalni. Akurat na rozkręcenie małego biznesu.

Usłyszał szum suszarki. Pomyślał, że może tym razem to on wstawi kawę. Zwlókł się z łóżka. Odezwały się prawie każdy mięsień, każda kość i ścięgno. Nerwobóle wciąż nie ustawały i choć starał się ograniczać przyjmowanie środków mających je poskromić, to z samego rana zwykle łykał przynajmniej dwa ketonale. Popił je wodą z butelki i zsunął nogi na podłogę. Oparłszy się o szafkę, podniósł się do pozycji pionowej. Wciąż nie mógł pozbyć się wrażenia, jakby stawał nad przepaścią. Zaczynało mu się kręcić w głowie, pojawiały się mroczki. Chwycił stojący przy szafce nocnej balkonik. Zacisnął palce na uchwytach. Poczuł się pewniej.

Droga do kuchni zajęła mu około minuty. Tam poprzedniego wieczoru zostawił wózek, aby zmusić się do zrobienia tych kilkunastu kroków zaraz po przebudzeniu. Oparł się o blat i nastawił wodę. Nasypał kawy, zmielił ją i wsadził po dwie kopiaste łyżeczki do kubków. Suszarka zamilkła, gdy woda zbliżała się do punktu wrzenia. Chwilę później za jego plecami pojawiła się Julka.

– Czyżby mój osobisty Rocky zrobił nam kawę? – zapytała, obejmując go w pasie.

– Daj spokój z tym Rockym – odburknął. – Boję się, że zaraz mi z lodówki wyskoczy.

– Oj, nie bądź już taki brudnowaty. Widzę, że z każdym dniem jesteś silniejszy. Jeszcze chwila i wrócisz do formy.

Pocałowała go w kark i zalała oba kubki wrzątkiem. Sobie dolała kilka kropel mleka.

– Jakie masz dziś plany? – zapytała.

– A jakie mogę mieć, Julka?

– Nie wiem. To twoje plany.

– Daj mi lepiej papierosa. Teraz to jest mój plan.

Zawadzka chwyciła leżącą na ławie paczkę i wręczyła ją Brudnemu, a potem poszła otworzyć drzwi na taras. Do salonu wślizgnęły się odgłosy ulicy i ćwierkanie ptaków. Pomimo wczesnej pory z dworu buchnęło gorące powietrze. Jej wzrok na chwilę zatrzymał się na stojącym przy fotelu wózku inwalidzkim. Zawahała się, ale nie ruszyła go.

– Przypomnij, kiedy przychodzi ten Wojtek – rzuciła, chwytając leżące w wiklinowym koszyku jabłko.

– Ma być o jedenastej.

Wojtek Bugaj był głównym fizjoterapeutą Brudnego. Kilka lat od niego młodszy, doskonale wyrzeźbiony, wiecznie uśmiechnięty i przesadnie optymistycznie – przynajmniej w mniemaniu komisarza – nastawiony do życia, poza rehabilitacją prowadził też prywatne treningi fitness w pobliskiej siłowni. Bugaj zajmował się nim prawie od samego początku i jako jeden z niewielu nie poddawał się, nawet gdy Brudny zaliczył najbardziej depresyjny moment. Znosił wszystkie jego humory, motywował go nawet pomimo niewybrednych epitetów, a nawet soczystych bluzgów, których Igor nie szczędził nikomu, jemu zresztą najwięcej. Czy komisarz dostrzegł w nim cząstkę siebie? Czy Bugaj zaimponował mu swoją zawziętością, nieustępliwością? Sam nie był tego do końca pewny, ale w pewnym momencie coś zaskoczyło, nawiązała się między nimi cienka nić porozumienia. Brudny przekonał się do niego i uchylił drzwi do swojego świata. Dziś pracowali razem pełną parą.

– Co będziecie robić? – Zawadzka zatopiła zęby w słodkim miąższu, a potem podeszła do skórzanego narożnika i poszukała pilota. Włączyła program informacyjny.

Brudny obrócił się w jej stronę. Nie po raz pierwszy stwierdził, że pod pewnymi względami wszystkie kobiety są takie same. „Co będziecie robić?” – powtórzył w duchu i uznał, że świat się nie zawali, jeśli tym razem nie oświeci Julki w tej kwestii.

Do stojącego obok fotela miał zaledwie kilka metrów, ale czuł, że nogi są jak z waty. Włożył nieodpalonego papierosa w usta i zacisnął palce na

uchwytach balkoniku. Zrobił pierwszy krok, później następny i następny. W końcu dotarł do celu. Runął na fotel spocony i zmęczony, jakby właśnie zszedł z ringu.

– No to jak? Co dziś będziecie robili?

A jednak nie ustąpiła, pomyślał. Przewrócił oczami.

– Krew, pot i łzy. Czy jakoś tak… – wysapał, uznając, że jednak się nie wywinie od odpowiedzi.

Zawadzka uśmiechnęła się i podała mu ogień.

– Ale chyba jesteś z niego zadowolony, bo… – posłała mu szelmowskie spojrzenie – …nie wiem, czy pan wie, panie komisarzu, ale pan pierwszy raz od wybudzenia przeszedł z sypialni do salonu bez niczyjej pomocy. Mało tego, po drodze pan komisarz zrobił nam kawę.

– Naprawdę? – Brudny udał, że to nic wielkiego.

– Naprawdę. – Zawadzka odłożyła nadgryzione jabłko i zbliżyła się do partnera. Położyła mu obie dłonie na przedramieniu i spojrzała w oczy. – Powinieneś być z siebie dumny, Igor – rzekła, tym razem już poważnie. – Z tego tak łatwo się nie wychodzi, a ty właśnie pokazujesz, że nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych. Za to cię kocham, wiesz?

– Tylko za to? – Brudny przez chwilę walczył, aby się nie uśmiechnąć, ale nie wytrzymał. Kąciki jego ust uniosły się nieznacznie.

– Nie tylko. Jesteś też całkiem niezły w łóżku.

Tym razem już nie próbował się powstrzymywać. W ostatnim czasie śmiał się tak rzadko, że prawie zapomniał, jak się to robi. Julka potrafiła mu o tym przypomnieć. Szybko jednak spoważniał.

– Też cię kocham – szepnął. – Za to, że jesteś.

Pocałowali się. Ich usta spotkały się tylko na chwilę. Oboje wiedzieli, że to nie czas na amory. Czekał ich długi i pracowity dzień.

Mniej więcej w momencie, gdy Zawadzka wstawała, aby zrobić śniadanie, na jednym z przystanków w centrum miasta do autobusu linii czterdzieści cztery wsiadała młoda kobieta. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej i zahukanej, ale była bardzo zdeterminowana, aby w końcu dotrzeć do celu podróży. I rozpaczliwie błagać o pomoc.

* * *

Brudny położył się na narożniku. Czuł się skrajnie wypompowany. Po prawie dwóch godzinach z Bugajem ledwo widział na oczy. Bolał go każdy

mięsień, każde ścięgno, kręciło mu się w głowie i nie miał siły, aby choćby sięgnąć po pilota i zmienić kanał. Wypił przygotowany przez rehabilitanta koktajl z suplementami mającymi uzupełnić brakujące węglowodany i wzmocnić zmęczone treningiem ciało. Gdy już chciał przymknąć powieki, usłyszał dźwięk dzwonka do drzwi.

– Wejdź – krzyknął, zakładając, że Bugaj mógł czegoś zapomnieć. Często mu się to zdarzało, bo był wyjątkowo roztargniony.

Usłyszał, że drzwi się otworzyły. Wtedy Bugaj zwykle wpadał do środka niczym trąba powietrzna, łapał portfel, klucze czy czego tam zapomniał i znikał. Tym razem nic takiego nie nastąpiło.

Brudny nadstawił uszu. Nie widział stąd przedsionka, ale był już pewny, że to nie Bugaj. Pomyślał o pistolecie, który spokojnie leżał sobie w szufladzie jego szafki nocnej. Nagle poczuł się zupełnie bezbronny.

– Dzień dobry – dobiegł go miękki kobiecy głos.

– Kim pani jest? – warknął poirytowany.

Zza rogu wyłoniła się filigranowa postać. Młoda kobieta, a w zasadzie dziewczyna, mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia lat. Stawiała niepewne kroki. Wyglądała na spłoszoną.

– Dzień dobry – przywitała się po raz kolejny, dygając nieznacznie. – Czy trafiłam do pana Igora Brudnego?

Komisarz wbił w nią surowe spojrzenie. Kim mogła być? Czego chciała? I skąd, do jasnej cholery, wiedziała, gdzie mieszka?

– To jakaś pomyłka – oznajmił stanowczo. – Nie mieszka tu żaden Brudny. Proszę natychmiast wyjść.

– Ale…

– Nie ma żadnego „ale”. Proszę opuścić mój dom.

Dziewczyna zacisnęła usta w linię. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać. Przełknęła ślinę i rozejrzała się po salonie.

– Czy pani nie rozumie po polsku? Proszę natychmiast opuścić mój dom, bo… – Nie dokończył. Chciał to wyrazić w sposób naturalny, ale pomyślał, że powoływanie się na wzywanie policji w jego ustach zabrzmiałoby jednak zbyt groteskowo.

– Przepraszam bardzo, ale poznaję pana. Pan to Igor Brudny, prawda?

Komisarz nerwowo przełknął ślinę. Co mógł zrobić? Nic. Nagle poczuł się zupełnie bezradny. Gorzej niż dziecko. Nie był w stanie zaakceptować tego stanu rzeczy. On, Igor Brudny, nie potrafił zrobić niczego, nawet pozbyć się z domu jakiejś nachalnej gówniary.

Przeanalizował sytuację. Dziewczyna nie wyglądała, jakby miała złe zamiary. Mimo to przyszła tu w konkretnym celu, bo jeśli zadała sobie tyle trudu, aby namierzyć jego aktualny adres, musiała się do tego przyłożyć. Przyjrzał się jej. Wciąż stała bez ruchu, wpatrując się w niego wielkimi błękitnymi oczami. Była młoda, dość atrakcyjna, choć szczupłą figurę skryła pod niemodnymi dżinsami i koszulą z kołnierzykiem. Miała długie blond włosy spięte w imponujący warkocz, który kojarzył mu się z tymi wszystkimi tancerkami z ludowych zespołów pieśni i tańca. Jej ogromne tęczówki zdawały się nieznacznie drżeć.

Zmusił się, aby podnieść się do pozycji siedzącej. Niezgrabnie spuścił nogi na podłogę.

– Kim pani jest i czego pani chce? – zapytał spokojnie.

– Nazywam się Justyna Klepacka – jęknęła dziewczyna, a potem dodała już nieco pewniej. – Mam dziewiętnaście lat i na stałe mieszkam w Solinie, takiej wsi pod Sanokiem. Przyjechałam, bo chciałabym prosić pana o pomoc.

– Mnie? O pomoc? – Brudny zmarszczył brwi. Czego mógł od niego chcieć jakiś dziewiętnastoletni podlotek z Soliny pod Sanokiem? Wskazał jej dłonią fotel. Usiadła i położyła dłonie na złączonych kolanach.

– Tak, proszę pana – potwierdziła. – I bardzo pana proszę, żeby mnie pan nie wyrzucał. Przejechałam całą Polskę, aby się z panem spotkać. Wydałam na podróż ostatnie pieniądze i…

– Zaraz, zaraz. – Brudny odchrząknął. – Zaszło chyba jakieś nieporozumienie. Kogo dokładnie pani szuka?

– Pana szukam, proszę pana.

– Szuka pani komisarza Igora Brudnego?

– Tak.

– Komisarz Igor Brudny jest na chorobowym. Jeśli zdołała się pani dowiedzieć, gdzie komisarz mieszka, to pewnie zdążyła się też pani zaznajomić ze stanem jego zdrowia…

– Ja wiem… – Dziewczyna przełknęła ślinę i nieśmiało przytaknęła. – Ja wiem, że pan jeszcze nie doszedł do zdrowia, ale… – Jej podbródek zadrżał, oczy zaszły łzami. Ewidentnie chciała zapanować nad wybuchem emocji, ale nie zdołała powstrzymać łez. – Ja już po prostu nie mam się do kogo zwrócić. Próbowałam wszystkiego. Szukałam jej. Wynajmowałam prywatnych detektywów, ale żaden nie był w stanie mi pomóc. Potem usłyszałam o panu i… – Wytarła oczy wyciągniętą z torebki chusteczką. – Ja

bardzo pana przepraszam. Bardzo mi wstyd, ale… ale… jest pan moją ostatnią deską ratunku. Proszę pana, błagam, proszę mnie wysłuchać.

Brudny siedział i wpatrywał się w młodą kobietę, nie mając pewności, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony był poirytowany, że jakaś obca dziewczyna wtargnęła mu do domu, z drugiej zrobiło mu się jej po ludzku żal. Kimkolwiek była, najwyraźniej znalazła się w sytuacji podbramkowej, desperacja wręcz wyzierała z każdego jej słowa. Tylko dlaczego zwróciła się do niego? Jak niby miałby jej pomóc? Pomyślał, że jeśli rzeczywiście przejechała taki kawał drogi tylko po to, aby go odnaleźć, to przynajmniej wypada jej wysłuchać.

– Pani… – zaczął.

– Justyno. Mam na imię Justyna, proszę pana. – Dziewczyna pociągnęła nosem i poprawiła opadający na oczy kosmyk. Wyprostowała się jak struna.

– Zatem pani Justyno… – Brudny westchnął. – Pomijając kwestię tego, że wchodząc tu bez zaproszenia i niejako zmuszając mnie do wysłuchania tego wszystkiego, postawiła mnie pani w wyjątkowo niezręcznej sytuacji… – Zrobił pauzę. Cmoknął. Pomyślał, że plecie wyjątkowe głupoty. – Dobra, nieważne. Wysłucham pani, okej?

Na twarzy dziewczyny pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Dziękuję panu – odparła.

– Tylko proszę nie robić sobie wielkich nadziei. Jak sama pani widzi, nie mogę nawet zmusić młodej kobiety, aby opuściła mój dom.

– Przepraszam raz jeszcze. Naprawdę, proszę mi wybaczyć i…

Ucięła w pół zdania, gdy tylko Brudny uniósł dłoń w wymownym geście. Wytarła zasmarkany nos, a gdy podniosła wzrok, dostrzegł w jej oczach promyk nadziei. Skarcił się w myślach. To chyba jednak nie było zbyt rozsądne. Po raz ostatni przeanalizował swoją decyzję. Zacisnął zęby. Zrozumiał, że nie może jej wyrzucić na bruk. Potrafił być najbardziej wrednym skurwysynem na tej planecie, ale wywalanie młodej, zdesperowanej kobiety, która przyszła u niego szukać pomocy, nie było w jego stylu.

– W lodówce ma pani zimne napoje – oznajmił, wskazując na aneks kuchenny. – W młynku powinna być świeżo zmielona kawa. Proszę się obsłużyć. Później pani wysłucham.

ROZDZIAŁ 7

Zawadzka zaparkowała patrola pod murem otaczającym teren przycmentarnego prosektorium. Zamknęła szybę i zgasiła silnik. Do środka zdążył wślizgnąć się zapach pobliskiego lasu.

Nie lubiła tego miejsca. I to nie dlatego, że kojarzyła je ze śmiercią. Inne trupiarnie nie robiły na niej żadnego wrażenia, ale ta już zawsze miała jej się kojarzyć z czymś, co wydarzyło się tu ubiegłego lata. Westchnęła na wspomnienie nieodżałowanego doktora Roberta Krzywickiego. Współpracownicy mieli o nim różne zdanie, wypominali mu jego ekstrawagancki, żeby nie powiedzieć błazeński humor, czasem grubiaństwo i skłonność do sypania nieprzyzwoitymi żartami bez względu na okazję i towarzystwo, w jakim przebywał, ale ona bardzo go lubiła. Robert Krzywicki po prostu zawsze był sobą, szczerym i poczciwym facetem, który nigdy nie przywdziewał masek jak większość ludzi. I nawet ci, którzy nie do końca byli mu przychylni, nie mogli odmówić mu profesjonalizmu, bo ekspertem w swoim fachu był wybitnym. Często nawet w beznadziejnych przypadkach potrafił wskazać przyczynę śmierci ofiary, a jeśli nie był w stanie potwierdzić tego na sto procent, to prawie zawsze trafiał tę najbardziej prawdopodobną.

Spojrzała na niski szary budynek prosektorium, który kiedyś był jego królestwem. Ale dziś Roberta już z nimi nie było, a jego miejsce zajęli inni, w tym doktor Magdalena Obojko, która przejęła większość jego dotychczasowych obowiązków. Pomyślała, że zdąży jeszcze zapalić, ale gdy dostrzegła zaparkowane w pobliżu auta należące do komisarza Kłosa i prokuratora Magiery, zrezygnowała z tego pomysłu i odruchowo zerknęła na zegarek. Zjawiła się punktualnie, nie miała sobie nic do zarzucenia, mimo to pospiesznie wysiadła z samochodu i od razu ruszyła do niepozornego budynku. Drzwi były uchylone.

Gdy przekroczyła próg, poczuła na skórze znajomy chłód. Zdawał się bardziej intensywny niż zazwyczaj w podobnych do tego przybytkach. Wie-

działa dlaczego i w myślach po raz ostatni oddała hołd staremu przyjacielowi. Zajrzała do jego gabinetu, na którego drzwiach widniała teraz tabliczka z napisem „lek. med. sądowej Magdalena Obojko”. Pomieszczenie było puste i dużo bardziej schludne, niż je zapamiętała. Na lśniącym czystością stoliku efekt zaburzały jedynie dwa kubki z niedopitą kawą. Raz jeszcze zerknęła na zegarek i czym prędzej skierowała się do sali sekcyjnej. Otworzyła ciężkie stalowe drzwi i weszła do korytarza, od którego odchodziło kilka pomieszczeń. Za drzwiami jednego z nich usłyszała głosy, a chwilę później charakterystyczny dźwięk piły chirurgicznej rżnącej kość. Z przykrością pomyślała, że po tym, co wydarzyło się w tej sali w czerwcu ubiegłego roku, oszczędności zapewne nie pozwoliły pozostawić jej nieużywaną, nawet jeśli w jej oczach – i zapewne nie tylko jej, ale wielu innych współpracowników i przyjaciół doktora – krojenie i wybebeszanie w niej zwłok zakrawało na świętokradztwo. Odczekała, aż dźwięk ucichnie, zapukała i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę.

Poczuła uderzenie odrażającej trupiej woni, ale nie przytknęła chusteczki do nosa. Po tym, co przeżyła w lesie, smród oczyszczonych już zwłok specjalnie jej nie ruszył. W oczy rzuciło się leżące na stole sekcyjnym blade ciało młodej kobiety. Niebieskawy odcień skóry przywodził na myśl kolor pleśni, a znajdujące się na kończynach sine obrażenia – poszarpany materiał jasnoniebieskich dżinsów. Wszystkie cztery osoby znajdujące się w sali sekcyjnej zwróciły spojrzenia w jej stronę. Poczuła się, jakby weszła na jakąś zamkniętą imprezę, do tego jeszcze bez zaproszenia. Rzuciła krótkie „dzień dobry” i puściła oko do Izy Nowakowskiej, która kiedyś była prawą ręką Krzywickiego. Niewysoka blondynka miała na sobie biały kitel, w jednej dłoni dzierżyła małą piłę sekcyjną, a w drugiej górną część czaszki ofiary. Skinęła jej dyskretnie i wróciła do pracy, powoli usuwając mózg denatki. Zawadzka stanęła obok wkładającej rękawiczki patomorfolog Obojko i opartych o ścianę komisarza Kłosa i prokuratora Magiery. Ten ostatni wymownie spojrzał na zegarek.

– Przegapiłam coś? – rzuciła zaczepnie.

– Nie, pani Julio. Jest pani o czasie – odburknął z nutą wyczuwalnej pretensji. – Proszę kontynuować, pani Izo – dodał, skupiając wzrok na laborantce.

Nowakowska wróciła do pracy, a chwilę później dołączyła do niej Obojko. Obejrzała szarą masę, która kiedyś była centrum dowodzenia leżącej na stole młodej dziewczyny. W przeciwieństwie do Krzywickiego nie

komentowała każdego swojego ruchu, tym bardziej nie rzucała niewybrednych żartów, ale nie trzeba było oceny eksperta jej pokroju, aby wysunąć wniosek, że to właśnie uraz mózgu mógł być ostateczną przyczyną śmierci ofiary. Górna część czaszki miała wyraźny wyłom, a szara, przypominająca nadgniły orzech włoski masa mózgowa widoczne rozerwanie tkanki.

– Moim zdaniem sprawca użył młotka – oznajmiła ponurym głosem Obojko. – Otwór w czaszce odpowiada właśnie temu typowi narzędzia, prawdopodobnie klasycznemu młotkowi stolarskiemu o wadze około sześciuset gramów. Sprawca uderzył dwukrotnie, za drugim razem przebijając czaszkę i penetrując tkankę mózgową.

– Czy możemy oficjalnie uznać to za przyczynę śmierci? – zapytał Magiera.

– Niekoniecznie.

Patomorfolog uniosła wzrok. Wydał się Zawadzkiej zimny i wyniosły. Z jednej strony miała częściowo wygoloną głowę, z drugiej blond włosy opadały za ucho, po szyi piął się czarny tatuaż. Skóra na twarzy była napięta, w ciemno obstawiłaby, że Obojko zaliczyła już przynajmniej jedną wizytę u chirurga plastycznego. Mocno zarysowane, wręcz odstające kości policzkowe, płytko osadzone jasnoniebieskie oczy i wąskie usta podkreślały surowość charakteru idealnie wpisującego się w profesję, którą sobie wybrała. Obojko zdawała się całkowitym przeciwieństwem Krzywickiego.

– A konkretniej? – dopytał Magiera.

– Nie widzę krwawych podbiegnięć. Tak naprawdę nie widzę ich prawie nigdzie, bo tak jak napisałam we wstępnym raporcie z czynności wykonanych na miejscu zbrodni, ta kobieta została niemal całkowicie pozbawiona krwi.

– Jeszcze jej nie otworzyliśmy, mam rację? – wtrącił się Kłos.

– Nie – odpowiedziała oschle. – Ale nie muszę jej otwierać, aby stwierdzić to już teraz. Wątpi pan w moje kwalifikacje, komisarzu?

Bezpośrednia, pomyślała Zawadzka i w swoim rankingu dopisała jej dwa punkty. Kłos najwyraźniej nie był jednak zbyt bystry. A może w jakiś nieprzemyślany sposób chciał zaznaczyć swoją obecność? Jeśli tak, to ewidentnie się nie popisał. Przecież oczywiste było, że jeśli ofiara przez większość czasu przeleżała zakopana twarzą do góry i ani na plecach, ani na żadnej innej części ciała nie było widać wyraźnych plam opadowych, to wcześniej musiała zostać w jakiś sposób pozbawiona krwi. Natomiast brak krwawych podbiegnięć, które zawsze pojawiały się na obrzeżach penetro-

wanych tkanek żyjącej osoby, w tym wypadku mógł sugerować, że cios został zadany dopiero po śmierci. Czyżby morderca chciał coś przed nimi ukryć? Zmylić trop?

Nie czekając na odpowiedź komisarza, Obojko poleciła laborantce otworzyć klatkę piersiową ofiary. Nowakowska chwyciła skalpel i przeciągnęła nim od szyi po krocze, po czym, dodatkowo nacinając mięśnie, jakby filetowała rybę, odciągnęła skórę na boki. Następnie wzięła w rękę sekator podobny do tych, którymi przycina się gałązki lub pędy winorośli w przydomowych ogródkach i zgruchotała mostek, a następnie wycięła żebra, aby dobrać się do narządów wewnętrznych, w tym serca. Powoli wyciągała kolejne organy i wsadzała je do wcześniej przygotowanych wanienek ze stali nierdzewnej. Obojko w milczeniu oglądała je, delikatnie nacinała i ugniatała.

Zawadzka podeszła bliżej.

– Są bardzo blade – rzekła komisarz, zerkając na zawartość wanienek.

– I niewiarygodnie suche. Proszę spojrzeć. – Obojko ścisnęła w dłoni nacięte wcześniej skalpelem serce, z którego wysączyło się zaledwie kilka kropel kleistej mazi. – Przeprowadziłam w życiu wiele sekcji, ale z czymś takim jeszcze się nie spotkałam.

– Chce pani powiedzieć, że sprawca wyssał z ofiary krew? Jak jakiś wampir? – zapytał Kłos, który zrobił dwa kroki w kierunku zwłok.

– Nie wiem, czy wyssał – odparła, zerkając na niego z ukosa. – Tak bym tego nie ujęła. Wampir to też mało profesjonalne określenie.

– Medialnie trafione – burknął Magiera i podrapał się po zacienionym zarostem policzku. – Już widzę te tłumy dziennikarskich hien tłoczących się przed komendą. Wampir to, wampir tamto. Wampir porywa młode kobiety i wysysa z nich krew. Ja pierdolę…

Obojko rzuciła mu obojętne spojrzenie, a potem dyskretnie puściła oko do Zawadzkiej. Julka odpowiedziała równie dyskretnym uśmiechem. Pomyślała, że w tej ekipie patomorfolog będzie miała po swojej stronie. A może kryło się za tym coś więcej?

– Wracając do tematu… – Obojko obeszła zwłoki z drugiej strony, aby nie zasłaniać ofiary swoim ciałem, a następnie wskazała skalpelem wąskie, mniej więcej pięciocentymetrowe nacięcia na wewnętrznej stronie ud. – Sprawca posłużył się bardzo ostrym narzędziem, być może nawet podobnym do tego skalpelem. Te dwa nacięcia oraz kolejne na wewnętrznej stronie nadgarstków, zwłaszcza zaś te długie na szyi ofiary są jedynymi, które

zostały zadane za życia ofiary. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, bo na tkankach wyraźnie widać krwawe podbiegnięcia. Pozostałe obrażenia powstały już po śmierci i według mnie nie są robotą mordercy. Zwłaszcza te na twarzy, stopach, przedramionach i częściowo na brzuchu. Na większości z nich widać ślady po ugryzieniach i resztki sierści. Do dzików dorzuciłabym lisy, być może psy, ale upewnimy się w momencie, gdy próbki wrócą z laboratorium. Sam morderca nie pastwił się nad zwłokami. Raczej wykorzystał je, aby wypompować z nich krew, o czym świadczyć mogą głębokie otarcia na przegubach i kostkach. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że sprawca wieszał ofiarę, tak jak się to robi z wykrwawianymi zwierzętami.

– Ma pani na myśli, że… jak tuszę? – upewnił się Magiera.

– To pewna nadinterpretacja, ale głębokie cięcie na gardle świadczy, że właśnie tak mogło to wyglądać. Na koniec zadał dwa ciosy tępym narzędziem w górną część czaszki rozłupując kość i miażdżąc tkankę mózgową. Nie miało to już jednak dla ofiary większego znaczenia, bo musiał zdawać sobie sprawę, że po tym, co zrobił wcześniej, kobieta z pewnością już nie żyła. Ostateczny wniosek – ofiara zmarła z powodu przecięcia tętnic udowych oraz szyjnej, co doprowadziło do znacznej utraty krwi, wskutek czego nastąpił spadek ciśnienia, doszło do tachykardii, w końcu niewydolności krążeniowo-oddechowej i śmierci.

– A bardziej po ludzku? – zagadnął Kłos.

– Kobieta zmarła, bo się wykrwawiła. Mogę to panu napisać na karteczce, jeśli pan potrzebuje.

Zawadzka zacisnęła usta. Ledwo się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć śmiechem, co nie umknęło uwadze obu mężczyzn. Kłos poczerwieniał na twarzy, ale nie skomentował słów patomorfolog.

– Kiedy nastąpił zgon? – uciął Magiera.

– Pięć do sześciu dni temu.

– Czyli zabił ją w weekend… – Prokurator nieco się zasępił. – Jakieś ślady walki? Materiał biologiczny pod paznokciami? Perforacja narządów rodnych?

Obojko pokręciła głową.

– Nie została zgwałcona i nie walczyła. Dokładnie przeszukałam też każdy centymetr ciała pod kątem znalezienia jakichś śladów szczególnych, na przykład wyrytych bądź wypalonych symboli religijnych, ale niczego takiego nie odkryłam.

– Sprawca nie zakopywałby ciała w lesie, gdyby chciał nam coś przekazać – mruknął Magiera. Tym razem podrapał się po brodzie. – Jakieś sensowne pomysły co do fascynacji krwią?

– Wampir? Zbyt banalne – rzekł Kłos.

– Banalne, owszem, ale nie mniej niż to, że kilka lat temu we Wrocławiu facet spuszczał ofiarom krew, bo potrzebował jej do malowania obrazów…

Przez chwilę wszyscy się zamyślili. Zawadzka sama nie wiedziała, co zabrzmiało bardziej absurdalnie, ale Magiera miał rację. Jakiś czas temu głośno było o „Malarzu z Wrocławia". Sprawa stała się głośna, bo podczas próby jego pochwycenia zginęło kilku policjantów. Cokolwiek by mówić, to ostatnio zawód gliniarza w Polsce stał się naprawdę niebezpieczny, ale czy kiedykolwiek było inaczej? Odrzuciła tę myśl. Po głowie chodził jej inny pomysł, który wykiełkował jeszcze na kolacji u Czarneckiego. W taksówce przegadali to z Igorem, ale później wrócili do domu, a ona mu coś obiecała i skupili się na igraszkach. Rano do tematu nie wrócili, bo nie było czasu.

– Te wspomniane symbole religijne… – Zawadzka zrobiła pauzę, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiała. – To, że nie ma ich na ciele, to jeszcze nie znaczy, że nie ma ich w ogóle. Po pierwsze część tkanki, choć niewielka, została jednak pożarta przez zwierzynę, więc nie mamy pewności, czy takowych na pewno nie było, ale…

– Ustaliliśmy, że morderca nie zakopywałby ciała…

– Pan pozwoli mi dokończyć, prokuratorze.

Magiera skinął głową, co odebrała jako swoiste przeprosiny.

– Czy samo upuszczenie krwi nie jest w pewnym sensie symbolem ściśle związanym z religią? – zapytała.

– No…

– Posty, koszerne jedzenie, kto spożywa ciało moje i pije krew moją czy… jakoś tak…

– …ten ma żywot wieczny, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Albowiem ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a krew moja jest prawdziwym napojem – dokończył za nią Kłos. – Ewangelia Świętego Jana, ale który werset, to nie pamiętam – dodał pospiesznie.

Wszyscy zebrani spojrzeli na komisarza, jakby właśnie dokonał coming outu i oznajmił, że jest gejem. Zawadzka też uniosła brwi. Kłos zdecydowanie nie wyglądał na gościa, który byłby w stanie z rękawa recytować kolejne biblijne wersety. Zerknęła na prokuratora, który z szeroko otwar-

tymi oczami i lekko uchylonymi ustami gapił się na Kłosa, jakby właśnie przyłapał go na masturbacji w miejscu pracy.

– No co? – burknął z wyrzutem Kłos. – Wychowałem się na wsi. Kiedyś byłem też ministrantem. Nie patrzcie na mnie, jakbym nagle stał się głównym podejrzanym.

– No… – Prokurator szukał odpowiednich słów. – Z tej strony cię nie znałem, Artur.

– Dawno i nieprawda, ale… to może być jakiś trop. Krew, Chrystus na krzyżu, odkupienie. Przydałby się konkretny znawca tematu. Ewentualnie profiler.

Zawadzka od razu przypomniała sobie o Elżbiecie Pałce. W głównej mierze to dzięki niej udało się stworzyć profil psychologiczny „Rzeźnika z Nietkowa", namierzyć miejsce ukrywania się „Kanibala", a nawet – dzięki jej odważnej decyzji na hotelowym korytarzu – zmusić mordercę do błędu, który w końcowym rozrachunku pozwolił odkryć tożsamość „Zabójcy Policjantów". Ten ostatni, dosłownie i w przenośni, wypalił piętno, które miała nosić na twarzy już do końca życia. Instynktownie przesunęła palcami po bliźnie na policzku. Czy teraz przyjdzie jej stoczyć pojedynek z jakimś religijnym fanatykiem? Pijącym do tego krew swoich ofiar? Odrzuciła tę myśl, gdy zdała sobie sprawę, że w swoich przypuszczeniach posunęła się za daleko.

– Znam świetną profilerkę – oznajmiła, przerywając wymianę zdań Magiery z Kłosem. Obojko posłała jej zaciekawione spojrzenie. – Mogłabym się z nią skontaktować i zapytać, czy nie zechciałaby przyjrzeć się raportowi z sekcji.

– Na razie wolałbym nie mieszać w śledztwo ludzi z zewnątrz – odparł Magiera. – Im więcej wie o okolicznościach tej zbrodni, tym większa szansa, że nastąpi przeciek do mediów. To jest ostatnia rzecz, której byśmy chcieli.

– Ręczę za Elkę.

– Nie wątpię, pani komisarz. Proszę nie myśleć, że nie śledziłem tego, co ostatnio działo się w tym mieście.

– Mogłaby przynajmniej rzucić okiem na zdjęcia…

– Wypowiedziałem swoje zdanie na ten temat.

Chwilowo w sali sekcyjnej zapanowała cisza. Obojko skinęła laborantce, że czas na przerwę. Sama ściągnęła z dłoni lateksowe rękawiczki i usiadła do biurka.

– Wstępny raport z sekcji wyślę jeszcze dziś – rzekła, przekładając przygotowane na blacie papiery. – Ten wzbogacony o wyniki toksykologiczne najpóźniej pojutrze – dodała i skupiła się na wypełnianiu dokumentów.

Prokurator mruknął coś pod nosem, odchrząknął i rzuciwszy swoim ludziom wymowne spojrzenie, skierował się do wyjścia. *Ani do widzenia, ani pocałuj mnie w dupę.* Zawadzka, wychodząc, złowiła przelotne spojrzenie patomorfolog i nagle bardzo zatęskniła za starą ekipą. Pomyślała, że to będzie cholernie trudne i wyczerpujące śledztwo.

ROZDZIAŁ 8

Brudny skończył brać prysznic i z trudem zaczepił końcówkę węża w uchwycie. Przez chwilę siedział na specjalnie dla niego wykonanej ławeczce, po czym sięgnął po ręcznik i dokładnie się wytarł. Zastanawiał się, co z tym fantem zrobić, ale z każdą kolejną minutą pojawiało się więcej pytań niż odpowiedzi. Nie miał zielonego pojęcia, jak z tego wybrnąć. Tak naprawdę ta młoda dziewczyna przyszła do niego z niczym. No prawie z niczym, w każdym razie mocno zastanawiałby się nad wzięciem tej sprawy, nawet gdyby był zdrowy, a teraz? To zakrawało na szaleństwo. Nie chciał jej robić złudnych nadziei, mimo to wysłuchał jej opowieści i nie odmówił. Ta cała Justyna miała w sobie coś, co sprawiało, że nie potrafił. Co prawda nie powiedział też „tak", ale…

Usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Godzinę wcześniej rozmawiał z Julką, która powiedziała, że wróci do domu właśnie o tej porze. Podparł się dłonią o śliską szybę. Wtedy drzwi do łazienki się otworzyły.

– Poczekaj, Igor. – Julka odsunęła drzwiczki i dała mu podparcie. Pomogła mu usiąść na stojącym obok wózku. – Dlaczego nie korzystasz z wanny? – zapytała. – Wiesz, że…

– Daj spokój – mruknął. – Lubię prysznic i będę się kąpał pod prysznicem.

– Uparty jak osioł.

Podała mu świeże bokserki. Wiedziała, że na więcej sobie nie pozwoli. „Nikt mi na dupę gaci wkładać nie będzie" – powtarzał to od samego początku, a w zasadzie od momentu, gdy sam mógł to zrobić. Dziś zajmowało mu to kilkadziesiąt sekund, jeszcze kilka tygodni temu potrzebował na tę czynność przynajmniej kwadransa.

Zostawiła go samego i poszła do salonu, który łączył się z aneksem kuchennym. Wyjęła z lodówki piwo i od razu upiła kilka łyków, po czym podeszła do stołu, na którym leżało otwarte opakowanie z połową pizzy. Zdążyła wystygnąć, ale po takim dniu i tak smakowała wyśmienicie. Polała

sosem pomidorowym i pospiesznie zjadła jeden kawałek. Przy drugim dokończyła piwo.

– Jak ci minął dzień? – rzuciła w stronę korytarza.

– Inaczej – dobiegło z łazienki.

– Ooo… – Ugryzła kolejny kawałek i kilka kropel sosu spadło jej na dekolt. Zaklęła pod nosem i wytarła plamę chusteczką. – A może zdradzisz swojej ukochanej coś więcej?

– Poczekaj.

Brudny jeszcze chwilę krzątał się w łazience, w końcu ją opuścił i z kwaśną miną podjechał do fotela. Przesiadł się, a Zawadzka rzuciła mu paczkę papierosów. Zapalił.

– No… – nie odpuszczała, jedząc kolejny kawałek pizzy.

– A może zaczniemy od ciebie?

– Sekcja, historie z wampirem w tle, papierkowa robota. Jutro Magiera tworzy grupę, żeby złapać tego świra.

– Będziesz pracować z tym Kłosem?

– Raczej na pewno. To pupilek Magiery. – Zawadzka wepchnęła kolejny kawałek pizzy do ust i wytarła palce w chusteczkę. – Nie do końca wyobrażam sobie tę współpracę, ale cóż… Taki mamy klimat.

– A ta nowa patomorfolog? Dobra jest?

– Dobra. I ma jaja. Kilka razy zgasiła Kłosa jak świeczkę. Ogólnie wydaje się w porządku i myślę, że złapiemy kontakt, ale to jednak nie Robert… – W końcu odstawiła pudełko i wytarła usta. – Opowiedz lepiej o tym „inaczej”. W ustach Igora Brudnego brzmi to co najmniej intrygująco…

– No… – Komisarz zaciągnął się i dmuchnął w stronę otwartego balkonu, jakby to miało sprawić, że w salonie szybciej się wywietrzy. – Powiedzmy, że miałem dziś niespodziewanego gościa.

– Niespodziewanego gościa, powiadasz? – Julka uniosła brwi. – Teraz brzmi to nie tylko intrygująco, ale wręcz ekscytująco.

– Nie nabijaj się, okej?

– Już nie bądź taki delikates. Ale dobra, mów. Zamieniam się w słuch.

Komisarz pokrótce opowiedział historię wizyty Justyny Klepackiej. Julka słuchała go, pałaszując pizzę i pijąc piwo. Nie zadawała zbyt wielu pytań, zwłaszcza że większość tych, które jej się nasuwały, mógłby źle odebrać. Rozumiała, że wciąż trudno mu przetrawić fakt, że musi poruszać się na wózku i wiele rzeczy jest dla niego nieosiągalnych. Sprawa wyglądała

na dość prostą i polegała na odnalezieniu zaginionej siostry Klepackiej, która dwa lata temu uciekła do nadzianego, choć podstarzałego już prezesa „jakiejś dużej firmy”. Facet, choć nie ukrywał, że jest żonaty, miał ją uwieść i obiecać, że rozwiedzie się z żoną, zapewni jej cudowne życie i tego typu banialuki. Po jakimś czasie słuch o dziewczynie zaginął i Klepacka z ciotką zgłosiła zaginięcie, ale oczywiście nikt w tej sprawie nie kiwnął palcem. Najbardziej pasujący w tym wypadku handel ludźmi był wbrew pozorom najrzadziej ściganym przestępstwem, choćby z racji tego, że często poszkodowane bały się donosić na sutenerów, a w środowisku prostytutek panowała zmowa milczenia. Gdyby dodać do tego fakt, że z ich usług korzystało wielu prominentnych ludzi, począwszy od celebrytów, skończywszy na politykach, a czasem nawet policjantach, prawie każda sprawa była zamiatana pod dywan, bo nikt nie chciał się wychylać. A gdy ostatecznie kobieta trafiała za zachodnią granicę, jej los można było uznać za przypieczętowany.

Sprawa zaginionej Malwiny Klepackiej była ciekawa o tyle, że po prawie dwóch latach od zaginięcia zatelefonowała do siostry. Podobno mówiła bardzo nieskładnie i trudno było ją zrozumieć, ale według Justyny nie ulegało wątpliwości, że była przerażona i błagała o pomoc. W tle pojawił się jeszcze jakiś męski głos, a potem sygnał się urwał, rozmowa została przerwana. Według ustaleń, jakie Klepacka zdołała wymusić na śledczych zajmujących się sprawą, triangulacja wykazała, że sygnał pochodził z okolic Zielonej Góry. To jednak było za mało, aby oddelegować ludzi, którzy poważnie zajęliby się sprawą. Oszczędności – to był powód traktowania podobnych spraw po macoszemu i udawania, że coś się robi. Składającego zgłoszenie zbywało się słowami w stylu „robimy, co w naszej mocy, ale musi pan/pani uzbroić się w cierpliwość”. W każdym razie od tamtego momentu Malwina już się nie kontaktowała.

– I co dalej? – zapytała Zawadzka, gdy Brudny przez dłuższy czas milczał.

– Powiedziałem jej, żeby wróciła jutro – odparł i nerwowo podrapał się po głowie.

– Chcesz jej pomóc?

– Chcę, nie chcę. Nie wiem, Julka. Z początku myślałem, żeby ją wygonić, ale… – spojrzał na nią zrezygnowanym wzrokiem – …ale ona… ona też jest sierotą i… no… to czasem wraca, Julka. Ja jestem facetem i jakoś sobie z tym radziłem. Chyba było mi łatwiej, choć do niedawna przecież

nie wiedziałem, że jednak kogoś mam. Ona siostrę miała od początku, to znaczy ma siostrę, chyba… – Sięgnął po kolejnego papierosa. Zapalił i wypuścił dym ku górze. – Ona ma tylko ją, Julka.

Brudny zastygł w bezruchu. Tępo patrzył się w sufit, obserwując kłęby dymu, które unosiły się pod stropem i niknęły w półmroku. Zawadzka zbliżyła się do niego.

– Gdy teraz pomyślę o Filipie albo o Lence i…

– Wiem, Igor. Wiem – przerwała mu półgłosem. Znała go zbyt dobrze, żeby rozumieć, że nie lubi, a może po prostu nie potrafi rozmawiać o uczuciach. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy w jego życiu wydarzyło się zbyt wiele i chyba do tej pory nie zdołał się z tym uporać, przywyknąć, że ma się o kogo troszczyć, o kogo dbać. Ich związek też nie należał do tych, które wykuwały się w normalnych warunkach, ale pojawienie się brata i bratanicy, dla której – widziała to na każdym kroku – stracił głowę, sprawiło, że musiał budować swój świat na nowo.

– Nie potrafiłem jej odmówić, ale… – Zgasił peta w popielniczce, spuścił wzrok. – Chyba się starzeję, Julka – dodał mrukliwie.

– Może i tak, ale właśnie dlatego się w tobie zakochałam, Igor. Dlatego że jesteś dobrym człowiekiem.

– Ech…

Brudny odwrócił głowę w drugą stronę, jakby zawstydzony zaistniałą sytuacją. Chwilę później poczuł na policzku ciepłe palce partnerki. Musiała użyć siły, aby zmusić go do przekręcenia głowy.

– Chcesz pomóc tej dziewczynie? – zapytała.

– Tylko jak, Julka? Powiedz mi jak, skoro… – Zacisnął pięść i grzmotnął nią w podłokietnik fotela. – Popatrz na mnie i powiedz, jak mam jej pomóc? Jak, do jasnej cholery, mam jej pomóc? – powtórzył, rozkładając bezradnie ręce.

Zawadzka nakryła jego dłoń. Dała mu chwilę, aby opanował narastającą frustrację.

– Po prostu to zrób – powiedziała, gdy w końcu zmusiła go, aby spojrzał jej w oczy. – Z każdym dniem radzisz sobie coraz lepiej. Lekarze i rehabilitanci są dobrej myśli, twierdzą, że staniesz na nogi w ciągu kilku tygodni. Sam najlepiej wiesz, na ile cię stać, ale przecież nie musisz od początku biegać po mieście. Sprawdzę tę dziewczynę, ty możesz zadzwonić do Mariolki z zaginionych. Na pewno ma akta sprawy, więc na start coś ci podeśle. I żeby nie było, Igor. Nic na siłę. Niczego tej dziewczynie nie obie-

cywałeś. Możesz za to spróbować jej pomóc. Oczywiście… – zrobiła krótką pauzę – …jeśli tego naprawdę chcesz.

Brudny jeszcze przez chwilę patrzył jej w oczy, w końcu uciekł wzrokiem i przytaknął ze zrozumieniem. Milczeli przez jakiś czas, w końcu z powrotem uniósł głowę i ich spojrzenia znów się spotkały.

– Nie lubię przegrywać, Julka – oznajmił nieco przygaszonym tonem.

– Więc znajdź tę dziewczynę – odparła prowokacyjnie. – Uważam, że nic lepszego nie mogło ci się teraz przytrafić. Wiesz, o co mi chodzi…

Brudny zamknął oczy. Doskonale rozumiał, co miała na myśli. Już kilka razy dochodziło między nimi do spięć. Julka jakiś czas temu sugerowała, że musi sobie znaleźć nowy cel, a nie tylko przesiadywać wieczorami ze szklanką jamesona w dłoni. I nie chodziło o to, że wypominała mu picie jako takie, bo akurat nigdy nie miał problemów z nadużywaniem alkoholu, a przynajmniej potrafił się kontrolować. Bardziej chodziło o ten marazm, który wkradł się do jego życia, a którego nie można było wiecznie tłumaczyć niepełnosprawnością. Wtedy zwykle uciekał od tematu, ale sam siebie nie mógł dłużej oszukiwać. Rozumiał, że miała rację. Wiedział, że robi źle, ale jakoś nie potrafił wydostać się z tego przeklętego kręgu takich samych, jałowych, obrzydliwie nudnych dni, które tylko potęgowały frustrację. Od zawsze nakręcała go adrenalina związana z łapaniem bandytów, a teraz co najwyżej mógł sobie pooglądać, jak są łapani przez Clinta Eastwooda w jego ulubionej serii o Brudnym Harrym, którą tak jak kiedyś katował w samotności długimi godzinami.

Westchnął i otworzył oczy. Nic nie ryzykował, a przyjęcie tego zlecenia jawiło się jak coś, co mogłoby dać mu nowy impuls. Co sprawiłoby, że znów poczułby ten zastrzyk adrenaliny. Co pozwoliłoby uwierzyć, że za jakiś czas wróci do zdrowia i będzie mógł stać się pełnowartościowym gliną.

– Jest jeszcze jeden problem – bąknął.

– Jaki?

– Ta cała Justyna twierdzi, że nie ma kasy.

– Jakbym cię nie znała, Igor… – Na jej twarzy pojawił się znajomy, szelmowski uśmiech. – Powiedz mi tylko, czy…

– Co? – Komisarz zmarszczył brwi.

– Ładna jest?

– Kto? Ona? – zapytał zaskoczony.

– No ona, ona.

– Yyy…

– Dobra, żartuję. – Klepnęła go w ramię. – Tak tylko się drażnię.

– O co ci chodzi, Julka?

– O nic. I wiesz co? Jak chcesz pomóc tej dziewczynie, to może zacznij od tego, aby nie zmuszać jej do spania w namiocie, który rozbiła pięćdziesiąt metrów od domu.

– Że co zrobiła?

– Też się zastanawiałam, co to za laska, która biwakuje w krzakach przy przystanku autobusowym. Teraz już chyba wiem…

– Naprawdę rozbiła namiot w krzakach pod domem?

– No… – Uniosła brwi i pokiwała głową. – Jedź do niej, a ja tymczasem upewnię się, że na pewno jest tym, za kogo się podaje.

– Ale…

– No jedź już, jedź. Co pomyślą sobie następni potencjalni klienci detektywa Igora Brudnego, gdy dowiedzą się, że tenże detektyw kazał swojej pierwszej klientce spać w namiocie pod domem?

– Ty naprawdę jesteś…

Nie dokończył. Zatkało go i nawet przez myśl mu nie przeszło, że tak to się może zakończyć. Przyjęcie zlecenia, nawet za darmo i pod wpływem bliżej nieokreślonego porywu empatii to jedno, ale przenocowanie obcej dziewczyny w momencie, gdy problem sprawiało mu dotarcie do kibla, to już zupełnie inna para kaloszy. Tylko co miał teraz zrobić? Nie mógł się wycofać. To znaczy mógł, ale czy tak działał Igor Brudny?

Zamknął oczy i głęboko odetchnął. Pomyślał, że na własne życzenie bardzo utrudnił sobie życie.

ROZDZIAŁ 9

Justyna Klepacka była dziewczyną zakompleksioną i nad wyraz skromną. Pochodziła z Teleśnicy Oszwarowej, małej wsi na Podkarpaciu, gdzie ojciec, drwal o obliczu równie surowym jak kawałek ociosanego drzewa, wpoił jej głęboką wiarę w Boga i świadomość nieuchronności śmierci. W oczekiwaniu na nią miała żyć, unikając grzechu, który w jego mniemaniu krył się wszędzie, zwłaszcza zaś między jej nogami. Już w wieku sześciu lat poczuła na własnej skórze, a dokładnie skórze jej drobnych pośladków, ud i pleców, że ojciec nie rzuca słów na wiatr i przykładne wychowanie córki traktuje śmiertelnie poważnie. Tego lipcowego dnia przyłapał ją, jak obnażyła się przed rok starszym kolegą ze wsi, podwijając sukienkę i pokazując mu pipkę. On w rewanżu pokazał jej swojego siusiaka. Pech chciał, że Wacław akurat wracał z pracy podpity, wtedy zaś bywał nieobliczalny. Kara była więc surowa i nieadekwatna do popełnionego czynu, przez co mała Justynka przez tydzień nie mogła siadać na pupie, która była czerwona od pasa jak tulipany na nieodległej polanie albo muchomory w lesie. Zapamiętała tę lekcję bardzo dobrze i przez kolejne dwanaście lat nikomu już pipki nie pokazywała, gdyż stała się ona dla niej synonimem zła, które w sobie nosi.

Od najmłodszych lat wsparciem była dla niej jedynie starsza o dwa lata siostra Malwina. To właśnie ona z całych sił broniła Justynki, także przed ojcem, który za kołnierz nie wylewał. Wacław był prostym człowiekiem, który wiedział, jak rżnąć drzewa, pić wódkę i bić po mordach tych, którzy weszli mu w drogę. Niestety nie należał do zbyt lotnych, nie grzeszył też przesadną empatią, w związku z czym obwiniał małą Justynkę o śmierć żony Heleny, podobno najpiękniejszej kobiety we wsi, którą zdobył w niewiadomy sposób wbrew jej ojcu i wszystkim innym smolącym do niej cholewki absztyfikantom. Miała jej jedno zdjęcie, z ich ślubu, i oglądała je tak często, że wyryło się w jej pamięci niczym fotografia wgrana na dysk twardy komputera. Kobieta w białej sukni, z welonem do ziemi, spod któ-

rego wyłaniały się dwa złociste warkocze, piękna niczym wiosna w rozkwicie, uśmiechnięta, trzymająca za rękę wysokiego i postawnego męża w czarnym garniturze i granatowym krawacie, z białą chusteczką w kieszeni marynarki.

Nigdy nie widziała na żywo ojca w garniturze ślubnym. Od kiedy pamiętała, nosił stare dżinsy i flanelowe koszule albo podkoszulki bez rękawków, odsłaniające jego umięśnione i żylaste ramiona. Lubiła patrzeć, jak rąbie drwa albo naprawia dach z kilkoma gwoździami w zębach, które wyciągał jeden po drugim i wbijał w krokwie tymi silnymi rękami. Zawsze się zastanawiała, jakim cudem papieros, który zwykle wisiał mu w kąciku ust, nie spadał na ziemię.

– Tatusiu, obiad już na stole – mówiła, a on dalej rąbał drwa albo wbijał gwoździe. – Tatusiu, no chodź, bo wystygnie – powtarzała, bo wiecznie jej się wydawało, że nie słyszy.

– Zaraz – odpowiadał swoim zachrypniętym głosem, który kojarzył jej się z trzaskiem upadającego drzewa. W końcu odkładał siekierę albo schodził z drabiny i kładł jej rękę na ramieniu. – Na jedzenie trzeba zasłużyć. Gdy dorośniesz, to zrozumiesz. A teraz chodź, bo zjadłbym konia z kopytami, a najchętniej taką małą dziewczynkę jak ty.

Wtedy ona piszczała i uciekała przed ojcem, który czasem ją gonił, a czasem nie, gdy był bardzo zmęczony. Potem siadali do drewnianej ławy i zmawiali modlitwę, a po modlitwie ojciec chwytał swoją wielką łyżkę, na którą nakładał ziemniaki, fasolę i jajko sadzone, a w niedzielę mięso i to wszystko popijał własnoręcznie warzonym, mocnym ciemnym piwem. Pamiętała, że kiedyś w tajemnicy go spróbowała. Do dziś piwo mogłoby dla niej nie istnieć.

Podobnych skojarzeń nie miała w pamięci zbyt wiele, bo ojciec miał też drugą, mroczniejszą naturę. Podobno kiedyś taki nie był, przynajmniej tak mawiali ludzie we wsi, gdy już podrosła i rozumiała więcej niż to, że nie można chłopcom pokazywać pipki i codziennie należy przygotować ojcu strawę. Mawiali też wiele innych rzeczy, w tym to, że serce zmroziła mu śmierć żony, która przedwcześnie powiwszy drugą córkę, doznała niemożliwego do zatamowania krwotoku, następnie zeszła z tego świata, zostawiwszy go z dwoma małymi dziewczynkami, z którymi nie wiedział co zrobić, bo wolał rżnąć drzewa, pić wódkę i bić po mordach. Dlatego też czasami, choć nie zawsze, wyładowywał swoją frustrację nie tylko na kolegach ze wsi, ale także na Justynce, która częściej niż Malwina musiała mierzyć się

z humorami ojca. Przywykła jednak do takiego stanu rzeczy, bo podobno małe dzieci biorą życie takie, jakie jest, i od najmłodszych lat robiła, co w jej mocy, aby pokazać ojcu, że nie jest tylko złośliwie pozostawionym darmozjadem. Już w wieku sześciu lat przyrządzała obiady, karmiła kury, kozy i krówkę Balbinkę, umiała też zrobić zakupy w pobliskim sklepie wielobranżowym, ścielić tacie łóżko, prać jego zapocone koszule, a także wiedziała, kiedy go unikać, zwykle gdy przychodził do domu po kielichu, zwłaszcza zaś z siniakami i zadrapaniami na twarzy, które oznaczały, że tym razem trafił na równego sobie, a może nawet silniejszego, bo czasem przychodził też z zakrwawionym nosem i rozbitą wargą.

Pierwszy dzień w szkole zapamiętała najlepiej, bynajmniej nie z powodu ekscytacji, jaka ją owładnęła przy okazji apelu i dzwonka. Do dziś pamięta wyraz twarzy wychowawczyni, gdy podczas drugiej lekcji w drzwiach pojawił się człowiek w niebieskim mundurze. Pan policjant przeprosił grzecznie, a następnie zawołał panią Pałucką i przez następne kilka minut o czymś rozmawiali. Dzieci siedziały w ławkach spokojnie, rzucając ukradkiem płochliwe spojrzenia, wciąż zestresowane nową sytuacją, niepewne siebie nawzajem, bo szkoła mieściła się w Solinie odległej od Teleśnicy Oszwarowej o jakieś siedem kilometrów i skupiała większość dzieci z pobliskich wiosek. Po tych kilku minutach, które wydawały się trwać całą wieczność, drzwi się otwarły i wzrok pani Pałuckiej spoczął na Justynce. Choć była mała i niewiele jeszcze z życia rozumiała, jej serce zabiło mocniej, a gdy wychowawczyni z zatroskaną miną ruszyła w jej stronę, poczuła, że stało się coś złego.

Przez następne dni przewinęło jej się wiele twarzy kobiet i mężczyzn. Wszyscy wydawali jej się tacy duzi i starzy, jakby nie pochodzili z tego świata, i w pewnym sensie tak było, bo przez te kilka dni zobaczyła więcej osób niż przez całe poprzednie siedem lat życia.

– Twój tatuś jest teraz w niebie. – Te słowa po raz pierwszy wypowiedziała do niej kobieta o imieniu Alicja, trochę mniejsza od pozostałych, z wielkimi niebieskimi oczami i ogromnymi połyskującymi w promieniach słońca kolczykami. – Zajmę się tobą i twoją siostrą do czasu, aż przyjedzie twoja ciocia. Pamiętasz ciocię Bogusię, prawda, słońce?

Mała Justynka nie pamiętała cioci ani trochę, bo od czasu śmierci matki ciocia Bogusia była w Teleśnicy Oszwarowej tylko trzykrotnie: na pogrzebie siostry, miesiąc później i na jej pierwsze urodziny, więc Justynka nie miała prawa jej pamiętać. To właśnie wtedy ciocia pokłóciła się z ojcem,

ale o co, tego do tej pory nie wiedział nikt, a ona nigdy nie chciała do tego wracać.

Ojca zabiło drzewo. Czy to w akcie zemsty za to, że zapragnął je ściąć, czy może dlatego, że rżnący je piłą spalinową Wacław był pijany i źle obliczył kąt jego upadku, w każdym razie wielki buk nie dał mu najmniejszych szans i zmiażdżył ciało ojca jak kolbę kukurydzy. Trumna podczas pogrzebu nie mogła być otwarta, więc mała Justynka płakała do zdjęcia taty, tego samego, które tak wyryło się w jej pamięci i które do dziś nosiła w swoim portfelu z cielęcej skóry, prezencie od siostry na piętnaste urodziny.

Lata płynęły, a obraz ojca zaczął się zacierać. Ciocia Bogusia była dobrą, choć wymagającą kobietą, Justynce jednak to nie przeszkadzało, bo pomimo młodego wieku surowe metody wychowawcze nie były jej obce. W wieku lat dziesięciu w życiu jej i jej siostry znów pojawił się dorosły mężczyzna. Nosił imię Ryszard, miał ogoloną głowę i krzaczastą rudę brodę, a do tego bywał bardzo głośny i wulgarny, zwłaszcza nocami, gdy odwiedzał ciocię w jej pokoju na poddaszu. Wykrzykiwał wtedy brzydkie słowa, a czasami zakradał się do pokoju dziewczynek i dziwnie na nie patrzył, ale zawsze częstował je potem cukierkami, więc zbytnio się tym nie przejmowała, a czasem nawet się za niego modliła. Pewnej nocy obudziła się i zobaczyła go leżącego tuż obok. Rękę trzymał w spodniach i jakoś tak dziwnie nią poruszał, a potem otworzył usta i jęknął, po czym szybko wyszedł. Kilka dni później siedziały z siostrą przy jednym z powalonych konarów na dzikiej plaży jeziora Jawor i karmiły łabędzie. Z początkiem maja przyroda wybuchła pełną gamą kolorów, było ciepło i słonecznie, w tle słyszała szum młodych liści, radosne ćwierkanie ptaków i zgrzyt kołowrotków okolicznych wędkarzy. Malwina jednak nie potrafiła cieszyć się urokami wiosny. Siedziała smutna, wpatrzona w przeciwległy brzeg, milczała. W końcu odwróciła się i spojrzała na Justynkę.

– Nigdy nie zostawaj z wujkiem Ryśkiem w pokoju sam na sam – powiedziała jej z pełną powagą. – Obiecaj, że nigdy, przenigdy tego nie zrobisz.

– Ale dlaczego tak mówisz? – Justynka w typowo dziecięcy sposób zmarszczyła brwi.

– Po prostu przysięgnij na Pana Boga, Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego. O tak, z ręką na sercu. – Malwina przyłożyła dłoń do własnej, nieco wypukłej już piersi.

– Przysięgam, ale…

– Przysięgłaś na Pana Boga – przerwała jej. – Pamiętaj o tym, bo jeśli złamiesz słowo dane Panu Bogu, będzie to grzech śmiertelny.

Justynka długo nie miała pojęcia, że Malwina przez kolejne cztery lata robiła wszystko, aby uchronić młodszą siostrę przed umizgami wujka Ryśka, który szybko znudził się ciotką i swoją chuć próbował potajemnie zaspokajać w pokoju dziewczynek. Z początku się dziwiła, dlaczego ich wspólny pokój czasami jest zamknięty na klucz, a potem wychodzi z niego wujek, często spocony, z wyłażącą ze spodni koszulą i rozpiętym rozporkiem. Nie rozumiała, dlaczego jej starsza siostra kazała jej przysiąc, żeby nie zostawała z nim sam na sam, choć sama robiła wręcz przeciwnie. Z czasem jednak zaczęła dostrzegać, że wizyty wujka nie sprawiają siostrze radości, że często po nich płacze, a potem długo się kąpie i szoruje ciało szorstkim pumeksem. Pełnię grozy pojęła dopiero, gdy miała trzynaście lat i czterdzieści osiem dni i po raz pierwszy zaczęła krwawić.

– Od dziś jesteś już kobietą – powiedziała jej Malwina, gdy zauważyła dolegliwości u młodszej siostry. Później zaczęła jej tłumaczyć zawiłości związane z tematem, oczywiście z początku pomijając kwestię obrzydliwych wizyt wujka Ryśka. Justyna nie była już jednak małą Justynką i potrafiła dodać dwa do dwóch. Tamtego wieczoru, przy powalonym konarze na dzikiej plaży jeziora Jawor, wypytała siostrę o wszystko, a potem długo i rzewnie płakały.

Wujek Rysiek odszedł pół roku później, krótko po tym, jak ciotka przyłapała go na gwałceniu swojej podopiecznej w szopie. Dla Malwiny było już jednak za późno. To, co jej zrobił, wyryło w niej ponure piętno i z każdym kolejnym rokiem popadała w coraz głębszą depresję. Nie potrafiła sobie poradzić z traumą, a ciotka nie miała pieniędzy, aby jej pomóc, zresztą sama widziała w niej kurwę, która rozbiła jej związek z Ryszardem. W wieku lat szesnastu Malwina zaczęła pić i brać narkotyki, uprawiać przygodny seks z kolegami, przez co pogrążała się w depresji jeszcze bardziej. Zupełnie straciła do siebie szacunek, pogubiła się. Justyna obserwowała to z przerażeniem, z czasem zrozumiała, że zachowanie siostry to skutek jej heroicznej postawy, gdy przed laty stanęła w jej obronie i wzięła na siebie całe zło, chroniąc małą Justynkę przed pedofilskimi zapędami Ryszarda. Obwiniała się o to, z bezradnością patrzyła, jak Malwina tonie w morzu łez, bo nawet jeśli na co dzień wydawała się czerpać z życia pełnymi garściami, to w samotności często płakała.

Malwina Klepacka wyrosła na piękną kobietę. Co z tego, gdy w miasteczku miała opinię puszczalskiej imprezowiczki. Ledwo zdała maturę i gdy zrozumiała, że w Solinie nie czeka jej nic dobrego, zapragnęła wyrwać się w świat. Wtedy, podczas wakacji, pojawił się on.

– Mówię ci, Justa. Jest boski i do tego chyba się we mnie zakochał – zwierzyła się siostrze pewnego wieczoru. – Obiecał, że rozwiedzie się dla mnie z żoną, że kupi mi samochód. Będziemy jeździć po świecie i korzystać z życia.

– Ale przecież on ma z sześćdziesiąt lat.

– I co z tego? Nie wygląda. Jest przystojny, dobrze zbudowany. Zresztą w dzisiejszych czasach takie związki to norma.

– Ale Malwa! Zielona Góra jest po drugiej stronie Polski. Naprawdę chcesz zostawić to wszystko?

– A co mnie tu trzyma? – Malwina rozłożyła ręce. – Brak nadziei na znalezienie pracy? Te chłystki bez grosza przy duszy? Ciotka, która przez cztery lata nie raczyła zauważyć, że Ryszard to pedofil? Tobie już nic nie grozi, Justa. Jesteś prawie dorosła. Nim się obejrzysz, zdasz maturę i świat stanie przed tobą otworem.

– Boję się, że…

– Nic ci już nie grozi, siostra.

– Nie o to mi chodzi, Malwa… – Przy każdym, nawet zawoalowanym wspomnieniu tego, co zrobiła dla niej siostra, czuła, jakby w serce wbijał się cierń. – Boję się o ciebie. Naprawdę myślisz, że się rozwiedzie, aby być z tobą?

– Nie ma dzieci, a jego żona to podobno wyjątkowo wredne babsko. I do tego ma żółte papiery. – Malwina wymownie zakręciła palcem przy skroni.

– A jeśli to jakiś oszust? Albo jeszcze gorzej? – naciskała Justyna.

– Daj spokój. Maksymilian taki nie jest. Gdybyś go widziała, w tym garniturze, z tymi kwiatami…

– Po prostu nie chciałabym, żeby stało ci się coś złego.

– Umiem o siebie zadbać, siostra. – Malwina upiła piwa. – Zresztą będziesz mogła do mnie przyjeżdżać, bo Maksymilian obiecał, że wynajmie mi mieszkanie, przynajmniej do momentu, gdy nie zakończy rozprawy rozwodowej. Kto wie, może i ty kogoś poznasz?

– A ciotka?

– Chuj z nią. Okradła nas z pieniędzy za gospodarstwo ojca. I… – Na chwilę zawiesiła głos, odwracając wzrok ku tafli jeziora. – I pozwoliła na

to… – Wytarła łzę. – Niczego nie jestem jej winna.

Justyna też wytarła łzę i przewróciła się na drugi bok. Sprężyny lekko zaskrzypiały. Poprawiła pod głową niewielką poduszkę. Była świeża i pachniała skórką pomarańczy. Pomyślała, że przed snem pomodli się za Igora Brudnego i Julię Zawadzką. Pomogli jej, choć wcale nie musieli. To z pewnością byli dobrzy ludzie.

ROZDZIAŁ 10

Brudny skończył się wycierać i odwiesił ręcznik. Nie był przekonany do tego pomysłu z Justyną. Miał swoje przyzwyczajenia, jak choćby to, że poranek spędzał jedynie w bokserkach i koszulce. Teraz nie wypadało.

Włożył skarpetki i dżinsy. Zajęło mu to kilka minut. W tym czasie nasłuchiwał odgłosów krzątaniny w kuchni. Do łazienki sączył się intensywny zapach smażonych naleśników. Nagle poczuł wilczy głód. Po raz ostatni zerknął w lustrzane odbicie. Pomyślał, że nie miałby problemu ze znalezieniem pracy w obwoźnej trupie cyrkowej. Nawet nie musieliby go zbyt mocno charakteryzować, żeby straszył dzieci. Może trochę umalować, dodać jakąś krwawą smugę i voilà.

Przeciągnął szorstką dłonią po świeżo ogolonej twarzy. Blizn nigdy się nie wstydził, te z młodości przypominały mu o koszmarze, który przeżył w sierocińcu sióstr hieronimek prowadzonym przez Gwidonę. Każda z nich na swój sposób go ukształtowała, wykuwała charakter, który po kolejnym ciosie twardniał niczym opalane drewno, hartował się niczym zanurzana w wodzie stal. Taki właśnie wyszedł z sierocińca. Zimny, kanciasty, surowy i twardy. W oczach innych ludzi bardziej przypominał dzieło mało rozgarniętego rzeźbiarza – kawał ledwo ociosanego drewna, mającego imitować ludzką postać. Nie przejmował się tym ani nie narzekał. W życiu numer jeden nie zaznał dobroci od innych, w życiu numer dwa dawał jej tyle, ile musiał. Odgrodził się od świata murem, ale każdy mur prędzej czy później musi runąć. W jego przypadku stało się to dwa lata temu, gdy cały jego świat wywrócił się do góry nogami. Otworzył się na tyle, na ile umiał. Przeszłość jednak się o niego upomniała. Trzy razy musiał zmierzyć się z jej demonami. Trzykrotnie zwyciężył, ale za każdym razem płacił za to wysoką cenę. Ostatnio był już pewny, że nie wyjdzie z tego żywy. Człowiek, który zdecydował się porwać jego bratanicę, nie miał żadnych skrupułów, nie bał się śmierci, pragnął tylko jego cierpienia. Szaleńcowi prawie się udało, ale Brudny na złość jemu i całemu światu przeżył pod gruzami

cztery dni i cztery noce. Cztery nowe blizny były tego niepodważalnym dowodem. Jedna biegła wzdłuż nasady włosów, w pewnym momencie odbijając ku brwi, druga przecinała nos po przekątnej, trzecia ciągnęła się od prawego ucha do centralnej części policzka, w końcu czwarta, po postrzale, swoje miejsce znalazła na wysokości biodra. Starych nawet nie próbował liczyć. Wszystkie je szanował jako twarde dowody tego, że nawet jeśli targały nim wątpliwości, ostatecznie zawsze podejmował słuszne decyzje.

Odwrócił się, nacisnął klamkę i wyjechał z łazienki.

– Dzień dobry, proszę pana – przywitała się Justyna. Na tę okazję odwróciła się od kuchenki i nieznacznie dygnęła.

– Dzień dobry – odparł. – I może dajmy sobie spokój z tym panem, okej?

– Ojej, ja nie wiem, czy…

– Mów mi po imieniu. Jestem Igor.

Brudny podjechał bliżej dziewczyny i wyciągnął dłoń. Nieśmiało ją uścisnęła.

– Justyna – wyjąkała speszona, a na jej policzkach wykwitły czerwone plamy. – Na śniadanie zrobiłam naleśniki. W lodówce znalazłam tylko biały ser i dżem malinowy, ale…

– Jestem pewny, że będą pyszne – uciął.

– Pan… to znaczy Igor. Pijesz czarną czy białą?

– Czarną. Bez cukru. Dwie kopiaste łyżeczki.

Komisarz uśmiechnął się półgębkiem i odjechał w stronę ławy. Nie czuł się swobodnie, ale postanowił, że nie będzie udawał kogoś, kim nie jest. Przesiadł się na fotel i włączył telewizor. Wczoraj długo nie mógł zasnąć i zapadł w sen dopiero po trzeciej, w związku z czym dziś pospał dłużej niż zwykle. Julka przeciwnie. Zerwała się już po piątej, bo musiała przygotować się na zwołane na godzinę ósmą zebranie członków tworzonej przez Magierę grupy dochodzeniowo-śledczej. Słyszał przez sen, że rozmawia z Justyną, więc młoda najwyraźniej też była na nogach przynajmniej od szóstej. Wyciągnął papierosa i poszukał wzrokiem popielniczki. Nie było jej na ławie.

– Zabierałaś gdzieś popielniczkę? – zapytał.

– Tak, przepraszam. Umyłam, ale już przynoszę – odparła dziewczyna i czym prędzej postawiła ją na ławie.

Brudny odprowadził ją wzrokiem. Miała subtelną urodę i była całkiem zgrabna. Splecione w dwa warkocze włosy odejmowały jej rok lub dwa, subtelne ruchy i lekki chód dodawał seksapilu. Określenie, jakie najbardziej cisnęło mu się na usta, to „naturalna”. Dziś włożyła na siebie zwiewną sukienkę za kolano w jakieś kwieciste wzory, która tę naturalność podkreślała.

Gdy wróciła do przygotowywania naleśników, a z głośników telewizora dobiegł dźwięk kolejnej debilnej reklamy, Brudny zastygł z zapalniczką przytkniętą do końcówki papierosa. Rozejrzał się niepewnie. Wcześniej nie zwrócił uwagi, ale salon lśnił, jakby w nocy wpadło tu stado rozjuszonych sprzątaczek. Znał Julkę. Nie należała do tych, które po każdej rozkrojonej bułce zgarniają z blatu okruszki, nie sięgała od razu po szmatkę, gdy na ławie pojawiła się obwódka po kubku z kawą, odkurzała raz w tygodniu, a podłogi zmywała dwukrotnie rzadziej. Sam też nie należał do pedantów, choć w ostatnim czasie miał lekkie wyrzuty sumienia, że nie może jej pomóc w utrzymaniu domu we względnej czystości. Całkiem niedawno nawet się zastanawiali, czy nie zatrudnić jakiejś sprzątaczki, ale temat umarł śmiercią naturalną. Teraz wszystkie blaty, podłogi i fronty szafek błyszczały jak w telewizyjnej reklamie środków czyszczących.

Justyna właśnie skończyła nakładać naleśniki na talerz i ruszyła w jego kierunku. Odłożył zapalniczkę i wyciągnął nieodpalonego papierosa z ust.

– To twoja robota? – zapytał.

– A pan nie lubi naleśników? – Przytknęła palce do ust.

– Nie pan, tylko Igor. I nie pytam o naleśniki, tylko o… – omiótł wzrokiem salon – …o to wszystko.

Dziewczyna postawiła talerz i kubek z kawą na ławie, po czym spuściła wzrok.

– Pomyślałam, że skoro obiecałam, to nie będę się tak od rana lenić – bąknęła speszona.

Rzeczywiście, tak powiedziała, a w zasadzie wykrzyczała. Gdy wczoraj podjechał pod jej namiot, akurat rozkładała śpiwór. Wyłoniła się ze środka i na widok komisarza szeroko otworzyła oczy. Nie mogła uwierzyć, że Brudny nie tylko zgodził się jej pomóc, ale też zaoferował darmowy nocleg do czasu zakończenia zlecenia. Z początku się wzbraniała, może po prostu nie była w stanie w to uwierzyć, ale gdy jej zakomunikował, że jeśli dalej będzie tak szczebiotać, to najpewniej się rozmyśli i tyle z tego będzie, prawie się rozpłakała. Obiecała chyba z tysiąc razy, że zapłaci za usługę, gdy

tylko zdobędzie pieniądze, a do tej pory będzie pomagać w domu. Nie oczekiwał tego, ale po krótkim namyśle uznał, że skoro nie może jej tego wybić z głowy, a wspólnie z Julką planują rzucić się w wir pracy, to jej propozycja może wcale nie jest takim złym pomysłem. Miała sprzątać, prać, gotować, chodzić po zakupy, krótko mówiąc, zajmować się domem. Najwyraźniej nie rzucała słów na wiatr.

Uznał, że nie musi już nic więcej dodawać w tej kwestii. Dziewczyna była wystarczająco zestresowana.

– Dziękuję za śniadanie – zmienił temat. – Naleśniki wyglądają przepysznie.

– Smacznego i… – Zawahała się. – To ja nie będę już panu… to znaczy ci przeszkadzać i pójdę do pokoju. Chciałabym się do końca rozpakować.

– Czuj się jak u siebie.

Brudny odprowadził dziewczynę wzrokiem, a gdy weszła po schodach na górę, skupił się na naleśnikach. Zjadł je ze smakiem, popił kawą i z balkonikiem doczłapał się na taras. Usiadł na krzesełku i zapalił. Musiał przygotować sensowny plan działania i choć poprzedniego wieczora już o tym myślał, to nie wykoncypował nic, co mogłoby taki przypominać. Miał jednak złe przeczucie, którym jeszcze w łóżku podzielił się z Julką.

– To raczej nie ta z lasu – uspokoiła go. – Ofiara miała sztuczne cycki. Ta Justyna twierdzi, że jej siostra miała naturalne.

– Nie widziały się kilkanaście miesięcy. Mogła sobie zrobić. Poza tym wzrost, wiek są podobne, nawet kolor włosów ten sam. Mówiłaś też, że twarz ofiary była trudna do rozpoznania.

– Nie wiem, Igor. Nie wykluczam najgorszego, ale szczerze wątpię. Choćby dlatego, że nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Anka wzięła już na warsztat odlew jej szczęki, więc pewnie wkrótce ustalimy tożsamość tej dziewczyny. Na razie nie popadałabym w czarnowidztwo.

Brudny zaciągnął się mocno. W normalnych warunkach pojechałby upewnić się osobiście. I nie dlatego, że nie wierzył w umiejętności swojej partnerki. Po prostu tak działał. Nie musiałby jej angażować, wsiadłby w patrola i pojechał do tej Obojko, aby obejrzeć zwłoki. Jak więc miał, do jasnej cholery, pomóc tej dziewczynie, skoro nie był w stanie zrobić kilku kroków bez pomocy tego pierdolonego balkonika? Pół nocy wahał się, czy nie zmienić zdania, ale zawsze pojawiała się jakaś jasna myśl, coś jak promyk słońca przebijający się przez chmury burzowe, która sprawiała, że znów zaczynał kombinować.

Zgasił niedopałek i zerknął na zegarek. Wojtek miał się zjawić za niecałą godzinę. Do tego czasu mógł przynajmniej nadać temat Mariolce. Chwycił telefon i wybrał numer, który podała mu Julka. Prywatny, bo tylko w ten sposób mógł obejść procedury. W oczekiwaniu na połączenie złapał się na tym, że nawet nie wie, jak ta kobieta wygląda. Nie doczekał się, bo po piątym sygnale odbiła go. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, ale w końcu mruknął i zmusił się do tego, aby napisać wiadomość tekstową. Oddzwoniła po niecałej minucie.

– Dzień dobry, komisarzu Brudny – przywitała się.

– Dzień dobry.

– Julia wspominała, że będzie się pan kontaktował. Przepraszam, że nie odebrałam, ale nie miałam zapisanego pana numeru.

– Nic nie szkodzi. Ma pani chwilę?

– Akurat mam przerwę, więc jak najbardziej. Cieszę się, a właściwie cieszymy się tu wszyscy, że wraca pan do zdrowia. Trzymamy kciuki i…

– Też się cieszę – przerwał jej. Nie lubił tych wszystkich konwenansów, pitolenia o dupie Maryni i trzymania kciuków, które miało dla jego powrotu do zdrowia takie samo znaczenie jak to, że w Mandżurii właśnie spadł deszcz. Już miał skupić się na konkretach, gdy przypomniał sobie, że pewnie będzie musiał z nią częściej współpracować. – Lekarz i fizjoterapeuta twierdzą, że za kilka tygodni będę skakał po drzewach – dodał, siląc się na żartobliwy ton.

– To wspaniale. Naprawdę wspaniale.

– Tak daleko bym się nie zapędzał, ale ogólnie czuję się coraz lepiej. Stąd moja prośba.

– Oczywiście pomogę, jeśli tylko będę w stanie.

– Świetnie. – Brudny odchrząknął. – Julka mówiła pani, o co chodzi?

– Wspominała coś o zaginionej młodej kobiecie, ale to pan miał podać szczegóły.

Brudny wyłuszczył sprawę. Ucieszył się, że rozmówczyni nie pajacuje i nie przypomina mu o tym, że nie powinna tego robić, że będzie musiała złamać procedury i w związku z tym może mieć kłopoty. Była konkretna i mówiła rzeczowo. Ostrzegła, że nie ma tego zbyt wiele, ale obiecała, że po przerwie wyciągnie wszystko, co ma w systemie na temat Malwiny Klepackiej, a następnie prześle mu z prywatnego maila. Brudny podziękował i się rozłączył. Cokolwiek mu wyśle, to jutro, najpóźniej pojutrze, będzie musiał

wyruszyć w teren. No i tu nie mógł liczyć na Julkę, nie miał zamiaru też nikogo wtajemniczać w sprawę. Czyli będzie musiał wsiąść za kółko.

Poruszył prawą stopą, następnie lewą, zaczął wyginać je we wszystkie strony i rozczapierzać palce. O swoim patrolu – wysokim i wyjątkowo nieprzystosowanym dla ludzi z takimi ograniczeniami jak on – mógł zapomnieć, ale nowa stara beemka Julki miała automatyczną skrzynię biegów, więc czysto teoretycznie to nie brzmiało tak całkiem niedorzecznie. Podrapał się po nosie i potarł policzki, a potem znów poruszył stopami. Czucie miał i specjalnie nie odbiegało od tego przed wydarzeniami w sierocińcu. Poczuł przyjemne łaskotanie, gdy zdał sobie sprawę, że ze starego klasztoru nie pozostał kamień na kamieniu. Pewnie sprzątnięto już nawet resztki zalegającego gruzu.

Wypalił jeszcze jednego papierosa i gdy dogaszał go w popielniczce, usłyszał znajomy dźwięk piszczącego paska rozrządu. Mercedes vito Wojtka właśnie parkował pod bramą. Wstał i wspomagając się balkonikiem, ruszył w kierunku drzwi. Wyjęcie i przyniesienie sprzętu zajmie chłopakowi jakieś dwie minuty. Musi je wykorzystać, aby dotrzeć do drzwi. Tym razem to on mu je otworzy. Albo padnie na ryj, próbując.

ROZDZIAŁ 11

W pomieszczeniu, które pamiętała, nie zmieniło się absolutnie nic. No prawie nic, bo na parapecie brakowało tej jedynej, wiecznie domagającej się wody paprotki, a w tle zamiast pracującego wiatraka brzęczał mechanizm klimatyzacji. Magiera siedział na krześle, które kiedyś zajmował inspektor Czarnecki, a później zastępująca go prokurator Arleta Winnicka. Oddychał ciężko, wertując dokumentację, i od czasu do czasu wsuwał palce pod okulary i przecierał oczy. Wyglądał na zmęczonego, a na wyraźnych zakolach sięgających czubka głowy skrzyły się maleńkie krople potu. W pewnym momencie ściągnął znoszoną szarą marynarkę, przewiesił ją przez oparcie krzesła i poluzował krawat. Westchnął i rozejrzał się po ludziach, których wybrał do nowo powstałej grupy dochodzeniowo-śledczej. W jego mniemaniu mieli być najlepsi, ale czy aby na pewno tak było? Słowa Czarneckiego mogły temu przeczyć, choć gdyby Zawadzka miała wybierać ze znanych sobie kolegów i koleżanek z komendy, twarze obecnych przy stole zapewne niespecjalnie by się zmieniły.

– Ustaliliśmy już zasady, więc słucham pomysłów – rzekł i zamknął skoroszyt.

Rozejrzał się po twarzach swoich ludzi. W tym spojrzeniu był pewien spokój, którym Zawadzkiej tak swego czasu imponował Czarnecki. Może prokurator nie miał w sobie tyle charyzmy co inspektor, ale jego postać emanowała czymś, co pozwalało wierzyć, że prowadzone przez niego śledztwo będzie przynajmniej miało solidne fundamenty. Oprócz niego w pokoju znajdowało się jeszcze siedem osób. Po prawicy Magiery siedział komisarz Artur Kłos, którego Zawadzka zdecydowanie nie była fanką, naprzeciwko niego aspirant Mściwój Kruszwica, młody, postawny policjant z modnym przedziałkiem, którego nie znała zbyt dobrze, ale tolerowała, a może nawet trochę lubiła. Obok niego miejsce zajmowała doskonale znana Julce ekspert kryminalistyki Anna Borucka ze swoim najlepszym traseologiem Aleksandrem Dobrowolskim, a naprzeciw nich usiadł sierżant

sztabowy Mariusz Szyber, nijaki gość, który z twarzy przypominał jej szczura i nie było w tym żadnej przesady, bo właśnie taki przydomek nosił – Szczur. Następnie ona sama i patomorfolog Magdalena Obojko, która chyba była w porządku.

Zawadzka na razie nie planowała zabierać głosu. Wolała się nie wyrywać i poczekać na swoją kolej, wybadać ludzi, zobaczyć, z kim będzie miała do czynienia. Gdy wzrok prokuratora zatrzymał się na Boruckiej, przez chwilę złapały kontakt wzrokowy. Komisarz dyskretnie puściła do niej oko. W tym towarzystwie znała ją najlepiej, bo pracowała z Anką przy okazji każdego z prowadzonych tu śledztw, począwszy od „Rzeźnika z Nietkowa”, przez „Kanibala”, na „Zabójcy Policjantów” skończywszy. Kryminalistyczka upiła łyk kawy i odchrząknęła.

– Nie mam dobrych wieści – oznajmiła lekko zachrypniętym głosem. – Niestety, ulewa zmyła praktycznie wszystkie ślady. Nie znaleźliśmy żadnych odcisków, żadnych fragmentów materiału, nic pod paznokciami ofiary. Światełkiem w tunelu są odnalezione w kilku miejscach ślady bieżnika. Alek sporządził dokładny raport.

Zerknęła na swojego człowieka. Aleksander Dobrowolski był trzydziestoletnim traseologiem o pociągłej twarzy i zmierzwionej czuprynie. Wsławił się przy poprzednich dwóch śledztwach, ale nie to czyniło go wyjątkowym pośród obecnych przy stole. To właśnie on jako jedyny zdołał przeżyć to, co przygotował dla poprzedniej ekipy morderca w masce. Mimo że też miał kontakt z trucizną, lekarze zdołali go odratować, prawdopodobnie tylko dlatego, że przy pierwszym zetknięciu ust z kubkiem poparzył się i dodatkowo oblał sobie dłoń.

– W paru miejscach udało mi się natknąć na ślady opon firmy Hankook, model eco K425 – zaczął w swoim stylu. – To opony średniej klasy, całoroczne, szerokość bieżnika sto dziewięćdziesiąt pięć milimetrów, jedne z najbardziej popularnych na rynku. Co ważne, dość mocno zużyte i natknąłem się na nie tylko na drodze na północ od miejsca porzucenia zwłok. To oznacza, że podejrzany prawdopodobnie przyjechał i wrócił tą samą drogą.

– Zajmiesz się tym.

Magiera skupił wzrok na aspirancie Mściwoju Kruszwicy. Młody policjant skinął na znak, że przyjął słowa przełożonego do wiadomości. Zawadzka nie znała go dobrze, ale z tego, co zdążyła się zorientować, facet należał do tych spokojniejszych i bardziej wycofanych. Może dlatego że

miał taki charakter, a może dlatego że od lat trenował brazylijskie ju-jitsu. Owszem, widziała, że starsi koledzy czasem dogryzali mu z racji imienia i nazwiska, ale on przyjmował przytyki ze stoickim spokojem w pełni świadomy, że każdego z nich może złamać w pięciu miejscach, zanim delikwent w ogóle zrozumie, co się dzieje. Nie pił, unikał branżowych imprez, ale w jego ciemnych oczach kryło się coś rzadko spotykanego, jakaś osobliwość, która sprawiała, że nikt nie przekraczał granicy, którą Mściwój ustalił, choć nigdy tego jednoznacznie nie wyartykułował. I akurat pod tym względem umiejętności z maty nie miały większego znaczenia. Mściwój Kruszwica po prostu miał to coś. Przypominał jej trochę samego Igora, tylko w wersji light. Taka cicha woda, która brzegi rwie.

– Narzędzie zbrodni? – Wzrok Magiery powędrował w kierunku najbardziej oddalonej patomorfolog.

– Nie zmieniłam zdania – rzekła Obojko. – Cięcia zostały zadane bardzo precyzyjnie, raczej szybko, do tego rany są równe i głębokie. Sprawca prawie na pewno użył skalpela albo innego narzędzia chirurgicznego.

– Wyklucza pani nóż?

– Nie wykluczam. Użyłam słowa „prawie” i tego się trzymam.

– Czyli, czysto teoretycznie, to może być nóż?

– To może być nóż, ale nie taki do chleba.

Magiera cmoknął niepysznie. Obojko z pewnością nie należała do jego ulubienic, ale nie miał wyjścia, bo była jedyną, która w chwili obecnej kwalifikowała się do tej roboty. Nie skomentował jej ostatnich słów, tylko przeniósł wzrok na Zawadzką. Ta odłożyła gumę do żucia na talerzyk.

– Nie widzę tu punktów stycznych ze śledztwem w sprawie tej wyłowionej z Odry – zaczęła. – Tamta była torturowana, wielokrotnie zgwałcona, ostatecznie uduszona i utopiona. W przypadku tej znalezionej w lesie modus operandi sprawcy wygląda na całkowicie odmienny. Raczej nie łączyłabym obu tych morderstw, przynajmniej do czasu ustalenia tożsamości ostatniej ofiary.

– Myślisz, że też mogła być prostytutką? – zapytał Magiera.

– Nawet jeśli, to wciąż łączenie obu tych spraw byłoby mocno naciągane.

– Co o tym myślisz, Artur?

Tym razem Magiera skupił uwagę na Kłosie. Ten wykrzywił się w grymasie znudzenia.

– Też uważam, że tamta sprawa nie ma z tym związku. Białorusinka to przypadkowa ofiara jakiegoś napalonego tirowca. Nie wiem, co Julia zdołała ustalić od czasu, gdy przejęła śledztwo, ale według mnie to najbardziej prawdopodobna opcja. No, chyba że się mylę…

– Pojawił się nowy wątek, ale raczej nie ma nic wspólnego z obecną sytuacją – skomentowała Zawadzka.

– Masz na myśli typa z tej wiochy? – Komisarz rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

– Dokładnie – przytaknęła. – Facet miał dużo na sumieniu, ale on sam, niestety, już nam nie pomoże. Osobiście rozmawiałam z tą dziewczyną, która odkryła cały proceder, ale jej zeznania do tej pory nie rzuciły nowego światła na sprawę. Zleciłam za to komendzie w Gorzowie przesłuchanie kilku jego ludzi. Może któryś będzie chciał się układać i coś wypłynie.

– Strata czasu – prychnął Kłos. – Sprawa nie jest rozwojowa. Sam przesłuchałem kilkudziesięciu świadków i nikt nic nie widział. Moim zdaniem…

– Zostawmy to – przerwał mu Magiera. – Julia będzie trzymała rękę na pulsie, ale od dziś wszyscy tu zebrani skupiają się na ostatniej ofierze. Trzeba dopaść tego świra, zanim sprawę zwęszą media.

– Albo zabije kolejną dziewczynę – odezwał się Mściwój. Facet miał bardzo melodyjny głos, pasujący i zarazem niepasujący do nakreślonej przez Julkę osobowości. Bez wątpienia miał za to duże jaja.

– To oczywiste – żachnął się Magiera. – W każdym razie ostatnie, czego nam trzeba, to fruwające po pierwszych stronach gazet wampiry – dodał i zamilkł. Przez krótką chwilę intensywnie się nad czymś zastanawiał. W końcu podniósł wzrok. – Jest jeszcze jedna sprawa, której musimy się bliżej przyjrzeć. – Przetarł dłonią łyse zakola. – Nie wszyscy z was wiedzą o sytuacji, do której doszło trzy miesiące temu. Jeszcze dziś dostaniecie pełną dokumentację, ale komisarz Kłos już teraz zaznajomi was ze sprawą.

Zaczyna się, pomyślała Zawadzka. Doskonale wiedziała, co się kroi. To, czego była świadkiem przed trzema miesiącami, do dziś śniło jej się po nocach. Nigdy w całej swojej karierze nie spotkała się z czymś tak popieprzonym, mało tego, nie pamiętała, aby coś takiego zobaczyła choćby w filmie albo przeczytała w książce. Śledztwo co prawda prowadził Kłos, ale nie trzeba było być alfą i omegą, aby zrozumieć, że sam chciał się jak najszybciej pozbyć tej sprawy. Była jak wrzód na dupie i wciąż o sobie przypominała. Kiedyś na papierosie sam się wygadał, że chciałby zamknąć to

śledztwo, bo i tak wszystkie dowody wskazywały, że sprawca spłonął w samochodzie. Magiera nie chciał jednak wykonywać nerwowych ruchów. I być może miał rację.

Wzdrygnęła się, gdy Kłos zaczął mówić. Obserwowała reakcje osób do tej pory niezaangażowanych w tamto utajnione śledztwo. Marszczyli brwi, otwierali usta, mruczeli i klęli pod nosem. Od czasu do czasu ktoś zadał pytanie, a potem wszyscy jeszcze szerzej otwierali oczy ze zdumienia, zwykle podkreślając swoje zaskoczenie mało wyszukanym „ja pierdolę" albo czymś podobnym. Gdy skończył, w pomieszczeniu dało się słyszeć jedynie brzęczenie mechanizmu klimatyzacji.

– Czy z tą kobietą jest jakiś kontakt? – zapytała po dłuższej chwili Borucka.

– I tak, i nie – odparł Kłos. – Ma cały zespół różnych schorzeń, które trudno mi teraz powtórzyć, ale generalnie jej stan można opisać jako permanentną katatonię. Wymyka się jednak wszelkiej kategoryzacji.

– A konkretniej? – dopytała Obojko, wychylając głowę wyraźnie zainteresowana.

– Czasami przez całe dni siedzi i się nie odzywa, innym razem biega i drze się jak opętana. Kilkakrotnie próbowała rozbić sobie głowę o ścianę, więc założyli jej maskę i dodatkowo przenieśli do specjalnie na tę okazję stworzonej izolatki. Takiej bez klamek, z miękkimi panelami na ścianach, strzeżonej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ostatnio zachciało jej się malować i wciąż gryzmoli tylko tę jedną rzecz.

Kłos otworzył skoroszyt i puścił w obieg kilka sporej wielkości fotografii. Na każdej znajdowały się podobne bazgroły, na pierwszy rzut oka przypominające czerwoną twarz.

– Używa tylko koloru czerwonego – doprecyzował. – Wszystkie inne mazaki łamie, gryzie, rzuca nimi, jednym słowem: niszczy. Podobnie robi z jedzeniem i w zasadzie każdą rzeczą, dlatego często jest faszerowana silnymi lekami i karmiona przez rurki. Wtedy jednak, zwykle na kilka tygodni, wpada w fazę uśpienia i nie ma z nią żadnego kontaktu.

Zawadzka bardzo dokładnie przyglądała się fotografiom. Wywoływały w niej ambiwalentne uczucia. Od każdej biło jednak coś niepokojącego i wcale nie można było tego łączyć z tym, że malunki były koślawe, niewyraźne, a ich autorka po prostu nie miała do tego ręki. Właśnie miała i w całym swoim szaleństwie potrafiła uchwycić to, co najważniejsze. To, co wyzierało z tych zdjęć, przyprawiało ją o dreszcze i Zawadzka nie miała

wątpliwości, że tę biedną kobietę musiało spotkać coś niewyobrażalnego. Kiedyś z pewnością dotknęła zła w najczystszej postaci. A raczej to zło dotknęło jej.

– Chciałabym się z nią zobaczyć – wyrwała się w pewnym momencie, to było silniejsze od niej. Magiera posłał jej nijakie spojrzenie, a potem zerknął na Kłosa.

– Wątpię, aby to coś dało – skonstatował ten drugi. – Nie dopuszcza do siebie nikogo, nawet lekarzy…

– Spróbować nie zaszkodzi – rzekł prokurator.

– Przypominam tylko, że ostatnia kobieta, która próbowała nawiązać z nią kontakt, omal nie straciła oka.

– Z nią też chciałabym pogadać.

– Ona jest doświadczoną pielęgniarką, Julka. Niby dlaczego uważasz, że możesz być od niej lepsza?

Zawadzka się skrzywiła. Kłos chyba naprawdę był ograniczony. Czy ona coś takiego zasugerowała? Postanowiła nie komentować tego idiotycznego przypuszczenia. W jej ocenie tylko on zaniżał tu poziom IQ.

– Masz moje pozwolenie – oznajmił Magiera. – A teraz podzielmy pracę, bo od czegoś trzeba zacząć.

W sali nastąpiło poruszenie, ale Julka już była myślami w zakładzie w Ciborzu. Wojewódzki Szpital Specjalistyczny dla Nerwowo i Psychicznie Chorych – tak brzmiała pełna nazwa tego przybytku. Nie była tam jeszcze i zastanawiała się teraz, czy aby na pewno nie wyszła przed szereg. Ponowne spotkanie z tą kobietą mogło sprawić, że znów nie będzie mogła zasnąć. Tak jak trzy miesiące temu.

Przełknęła ślinę. Dopiero teraz zorientowała się, że gdzieś już to słyszała. Trzy miesiące, pomyślała. Trzy miesiące…

ROZDZIAŁ 12

– No dobra… – Brudny siedział w fotelu z notesem w dłoni. Justyna obok na kanapie, nogi wąsko, dłonie na kolanach. Przypominała mu posłuszne wychowanki sierocińca pod nadzorem Gwidony. – Powiedz mi wszystko, co pamiętasz z rozmów na temat tamtego faceta.

– No… – Przełknęła ślinę. – Nie wiem zbyt wiele…

– Musisz się skupić. Umówmy się, że będę zadawał konkretne pytania, a ty odpowiadaj jak najprecyzyjniej. Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu, to się nie krępuj. Mamy go pod dostatkiem. Dasz radę to zrobić?

– Chyba tak.

– Zatem do dzieła. Mężczyzna miał na imię Maksymilian, czy tak?

– Tak się przedstawiał.

– A nazwisko albo ksywka? Może jakieś zdrobnienie?

– Nie. Zawsze mówiła o nim Maksymilian.

– Kiedy po raz pierwszy się spotkali?

Dziewczyna zmarszczyła brwi i przygryzła dolną wargę. Przez chwilę intensywnie myślała.

– To było jakoś trzy lata temu, tak mniej więcej na początku wakacji, ale dokładnej daty nie znam. Końcówka czerwca, może początek lipca. W tamtym okresie Malwa chodziła swoimi ścieżkami i nie zwierzała mi się ze wszystkiego.

– Co znaczy, że chodziła swoimi ścieżkami?

– No… – Zawahała się. – Malwa była już starsza i mogła trochę więcej. Rozumiesz?

– Nie, Justyna. Nie rozumiem. Musisz być precyzyjna. Co znaczy, że chodziła swoimi ścieżkami?

– No popijała już alkohol i takie tam…

Brudny powstrzymał się, żeby nie przewrócić oczami.

– Co to znaczy „takie tam”? – zapytał spokojnie. – Imprezowała? Brała narkotyki?

Dziewczyna przytaknęła.

– Musisz mi opowiedzieć wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Coś więcej niż w raporcie, jaki otrzymałem z policji. Inaczej nie zdołam ci pomóc, rozumiesz?

– T-tak.

– Więc co robiła twoja siostra? I dlaczego?

Justyna mocniej przygryzła wargę. Brudny dostrzegł, że jej oczy się zaszkliły. Podobne reakcje widział niezliczoną ilość razy. Nie tylko z racji wykonywanego zawodu, ale głównie dlatego, że wychował się wśród ludzi najbardziej pokaleczonych psychicznie. Wszyscy, którzy doznali w życiu jakiejś krzywdy, w chwilach prawdy zachowywali się tak samo i nie byli w stanie zapanować nad demonami przeszłości. Justyna też pękła. Po jej policzkach popłynęły łzy, a jemu zrobiło się głupio, że nie był w stanie sięgnąć po leżącą po drugiej stronie ławy paczkę chusteczek. Poradziła sobie sama. Dał jej kilka minut. Wiedział, że gdy się wypłacze, będzie jej łatwiej.

Wysłuchał jej opowieści, od czasu do czasu przerywając pytaniami. Dane z raportu od Mariolki były w tej materii bardzo liche. Nie zdziwiło go to specjalnie, bo ludzie rzadko zdradzali policji wszystkie swoje tajemnice. Starał się wzbudzić zaufanie dziewczyny, w żadnym wypadku nie oceniał. Miał w tym wieloletnie doświadczenie. Już po kilkudziesięciu minutach był w stanie stworzyć wstępny profil psychologiczny Malwiny Klepackiej, młodej kobiety po traumatycznych przejściach, zagubionej, pragnącej od życia zadośćuczynienia za to, co los zgotował jej w młodości. Tak to funkcjonowało w większości przypadków. Ludzie skrzywdzeni jako dzieci, zwłaszcza sieroty, zwykle bardzo potrzebowali miłości i dla tej miłości potrafili robić największe głupstwa. Najczęściej nie byli w stanie ocenić zagrożeń, jakie niesie ten szalony pęd ku źle pojmowanemu szczęściu, przez co ściągali na siebie kłopoty, dawali się oszukiwać, mamić i wykorzystywać, w końcu wpadali w depresję i lądowali na dnie. Pragnienie wyrwania się z matni wpędzało ich w jeszcze większe kłopoty, a na podobne nieracjonalne zachowania najbardziej podatne były właśnie młode kobiety. Malwina Klepacka idealnie wpisywała się w ten wzorzec.

– Kiedy po raz pierwszy powiedziała ci o Maksymilianie? – zapytał, gdy już opanowała emocje.

– Nie pamiętam dokładnie, ale chyba wspomniała o nim przed świętami Bożego Narodzenia. Powiedziała, że następnych nie spędzi już w Solinie,

ale gdy zapytałam dlaczego, rzuciła tylko, że jeszcze nie może mi powiedzieć, ale ma to związek z mężczyzną.

– Nie naciskałaś?

– Pewnie, że naciskałam. – Przez twarz Justyny przebiegł krótki uśmiech. – Chciałam wiedzieć wszystko, ale się zawzięła, więc w końcu odpuściłam.

– Ile razy mogli się widzieć do czasu, gdy wyjechała?

– Na pewno na początku tamtych wakacji, bo wtedy się poznali. Później może jeszcze ze dwa razy i chyba na ferie, bo Malwa zniknęła z domu na kilka dni, a gdy wróciła, to wyglądała kwitnąco. Wtedy też powiedziała mi, że facet, z którym się spotyka, jest absolutnie wyjątkowy. Niestety, znów nie udało mi się z niej nic więcej wyciągnąć. Myślę, że to on jej kazał utrzymywać ten związek w tajemnicy. Na pewno miał żonę i podobno był bardzo bogaty.

– A później? Czy ona do niego jeździła?

– Tak. To znaczy chyba tak, bo znikała z domu nawet na kilkanaście dni i wracała obkupiona w drogie ciuchy i biżuterię. Promieniała za każdym razem.

– Kiedy wyprowadziła się na stałe?

– Kilka dni po świętach Wielkiej Nocy.

– Często się kontaktowałyście po wyjeździe?

– Raczej tak, choć głównie to ja wydzwaniałam, a ona oddzwaniała. Bardzo mnie intrygował ten Maksymilian, ale Malwa wciąż nie chciała się otworzyć. Mówiła, że wszystkiego dowiem się w swoim czasie.

– A czy mówiła, czym się zajmował?

– I tak, i nie. – Dziewczyna znów się zamyśliła. – Nigdy nie powiedziała konkretnie prócz tego, że ma firmę i jest bogaty. A może…

– Dobrze się zastanów. Każdy, nawet najdrobniejszy szczegół może być na wagę złota.

– No… Boże Święty… nie jestem pewna, ale chyba wspominała coś o budowaniu czegoś?

Brudny szybko zapisał sobie w notatniku słowo „deweloper”. Dziwił się, że nie ma tego w raporcie przesłanym przez Mariolkę. Czy policjant odbierający zgłoszenie mógł być aż takim tumanem, żeby nie docisnąć jej w tej kwestii? Nienawidził partactwa i niekompetencji, a jeszcze bardziej olewania obowiązków służbowych. Jakby ci ludzie naprawdę nie wiedzieli, że taka informacja czasem może zmienić ludzkie losy, być może uratować

komuś życie. Zachował jednak kamienną twarz i sięgnął po kolejnego papierosa.

– Czy to zdjęcie Maksymiliana, które pokazałaś policji, na pewno jest jedynym, jakie masz? – zapytał, pokazując jej fotografię na wyświetlaczu smartfona.

– Tak – przytaknęła.

– Zastanów się. Tak jak z tym „budowaniem”. Może siostra wysyłała ci jakieś inne zdjęcia? Czasem zdarza się, że uda się złapać w kadr coś lub kogoś zupełnie przypadkiem.

– No tak, wysyłała mi fotki. Zwłaszcza gdy chwaliła się nowymi ciuchami i tym, jak dobrze jej się żyje. Ale na zdjęciach zawsze była sama.

– Masz je w telefonie?

– Tak.

Zdjęcie, które dostał w załączniku od Mariolki z zaginionych, było nie tylko słabej jakości, ale też mężczyzna stał na nim tyłem. Justyna wyjaśniła, że to jedyna fotka, jaką pokazała jej siostra, dodatkowo podobno zrobiona bez wiedzy kochanka, któremu bardzo zależało na dyskrecji. Maksymilian, w wodzie po kolana i z dłonią przytkniętą do czoła, patrzył w nieokreślony punkt na drugim końcu jeziora Jawor. Nie wyglądał na swój wiek, raczej na dbającego o siebie czterdziestokilkulatka. Był dobrze zbudowany, miał szerokie plecy i ramiona, które w zestawieniu ze stosunkowo wąską talią układały się w tak lubianą przez kobiety literę „V”. Cienie ciągnące się od mięśni barków przez łopatki po okolice lędźwi sugerowały, że nie wstydził się zarostu na plecach, to zaś mogło oznaczać, że był pewny siebie, przekonany o swojej wartości i – być może, bo to częsty efekt uboczny – wspomagał się dodatkowym testosteronem. Silne i grube uda tylko potwierdzały to przypuszczenie, a staromodne slipki podkreślały umięśnioną sylwetkę mężczyzny, który rzeczywiście mógł stanowić nie lada kąsek dla takich młodych kobiet jak Malwina. Niestety, nie miał żadnych tatuaży ani znaków szczególnych, co w zasadzie uniemożliwiało identyfikację.

Brudny odebrał z rąk Justyny jej smartfon. Stanęła za oparciem jego fotela, a on zaczął przeglądać zdjęcia z galerii WhatsAppa. Nie musiał daleko się cofać. Najwyraźniej jego klientka nie miała zbyt wielu znajomych, z którymi utrzymywała kontakt i wymieniała się fotkami. W ogóle go to nie zdziwiło, a nawet zarobiła dodatkowy punkt.

– To ostatnie, jakie mi wysłała – powiedziała, wyciągając palec w stronę wyświetlacza.

Komisarz nie skomentował. Przyjrzał się dokładnie uśmiechniętej blondynce pozującej do selfie w ciemnych okularach nasuniętych na włosy. W tle była jedynie ściana i kawałek lustra, a ona wyglądała na szczęśliwą. Przesuwał kolejne fotki z nieszczęsnymi dzióbkami, w okularach lub bez, w modnych ciuchach drogich projektantów, złotych kolczykach i eksponowanych bransoletkach. Najwyraźniej Maksymilian rzeczywiście nie szczędził jej prezentów albo – czego też nie można było wykluczyć – Malwina najzwyczajniej w świecie się kurwiła, a siostrze sprzedawała pięknie opakowaną bajeczkę. To wyjaśniałoby brak kochanka na zdjęciach, bo trudno mu było sobie wyobrazić, żeby siostra tak długo dała radę ukrywać jego tożsamość. Prostytuowanie się młodych i atrakcyjnych, choć pokiereszowanych psychicznie dziewczyn nie było rzadkością. Zwykle wyjeżdżały ze swoich wsi z wielkimi marzeniami podbicia barwnego świata z magazynów dla kobiet, ale sprowadzone na ziemię zaczynały się sprzedawać, wciskając rodzinom bujdy o znalezieniu dobrej pracy albo bogatego faceta. Nie zapisał tego w notesie, ale postanowił, że w odpowiednim czasie zapyta Justynę także o to. Dziś nie chciał jej dłużej dręczyć.

Gdy usłyszał warkot silnika swojego patrola, spojrzał najpierw na zegarek, a później za okno. Dochodziła dwudziesta, choć wciąż jeszcze było jasno. Oddał smartfon dziewczynie.

– Wrócimy do tematu jutro – oznajmił.

– To ja może zrobię kolację – zaproponowała.

– Okej.

Podniósł się, oparł o balkonik i poczłapał na zacieniony taras. Słońce powoli kryło się za dachami sąsiednich budynków. Gdzieś w oddali dało się słyszeć syk otwieranych drzwi autobusu i przekrzykujące się dzieciaki. To była spokojna okolica. Osiedle domków jednorodzinnych, ewentualnie bliźniaków bądź tak popularnych w ostatnim czasie czworaków, które to deweloperzy sprzedawali po cenach domków jednorodzinnych. Ten, w którym mieszkał z Julką, pochodził z rynku wtórnego, ale był jednym z nowszych. Właściciel, który był jakimś dyrektorem w firmie sprzedającej sprzęt ogrodowy, pozbył się go po nieco niższej cenie, bo dostał awans z przeniesieniem do centrali w Holandii. To była dobra inwestycja i coraz bardziej zaczynało mu się tu podobać. Warszawa nagle stała się równie odległa jak Pekin czy Kapsztad. Zapalił i spokojnie poczekał, aż Julka wejdzie do kuchni i wyciągnie z lodówki dwa zimne piwa. Bardzo często pozwalała sobie na tę małą przyjemność po powrocie ze służby, a że znali się nie od

dziś, to jeśli nie słyszała protestów z jego strony, od razu sięgała po dwie butelki. Wymieniła jeszcze jakieś uwagi z Justyną, która akurat kroiła warzywa, a potem przyszła na taras.

– Cześć – przywitała się i wręczywszy mu piwo, usiadła na krześle przy stoliku ogrodowym. Rozstawiła nogi i nachyliła się. Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Wszystko w porządku, bo wyglądasz, jakby ktoś cię porządnie wkurwił?

– Nie – odparła. – Nikt mnie nie wkurwił. No może prócz tego psychola, który spuszcza krew z młodych dziewczyn, a potem zakopuje ich zwłoki w lesie. Tak, on mnie rzeczywiście wkurwia.

– Kłos czy Magiera? – zapytał, upijając łyk.

– Żaden z nich. W sumie obaj byli dziś całkiem normalni.

– To coś taka nabuzowana?

– Trzy miesiące, Igor – rzuciła półszeptem, zerkając dyskretnie w stronę krzątającej się w kuchni dziewczyny. – Justyna twierdzi, że ostatni kontakt ze swoją siostrą miała trzy miesiące temu, mam rację? – zapytała.

– No tak. Ale dlaczego mówisz szeptem?

– Bo mam chujowe przeczucie, że obie sprawy mogą się łączyć. Pamiętasz, jak ci wspominałam o tej… no wiesz… – znów dyskretnie zerknęła do wnętrza salonu – …no tej z tego wypadku.

– Pamiętam.

– No więc tak jak ci mówiłam. Mam kiepskie przeczucie.

– Hmm…

– Do zdarzenia doszło krótko po północy dwudziestego szóstego maja. Teraz mamy końcówkę sierpnia…

Brudny dokończył piwo i mocno się zaciągnął. Jeszcze nie dotarli do tego telefonu, ale rzeczywiście podczas pierwszej rozmowy wspominała, że siostra zadzwoniła do niej późną nocą. I chyba padło słowo „maj”. Rzucił partnerce zamyślone spojrzenie.

– Po prostu ją zapytajmy – zadecydował.

– Ale ani słowa o wypadku.

– Ani słowa.

Chwilę później Brudny zgasił papierosa i podniósł się z leżaka. Gdy wchodził do salonu, Justyna właśnie kończyła nakładać na talerze kanapki, nucąc pod nosem jakąś melodyjną piosenkę. I wtedy też to poczuł.

Wewnętrzny głos. To uderzyło go nagle i rzeczywiście było przygnębiające. Pomyślał, że choć raz w życiu bardzo chciałby się mylić.

ROZDZIAŁ 13

Galina Buriak była jedną z najpiękniejszych dziewczyn ze wsi. Miała długie włosy koloru słońca, pełne usta i oczy niebieskie jak lipcowe niebo. Urodziła się w niewielkiej miejscowości Pawłopil leżącej kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od Mariupola, jako najmłodsza z sześciorga dzieci Stefana i Ludmiły. Stało się to dokładnie dwadzieścia lat i sto dwanaście dni temu, w domowym zaciszu, wśród rodziny i sąsiadów, a poród przyjmował miejscowy doktor o groźnie brzmiącym imieniu Vlad. Słyszała, że był raczej przyjazny i pomocny, niestety poza momentem, gdy wyjął ją z łona matki, nigdy więcej nie miała z nim kontaktu, gdyż dwa miesiące później jego wątroba nie wytrzymała, bo podobno dużo pił. Zmarł, ot tak, w swoim domu, pośród butelek wódki, ale choć była na pogrzebie, w starym i wysłużonym nosidełku, to też go nie pamiętała, bo pamiętać nie mogła. Pierwsze przebłyski z dzieciństwa wiązały się z codziennym rytuałem jej ojca, nauczyciela historii w szkole podstawowej, do której musiał codziennie dojeżdżać rowerem prawie dziesięć kilometrów, człowieka dobrego, uczciwego i zaradnego, kochającego nie tylko ją, ale także matkę i rodzeństwo: Nataszę, Mykołę, Annę, Artema i Dimę. Nie mogła wiedzieć, jaki tata był wobec starszych sióstr i braci, najwyżej coś tam słyszała, wiedziała natomiast, jaki był dla niej, bo od pierwszych dni traktował małą Galinę jak księżniczkę, a przynajmniej tak to zapamiętała.

– Kto jest najpiękniejszą dziewczynką na świecie? – pytał ją Stefan każdego dnia po powrocie z pracy.

– Mama – przekomarzała się, a może naprawdę tak uważała, jeśli dwuletnie dziecko może uważać cokolwiek.

– Mama też jest piękna – tłumaczył. – Ale ja pytam, kto jest najpiękniejszą dziewczynką.

– Mykoś – droczyła się dalej.

– Mykoła jest chłopczykiem, kochanie. Tata się pyta, kto jest najpiękniejszą, najmądrzejszą i najcudowniejszą dziewczynką – powtarzał uparcie

i muskał jej drobny nosek palcem wskazującym.

– Jaaaa!!! – krzyczała w końcu, a potem wskakiwała na brzuch taty, żeby jej robił „hopa-hopa”, albo na nogi, żeby robił „patataj”.

Czas płynął, a mała Galina rosła jak na drożdżach. Już w szkole podstawowej wyróżniała się niezwykłą urodą, dzięki czemu wygrywała w cuglach wszystkie konkursy piękności, a że Stwórca obdarzył ją dodatkowo silnym i melodyjnym głosem, równie dobrze radziła sobie na konkursach piosenki. Mama Ludmiła zaszczepiła w niej miłość do pieczenia słodkości, a ojciec do zwierząt, i nikt nie musiał zmuszać małej, a potem już nastoletniej Galiny do pomocy w kuchni czy obejściu. Uczyła się dobrze, była pilna w przeciwieństwie do swoich starszych braci, z którymi bywało różnie, zwłaszcza z Dimą, chłopakiem niepokornym i skorym do łobuzowania. Ojciec kilkakrotnie musiał się za niego wstydzić, ale mimo wszystko rodzina Buriaków należała do lubianych i szanowanych, nawet jeśli któryś z braci czasem coś nawywijał. Sytuacja materialna stawiała ich mniej więcej pośrodku drabinki wśród lokalnej społeczności, nie byli ani biedni, ani bogaci, choć w domu się nie przelewało, a ojciec i matka czasem musieli odejmować sobie od ust, aby Galina i jej rodzeństwo nie musieli.

– Taki to już urok naszej Ukrainy – powtarzał wuj Iwan, a ojciec mu przytakiwał i pili wódkę, złorzecząc na rząd i jego fatalną politykę gospodarczą, a po drugiej butelce wychwalali niepodległość i śpiewali kozackie pieśni.

Sielskie życie Galiny zmieniło się w dwa tysiące czternastym roku, gdy na ulicach Kijowa zaczęli ginąć ludzie. Galina miała wtedy trzynaście lat i rozumiała, że w kraju dzieje się coś poważnego, w najgorszych koszmarach nie podejrzewała jednak, jak bardzo lutowe zamieszki na Majdanie odmienią jej życie. Z początku nie zapowiadało się tak źle, a w domu panowała euforia. Rodzice i najstarsi bracia cieszyli się jak dzieci, snuli plany o otwierających się szansach na wejście do Paktu Północnoatlantyckiego, który miał im zagwarantować bezpieczeństwo, i Unii Europejskiej, która miała sprawić, że w kraju nastąpi rozkwit gospodarczy. Ona oglądała historyczne powstanie w telewizji, ojciec dalej jeździł uczyć w szkole, a matka wypiekała przepyszne ciasta. Co najwyżej dorośli już Dima i Artem bywali w domu rzadziej niż zwykle, tułali się po okolicznych miejscowościach, a po powrocie debatowali nad tym, aby zaciągnąć się do armii i „skopać dupy ruskim najeźdźcom”, to drugie trochę później, gdy sytuacja przestała rozwijać się tak korzystnie, jak z początku zakładali. Dwa miesiące względ-

nego spokoju minęły jak z bicza strzelił. Kwiecień, a po nim kolejne miesiące przyniosły już tylko samo zło.

Pamiętała, że się bała, gdy wyłączyli sygnał telewizyjny, a ze wschodu niosły się echa wystrzałów. Pamiętała też, że Dima i Artem postawili na swoim i wstąpili do armii, a dwa miesiące później, tydzień od ostatniego kontaktu braci z rodziną, w drzwiach chaty pojawił się młody mężczyzna, który przedstawił się jako Oleg. Z posępną miną wręczył matce dwa nieśmiertelniki i powiedział, że obaj zginęli na froncie pod Donieckiem, podobno od kuli snajpera, ale to chyba nie była prawda, bo nigdy nie udało się sprowadzić ich ciał do domu. Pamiętała też płacz matki, zapijającego śmierć synów ojca i zniknięcie Anny, która miała pojechać do koleżanki do Mariupola i nigdy już nie wróciła. Podobno porwali ją rebelianci, ale co jej zrobili albo czego nie zrobili, tego już nigdy ona, ojciec, matka, Mykoła ani Natasza się nie dowiedzieli, bo Anna przepadła jak kamień w wodę. Dwa lata poszukiwań nie przyniosły żadnych rezultatów, ojciec nasłuchał się tylko strasznych plotek, tak strasznych, że przerodziły się w ponurą legendę o rosyjskich bestiach polujących nocami na młode Ukrainki, aby później używać sobie na nich do woli. Stefan bardzo podupadł na zdrowiu, ale nie chciał wyjechać, chociaż Pawłopil na mocy porozumienia o zawieszeniu broni – zresztą chwilowego – znalazł się na terenie podległym separatystom. Jak mantrę powtarzał, że to jego dom, jego ziemia, poza tym wbił sobie do głowy, że uratuje Annę, tyle że chyba nie myślał już racjonalnie, ponieważ był wycieńczony nie tylko fizycznie, ale też umysłowo. Pewnego chłodnego wrześniowego poranka dwa tysiące siedemnastego roku po prostu się nie obudził. Nie było nikogo, aby to potwierdzić, ale podobno zmarł na zawał. Galina miała wtedy szesnaście lat i postanowiła, że musi wziąć sprawy w swoje ręce.

Z początku prosiła i błagała matkę, aby w końcu opuścić rodzinny Pawłopil, ale matka uparła się, że nie, i koniec.

– Tu pochowałam męża i dwóch synów. Nie mogę ich zostawić – broniła się.

– Tu jest wojna, mamo! – mówiła Galina, a Mykoła i Natasza jej wtórowali. – Jeśli nie wyjedziemy, to prędzej czy później też umrzemy. Jak nie zarżną nas separatyści, to zdechniemy z głodu.

– A jeśli Ania wróci i nikogo nie zastanie? – spróbowała z innej beczki. – To co sobie o nas pomyśli? Gdzie się prześpi? Gdzie zje coś ciepłego?

– Mamo! Ani już nie ma! Zabili ją albo… – Wtedy Galina też zalewała się łzami. – Boże… Musimy stąd uciekać, mamo. Błagamy cię.

– Nie mogę. Po prostu nie mogę. – Matka trzęsła się i wycierała chusteczką oczy. Wyglądała na starszą o dziesięć lat. Siwe włosy, głębokie zmarszczki, przygarbiona i wychudzona. – Ale nie będę was tu trzymała. Ja tu zostanę. Będę dbać o groby i czekać na Anię.

Był wczesny październik, kolorowe liście zalegały na drogach, po których jeździły czołgi i wozy opancerzone, w oddali słychać było serie wystrzałów karabinowych.

Trzy dni po rozmowie z matką Galina i Natasza spakowały swoje rzeczy i z duszą na ramieniu ruszyły w kierunku posterunku granicznego. Potwornie się bały, ale czuły, zwłaszcza Galina, że właśnie tak muszą zrobić, że takie jest ich przeznaczenie. Nie miały problemów z przekroczeniem umownej granicy, bo wstrzeliły się w zmianę Andrieja, starego przyjaciela rodziny, który mimo że przeszedł na stronę separatystów, był uczciwym i godnym zaufania człowiekiem. Matka poinformowała go o planach córek, a potem uściskały się przy zniszczonym przystanku autobusowym i jeszcze długo machały matce i bratu przez okno. Galina siedziała jak na szpilkach, blada i przerażona. Starsza o dwa lata siostra wydawała się trochę spokojniejsza, ale to mogło być tylko złudzenie, w każdym razie na granicy nikt nie zadawał im pytań, Andriej tylko przejrzał ich dokumenty, następnie spojrzał w oczy i kazał kierowcy jechać.

We Lwowie podjęły pracę, Galina na czarno w cukierni, Natasza w jednej z restauracji, gdzie poznała Maksyma, starszego od niej o dwanaście lat informatyka, do którego się przeprowadziły, bo w spadku dostał dużą kamienicę w centrum miasta. Z początku żyło im się dobrze, ale Galina wciąż marzyła o wyjeździe z kraju, najlepiej do Polski, o której we Lwowie mówili wszyscy i wszyscy tam jeździli. W końcu i ona postanowiła zaryzykować. Wgryzła się w rynek pracy, rozmawiała z nowo poznanymi koleżankami, miała już prawie osiemnaście lat i pragnęła brać z życia to, co najlepsze. Jedna z nich poleciła jej zarejestrowanie się na portalu randkowym, który umożliwiał łączenie w pary Polaków i Ukrainki, a że była nadzwyczaj urodziwą dziewczyną, natychmiast została zasypana propozycjami spotkania. Umówiła się z jednym, wcześniej długo pisali. Maciej pochodził z Krakowa, był przystojnym brunetem o niebieskich oczach i czytał Dostojewskiego, czym bardzo jej zaimponował. Podobno miał też swoją firmę transportową, ale to chyba nie była prawda, bo okazało się – choć pisał i mówił

zupełnie coś odwrotnego – że przyjechał tylko po to, aby się z nią przespać. Co gorsza, na fali emocji uległa mu i uprawiali seks przez całą noc, ale krótko po śniadaniu Maciej oświadczył:

– Muszę iść, bo dziś mam kolejną randkę. A potem jeszcze dwie, więc sorry.

– Ale jak… – zapytała zaskoczona.

– Chyba nie myślałaś, że my tak na poważnie. – Uśmiechnął się. – Masz potencjał, ale jesteś mało doświadczona, a nie lubię, gdy baba leży jak kłoda. W dupę też nie chciałaś, więc raczej nic z tego nie będzie. Może przypasujesz komuś innemu. Dzięki i na razie – dodał i wyszedł.

Poczuła się jak dziwka, ale uroniwszy tylko jedną łzę, zacisnęła zęby. Za dużo w życiu przeszła, żeby jakiś wypacykowany gnojek zniszczył jej marzenia. Umyła się i zasiadła do komputera, aby szukać pracy, przy okazji zerkała na swój profil randkowy, który niezmiennie grzał się do czerwoności. Nie zawsze będę miała pecha, pomyślała i postanowiła spróbować ponownie. Zaintrygował ją Nikodem, mężczyzna z Zielonej Góry, o której do tej pory nie słyszała. Kiedy sprawdziła na mapie, to przestała facetowi odpisywać. Był jednak uparty jak osioł, pisał jej piękne wiersze, próbował nawet sklecić coś po ukraińsku, co średnio mu wychodziło, ale ją urzekło. Do tej pory większość facetów wysyłała dość proste, acz treściwe sygnały, najbardziej bezpośredni fotografie swoich sterczących przyrodzeń i tych od razu usuwała. Inni trochę się krygowali, ale tylko trochę, zwykle szybko wchodzili na intersujące ich tematy, a te zwykle krążyły wokół seksu. Dostrzegła, że do tej grupy najczęściej zaliczali się młodzi mężczyźni z miast leżących najbliżej granicy z Ukrainą bądź z tych, które miały bezpośrednie połączenia lotnicze ze Lwowem, wydedukowała więc, że przyjazd bądź przylot traktują jak swoisty wypad na sekswakacje. Nikodem był inny. Zamęczał ją prawie trzy tygodnie, ale raczej w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Nie chwalił się zdjęciami sześciopaku i tymi z dłonią na kierownicy swojego mercedesa albo innego samochodu z górnej półki, za to pisał, pisał i pisał, wręcz zamęczał ją długimi esejami o życiu i tym, co jest w tym życiu ważne. Dopiero po tygodniu przyznał, że wychowuje małego synka, a on sam jest wdowcem, bo żona zmarła na raka. Gdy obiecał, że prześle jej tysiąc złotych, aby do niego przyjechała, a później po prostu je wysłał, ot tak, w zwykłej kopercie, pomyślała, że da mu szansę. Zorganizowała wizę, wsiadła w pociąg i przyjechała do Zielonej Góry.

Zachwycona Nikodemem była z półtorej godziny, bo po wypitej w ogródku kawie źle się poczuła i w samochodzie usnęła. Obudziła się przykuta do ściany z opaską na oczach i kneblem w ustach. Nigdy więcej swojego niedoszłego partnera już nie widziała, ale po nieokreślonym czasie, akurat wystarczającym, aby zrozumiała, w jakim położeniu się znajduje, do piwnicy weszła kobieta w czarnej peruce i z papierosem w ustach. Miała surowe rysy i wredne spojrzenie, którym w mało wyszukany sposób zlustrowała nową pracownicę.

– Śliczna jesteś, ale… – górna warga kobiety uniosła się lekko – …przejdziesz drogę jak każda inna – powiedziała, a potem wyszła i po kilku minutach przyprowadziła ze sobą dwóch napakowanych i wytatuowanych drabów, którzy przez kolejne trzy dni brutalnie ją gwałcili. Czwartego dnia, gdy już wypłakała wszystkie łzy, Pani – bo tak nakazała do siebie mówić kobieta w peruce – odwiedziła ją sama i powiedziała: – To nic osobistego, Galino. Potraktuj to jako standardową procedurę. Lepiej na początku zaznać najgorszego, niż później kręcić nosem na klientów. Zaczniesz od samego dołu, ale masz potencjał. Nie zmarnuj go. Od jutra zaczynasz dla mnie pracę.

W ten sposób Galina Buriak wylądowała na wylotówce z Zielonej Góry, a dokładnie na leśnym parkingu, który stał się jej całym światem. I gdy myślała, że już nic gorszego w życiu jej nie spotka, los zadrwił z niej bardziej, niż mogłaby się tego spodziewać.

Gdy usłyszała, że drzwi piwnicy się otwierają, wstrzymała oddech. Na oczach miała opaskę, a w ustach knebel. Różniły się od tych z sutereny Pani jedynie tym, że nie cuchnęły stęchlizną. Jej oprawca zapalił światło i przez delikatnie prześwitujący materiał dostrzegła zarys jego sylwetki. Nerwowo przełknęła ślinę. Ten człowiek przerażał ją bardziej niż Pani i jej zbiry razem wzięci. Po prawdzie marzyła, aby teraz tu przyszli i dobrali mu się do skóry.

Dlaczego na to pozwolili? Jakkolwiek by to brzmiało, ich zadaniem było ją chronić, a wszystkich niepokornych klientów surowo karać. Tymczasem ona siedziała tu już trzecią dobę. Wciąż czuła pulsujący ból obandażowanych nadgarstków. Wciąż słyszała echo swojego skowytu i cichy odgłos sączącej się krwi, skapującej wprost do podsuniętej szklanki.

Dlaczego? – powtarzała w myślach. Dlaczego mi to robisz? Dlaczego mnie nie wypuścisz? Co ja ci takiego zrobiłam? Nie wyartykułowała żadnego z tych pytań. Nie miała odwagi.

Gdy ciszę rozdarł świdrujący odgłos wiertarki, poczuła, jak po udach cieknie jej ciepły mocz.

ROZDZIAŁ 14

Artur Kłos poluzował krawat i odchylił się na krześle, które pod jego ciężarem lekko zaskrzypiało. Miał mętlik w głowie. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Od momentu gdy z radaru zniknął ten przemądrzały pierdziel Czarnecki, drzwi do kolejnych awansów stanęły przed nim otworem. Nikt już go nie pomijał, komendant był wobec niego w najgorszym wypadku obojętny, a chyba nawet trochę go lubił, Magiera zaś wyglądał na człowieka, przy którym, oczywiście gdyby odpowiednio nad nim popracował, mógłby się wybić. Teraz miał jednak mieszane uczucia.

Dlaczego nie zaufał mu przy tamtym śledztwie? Dlaczego go od niego odsunął i przekazał tej stołecznej pindzie? Z początku to mogło wydawać się nawet zrozumiałe, bo to, co wydarzyło się trzy miesiące temu na trasie do miasta, było czymś absolutnie niewiarygodnym. Sam musiał to odchorować, zanim zajął się śledztwem. Rozumiał, że świat jest okrutny i pełen podłości, ale takie coś? Magiera postawił na niego i w sumie powinien się cieszyć, ale wkurwiało go, że sprawę tamtej Białorusinki przejęła Zawadzka, mało tego, na ostatnim spotkaniu wyskoczyła z tekstem, że wpadła na jakiś nowy trop. Ta myśl go nie irytowała – ona doprowadzała go do szewskiej pasji.

Teraz dodatkowo włączył ją do śledztwa w sprawie kobiety znalezionej w lesie i jeszcze pozwolił na przesłuchanie tej drugiej w wariatkowie. Po jaką cholerę? Co mu strzeliło do głowy, aby łączyć oba te wątki? I dlaczego, do jasnej cholery, nie zamknął tej drugiej, skoro w spalonym samochodzie znaleźli komplet narzędzi, a kierowcą był wielokrotnie notowany bandyta? Nie mógł rozgryźć prokuratora. Niby dogadywali się dobrze, a on stawiał właśnie na niego, ale najwyraźniej do końca mu nie ufał. Ale czy w tej robocie komukolwiek można zaufać?

Prychnął, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak nieopierzony rekrut. W policji można było ufać jedynie sobie, dlatego zawsze pracował sam. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga, wobec czego dojadł

leżącą na blacie biurka kanapkę i wstał z krzesła. Pomyślał, że po drodze do wyjścia zajrzy jeszcze do młodego. Gdy godzinę temu wychodził z kibla i mijał pokój, w którym do spółki ze Szczurem urzędował Kruszwica, przy jego biurku wciąż świeciła się lampka, a na stole stała parująca kawa. Sierściuch pewnie chciał się wykazać, więc Kłos pomyślał, że trochę się nad nim poznęca. Zajrzał przez uchylone drzwi. Młody rzeczywiście ślęczał nad ekranem laptopa.

– Cześć, Mściwoju – przywitał się tonem, w którym baczny obserwator mógł wyczuć nutę drwiny. Doskonale wiedział, że Mściwój jest czujny jak ważka.

– Cześć – odparł oschle Kruszwica. – Co tam?

– To ja się pytam, co tam? Co dziś zrobiłeś?

Aspirant powoli odwrócił się do Kłosa. Zrobił to w wyjątkowo flegmatyczny sposób, w którym przebijała taka sama drwina, jak przed chwilą w tonie Kłosa. Komisarz odebrał to jako afront, ale powstrzymał się przed zganieniem chłopaka. Trudno mu było przyznać to przed samym sobą, ale trochę się go bał. W zasadzie nie było na komendzie policjanta, który nie czułby respektu przed Kruszwicą. Dwanaście medali mistrzostw Polski, Europy i świata w kick-boxingu, a potem jeszcze kilkanaście oficjalnych wygranych pojedynków na macie nie pozostawiało złudzeń, kto wyszedłby zwycięsko ze starcia jeden na jeden.

– Przesłuchałem tego strażnika leśnego, tak jak nakazał prokurator – odparł ze stoickim spokojem. Ledwo wyczuwalny nacisk na słowo „prokurator” również miało swój wydźwięk.

– No i co?

– Okazało się, że w pobliżu miejsca, gdzie sprawca zakopał zwłoki, niedawno zrzucano śmieci, a dodatkowo ciągnie się tam dukt leśny, którym przemieszcza się zwierzyna, w tym dziki.

– A jaki to ma związek z naszą sprawą?

– Żywotny.

– To jakieś kalambury czy jaki chuj? – warknął Kłos. – Możesz mówić jaśniej, do kurwy nędzy?

– Oczywiście.

Kruszwica stracił zainteresowanie komisarzem i z powrotem odwrócił się w kierunku swojego komputera. Kłos aż poczerwieniał ze złości, ale nie odważył się przekroczyć tej granicy, którą stworzył sobie aspirant, i zamilkł. Już chciał trzasnąć drzwiami i wyjść, gdy na monitorze dostrzegł

kilkadziesiąt ikonek z plikami graficznymi. Kruszwica powoli zaznaczył kilkanaście, a następnie uruchomił stworzoną naprędce galerię.

– Co to jest? – Kłos nachylił się z zaciekawieniem.

– Tu mamy lisa, a tu rodzinkę dzików. Fajne, co?

Na te słowa Kłos wyprostował się i spojrzał z góry na niższego rangą kolegę. Najchętniej przetrąciłby mu ten kudłaty łeb, ale rozumiał, że to nie był najlepszy pomysł. Zamiast tego wbił w niego surowe spojrzenie.

– Co ty, młody, w chuja ze mną lecisz czy… – zaczął, ale nie dokończył.

– A tutaj, o, w prawym górnym rogu z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że znajduje się samochód sprawcy – wtrącił się aspirant i odgarnąwszy grzywkę, odchylił się na oparcie krzesła.

– Cooo?!

– Zdjęcia są słabej jakości, ale model da się rozpoznać. Stawiam na renault kangoo, choć dla pewności wysłałem to do grafików. Podobno da się z tego wyciągnąć więcej.

– Jakim, kurwa, cudem… – Kłos zamilkł, zdając sobie sprawę, że w jego ustach nie brzmi to w tej chwili najlepiej.

– Podczas przesłuchania strażnik przypomniał sobie, że w okolicy zamontowano kilka fotopułapek na zwierzynę i tych gnojków z okolicznych wiosek, co wywalają śmieci do lasu. Poprosiłem go o nagrania z trzech ostatnich nocy. Działają na czujnik ruchu i…

– Wiem, kurwa, jak działają fotopułapki! – warknął Kłos.

– To po chuj się tak dopytujesz? – odwarknął Kruszwica. – Wszystko jest w raporcie, który przed chwilą wysłałem do Magiery. A teraz spierdalaj.

Aspirant wbił przenikliwe spojrzenie w stojącego nad nim komisarza. Przez dłuższą chwilę wwiercał się w jego źrenice z przekonaniem o swojej wyższości. Kłos poczuł, jak zalewa go fala wściekłości. W środku się gotował, ale tak naprawdę nie mógł nic zrobić, bo akurat przy tej sprawie nie był jego bezpośrednim przełożonym. A nawet jakby był, to nie miał żadnych świadków. Zacisnął zęby, w końcu spuścił wzrok i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Na zewnątrz zapalił papierosa. Zaciągnął się kilka razy, próbując uspokoić nerwy. Kruszwica go zaskoczył. Nie spodziewał się, że młody pozwoli sobie na tak frontalny atak. Bo to, kurwa, był atak. Wymierzony bezpośrednio w niego. Nie mógł tego tak zostawić. Wyciągnął telefon i odnalazł odpowiednią osobę. Nie ma takiego numeru, usłyszał i znów zaklął.

Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, po czym szybkim krokiem ruszył do samochodu. Przez miasto przeleciał jak francuski TGV i już po kwadransie znalazł się na parkingu za miastem. Swego czasu bywał tu często, ale dwóch stojących przy drodze dziewczyn nie znał. W tej chwili nie miało to jednak większego znaczenia. Mrugnął światłami i jedna z nich podeszła do samochodu.

– Na co masz ochotę, kotku? – zapytała łamaną polszczyzną.

– Wsiadaj – polecił.

– Stówka za loda, dwie za ruchanko.

– Wsiadaj, mówię – powtórzył.

– Napalony jesteś, kotku. Jak dołożysz trzecią, to dam ci w żopu.

Kłos otworzył drzwi od strony pasażera. Dziewczyna obeszła samochód, kręcąc biodrami, i wsiadła do środka. Rzucił jej przelotne spojrzenie. Musiała być nowa, bo nie kojarzył jej twarzy. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, długie kruczoczarne włosy i spore cycki. Poczuł przypływ żądzy, więc czym prędzej włączył silnik i zjechał głębiej w las. Zatrzymał się w tym miejscu co zwykle, koło niewielkiego młodnika. Zgasił światła, wyciągnął ze schowka fajki i włożył jedną do ust.

– Najpierw dziengi – powiedziała.

Zapalił papierosa i wydmuchnął dym przez okno, a chwilę później zaczął rozpinać rozporek.

– Najpierw dziengi – powtórzyła roszczeniowym tonem.

– Zamknij się i rób lachę – warknął.

– Jak nie zapłacisz, to zaraz zadzwonię po…

– Po Zbycha zadzwonisz, jak opierdolisz mi gałę. A teraz do roboty.

ROZDZIAŁ 15

– Możemy udawać, że jesteś pacjentem – powiedziała Zawadzka, popychając wózek.

– Dowcip ci się wyostrzył, co? – odburknął Brudny i mocno szarpnął kołami, aby wyrwać się partnerce.

Dochodziła ósma rano. W powietrzu unosił się zapach igliwia i żywicy, a dookoła otaczał ich sosnowy las poprzetykany dwupiętrowymi budynkami o zielonej elewacji i skośnych dachach. Do Wojewódzkiego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych wybrali się tuż po wschodzie słońca. Zawadzka wpadła tylko do prokuratury, żeby odebrać z biura Magiery dokument uprawniający ją do przesłuchania świadka, a następnie popędzili do oddalonego o nieco ponad trzydzieści kilometrów Ciborza.

W nocy oboje spali kiepsko. Świadomość, że kobieta z tamtego wypadku może być poszukiwaną siostrą Justyny Klepackiej, nie pozwalała im zasnąć. Gdyby tak było, czysto teoretycznie Brudny mógłby sobie pogratulować, bo nie ruszając się z domu, już drugiego dnia zdołał rozwikłać – oczywiście ze sporą pomocą Julki – zagadkę zaginięcia Malwiny, ale ta informacja bynajmniej nie należała do dobrych.

– To jest to połączenie. – Klepacka przekazała im swój smartfon. – Trwało tylko osiemnaście sekund. Szeptała, ale jestem pewna, że to była ona. A potem usłyszałam wkurzony męski głos, odgłosy szarpaniny, jakiś zgrzyt i połączenie zostało przerwane.

Datę wypadku Julka miała wyrytą w pamięci. Gdy ujrzała, że pokrywa się z tą na wyświetlaczu smartfona Justyny, z trudem pohamowała się, żeby nie zakląć. Brudny przyjął to ze spokojem, w swoim stylu, ich spojrzenia spotkały się tylko na chwilę. Nie mogli się zdradzić, najpierw musieli się upewnić. Czysto teoretycznie to mógł być zbieg okoliczności, ale oboje, nie tylko z racji wykonywanego zawodu, w takowe nie wierzyli.

Potem wyszli na taras i gdy upewnili się, że Justyny nie ma w pobliżu, podjęli temat. Zawadzka od razu wykonała telefon do Magiery i przypo-

mniała mu, żeby zostawił jej podpisane papiery. Do Ciborza przyjechali przed czasem, bo prowadzący interesującą ich pacjentkę doktor Waldemar Gruszczyński zaczynał zmianę o ósmej, a przed chwilą oznajmił, że się spóźni, bo okazało się, że na parkingu pod domem złapał gumę i musi wymienić koło.

Szpital leżał nad urokliwym jeziorem Ciborze. Teren, na którym się mieścił, był ogromny. Przypominał małe miasteczko złożone z ponad siedemdziesięciu dwu-, czasem trzykondygnacyjnych budynków, w których znajdowały się oddziały, począwszy od tych dla osób uzależnionych od narkotyków czy leków, przez opiekuńcze dla schorowanych seniorów, kończąc na tych dla pacjentów chorych psychicznie. Bloki przeznaczone dla tych ostatnich różniły się od pozostałych głównie tym, że okna były zakratowane, co mocno kontrastowało z panującym tu sielskim klimatem. Wokół wielu budynków utworzono ogródki, na rozwieszonych pomiędzy drzewami linkach suszyło się pranie, a w punktach przeznaczonych do relaksu stały ławeczki z dużymi popielnicami i wyznaczonymi miejscami na ogniska. Pomimo wczesnej pory po okolicy spacerowało sporo osób, niektórzy pacjenci w towarzystwie pielęgniarek, prowadzeni w wózkach bądź po prostu pilnowani, zapewne po to, aby czegoś nie wywinęli. Inni najwyraźniej mieli więcej swobody, bo chodzili po terenie szpitalnym bez obstawy, a dwóch młodych mężczyzn maszerowało nawet z wędkami w rękach, radośnie pogwizdując. Miejsce to było całkowitym zaprzeczeniem stereotypowego wyobrażenia szpitala psychiatrycznego, typowego molocha z czerwonej cegły, ogrodzonego i zamkniętego dla ludzi z zewnątrz. Nikt ani razu nie zwrócił na nich uwagi.

Zatrzymali się przy budynku oznaczonym numerem czterdzieści osiem. To w nim miała przebywać niezidentyfikowana pacjentka po wypadku. Kilka metrów od parkingu, pośród rosłych sosen, znajdowały się cztery odrapane z farby ławki. Zawadzka usiadła na jednej z nich, Brudny podjechał, ale pozostał na wózku. Zapalili.

– Co dokładnie mówił ten konował? – zapytał Igor, zaciągając się mocno.

– Nie konował, tylko lekarz psychiatra. Podobno świetny specjalista – zripostowała Zawadzka.

– Niech ci będzie. Co mówił ten lekarz psychiatra?

– Że raczej nie mamy co liczyć na nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu. Pacjentka jest w stanie katatonii. Wspominał coś o dysocjacji, stuporze,

katal… no wiesz… że w ogóle się nie rusza.

– To się nazywa katalepsja.

– A ty niby skąd znasz taką terminologię? – Julka ściągnęła brwi.

– To zesztywnienie mięśni powodujące znieruchomienie i bierne utrzymywanie pozycji wbrew sile grawitacji. Poza tym do objawów zespołu katatonicznego zalicza się także między innymi mutyzm, negatywizm, giętkość woskową i… – Brudny znów się zaciągnął – …jeszcze parę innych rzeczy. Chcesz, żebym to rozwinął?

– Mądrala… – prychnęła.

– Przed wyjazdem zajrzałem do Wikipedii – odburknął z wyczuwalną drwiną w głosie.

– A co ty, kurwa, masz pamięć fotograficzną?

– Gdy zasnęłaś, po prostu trochę sobie poczytałem. Printshoty też zrobiłem.

– Screenshoty, mój drogi. – Julka triumfalnie nachyliła się do partnera. – Screenshoty, a nie printshoty, panie mądraliński.

Brudny zignorował ostatni przytyk. Do tej pory nie miał zbyt wiele do czynienia z ludźmi w stanie daleko zaawansowanej katatonii. Owszem, w życiu spotkał się z zachowaniami dyssocjalnymi, choćby w sierocińcu. Zresztą w pewnym sensie sam należał do ludzi z osobowością aspołeczną, ale swoje emocje potrafił kontrolować. Bywało, że w klasztorze hieronimek natykał się na kolegów, którzy po wizycie u księdza wpadali w pewien rodzaj katatonii, czasem tracili kontakt z rzeczywistością, bujali się jak wańki-wstańki albo wpadali w stan odrętwienia, nigdy jednak nie miał styczności z kimś, z kim kontakt został ograniczony niemal do zera. Jeśli to była Malwina Klepacka (a wiele na to wskazywało), to nie mogła mieć schizofrenii paranoidalnej czy innej choroby umysłowej, która prowadziła do takiego stanu. Jej siostra nawet się na ten temat nie zająknęła, a objawów takiej choroby nie da się, ot tak, ukrywać przez lata. Co zatem musiało spotkać tę młodą kobietę?

Wzdrygnął się, gdy w niedalekich szuwarach jakiś ptak poderwał się do lotu. Zerknął na zegarek. Ósma szesnaście. Ileż można wymieniać koło w samochodzie?

– Prokurator wie, że tu jestem? – zapytał.

– Nie, ale jakby co, to wzięłam cię w roli eksperta.

Pomyślał, że Julka czyta mu w myślach. Co prawda nie nazwałby się ekspertem, ale swoje przeżył. Widział wiele zła i tego, co to zło może zro-

bić z umysłem młodego człowieka.

Sięgnął po butelkę z wodą wciśniętą w schowek przytroczony do wózka. Otworzył i dał partnerce. Zawadzka pociągnęła dwa łyki. Oddając mu, zerknęła przez ramię, skąd nadjeżdżało czarne volvo. Jedno koło wyraźnie nie pasowało do pozostałych.

– Jest – oznajmiła i zgasiła ledwo co zapalonego papierosa w popielniczce.

Brudny dopił resztkę i wyrzucił butelkę do śmietnika, po czym okręcił się na wózku i ruszył w stronę budynku. Poczekali, aż doktor Gruszczyński zaparkuje samochód, i przywitali się z nim. Miał silny uścisk dłoni, jak na mężczyznę o jego posturze przystało. Blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i przynajmniej sto kilo wagi, lekki brzuszek, kilkudniowy rudy zarost, blisko osadzone oczy taksujące ich przenikliwym spojrzeniem, w uchu – co kompletnie do niego nie pasowało – złoty kolczyk. Brudny zastanawiał się, czy już od pierwszych chwil facet próbuje wniknąć w jego psychikę. A jeśli tak, to jakie wyciąga wnioski.

Doktor zaprosił ich do swojego biura, gdzie najpierw zrobił wszystkim kawy. Sam pił mocną, czarną i bez cukru, więc Brudny pomyślał, że przynajmniej jedną rzecz mają wspólną. Następnie pobieżnie przejrzał pocztę i włączył laptop. Upił łyk kawy.

– Czy mogę zobaczyć upoważnienie od prokuratora? – zapytał urzędniczym tonem.

Zawadzka dała mu papier, który wnikliwie przeczytał. Nie było w nim słowa o Brudnym, ale Gruszczyński tylko rzucił mu lakoniczne spojrzenie i oddał dokument. Bez wątpienia wiedział, z kim ma do czynienia, i gdyby się uparł, mógł wskazać mu drzwi, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

– Od czego zaczynamy? – zapytał, splatając palce. – Nie ukrywam, że chciałbym mieć to jak najszybciej za sobą, bo czeka mnie mnóstwo pracy, a do tego dziś przyjeżdżają dwaj nowi pacjenci, których nie mam gdzie wcisnąć.

– Chcemy zobaczyć pacjentkę – odparła bez namysłu Zawadzka.

– Najpierw muszę się upewnić, że to w ogóle możliwe. W stanie pobudzenia bywa agresywna. Tymczasem proszę dopić kawę, bo procedury nie pozwalają wnosić gorących napojów na oddział zamknięty.

Zawadzka chciała zapytać o coś jeszcze, ale doktor uciszył ją, unosząc dłoń. Nacisnął guzik w starym telefonie, podniósł słuchawkę i zamienił kilka zdań z kimś, kto najprawdopodobniej opiekował się pacjentką pod-

czas jego nieobecności. Z rozmowy wywnioskowała, że nie musi spodziewać się większych problemów, bo Gruszczyński głównie przytakiwał, od czasu do czasu przeciągając palcami po zaroście. W końcu odłożył słuchawkę, wyszukał w szufladzie interesującą go dokumentację i uśmiechnął się sztucznie.

– Zapraszam na oddział – powiedział i podniósł się z krzesła.

Brudny odstawił kubek z kawą i ruszył za nim, Zawadzka na końcu. Skierowali się do windy i zjechali piętro niżej. Drzwi na oddział były zamknięte na klucz, a z korytarza za nimi dochodził specyficzny harmider. Otwierając je, doktor posłał im niejasne spojrzenie, po czym zaprosił do środka.

Korytarz oddziału dla najcięższych przypadków przypominał każdy inny w państwowym szpitalu. Nie był odnawiany i farba na ścianach mogła zostać położona jeszcze za czasów PRL-u, gdzieniegdzie można było się natknąć na jakieś rysy czy wyłupane fragmenty betonu, ale ogólnie w środku było czysto i schludnie. Po korytarzu niosły się odgłosy rozmów, choć wprawne ucho mogło wychwycić, że nie brzmiały tak jak te na ulicy czy w knajpie. Charakteryzował je chaos, jakby dochodziły znikąd i donikąd płynęły, jakby nie miały konkretnego adresata. Brudny pomyślał, że to trochę upiorne.

Doktor zatrzymał się przy trzeciej salce. Komisarz zajrzał przez uchylone drzwi. Przy jednym z łóżek stał postawny pielęgniarz, który swoim ciałem zasłaniał widok leżącego na nim pacjenta. Brudny zmarszczył brwi, gdy zobaczył drżące stopy i rzemień przerzucony na wysokości łydek.

– Jak tam pan Miecio? – zapytał pielęgniarza Gruszczyński.

– Znów szaleje. W zasadzie nic takiego, ale miał atak i musieliśmy go przypiąć. Irena właśnie dała mu zastrzyk.

Irena była kobietą po czterdziestce. Miała włosy związane w kok i biały, luźno wiszący fartuch. Twarz kanciastą, ale o szlachetnych rysach, z wyraźnie ostrzykniętymi kwasem hialuronowym ustami, może nawet za bardzo. Akurat chowała zużytą strzykawkę, gdy nagle przekręciła głowę i rzuciła Brudnemu kose spojrzenie. Jedno oko miała mocno przekrwione, jakby pękły jej wszystkie naczynka.

– Dobrze się składa, że ma pani dziś zmianę, pani Ireno – oznajmił Gruszczyński, zerkając ponad ramieniem pielęgniarza. – Przez najbliższy kwadrans proszę nie opuszczać oddziału. Będę chciał panią poprosić.

– Oczywiście – rzekła oschle i wyszła z sali.

Gdy mijała ich w wejściu, owiał ich niemal gryzący zapach silnych kwiatowych perfum. Był tak ostry, że Zawadzka aż się skrzywiła. Brudnemu drgnęła powieka, gdy przypomniał sobie, skąd go kojarzy. Taki sam roztaczała Eliza, właścicielka Ostrogi, klubu BDSM pod Warszawą, oraz prokurator Arleta Winnicka, z którą swego czasu łączyły go więcej niż tylko służbowe stosunki.

– Black Opium, Yves Saint Laurent. Zapach dla silnych kobiet, które wiedzą, czego chcą w życiu – powiedziała mu ta druga, gdy pewnego wieczoru odwiedził ją, aby wyjaśnić pewną ważną kwestię. Pamiętał też, że chwilowo sytuacja wymknęła się wtedy spod kontroli, do czego nigdy nie przyznał się Julce. Wzdrygnął się na samą myśl. Arlety już z nimi nie było. Tę tajemnicę zabierze ze sobą do grobu.

– A pan, panie Przemku – doktor mówił dalej, tym razem zwracając się do barczystego pielęgniarza. – Niech pan jeszcze chwilę popilnuje pana Miecia. Przynajmniej do momentu aż zaśnie.

Mężczyzna kiwnął głową i coś zapisał. Doktor rzucił ostatnie spojrzenie na coraz mniej drgające ciało pacjenta i wyszedł z powrotem na korytarz. Skinął reką, aby ruszyli jego śladami. Po drodze minęli jeszcze parę kilkuosobowych sal. Brudnemu mignęły postaci w piżamach: dwóch mężczyzn grających na łóżku w karty, starsza kobieta nucąca piosenkę i młodsza, trzymająca lalkę tak, jak trzyma się niemowlę. Obok tej ostatniej filigranowa pielęgniarka podlewała stojące na parapecie kwiaty.

W końcu dotarli do drzwi, które bardziej przypominały te znane mu doskonale z aresztów czy więzień. Były dużo solidniejsze, a pośrodku znajdowała się niewielka szybka. Doktor zajrzał do wnętrza izolatki, a później zwrócił się do swoich gości.

– Pacjentka od trzech dni jest w fazie stuporu – oznajmił. – Nie ma z nią żadnego kontaktu.

Zawadzka zerknęła przez okienko, a później to samo zrobił Brudny, podniósłszy się z wózka. Dostrzegł siedzącą po turecku kobietę. Była odwrócona tyłem, ale nawet stąd widział, że nosi maskę. Wypłowiała piżama w różowe wzory mocno kontrastowała z krótkimi, upiornie rozsianymi po całej czaszce odrostami.

– Chcielibyśmy wejść i przyjrzeć się jej z bliska – oznajmiła Zawadzka.

– Muszę jednak ostrzec, że robicie to państwo na własne ryzyko. Do tej pory nie wiemy, co wywołuje u niej gwałtowne wybuchy emocji. Agresywnie reaguje zwłaszcza na jedną z naszych pracownic, panią Irenę.

– Tamtą pielęgniarkę?

– Tak. – Gruszczyński westchnął. – Staramy się znaleźć przyczynę, ale na razie pozostaje to dla nas zagadką – dodał i wyciągnął z kieszeni klucze.

Zamek zgrzytnął, doktor nacisnął klamkę i uchylił drzwi do izolatki. Cała trójka weszła do środka. Brudny poczuł nieprzyjemną woń środków czyszczących i czegoś, czego do końca nie potrafił nazwać. Mieszaniny potu i uryny? Co prawda w niewielkiej wnęce zamontowano muszlę klozetową i umywalkę, ale jeśli pacjentka znajdowała się w stanie stuporu, bardzo prawdopodobne, że mogła nieświadomie oddawać mocz, a nawet kał.

Wzrok Brudnego od razu przykuły odsłonięte dłonie i kark. Przełknął ślinę. Chwilę później objechał pacjentkę i spojrzał w jej nieruchome oczy. Wtedy doktor Gruszczyński ostrożnie odpiął, a następnie ściągnął pacjentce maskę. Komisarza przeszył lodowaty dreszcz.

ROZDZIAŁ 16

Prokurator Karol Magiera był mężczyzną w średnim wieku z wyraźnie zarysowanymi zakolami i odznaczającym się brzuszkiem. Zwykle chodził w garniturach, których miał siedem, tyle ile dni tygodnia, i regularnie je zmieniał, bo lubił wyglądać schludnie, zwłaszcza przed kamerami. Karierę zaczynał w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie wyrobił sobie opinię solidnego fachowca, po części dzięki współpracy z Romualdem Czarneckim, któremu wrodzony instynkt do łapania bandytów i charyzma pozwalająca odnaleźć się w każdym towarzystwie potrafiły zjednać absolutnie wszystkich, bez względu na opcję polityczną: począwszy od żółtodziobów, a skończywszy na komendancie.

W Gorzowie rozwikłali kilkanaście spraw, w dużej mierze dlatego, że Czarnecki dostarczał taki materiał dowodowy, że Magiera musiał już tylko złożyć do sądu akt oskarżenia gwarantujący wyrok skazujący. Ich relacje nigdy nie były zbyt zażyłe, po prostu każdy robił swoje, z tą różnicą, że to właśnie prokurator zbierał większość oklasków. W przeciwieństwie do Czarneckiego lubił występować przed kamerami, a ponieważ był wygadany i rozumiał, że warto dobrze żyć z mediami (nawet jeśli szczerze ich nie znosił), wyrobił sobie markę postrachu wszystkich zbirów, co zaowocowało przeniesieniem do Wrocławia, gdzie prokurator Magiera spędził blisko piętnaście lat, próbując – niekoniecznie równie skutecznie jak wcześniej – wsadzać przestępców za kratki.

Ku wielkiemu rozgoryczeniu Magiery jego kariera nie potoczyła się tak, jak sobie to zaplanował, co gorsza wyhamowała i marzenia o Warszawie rozpłynęły się niczym fatamorgana. W akcie desperacji bardzo zbliżył się do jednego z polityków rządzącej partii, niejakiego Jarosława Bola. Poseł ten od blisko dekady trząsł stolicą Dolnego Śląska, ale był wyjątkowo chciwym i złaknionym władzy człowiekiem, w związku z czym nieopatrznie zbyt mocno związał się z ludźmi o wątpliwej reputacji, których przeciętny mieszkaniec Wrocławia nazywał gangsterami. Ludzie ci zajmowali się

łamaniem większości paragrafów zapisanych w Kodeksie Karnym Rzeczypospolitej Polskiej, między innymi wymuszali sprzedaże działek po zaniżonej cenie, zwykle groźbami, które czasem wprowadzali w życie. Poseł Bol przymykał oko na ich przestępczą działalność, a ludzi skarżących się na wywłaszczanie nie słuchał albo wręcz zbywał, oczywiście nie za darmo, bo z każdej transakcji dwadzieścia procent trafiało na jego tajne konto na Kajmanach. I jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, znalazł się ktoś, kto zwęszył proceder, a że ten ktoś był młodym i ambitnym dziennikarzem śledczym marzącym o karierze w Warszawie, sprawy się skomplikowały. Chłopak pracował sumiennie i po kilku miesiącach dokopał się do dokumentów poświadczających zaniedbania ze strony posła Bola, jego bezpośrednią pomoc w przejmowaniu gruntów, a nawet dowody przelewów na już nie tak bardzo tajne konto na Kajmanach. Sprawa się rypła, a posłowie z partii rządzącej, biorąc pod uwagę ewentualne straty wizerunkowe, uznali, że lepiej rzucić kolegę na pożarcie, niż samemu zostać zjedzonym przez stado wygłodniałych dziennikarskich hien. Kariera posła Bola się skończyła, choć za kratki nie trafił, bo w tym kraju skorumpowani politycy nigdy za kratki nie trafiają, opuścił więc ukochaną ojczyznę i dzięki milionom zarobionym na przekrętach żył sobie w którymś z wyspiarskich krajów, popijając drinki i poklepując po tyłkach śniadoskóre kelnerki.

– A co ze mną? – zapytał go Magiera, krótko po tym, jak decyzja o wyjeździe z kraju już zapadła.

– A co mnie to obchodzi – odparł Bol i kazał mu więcej się do siebie nie zbliżać.

Prokurator znalazł się w sytuacji trudnej, żeby nie rzec beznadziejnej. Jego nazwisko wszystkim w mieście kojarzyło się z posłem Bolem, ale nikt nie wiedział, że Magiera nie miał pojęcia o tych wszystkich przekrętach, a przynajmniej nie chciał mieć, bo nigdy nie drążył tematu. I choć wpakował za kratki kilku morderców, mało kto o tym nie pamiętał. Wszyscy pamiętali za to jego zażyłe stosunki z posłem Bolem. Szybko okazało się, że prokurator Magiera jest persona non grata, wobec czego musiał schować dumę do kieszeni i gdy usłyszał o wakatach w Zielonej Górze, poprosił o przeniesienie. Świadomość, że były partner zdecydował się odejść na emeryturę, nie miała w tym wypadku większego znaczenia, ale fakt, że miasto to w ostatnim czasie znalazło się w centrum zainteresowania całego kraju, już owszem. Przyjęto go z otwartymi rękoma, bo chętnych do pracy w stolicy zbrodni nie było zbyt wielu. Każdy wiedział, że praca w zielono-

górskiej prokuraturze pod względem bezpieczeństwa i statystyk śmiertelności może konkurować z zawodem poławiacza krabów na Morzu Beringa.

Prokurator Magiera nie spodziewał się, że już w pierwszym roku los ześle mu taką szansę. Miał nadzieję, że wsadzenie za kratki „Wampira", który to przydomek – jak sądził – prędzej czy później trafi na pierwsze strony wszystkich ogólnopolskich gazet, portali internetowych i ramówek programów telewizyjnych, pozwoli mu wrócić do gry, a może nawet wspiąć się na szczyt. Oczami wyobraźni widział siebie brylującego w mediach, w blasku fleszy odbierającego nagrody od prokuratora generalnego, może nawet medal od samego prezydenta. Kto wie, może otworzyłby sobie drzwi do świata polityki?

Z zamyślenia wyrwało go głośne pukanie do drzwi. Wyobrażenia z pałacu prezydenckiego rozwiały się w jednej chwili.

– Wejść! – krzyknął.

Drzwi otwarły się i do gabinetu wkroczył Kłos.

– Cześć, Karol – przywitał się komisarz.

– No cześć. Coś taki narwany? Drzwi chcesz mi rozpierdolić?

– Mam ten samochód!

– To kangoo? – Prokurator spuścił wzrok na dokumenty. – Spóźniłeś się, Artur. Wczoraj wieczorem młody przesłał mi zdjęcia z fotopułapek. Co prawda kiepskie, ale może coś z tego będzie i…

– Mam kolor i numery blach.

Magiera z powrotem uniósł wzrok. Kłos rozgościł się na krześle po drugiej stronie biurka.

– Co prawda nie całość, ale rejestracja zaczyna się od FZ i ma dwie szóstki. I chyba jeszcze zero.

– Skąd…

– Mam swoje źródła. Chyba wiem też, kim jest ofiara.

Krótko po tym, jak poprzedniego wieczoru Bojka skończyła robić mu laskę, kazał jej zadzwonić do szefa. Szef nazywał się Zbychu i tak naprawdę był płotką, zwykłym alfonsem, który działał, bo Kłos tak właśnie dogadał się ze starą przyjaciółką z Wrocławia, choć słowo przyjaciółka może nie było najtrafniejsze. Grażyna Pawlicka od dwóch dekad była postrachem stolicy Dolnego Śląska, gdzie specjalizowała się w stręczycielstwie i handlu żywym towarem. Jej synalek, którego do Zielonej Góry zesłała w ramach kary, był tylko chudym, obwieszonym złotem frajerem, który myślał, że jest kimś więcej niż wrzodem na dupie. Kłos gardził nim,

ale wolał tolerować Zbycha niż kogoś, kto mógłby wejść na jego miejsce, w związku z czym – choć trochę go to wkurwiało – nie robił mu wyrzutów, że często zmienia numer. Przynajmniej miał powód, aby przy okazji sobie ulżyć. Układ między nimi, a w zasadzie między nim a jego matką, był natomiast prosty jak drut. Kłos mógł ruchać, ile chciał i kiedy chciał, ale za to przymykał oko na cały proceder, a do tego od czasu do czasu na jego konto wpadała jeszcze okrągła sumka. Piękna sprawa, jako że prostytucja była w Polsce legalna, a udowodnienie stręczycielstwa niezwykle trudne, w związku z czym sprawy powiązane z dziwkami nigdy nie należały do priorytetowych, mało tego, gliniarze często korzystali z ich usług, traktowali je też jako cenne źródło informacji na temat wydarzeń w mieście. W zasadzie nikomu – łącznie z mającymi lubieżne zapędy elitami – nie zależało, aby ten proceder wyeliminować, więc ten trwał i miał się świetnie, a krasnych dziewczyn nigdy nie brakowało, tak w mieście, jak na wylotówkach.

– Renault kangoo – powiedział, gdy poprzedniego wieczora Zbychu zjawił się na miejscu. – Nie wpadło wam ostatnio w oko?

– Wpadło, kurwa, wpadło – odparł alfons. – Szukamy skurwiela, bo jedną z dziewczyn nam podpierdolił. Ale jak go dorwiemy, to zapłaci za każdą godzinę. Albo gotówką, albo własną dupą.

To nie mógł być zbieg okoliczności. Kłos uznał, że nie musi jednak wtajemniczać Zbycha w szczegóły śledztwa. Informacja, że dziewczyna już dla niego nie zarobi, nie była mu w tej chwili do niczego potrzebna.

– Jak się nazywała? – zapytał, zapalając papierosa.

– Polina. Ciągnęła jak odkurzacz. Nigdy nie marudziła.

– Ukrainka czy Białorusinka?

– Białorusinka. Ale to nie wszystko, bo kilka dni temu zniknęła kolejna. Jeszcze lepsza, młodziutka. Galina się nazywa.

– Jak do tego doszło?

– Brzmi chujowo, wiem. Musiała być sama. Mogła też uciec, ale nie sądzę, żeby się na to odważyła.

– Kurwa mać… – Kłos podrapał się po brodzie, odcharknął i splunął na leśne poszycie. – Masz przy sobie ich papiery?

– A na chuj ci one?

– Gówno cię to obchodzi. Jak masz, to dawaj.

Zbychu rzucił komisarzowi kose spojrzenie, a jego górna warga uniosła się w nerwowym tiku.

– Więcej szacunku – burknął. – Jedziemy na tym samym wózku. Zapomniałeś?

– Szacunku, kurwa? – Kłos chwycił go za gardło. – Oczekujesz ode mnie więcej szacunku? – Zbychu złapał go za przegub, ale komisarz zdążył zacisnąć palce na jego gardle. – Mogę cię upierdolić w każdej chwili. Jesteś gównem, które przypadkiem przylepiło mi się do buta, i jeśli nagle zapragnę się go pozbyć, to zrobię to bez wahania.

– To nie ja…

Zbychu nie dokończył. Na jego korpusie wylądował szybki i silny cios, tuż pod żebrami, prosto w wątrobę. Jęknął i zgiął się wpół. Wtedy Kłos go puścił. Poprawił marynarkę, gdy alfons próbował złapać oddech.

– To była twoja dziewczyna – rzekł tonem pozbawionym emocji. – I lepiej nie próbuj grać ze mną w chuja, zrozumiano? – Nachylił się w kierunku zwijającego się z bólu mężczyzny. – To nie Wrocław i występujecie tu gościnnie. Ja rządzę na tym terenie. Taka jest umowa z twoją mamuśką, więc o tym nie zapominaj.

Takich jak Zbychu trzeba było trzymać za ryj, bo szybko się rozbestwiali. Pięć minut później wiedział już wszystko. Szary renault kangoo, metalic, na zielonogórskich blachach. Bojka zapamiętała, że na rejestracji były dwie szóstki i zero, choć co do zera to ręki by sobie uciąć nie dała. Klient był facetem przy kości, z dorodnym wąsem, twarzy opisać jednak nie mogła, bo miał duże ciemne okulary i trochę się krygował, co akurat nie wzbudziło jej podejrzeń, bo większość facetów korzystających z usług przydrożnych prostytutek robi wszystko, aby zachować anonimowość.

Te informacje w zupełności wystarczyły, aby przyćmić robotę, którą wykonał Kruszwica. Młody miał nieokreślony pojazd podobny do renault kangoo, on miał potwierdzoną markę, kolor i część numerów rejestracyjnych, dzięki którym będzie można zawęzić grono poszukiwanych do kilkunastu, najwyżej dwudziestu kilku samochodów. No i wszystko wskazywało, że ma dane personalne ofiary.

– Dobra robota, Artur – pochwalił komisarza prokurator i pokiwał z uznaniem głową. Zerknął na zegarek. – Jest siódma czterdzieści. Obdzwoń ludzi. Na dziewiątą chcę mieć wszystkich w komendzie.

– Jasne, szefie – przytaknął, z pełną premedytacją „szefem” łechcąc ego rozmówcy. – Złapiemy skurwiela szybciej, niż mu się wydaje.

Gdy Kłos wyszedł, Magiera zamknął oczy i z przyjemnością wrócił do pałacu prezydenckiego.

ROZDZIAŁ 17

– Chciałabym ją zobaczyć. Od pasa w górę – oznajmiła Zawadzka.

Doktor Gruszczyński posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie. Pacjentka siedziała po turecku, nie ruszała się, nawet nie mrugała i Brudny zastanawiał się, przez jak długi czas można nie mrugać. Jej błękitne źrenice nie reagowały na ruch, zdawały się jałowe, choć przecież wciąż tliło się w nich życie. Klatka piersiowa kobiety unosiła się rytmicznie, co było tego dowodem.

– Czy to konieczne? – zapytał lekarz.

– Tak – odparła Zawadzka.

W izolatce panował zaduch. Woń środków czyszczących drażniła górne drogi oddechowe. Gdy doktor uniósł rękę pacjentki, Brudny przetarł dłonią spocone czoło. Czuł się dziwnie, jakby znalazł się w klatce z dzikim zwierzęciem, w którym w każdej chwili może obudzić się morderczy instynkt. Miał nieodparte wrażenie, że kobieta nie jest całkiem otumaniona, że ich słyszy i widzi. Pacjentka nie zareagowała jednak w żaden sposób. Jej uniesiona przez doktora ręka pozostała w tej pozycji, w której ją puścił. Giętkość woskowa, pomyślał. To o niej czytał. Objawiała się w hipokinetycznej postaci stanu katatonicznego i polegała na tym, że ciało chorego można w swoisty sposób formować, kończyny jakby zastygały w nadanej pozycji, na podobnej zasadzie jak kończyny lalki. U tej pacjentki wyglądało to wyjątkowo upiornie.

Gdy ręce kobiety zostały już skierowane ku górze, doktor powoli, wciąż bacznie obserwując reakcje pacjentki, uniósł górną część piżamy. W końcu ściągnął ją zupełnie, po czym opuścił zdrętwiałe kończyny i oparł dłonie na kolanach. Odsunął się od nieruchomej kobiety.

Brudny głośno przełknął ślinę. Poczuł rozlewające się fale ciepła, jego serce przyspieszyło, a na skroni połaskotała go kropla potu. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że kiedykolwiek spotka się z czymś tak chorym i wynaturzonym. Mimo to

nachylił się, aby przyjrzeć się bliżej. Przez dłuższą chwilę analizował ciało kobiety, nerwowo zerkając od czasu do czasu na jej zastygłą twarz.

– Czy te… napisy… – Znów przełknął ślinę. – Czy mówiła coś o…

– Pacjentka nie mówi, komisarzu. Nie ma z nią żadnego werbalnego kontaktu.

Brudny wpatrywał się w kobietę z niezdrową fascynacją. Głowa była upstrzona rzadkimi odrostami, a skóra na całym ciele pokryta niezliczoną ilością blizn, które układały się w krótkie, aczkolwiek treściwe zdania. „Jestem kurwą” pojawiało się najczęściej. W niektórych miejscach dochodziły bardziej rozbudowane epitety w rodzaju „podła zdzira”, „bura suka” czy „jebana szmata”. Jedne zdania składały się z większych liter, inne z mniejszych, te „zapisane” maczkiem trudno było rozczytać. Na wewnętrznej stronie przedramion uwagę zwracały zgrubiałe blizny przypominające drabinkę, które sięgały aż po zgięcie w łokciu, tak jakby kobieta poprzecznie podcinała sobie żyły kilkadziesiąt razy, w niektórych miejscach tnąc po starych sznytach. Brudny po raz ostatni wbił wzrok w zastygłe oczy kobiety. Wtedy mrugnęła, a jej źrenice nieznacznie się poruszyły i na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Wzdrygnął się i natychmiast się wycofał.

– To niekontrolowana reakcja organizmu. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że mruga – wytłumaczył Gruszczyński, ale Brudny nie poczuł się przekonany. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że ta kobieta słyszy każde ich słowo. I wszystkie rejestruje.

– Ustalił pan, co konkretnie sprawiło, że pacjentka jest w takim stanie? – zapytała po dłuższej chwili Zawadzka.

Doktor wydął usta i pokręcił głową.

– Postawienie szczegółowej diagnozy w tak krótkim czasie wydaje się niemożliwe – odparł. – Czasem ocena szeregu zaburzeń trwa latami, ale u tej pacjentki… – Psychiatra nabrał powietrza w płuca i po chwili wypuścił je z sykiem. – Sami państwo widzicie, że to przypadek jedyny w swoim rodzaju. Absolutnie ekstraordynaryjny. Może gdyby udało się złapać tego, który jej to zrobił…

– A uszkodzenia mechaniczne? – przerwała Zawadzka. Nie miała czasu na zastanawianie się, co by było gdyby. – Czy wypadek mógł mieć na to jakiś wpływ?

– Kilka dni temu wysłałem wstępne ustalenia do prokuratury. Wyniki ostatniego rezonansu jasno wykazują, że mózg nie został trwale uszko-

dzony. Krwiak, którego nabawiła się podczas wypadku, już się wchłonął, a obrzęk zniknął. Teoretycznie powinna nastąpić poprawa, ale wszystko wskazuje na to, że jej stan nie ma zbyt wiele wspólnego z tym, co wydarzyło się na drodze.

Przez chwilę cała trójka milczała. W końcu doktor z powrotem włożył pacjentce piżamę, a chwilę później maskę. Nie zareagowała, biernie poddając się woli lekarza.

– Czy ludzie po takiej traumie w ogóle potrafią jeszcze wrócić do rzeczywistości? – zapytała Zawadzka, gdy Gruszczyński skończył ubierać kobietę.

– Po takiej? – Doktor z niesmakiem pokiwał głową. – Wiem, że moja odpowiedź nie zabrzmi zbyt profesjonalnie, ale nie mam zielonego pojęcia. Nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem. Nigdy nawet o takim nie czytałem. To, co musiała przeżyć ta kobieta, to horror w najczystszej postaci. Sam źle sypiam ze świadomością, że gdzieś tam może żyć i chodzić po ulicach człowiek, który jej to zrobił.

– Dorwiemy skurwiela – mruknął Brudny, ale doktor posłał mu tylko współczujące spojrzenie.

– Wspominał pan o tych okresach… – wtrąciła Zawadzka – …wzmożonej aktywności. Co powoduje, że pacjentka wybudza się z letargu?

– Trudno powiedzieć – odparł, przykładając dłoń do brody. Zmierzwił ją palcami, wciąż bacznie obserwując twarz siedzącej po turecku kobiety. – Czasem po prostu wstaje i zaczyna chodzić od ściany do ściany, aby znów za jakiś czas usiąść albo się położyć. Oczywiście staramy się regulować pewne rzeczy lekami, ale gdy zmniejszamy dawki, aby podjąć próbę nawiązania kontaktu, zaczyna zachowywać się zupełnie nieprzewidywalnie. No, powiedzmy… – Doktor urwał w pół słowa. – Może z jednym wyjątkiem…

– To znaczy?

– Mogę pokazać państwu nagrania. Jeśli tu skończyliśmy, to zapraszam do mojego biura.

Brudny posłał kobiecie ostatnie spojrzenie. Dałby sobie rękę uciąć, że jej źrenice znów drgnęły. Chwilę później wyszli, drzwi się za nimi zamknęły, usłyszał szczęk zamka. Sunąc za doktorem i Julką, nie mógł przestać o niej myśleć. Nie zdołał rozpoznać w niej Malwiny Klepackiej, w jej stanie to było po prostu niemożliwe, a ponieważ nie miała żadnych znaków szczególnych, było o to jeszcze trudniej. Nie mogli też wspomnieć o tej sytuacji

doktorowi, bo ten byłby zmuszony przekazać taką informację do prokuratury. Brudny nie odważyłby się przyprowadzić w to miejsce swojej klientki.

Po drodze Gruszczyński poprosił do biura spotkaną wcześniej pielęgniarkę. W windzie znów rozniósł się intensywny zapach jej perfum. Brudny odetchnął, gdy drzwi w końcu się rozsunęły. Chwilę później cała czwórka była już w gabinecie ordynatora.

– Pokażę państwu nagrania – oznajmił, gdy zasiadł do komputera. – Gdy tylko usystematyzuję pewne rzeczy i napiszę comiesięczny raport, trafią do prokuratury. To jest pani Irena Żukowska – powiedział, wskazując na pielęgniarkę. Brudny i Zawadzka skinęli jej głowami, a ona im. Doktor wciąż klikał w klawisze klawiatury. – Pani Żukowska zajmuje się pacjentką na zmianę z trzema innymi pracownicami. To normalna procedura, bo przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś musi pilnować naszych podopiecznych. Zwykle ich zachowanie w stosunku do pielęgniarek nie odbiega od ustalonych norm. Owszem, czasem zdarzają się zachowania niepożądane, ale po pierwsze rzadko, a pod drugie jesteśmy na nie przygotowani. Wyjątkiem jest relacja interesującej nas pacjentki z panią Żukowską. Wymyka się ona wszelkim schematom.

Gruszczyński obrócił ekran laptopa i nacisnął „enter”. Brudny i Zawadzka automatycznie zbliżyli się do ekranu, na którym można było dostrzec leżącą na łóżku kobietę. Nie ruszała się, ale nie spała. Miała otwarte oczy i patrzyła w sufit. Zamontowana w rogu pokoju kamera nie pozwalała dostrzec szczegółów twarzy, ale wydawała się spokojna. Wtedy w kadrze pojawiła się kobieta w kitlu, Brudny poznał ją po koku. Podeszła do łóżka i zaczęła grzebać przy kroplówce. W pewnym momencie nachyliła się nad pacjentką, wtedy została znienacka zaatakowana.

Pacjentka natarła na nią niczym rozjuszony szerszeń. Biła po twarzy, kopała, drapała. W pewnym momencie pielęgniarka upadła i chwyciła się za oko, w kadrze pojawiło się dwóch rosłych mężczyzn w fartuchach, którzy powalili szalejącą kobietę, a następnie dali zastrzyk, po którym jej ciało niemal natychmiast zwiotczało.

– To wtedy obecna tu pani Żukowska omal nie straciła oka – oznajmił Gruszczyński. – Na szczęście udało się je uratować, a pani Żukowska po miesiącu rehabilitacji wróciła do pracy.

– Często zdarzają się podobne sytuacje? – zapytała Zawadzka.

– Prawie w ogóle. Kontrolujemy naszych podopiecznych i wiemy, czego się po nich spodziewać. Interesująca nas pacjentka też zwykle jest spo-

kojna. Agresywnie reaguje jedynie na panią Żukowską. Po jej powrocie chcieliśmy sprawdzić, czy tamten wybuch był odosobnionym przypadkiem, ale okazało się, że pacjentka zachowuje się tak samo. Oczywiście tym razem się zabezpieczyliśmy.

Doktor włączył drugie nagranie, na którym kobieta, podobnie jak wcześniej, też leżała na łóżku i patrzyła w sufit, z tą różnicą, że tym razem była unieruchomiona grubymi pasami. Obok siedziała pulchna pielęgniarka i trzymała ją za rękę. Nagle wstała i wyszła, a jej miejsce zajęła Żukowska. Nie zdążyła nakryć jej dłoni, bo reakcja pacjentki była błyskawiczna. Zaczęła się wyrywać, trząść i panicznie krzyczeć. Wyglądało to wyjątkowo upiornie.

– Próbowaliśmy jeszcze dwa razy – powiedział psychiatra, wcześniej wciskając pauzę. – Za każdym razem pacjentka zachowuje się identycznie. Na widok pani Żukowskiej wpada w amok.

– Nie wiemy, z czego to wynika, choć mamy kilka hipotez – włączyła się do rozmowy opiekunka. Miała lekko zachrypnięty, podchodzący pod męski tembr głosu. – Na razie jesteśmy…

– Tu się może zatrzymajmy. – Gruszczyński powstrzymał ją ruchem dłoni. – To tylko przypuszczenia i…

– My pracujemy, bazując na przypuszczeniach – mruknął Brudny.

– Akurat pan, panie komisarzu, wygląda mi na człowieka korzystającego z L4. To tak na marginesie…

Brudny nie skomentował. Nie miał argumentów. I tego właśnie w swojej sytuacji nienawidził najbardziej. Zawadzka uśmiechnęła się krzywo.

– Czy jeśli potwierdzi pan swoje przypuszczenia, to mogę liczyć, że… – zaczęła, ale doktor nie dał jej dokończyć.

– Raport wyślę do prokuratury w przyszłym tygodniu – oznajmił. – A teraz proszę wybaczyć, ale mam sporo pracy.

Brudny wydusił z siebie „dziękuję” , a potem „do widzenia”, posłał jeszcze krótkie spojrzenie pielęgniarce, po czym wspólnie z Zawadzką opuścił gabinet doktora Gruszczyńskiego. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, zadzwonił jej telefon. Odebrała i zerknęła na zegarek.

– Będę na miejscu za pół godziny – rzuciła do słuchawki i się rozłączyła.

– Kto to? – zapytał.

– Kłos – burknęła z niechęcią. – Magiera zwołał nieplanowane zebranie. Coś musiało się wydarzyć.

– Brzmi dobrze.

Chwilę później wdrapali się do patrola, Brudny nie bez problemów. Gdy partnerka uruchomiła silnik, znów przyszło wkurwienie na samego siebie, najgorsze z możliwych, bo wynikające z bezradności. Kiedy jechali wijącą się pośród lasów wąską asfaltówką, komisarz pomyślał, że tak dalej być nie może. Dziś na treningu da z siebie wszystko. Albo jeszcze więcej.

ROZDZIAŁ 18

– Jestem skonana.

Zawadzka rzuciła kluczyki na komodę i podeszła do lodówki, z której wyciągnęła butelkę piwa.

– Schabowe? – zdziwiła się, ściągając zapalniczką kapsel. Kilka kotletów przykrytych folią na jednej z półek prosiło się, aby je zjeść, a że nie miała tego dnia w ustach za wiele, od razu wyciągnęła jednego i wcisnęła w rozkrojoną szybciutko bułkę.

Brudny przyglądał się swojej partnerce z fotela. Przez cały dzień nie dzwonili do siebie. Uznał, że nie chce zaprzątać sobie głowy prowadzonym przez nią śledztwem i skupi się na swoim. Miał złe przeczucie, ale nie był w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy kobieta w izolatce jest siostrą jego klientki. Skrajnie wychudzona, poorana zgrubiałymi bliznami od stóp do głowy, prawie łysa, jedynie z kępkami krótkich odrostów na nielicznych nieokaleczonych fragmentach czaszki nie przypominała kobiety, a co dopiero konkretnej osoby, zwłaszcza zjawiskowej dziewczyny ze zdjęć. Zgadzał się kolor oczu i to w zasadzie tyle.

– Co myślisz? – zapytała Zawadzka, gdy mijali bramę szpitala.

– Nie wiem – mruknął.

– To jakiś koszmar, Igor. Nigdy nie myślałam, że coś takiego…

– Ja też nie – uciął. – Jedyna rozsądna opcja to pobrać próbkę DNA od Justyny i porównać z materiałem genetycznym tej kobiety.

– To akurat nie powinien być wielki problem.

– I dlatego tak właśnie zrobimy.

Najprostszym wyjściem z sytuacji było przyprowadzenie Justyny na identyfikację, ale to było wykluczone z kilku powodów. Po pierwsze, na taką wizytę musiałby wyrazić zgodę prokurator, co w obecnej sytuacji wydawało się mało prawdopodobne, po drugie, gdyby Julka o to zawnioskowała, musiałaby to solidnie uargumentować, a wciąż nie mieli twardych dowodów, po trzecie, nawet gdyby Magiera łaskawie przychylił się do

takiego wniosku, to i tak pewnie zajęłoby to przynajmniej kilka dni. W końcu po czwarte, Brudny wcale tego nie chciał. Najzwyczajniej, po ludzku, nie wyobrażał sobie wystawiać swojej klientki na taką traumę.

– Masz go? – zapytała Zawadzka, zapijając piwem kolejny kęs bułki ze schabowym.

Brudny wyciągnął z kieszeni woreczek strunowy. W środku znajdowała się kępka włosów, którą krótko po treningu z Wojtkiem zebrał w łazience ze szczotki Justyny. Wręczył go Julce.

– Anka trochę marudziła, ale ostatecznie obiecała, że się tym zajmie – powiedział. – Nie może tego potraktować priorytetowo, więc potrwa to kilka dni. Jeśli podrzucisz jej do laboratorium jutro rano.

– Okej – burknęła, przeżuwając kotleta. – A co z tym deweloperem? Szukałeś go?

– W samej Zielonej Górze jest czternaście firm, ale w żadnej nie pracuje facet o imieniu Maksymilian. Ale wiesz…

Brudny nie ukrywał, że nie najlepiej radzi sobie w świecie cyfrowym. To nie było jego naturalne środowisko i choć w ostatnich miesiącach, niejako przy okazji całej tej sytuacji, trochę się w tym temacie podszkolił, nie czuł się na tyle mocny, aby mówić o wynikach swojej pracy z pełnym przekonaniem. Nie próżnował jednak i całe popołudnie przeglądał sieć w poszukiwaniu człowieka, który mógłby być kochankiem Malwiny Klepackiej. Słowa Justyny, że „coś budował”, dość mocno zawężały listę ewentualnych Maksymilianów. Niestety, wśród ludzi na kierowniczych stanowiskach zielonogórskich firm deweloperskich nie znalazł nikogo o takim imieniu, podobnie w firmach z branż pokrewnych.

Zawadzka wepchnęła ostatni kawałek bułki do ust i wytarła ręce w chusteczkę. Chwilę przeżuwała, po czym połknęła ostatni kęs i popiła piwem.

– To raczej zrozumiałe – powiedziała. – Jeśli typowi zależało na dyskrecji, to wątpię, aby podał kochance prawdziwe imię.

– Czego chciał Magiera? – Brudny zmienił temat.

– Kruszwica i Kłos zrobili niezłą robotę. – Julka otworzyła nową paczkę cienkich LM-ów i włożyła do środka mentolową wkładkę. Jednego wyciągnęła i przypaliła. Zaciągnęła się.

– Kto to ten Kruszwica?

– Nie mówiłam ci jeszcze?

– Nazwisko gdzieś mi przeleciało, ale…

– Na pewno mówiłam, tylko ty jednym uchem wpuszczasz, a drugim wypuszczasz.

– Nie mówiłaś.

Zawadzka przeciągnęła otwartą dłonią po karku i odchyliła głowę. Wypuściła ze świstem dym, który powędrował w okolice sufitu.

– Ma na imię Mściwój – powiedziała z westchnieniem. – Młody facet. W sumie nie wiem do końca, co o nim myśleć. Ma w oczach coś, czego nie mogę rozgryźć, ale wydaje się w porządku. No i podobno dobrze się napierdala w oktagonie. Jakieś medale nawet zdobywał i takie tam.

– Hmm… – Brudny się zamyślił. – No i co oni tam zrobili za robotę?

– Kruszwica namierzył zdjęcie samochodu potencjalnego sprawcy z leśnej fotopułapki, a Kłos rozkminił kolor i częściowo numery blach.

– To mocno zawęża grono potencjalnych podejrzanych.

– Powiedzmy… – Zawadzka upiła łyk piwa i strzepnęła nadmiar spalonego tytoniu do popielniczki. – To jebany renault kangoo, Igor. W mieście i okolicach jest takich zarejestrowanych prawie tysiąc. Jak weźmiemy pod uwagę kolor i numery blach, to pewnie wyjdzie przynajmniej kilkadziesiąt. Mściwój odpowiada za wyłuskanie najbardziej obiecujących kandydatów.

– Coś taka marudna? Przecież to naprawdę niezła wiadomość. Jeśli to dobry trop, to za kilka dni będzie po sprawie.

– Nie wiem – odparła i znów zamilkła.

– A kierowca? Coś o nim wiadomo?

– Gość w średnim wieku, przy kości, z wąsami. Przynajmniej tak twierdzi Kłos.

– Co dokładnie masz na myśl, mówiąc „tak twierdzi Kłos”? – Brudny zmarszczył brwi.

– Nie wiem, Igor. Po prostu nie wiem. Coś mi tu nie pasuje. Pan Miecio czy Wiesio z renault kangoo porywa prostytutki i wysysa z nich krew? – Zrobiła pauzę i rzuciła mu niejasne spojrzenie. – Przecież to brzmi, kurwa, absurdalnie – dodała, prychając.

– Seryjni mordercy to zwykle sympatyczne Mietki czy Wieśki z sąsiedztwa. Dobrze o tym wiesz.

– Może masz rację i przesadzam. – Zgasiła papierosa w popielniczce. – Coś mi tu jednak nie pasuje. Powiedzmy, że przemawia przeze mnie kobieca intuicja. Zresztą… – Rzuciła mu sfrustrowane spojrzenie. – To nijak ma się do naszego Maksymiliana.

– To, że Magiera połączył obie te sprawy, to jeszcze żaden dowód, że mają ze sobą coś wspólnego.

– Widziałeś tę kobietę…

– Ktoś ją torturował i tu nie ma o czym dyskutować, ale ta znaleziona w lesie miała po prostu spuszczoną krew. To spora różnica.

Zawadzka westchnęła i upiła trochę piwa. Chwyciła pilota i włączyła wiadomości. Akurat leciał jakiś program publicystyczny, w którym dziennikarz zadał politykowi partii rządzącej niewygodne pytanie. Było bardzo proste, wystarczyło odpowiedzieć „tak” albo „nie” i jakoś to uzasadnić, ale wiceminister wił się jak piskorz i udawał, że nie słyszy, co się do niego mówi, tylko powtarzał w kółko jakąś regułkę, która nie miała nic wspólnego z zadanym pytaniem. Uśmiechnęła się, gdy dziennikarz przycisnął go po raz trzeci, czwarty, a potem piąty, w kółko powtarzając mu to samo pytanie. Polityk był jednak nieprzejednany i dalej udawał ograniczonego umysłowo. Zawsze zastanawiała się, jak ci ludzie rano spoglądają w lustro. Co sobie myślą? I czy są z siebie dumni.

– Kiedy ruszacie w teren? – Brudny przywrócił ją do rzeczywistości.

– Kruszwica dostał trzech ludzi i sprawdzają wszystkich potencjalnych podejrzanych, więc jak się sprężą, to może już jutro – odparła. – Problem w tym, że u nas większość kierowców renault kangoo to wąsaci panowie po pięćdziesiątce. Ale dobra, nie zapeszajmy. Chcę wziąć kąpiel i się położyć.

– Jesteś wkurwiona, bo odstawili cię na boczny tor?

– Aż tak to widać?

Zawadzka wstała i poszła do lodówki. Wyjęła kolejne piwo, odkręciła kapsel i pociągnęła solidny łyk. Oparła się o szafkę kuchenną.

– Wiesz, że akurat w tym jestem dobra – powiedziała. – Nie mówię, że ten Mściwój zrobi to źle, ale… ech… chuj z tym.

– Mów otwarcie, Julka. – Brudny spojrzał na partnerkę. – Myślisz, że ta wyprawa do psychiatryka była niepotrzebna, mam rację?

Zawadzka westchnęła i ściągnęła gumkę spinającą włosy. Przeczesała je palcami i z powrotem spięła w kucyk.

– Nie wiem, Igor. Może tak, a może nie. Nic mi się tu nie klei. Najpierw ta wyłowiona z rzeki Iwanka, potem odkopana w lesie Polina.

– Zidentyfikowaliście ją?

– Jeszcze nie na sto procent, ale Kłos popytał w środowisku prostytutek i wyszło na to, że kilkanaście dni temu jedna z nich zaginęła. Według nich nazywa się Polina Hurenka i też pochodzi z Białorusi. Wysłaliśmy już zapy-

tanie do tamtejszych władz, ale wiadomo, jaki tam jest burdel, więc nie liczyłabym na szybką odpowiedź.

– Dwie prostytutki z Białorusi to już coś – zauważył Brudny.

– Tylko że tu nie ma żadnego modus operandi sprawcy. Jedna jest torturowana, gwałcona, duszona i wyrzucana do rzeki, drugiej ktoś odsysa krew i zwłoki zakopuje w lesie. I do tego jeszcze ta dziewczyna w szpitalu. Przecież ktoś jej to, kurwa, zrobił…

Brudny zastanowił się nad słowami partnerki i przez dłuższą chwilę milczeli. Miała rację. Tu kompletnie nic do siebie nie pasowało, a swoim prywatnym śledztwem tylko dodatkowo mieszał w tym gotującym się kotle.

– Umówmy się, że skupisz się na śledztwie, a ja na klientce, okej? – zaproponował.

– Nie myśl, że…

– Nie myślę, tylko mówię, jakie są fakty. – Brudny nie dał jej dokończyć. – Masz robotę, a ja mieszam ci w głowie. To nie powinno tak wyglądać.

– Igor…

– Sprawą Klepackiej zajmę się sam. Ty skup się na swojej działce. Koniec dyskusji.

– Ja pier…

Nie dokończyła. Dopiła piwo i wyrzuciła butelkę do śmietnika, po czym bez słowa poszła do łazienki.

Brudny przez chwilę tępo wpatrywał się w telewizor. Gdy usłyszał szum wody, poczuł ukłucie wyrzutów sumienia.

– Ty debilu – mruknął do siebie i podniósł się z fotela. Wykąpał się po treningu z Wojtkiem, więc postanowił, że od razu pójdzie do sypialni. Poczeka i przeprosi Julkę, bo nie ma prawa wyładowywać na niej swojej frustracji.

Zrobił pierwszy krok. Bez balkonika. Od razu poczuł się tak, jakby stanął na wąskiej grani, a każdy, nawet najdrobniejszy ruch powietrza miał go strącić w przepaść. Rozłożył ręce, jak akrobata stąpający po linie. Trzy kroki do ściany, pomyślał. I ruszył.

Gdy mitrężył się z własnym ciałem, gdzieś dalej, całkiem niedaleko, ktoś inny mitrężył się z ciałem młodej i pięknej dziewczyny o imieniu Galina. Ważyła niewiele więcej niż duży worek ziemniaków, mimo to wydawała mu się cięższa niż postawny mężczyzna. W końcu jednak przeło-

żył sznur i zaczął ciągnąć. Gdy już zawisła, a on zaczepił linę, otrzepał się i bez słowa opuścił piwnicę.

ROZDZIAŁ 19

Zbudziły ją odgłosy kroków.

Galina otworzyła oczy i w jednej chwili uderzył ją gwałtowny paroksyzm bólu. Miała wrażenie, że znajduje się głęboko pod wodą, a panujące ciśnienie zaraz zmiażdży jej czaszkę. Efekt potęgował oblepiający ją mrok, nieprzenikniony i gęsty jak zupa. Krzyknęła, ale z zaklejonych szarą taśmą ust wydobył się jedynie stłumiony jęk. Spróbowała się poruszyć, a gdy jej błędnik zupełnie oszalał i zrozumiała, że wisi głową w dół, zaczęła wyć i dziko się szarpać. Przez kolejnych kilkadziesiąt sekund wiła się jak larwa w kokonie, ale w końcu dotarło do niej, że nie ma szans wydostać się z pułapki. Kostki paliły żywym ogniem, jakby sznur werżnął się głęboko w skórę, a spętane za plecami ręce znacznie ograniczały wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Opadła z sił. Jej ciało zwiotczało. Teraz chybotało się jak poruszona na haku świńska tusza.

Gdy usłyszała zgrzyt zamka, znów zwróciła się do Boga. Kiedyś była żarliwą chrześcijanką, ale po śmierci braci, a później zaginięciu siostry odwróciła się od Niego. Nie mógł istnieć, skoro świat był tak zły. Tak to sobie tłumaczyła, dlatego przestała się modlić. Po raz pierwszy od długiego czasu zwróciła się do Boga ponownie rok temu w zatęchłej piwnicy, oszukana, zniewolona, zgwałcona, odarta z godności i podeptana na wszelkie możliwe sposoby. Wtedy też odpowiedziała jej tylko głucha cisza. Obiecała sobie, że już nigdy tego nie zrobi, ale gdy ostatnim razem usłyszała świdrujący dźwięk wiertarki, znów zwróciła się do Najwyższego. Wysłuchał jej. Oszczędził cierpienia. Oprawca nie przewiercił jej kolan, nie pastwił się nad nią, tylko coś montował. Co takiego? Nie miała pojęcia i to ją przerażało. Teraz znów mogła się zwrócić jedynie do Boga. Usłyszała pstryknięcie włącznika i pomieszczenie rozbłysło oślepiającym światłem. Odruchowo zamknęła powieki i zastygła w bezruchu.

Przez dłuższą chwilę w piwnicy panowała cisza. Galina nie była w stanie wygiąć głowy, aby dostrzec, kto stoi w drzwiach, a nawet gdyby mogła, nie

odważyłaby się. Nie miała już opaski i teraz mogła spojrzeć oprawcy w twarz. Ale nie chciała jej widzieć. Dlatego zacisnęła powieki.

Jej serce biło szybko, jakby chciało wyrwać się z piersi. Słyszała je. Dudu, dudu, dudu. Przyspieszyło jeszcze bardziej, gdy zorientowała się, że postać ruszyła w jej kierunku. Stawiane przez oprawcę kroki były ledwo słyszalne, jakby skradał się na palcach. Zacisnęła usta i powieki jeszcze mocniej. Cicho jęknęła. Nigdy w życiu nie bała się tak bardzo. Nawet gdy przyszli do niej tamci bandyci, gdy ją gwałcili, poniewierali i odbierali resztki godności. Ten, kto zdecydował się zadrzeć ze Zbychem i jego szajką, przerażał ją jednak do szpiku kości, niemal transcendentnie, jakby nie był człowiekiem, lecz jakimś bezdusznym stworzeniem jedynie obleczonym ludzką skórą. Gdy usłyszała pełne zadowolenia mruknięcie, uchyliła powieki. Jej głowa znajdowała się na wysokości bioder prześladowcy. Nie była w stanie złapać ostrości, ale dostrzegła, że postać jest naga. Tak jak ona. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Poczuła zapach obcego ciała, emanujące od niego ciepło, dostrzegła skrzące się krople na skórze. Zacisnęła powieki, wyciskając z kącików oczu kolejne łzy.

Dlaczego oprawca powiesił ją jak świńską tuszę? Co zamierza z nią zrobić? I dlaczego tuż pod nią stoi wanna?

Gdy naga postać powoli wślizgnęła się do połyskującej odbitym światłem wanny, Galina zaczęła się trząść. Instynktownie szarpnęła się, gdy poczuła na plecach dłonie oprawcy. Bujała się swobodnie przez kilka sekund.

– Suka – syknęła postać wprost do jej ucha. – Mała, młoda, sprzedajna kurwa – dodała pogardliwie. – Nie zasługujesz na to, co ci ofiarowano. Obrażasz mnie każdym swoim oddechem…

Galina zacisnęła powieki jeszcze mocniej. Wtedy poczuła na policzku zimne ostrze. Jej skóra ugięła się pod jego naciskiem.

– Mawiają, że oczy to zwierciadło duszy. – Słyszała dalej. – Myślisz, że to prawda?

Ostrze przesunęło się kilka centymetrów w stronę oka, wciąż jednak nie przebijało skóry. Chwilę później musnęło zaciśniętą powiekę.

– A teraz popatrz na mnie…

Szept poniósł się echem. Był podszyty groźbą niewyobrażalnego cierpienia. Galina poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Zapragnęła, aby to się skończyło. Rozchyliła powieki i spojrzała w duże ciemne oczy swojego oprawcy. Przez chwilę patrzyła w drgające źrenice. Wtedy ostrze powędro-

wało do góry i zatrzymało się na gardle. Gdy umierała, myślała, że te oczy są zbyt piękne, aby ten koszmar był prawdziwy.

ROZDZIAŁ 20

– Mamy pięciu wyselekcjonowanych podejrzanych – oznajmił Magiera i puścił w obieg raporty na temat każdego z nich. – Na razie informacje są dość skąpe, głównie z KSIP-u czy portali społecznościowych, ale wyglądają na obiecujące. Każdy z nich to mężczyzna pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia, z lekką nadwagą i wąsami. Na każdego z nich jest również zarejestrowany szary renault kangoo na zielonogórskich numerach, w których występują dwie szóstki i zero.

– Wszyscy karani? – zapytała Zawadzka.

– Trzech – włączył się do rozmowy Kruszwica. – Jeden za przemoc domową, dwukrotnie, raz zawiasy i raz sześć miesięcy za kratkami. Drugi za gwałt na nieletniej, odsiedział półtora roku. Trzeci ma żółte papiery, kilkakrotnie zatrzymywany i skazywany za publiczne obnażanie się.

– A pozostali dwaj?

– Rzeźnik i ogrodnik. Nie byli karani, ale uznałem, że warto im się przyjrzeć, choćby z powodu wykonywanego zawodu. Drugi z nich wychowuje nastoletnią córkę, która jest chora na białaczkę, w związku z czym musi mieć dość regularnie przetaczaną krew.

Zawadzka nie skomentowała, bo wzmianka o przetaczaniu krwi zabrzmiała raczej fantastycznie. Skupiła się na przechodzących z rąk do rąk dokumentach. Musiała przyznać, że młody Kruszwica wykonał kawał dobrej roboty. Wyraźnie zarysowane wory pod oczami i nieogolone policzki sugerowały, że spędził w pracy pół nocy, a może nawet nie wracał do domu i przespał się na jednym z foteli w komendzie. Rzeczywiście czuła się zepchnięta na boczny tor. Krótko po tym, jak wróciła z psychiatryka, Magiera nawet nie zapytał, co ustaliła. Po tym, gdy Kruszwica z Kłosem wpadli na trop, w ogóle się tym nie zainteresował. Kazał tylko sporządzić raport i wysłać na swoją skrzynkę pocztową, wyraźnie pro forma, aby miała się czym zająć. W pewnym momencie chciała nawet jakoś zareagować, w końcu w świecie cyfrowym czuła się jak ryba w wodzie, ale ostatecznie

odpuściła. Nie miała zamiaru się narzucać, zwłaszcza że w jej ocenie w całym tym bajzlu za dużo puzzli do siebie nie pasowało. Po skończeniu raportu długo nad tym myślała i zatęskniła za Elą Pałką. Nawet przeszło jej przez myśl, aby do niej zadzwonić, ale szybko zdała sobie sprawę, że profesjonalistka jej pokroju bez możliwości zapoznania się z aktami sprawy nie będzie w stanie jej pomóc. Jak ona oceniłaby profile potencjalnych podejrzanych?

– …mieć oko na ogrodnika. – Zawadzka ocknęła się z zamyślenia, gdy uzmysłowiła sobie, że ostatnie słowa są kierowane w jej stronę.

– Ogrodnika? Tak. Zajmę się ogrodnikiem.

Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie tych słów. Miała zająć się ogrodnikiem? Tym, który przed chwilą mignął jej przed oczami na wydrukach? Niekaranym samotnym facetem wychowującym chore dziecko? Poczuła, jakby dostała w twarz.

– Macie ich tylko obserwować – polecił Magiera. – Żadnych nieautoryzowanych akcji, żadnej samowolki. Jeśli zobaczycie coś podejrzanego, informujecie Artura albo mnie i czekacie na dalsze instrukcje.

– Nasi zmiennicy będą wiedzieć, w czym biorą udział? – zapytała Zawadzka, próbując ukryć rozczarowanie.

– Tyle, ile trzeba, aby zrozumieli, że to poważna sprawa. Dostaniesz do pomocy Szumnego. Po dwunastu godzinach ktoś was zmieni.

– Wolałabym pracować sama.

– A ja wolałbym wylegiwać się teraz na Bora-Bora.

– Szumny to…

Zamilkła. Tomasz Szumny był jednym z ostatnich policjantów, z którym chciałaby prowadzić obserwację. Wielki i napakowany sterydami półgłówek, któremu nigdy nie zamykała się pryszczata gęba. Potrafił gadać bez ustanku, a do tego wiecznie coś żarł, przez co w samochodzie zawsze był syf i cuchnęło przemielonym w jego jelitach białkiem. Zacisnęła zęby i przełknęła kolejną gorzką pigułkę, a gdy Magiera kazał się rozejść, niemal zerwała się z krzesła.

– Proszę zostać – rozkazał jej prokurator.

Z powrotem usiadła i poczekała, aż pozostali śledczy opuszczą pokój.

– Dlaczego ogrodnik? – burknęła, gdy drzwi za Kłosem się zamknęły.

– Pozwoli pani, że to ja będę zadawał pytania – odparł ze stoickim spokojem Magiera. – A zacznę od tego, dlaczego, do kurwy nędzy, pojechała pani do tego psychiatryka z Igorem Brudnym.

– Igor jest eksper…

– Komisarz Igor Brudny nie jest włączony w śledztwo. Komisarz Igor Brudny jest na pierdolonym L4 i z tego, co wiem, jeszcze długo na nim pozostanie. – Prokurator wstał z krzesła i podszedł do Zawadzkiej. – Nie wiem, w co pani gra, ale jeszcze jeden taki numer i nie skończy się na odsunięciu od śledztwa. Chce mi pani coś powiedzieć, pani komisarz?

– Nie – odparła.

Magiera nachylił się w kierunku Zawadzkiej.

– To, że macie tu z Brudnym dobry piar, dla mnie osobiście nic nie znaczy – wycedził. – U mnie nikt nie pracuje za zasługi. A pani, pani komisarz, do tej pory nie wniosła do śledztwa za wiele. Poprzednie też stoi w miejscu. No, chyba że się mylę…

Ten chuj chce mnie upokorzyć, pomyślała. Widziała to w jego oczach. Doskonale wiedział, że śledztwo w sprawie tamtej Białorusinki utknęło w martwym punkcie, ale prawda była taka, że dostała je w spadku po Kłosie, który w jej ocenie niezbyt się wysilił, aby znaleźć sprawcę, mało tego, gdyby się uprzeć, to można było odnieść wrażenie, że chciał ukręcić sprawie łeb. Do momentu odkrycia zwłok drugiej ofiary nie znajdowało się też na liście priorytetów i prokurator dobrze o tym wiedział. Gdyby nie ona, pewnie trafiłoby do zamrażarki, gdzie oczekiwałoby na powiązanie go z jakimś innym, podobnym przestępstwem gdzieś w Polsce albo w Europie. Prokurator w jednym miał jednak rację. Wyprawa do szpitala psychiatrycznego miała drugie dno i choć mogła mieć związek z prowadzonym śledztwem, ona pojechała tam głównie po to, aby pomóc Brudnemu.

– Widzi pan, że tu nic do siebie nie pasuje – powiedziała. – Bo widzi pan, prawda?

– Widzę, że ma pani przede mną tajemnice, a tego tolerować nie będę. I radzę skupić się na wykonywaniu czynności służbowych.

– Staram się pracować jak najlepiej – odparła wymijająco.

– Chciałbym zobaczyć wyniki. Zobaczę je?

– To może zdejmie mi prokurator z głowy tego ogrodnika? – rzuciła pewniejszym tonem. – Przecież to robota dla debili i…

– To działania operacyjne, pani komisarz. – Nie dał jej dokończyć. – Jeśli się pani nie podoba, zawsze może pani wrócić do Warszawy. Przez najbliższe czterdzieści osiem godzin będziemy obserwować tych ludzi, bo to mocny trop. No, chyba że w Ciborzu odkryła pani coś, co mnie poruszy do głębi?

Zawadzka wbiła w prokuratora lodowate spojrzenie. On z niej kpił, a najgorsze, że nie miała argumentów, aby zamknąć mu gębę. Jej milczenie tym razem mu wystarczyło.

– Niech pani skupi się na wykonywaniu poleceń. A teraz może pani wracać do pracy – dodał i wskazał jej wyjście.

Wstała i bez słowa opuściła pomieszczenie. Przed komendą zapaliła, próbując uspokoić nerwy. Już po minucie poczuła, że koszulka klei jej się do pleców. Przysiadła na schodach i kilka razy głębiej odetchnęła. Wtedy za plecami usłyszała znajomy głos.

– Słyszałem, że dziś razem popracujemy.

Przewróciła oczami, po czym zgasiła niedopałek pod butem i obróciła się w kierunku mężczyzny, który stał kilka metrów za nią. W jednej dłoni trzymał plastikowe pudełko z jakąś szarozieloną breją i kawałkami kurczaka, w drugiej widelec.

– Też tak słyszałam – odparła. – Ale jedziemy twoim, bo mój patrol za bardzo rzuca się w oczy.

– Spoko – odparł, wpychając sobie do ust kolejną porcję. – To prawda, że mamy śledzić jakiegoś wąsatego Mietka?

– Prawda.

– Nie posprzątał po psie czy jest seryjnym mordercą gwałcącym i torturującym małych chłopców?

– Jedno i drugie.

– To spoko. Luźny dzień się szykuje. Kiedy ruszamy?

Spojrzała na zegarek. Mieli zaczynać o dziesiątej, czyli za jakieś dwadzieścia minut. Pomyślała, że dwanaście godzin z tym ogrem będzie prawdziwym wyzwaniem, któremu może nie podołać. Potem wstała i poszła do toalety.

ROZDZIAŁ 21

Brudny zamknął drzwi za rehabilitantem. Był skonany, ale nie mógł narzekać. Dziś zaczął chodzić. Co prawda poruszał się jak paralityk, ale był w stanie przejść kilka metrów bez niczyjej pomocy, obrócić się i wrócić do miejsca, z którego ruszył.

– Idziesz jak burza, Igor – chwalił go Bugaj. – Mówię ci, że jeszcze tydzień i będziesz…

– Skakał po drzewach – dokończył za niego. – Już to słyszałem z pięć razy.

– To usłyszysz jeszcze pięć, bo to, co tu odwalasz, jest naprawdę niesamowite. Dawno nie miałem takiego progresu z żadnym pacjentem. A teraz trochę się porozciągamy.

Trening skończyli o pierwszej po południu. Brudny dotarł do salonu na własnych nogach, przez większość drogi przytrzymując się ścian albo mebli. Kręciło mu się w głowie, był cały zlany potem, ale szczęśliwy. Gdy tylko walnął się na fotel, usłyszał na schodach kroki. Chwilę później w zasięgu jego wzroku pojawiła się Klepacka. Miała na sobie zwiewną sukienkę na ramiączkach w kwieciste wzory, trochę za kolano, i musiał przyznać, że wyglądała w niej całkiem ponętnie.

– Jesteś głodny? – zapytała, gdy podeszła do aneksu kuchennego.

– Na razie możesz mi podać paczkę kabanosów – odparł.

– Kawa?

– Kawę też. Dzięki.

Klepacka wstawiła wodę, a on przyglądał się, jak dziewczyna krząta się w kuchni. Polubił ją. Miała charakter i coś niesamowicie pozytywnego, co pozwalało jej skracać dystans, a on – o dziwo – nie czuł się w jej obecności źle. W tym kruchym ciele kryły się siła i determinacja, obie wykute w rodzinnych dramatach, niewidoczne na pierwszy rzut oka, a przynajmniej niewidoczne dla przeciętnego człowieka, który podobnych dramatów nie doświadczył. Do tej pory nie do końca rozumiał swoje postępowanie, a od

wizyty w szpitalu zaczynał żałować podjętej decyzji. Bo co, jeśli okaże się, że znajdująca się tam pacjentka rzeczywiście jest siostrą jego klientki? Jak jej o tym powie? Czy świadomość, że żyje, wystarczy, aby Justyna odebrała to jako dobrą wiadomość, czy wręcz przeciwnie? Nie chciał pozbawiać tej dziewczyny nadziei, ale miał złe przeczucie.

Zjadł kabanosy i popił tabletki koktajlem naszpikowanym suplementami, po czym wyszedł na taras zapalić. Klepacka przyniosła mu kawę i laptop, który położył na kolanach i przez następną godzinę analizował zebrane materiały. Musiał coś przeoczyć. Był tego prawie pewny. Maksymilian, bogaty przedsiębiorca, który „coś budował". Facet po pięćdziesiątce, dobrze zbudowany, rozczarowany życiem z zołzowatą żoną, poszukujący przygód na boku. Trzech właścicieli firm deweloperskich mogło pasować do tego profilu, ale przecież nie mógł jeździć od zakładu do zakładu i pytać szefów o ich pożycie małżeńskie, zwłaszcza że nie mógł posługiwać się odznaką. Musiał jednak odnaleźć tego całego Maksymiliana, bo facet był kluczem do rozwiązania zagadki zaginięcia Malwiny Klepackiej i można było zakładać, że ma z jej zniknięciem coś wspólnego. Brudny pomyślał o Alinie Szlachetko. Stara koleżanka z sierocińca zwykle wiedziała, co w mieście piszczy. Kilka miesięcy temu nawet odwiedziła go w szpitalu, ale wspomniała, że kogoś poznała i zastanawia się, czy nie odejść z branży. Sięgnął po smartfon, odnalazł jej numer i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy nacisnąć zieloną słuchawkę. W końcu jego kciuk dotknął wyświetlacza i przystawił urządzenie do ucha. Szlachetko odebrała już po drugim sygnale.

– Igor? – zapytała szczerze zdziwiona. – Nie spodziewałam się, że zadzwonisz. Co u ciebie? Jak się czujesz?

– Cześć, Alina – przywitał się. – Jakoś leci. Powoli staję na nogi.

– To fantastycznie. Naprawdę wspaniałe wieści. Kurczę, Igor, wiesz, że cały czas mocno trzymam za ciebie kciuki.

– Dzięki. A co u ciebie?

– Nie narzekam, nie narzekam. – W tle dało się słyszeć skrzypnięcie leżaka. – Słońce świeci, morze szumi, a ja właśnie popijam piwko na plaży w Sopocie.

– Ooo… to fajnie.

– No fajnie, fajnie. Powiem ci, że dawno nie czułam się tak… – przerwała na moment – …wolna? Szczęśliwa?

– Czyli… – Ugryzł się w język. Wracanie do przeszłości akurat w tym momencie zakrawało na skrajne buractwo. Szlachetko nie była jednak w ciemię bita. Domyśliła się błyskawicznie.

– Nie dzwonisz, by zapytać, co u mnie słychać, prawda? – zapytała.

– Nie – odpowiedział prosto z mostu. Wiedział, że nie ma sensu bawić się z nią w podobne gierki. Dobra prostytutka musiała być dobrym psychologiem, a Alina dodatkowo miała to we krwi. – Ale miło słyszeć, że cieszysz się życiem.

– Cały Igor Brudny – prychnęła. – Ale właśnie za to cię lubię, wiesz? Słuchaj… – Znów poprawiła się w leżaku. – Mój Michał poszedł akurat popływać, więc możemy chwilę pogadać. Z czym do mnie dzwonisz?

W szpitalu wspomniała właśnie o Michale. Brudny przez chwilę analizował, czy w ogóle jest sens dalej prowadzić tę rozmowę. Skoro już z tym skończyła, to wątpliwe było, aby mogła mu pomóc.

– Szukam pewnego gościa i pomyślałem, że może mogłabyś co nieco wiedzieć na jego temat – powiedział po chwili namysłu.

– To zależy, Igor. Od blisko pół roku nie robię już w branży – odparła zgodnie z jego przypuszczeniem. – Ale… hmm… To świeża sprawa?

– Interesuje mnie okres ostatnich dwóch lat. Zwłaszcza ostatnie pół roku.

– Pytaj.

– Facet jest po pięćdziesiątce, jakiś przedsiębiorca, być może deweloper, żonaty, ale lubiący pobzykać na boku. Przedstawiał się jako Maksymilian. Kojarzysz kogoś takiego?

– Hmm…

Ze słuchawki dobiegło echo krzyków jakichś dzieciaków, potem nawoływania faceta od lodów i kukurydzy, odgłos przełykania.

– Nie przypominam sobie – rzekła po dłuższej chwili namysłu. – Co prawda był taki jeden, który przedstawiał się jako Maks. Stały klient, ale młodszy, może po trzydziestce, spokojny, ułożony, preferował klasykę. I raczej nie był żadnym przedsiębiorcą.

– A jacyś deweloperzy?

– Wybacz, Igor… – Westchnęła. – Ale nie mogę ci mówić o swoich klientach. To, że byłam dziwką, nie znaczy, że nie szanuję ludzi. Nie wszyscy moi klienci byli zwyrodnialcami, którzy zasługują na potępienie.

– Rozumiem…

– A powiesz mi, dlaczego szukasz tego faceta?

– W zasadzie to szukam zaginionej dziewczyny. Ponad rok temu przyjechała do tego Maksymiliana znad Soliny. Facet obiecywał jej złote góry, że się rozwiedzie i takie tam. Krótko potem dziewczyna zniknęła.

– Brzmi dość pospolicie, nieprawdaż?

– Co konkretnie masz na myśli?

– Jesteś psem, więc doskonale zdajesz sobie sprawę, że takie historie to w tej branży codzienność. Młoda dziewczyna ze Wschodu przyjeżdża do zakochanego przedsiębiorcy, tylko że ten przedsiębiorca zapomina jej powiedzieć, że biznes, jakim się zajmuje, to handel żywym towarem. Trudna sprawa, Igor. Szukanie igły w stogu siana.

– Nie kojarzysz nikogo o takim imieniu?

– Nie, ale jakiś czas temu do miasta wjechała nowa ekipa i próbują przejąć interes. Niedawno rozbito szajkę Wiedźmina i nagle zrobiło się sporo miejsca. Od ponad pół roku facet leży podłączony do rurek i nie jest w stanie dłużej pilnować biznesu, a doskonale wiesz, że ta branża nie lubi próżni. Krótko po tym, jak go dopadli, pojawili się nowi ludzie, którzy zaczęli dość mocno rozpychać się łokciami. Ja wykorzystałam okazję, aby się wyrwać.

– Kim są ci ludzie?

– Skurwiele z Wrocławia. Duża grupa. Wszystkim zarządza niejaka Grażyna Pawlicka, mówią na nią Małpa. Wredna bladź. Bezwzględna i brutalna, a do tego ma kontakty z Ruskimi. Ale nie wjechałaby tak łatwo na nowy teren, gdyby nie miała lokalnego wsparcia.

– Co sugerujesz?

– Psy też w tym siedzą, Igor. W Zielonej zrobił się straszny syf.

Brudny przez kilka sekund analizował słowa Aliny. Słyszał o Małpie już kilka lat temu. Jej nazwisko przewinęło się choćby w związku z prowadzonym przez niego śledztwem w sprawie morderstwa Pauliny Szymańskiej, które ostatecznie zaprowadziło go do odkrycia tajnego stowarzyszenia Dark Heart urządzającego wyuzdane orgie podczas tak zwanych „dark party”. Z racji tego, że na liście klientów tych imprez znalazło się wielu znanych i szanowanych ludzi, zwłaszcza ze świata polityki, sprawie ostatecznie ukręcono łeb i poza organizatorem imprez, niejakim Ludwikiem Dostojnym, który został aresztowany, a następnie w niejasnych okolicznościach zmarł w celi, nikt z klientów za to nie beknął. Brudny podejrzewał, że służby od dłuższego czasu wykorzystywały te materiały, szantażując kolejnych mniej lub bardziej istotnych polityków, a w zasadzie był o tym przekonany, bo nie potrafił zrozumieć, żeby we w miarę normalnym i demokra-

tycznym kraju mogli rządzić tacy idioci. Tak czy siak, Pawlicka, jak większość ludzi umoczonych w sprawę, wyszła z tego bez szwanku, co znaczyło, że ma mocne plecy. Na samą myśl, że znów może wpakować się w podobne gówno, Brudnemu skręciło wnętrzności.

– A konkretnie? – Uznał, że nie musi dzielić się z koleżanką swoją wiedzą, ale oskarżanie policji o współpracę z grupą przestępczą było co najmniej ryzykowne i jeśli powiedziała „A”, to powinna powiedzieć „B”.

– Igor, kurwa… – Westchnęła nerwowo. – Naprawdę mam ci mówić, jak to wygląda?

– Zawsze znajdą się jakieś czarne owce, które wykorzystają sytuację – podpuścił ją.

– Nie to mam na myśli, Igor. – Usłyszał kliknięcie zapalniczki. – To, że krawężniki ruchają za darmo, to nic nowego. Teraz weszli w biznes. Naprawdę zrobiło się chujowo.

– Jesteś tego pewna?

– Mówię, co wiem. Cztery miesiące temu wyprowadziłam się z miasta. Może od tej pory coś się zmieniło, ale szczerze w to wątpię, bo to była szeroko zakrojona akcja.

Brudny wiedział, że po odejściu Czarneckiego i śmierci kilku liczących się funkcjonariuszy doszło do konkretnych przetasowań. Sytuację znał jedynie z opowieści Julki, ale nawet ona – w sumie przyjezdna i nie do końca znająca zielonogórskie realia – mogła nie całkiem orientować się w bieżącej sytuacji. Za jej plecami pewnie trwała walka o władzę, a taka akcja mogła być jednym ze sposobów okazania siły. W komendzie było może kilku gliniarzy, którzy mogli być do tego zdolni.

– A ty dla kogo teraz pracujesz? – zapytała, gdy przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Jestem na L4. Sprawa prywatna. Ale wracając do tematu, to…

– Uważaj na niejakiego Kłosa – przerwała mu. – Kawał chuja z niego, ale nic więcej nie wiem, a nawet jakbym wiedziała, to…

– Byś mi nie powiedziała – wszedł jej w słowo.

– W każdym razie wszystko wskazuje, że to on trzyma na tym łapę. Tylko… kurwa… – Alina wzięła głębszy wdech. – Igor… jak cię lubię, tak chyba trochę się zagalopowałam. W ogóle nie powinniśmy rozmawiać o takich rzeczach przez telefon.

– Bez obaw, Alina – uspokoił ją. – Telefon nie jest na podsłuchu, a ja nie słyszałem tego od ciebie. Zresztą nikt nie wie, że się znamy.

Usłyszał, jak Szlachetko zaciąga się papierosem.

– Więcej i tak ci nie powiem, ale jeśli bardzo ci zależy, to możesz spróbować u źródła – dodała po chwili namysłu.

– Czyli?

– Na wylotówkach. Dziewczyny, które tam pracują, są na bieżąco, ale wiesz, jak jest…

– Taa…

– Aha… – Znów się zaciągnęła. – Wciąż jeździsz na wózku?

– Póki co…

– To się tym nie chwal.

– Bo?

– Poszła jakaś dziwna fama i dziewczyny się boją.

– Faceta na wózku?

– Mówię, że to głupota, ale odmawiają każdemu, który wygląda na kalekę, a nawet nie w pełni sprawnego. A przynajmniej tak było jeszcze kilka miesięcy temu. A teraz muszę kończyć, Igor. Mam nadzieję, że pomogłam, a jeśli kiedyś wpadniesz do Trójmiasta, to się odezwij.

– Jasne. Dzięki, Alina. Naprawdę.

– Nie ma za co. Buziak, Igor.

– Cześć.

Brudny rozłączył się i od razu sięgnął po papierosa. Spodziewał się dowiedzieć czegoś więcej na temat Maksymiliana, tymczasem rozmowa zeszła na zupełnie inny, choć niewykluczone, że nie mniej istotny temat. Nie znał tego całego Kłosa, ale po tym, jaki stosunek miała do niego Julka, nastawił się do gościa dość sceptycznie. A teraz wyszły kolejne kwiatki, bo jeśli Alina nie wciskała mu kitu (a przecież nie miała ku temu podstaw), to facet nie tylko był skorumpowanym gliną, ale też zwykłym bandytą czerpiącym profity ze stręczycielstwa. Co gorsza, nie wiadomo, kto jeszcze mógł być w to zamieszany. Prokurator? Wątpił w to, ale nie mógł tego wykluczyć, zwłaszcza że Magiera pojawił się w Zielonej Górze całkiem niedawno, mniej więcej w czasie, gdy doszło do zmiany warty. Gdyby dodać do tego, że w ostatnich miesiącach zamordowano dwie prostytutki, sprawa zaczynała rysować się w wyjątkowo czarnych barwach. A jeśli któryś z nich był Maksymilianem? I dlaczego do tej pory nikt się nie przyłożył do tego, żeby ustalić tożsamość pacjentki ze szpitala?

Nawet się nie zorientował, gdy żar papierosa zbliżył się do ustnika na tyle blisko, że się oparzył. Syknął i zgasił peta w popielniczce, po czym

zwilżył usta resztką soku z mango. Przez chwilę intensywnie myślał nad dostępnymi możliwościami i niechętnie przyznał, że musi się tym zająć sam. Informowanie o tym całym galimatiasie zaangażowanej w śledztwo Julki w tej chwili nie wchodziło w grę. Najpierw trzeba potwierdzić rewelacje zasłyszane od Aliny. Tylko co wtedy?

– Wtedy im dopierdolę – mruknął pod nosem i podniósł się z krzesełka. Zrobił to na tyle niefortunnie, że zahaczył o nogę od stołu i wyrżnął o ziemię. Zaklął jak szewc, tym samym niechcący przywołując Klepacką.

– Nic ci się nie stało? – zapytała wyraźnie przejęta. Kucnęła, aby mu pomóc, ale nie pozwolił na to.

– Nic. Dam sobie radę – odburknął i podtrzymując się framugi, podniósł się do pionu.

– Na pewno, bo jeśli…

– Na pewno.

Klepacka dygnęła i wycofała się do salonu. Brudny z powrotem usiadł na krześle. Zamknął oczy i zacisnął zęby, a następnie pięści. Pomyślał, że w takiej dyspozycji to może co najwyżej dopierdolić sobie samemu. Policzył do dziesięciu, a potem jeszcze do dwudziestu. Gdy otworzył oczy, dotarło do niego, że ta sytuacja kompletnie wyprowadziła go z równowagi, a on wobec swojej klientki zachował się jak cham. Musiał się uspokoić, bo takie zachowanie nie było do niego podobne. Jego nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi.

Nagle zapragnął pójść do sypialni. To tam, skryty w szufladzie, czekał na niego jego prywatny walther. Czysty i błyszczący. Poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Zrozumiał, jak bardzo przez ostatnie miesiące mu go brakowało. Zanim się zorientował, już siedział na łóżku i przeładowywał broń. Balkonika ani wózka w pobliżu nie było.

ROZDZIAŁ 22

Zawadzka wysiadła z samochodu, bo już nie mogła go słuchać. Sierżant Szumny nie był złym człowiekiem, ale irytował ją bardziej niż wyznawcy ojca dyrektora. A ten to taki, a tamten taki, na nic nie ma kasy, zjebane godziny pracy, wkurwiający przełożeni, patologia, nerwówka, a on przez to wszystko nie może ułożyć sobie treningów i jeść o wyznaczonych porach. Chujnia, no nie? No, chujnia. A ty wiesz, ile ten kebab ma zbędnych kalorii? Nie, nie wiem i mam to w dupie. A w tej mrożonej herbacie to tylko cukier. Daj już spokój, Szumny. I tak dalej, i tak dalej. Gęba mu się nie zamykała. Gdy zapytał ją, jaki ma procent tkanki tłuszczowej, a potem po raz kolejny wypomniał, że dym papierosowy nie szkodzi tylko palaczowi, ale także osobom postronnym, nie wytrzymała i wysiadła.

– Zrobię ci przysługę i zapalę na zewnątrz, jeśli tylko skończysz pierdolić, okej? – powiedziała. Szumny rzucił jej głupkowaty uśmieszek. – A ty miej oko na klatkę schodową i mów, gdyby facet wychodził – dodała.

– Co planujesz?

– Rzucę okiem na jego samochód. – Włożyła do ucha bezprzewodową słuchawkę. – Sprawdź, czy mnie słyszysz.

Szumny przewrócił oczami i włożył swoją. Po chwili nawiązali połączenie i Zawadzka odeszła w kierunku bloku. Usiadła na odrapanej ławce kilkanaście metrów dalej. Jeden z trzech wieżowców rzucał cień, co przy temperaturze oscylującej w granicach trzydziestu stopni wydawało się zbawiennym zbiegiem okoliczności. Zapaliła i przez chwilę tępo gapiła się w przejeżdżające po ulicy samochody. W końcu wstała i rozejrzawszy się po okolicy, ruszyła w kierunku małego parkingu. Przy obserwowanym renault kangoo wyciągnęła smartfon i udając, że coś w nim grzebie, dyskretnie zerknęła do środka. Nie dostrzegła niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Kilka starych biletów parkingowych, jakieś cukierki, leżące na desce rozdzielczej okulary. Tylne szyby były przyciemnione, więc nie była w stanie dostrzec, co znajduje się na pace, ale jej uwagę przykuły ubłocone

nadkola. Upuściła klucze i schyliła się przy tylnej klapie, a potem scyzorykiem wydłubała z rowków opon kawałki błota i resztki traw. Zwęszyła też charakterystyczny smród krowich odchodów.

– Gdzie pan jeździł, panie Kittel? – mruknęła do siebie, po czym szybko włożyła je do woreczka strunowego.

Podniosła się, teatralnie podrzuciła klucze i z powrotem mocno chwyciła je w garść, po czym żwawym krokiem ruszyła w kierunku parku Piastowskiego. Planowała obejść łukiem parking, przejść na drugą stronę ulicy i wrócić do Szumnego. Wtedy usłyszała jego szorstki głos.

– Facet właśnie wyszedł z klatki i kieruje się do samochodu.

– Minuta.

– Sprężaj się, bo…

– Zaraz, kurwa, będę!

– No już, już.

Przyspieszyła kroku, dyskretnie obserwując z oddali Mariana Kittela. Facet nie wyróżniał się absolutnie niczym. Ot, mężczyzna po pięćdziesiątce, łysiejący, z wąsem i piwnym brzuchem, we flanelowej koszuli w kratę i w ciemnoniebieskich dżinsach za stówę. Można by powiedzieć, ogrodnik jak się patrzy, szary obywatel z kredytem na głowie, płacący podatki i raz w roku mandat za złe parkowanie. Gdy podszedł do samochodu, w pierwszej kolejności otworzył drzwi z tyłu i zanurzył się we wnętrzu pojazdu. Grzebał w środku kilkanaście sekund, a gdy zamknął drzwi, rozejrzał się po okolicy. Nie trzeba było skończyć szkoły policyjnej, żeby zauważyć, że jego zachowanie nie było do końca naturalne. Rozglądał się nerwowo, jakby spodziewał się, że ktoś może go obserwować, i akurat w tym wypadku miał rację. Najwyraźniej uznał, że wszystko jest w porządku, bo wytarł ręce w spodnie i usiadł za kierownicą.

Zawadzka dotarła do auta akurat w momencie, gdy cel włączał się do ruchu. Szumny już zdążył przesiąść się za kółko, więc od razu wskoczyła na miejsce pasażera.

– Ma coś na sumieniu – bąknął sierżant, wrzucając kierunkowskaz. – Widziałaś, jak się rozglądał?

– Widziałam – odparła. – Skup się na jeździe i utrzymuj dystans.

Na światłach mieli szczęście, Szumny nie musiał łamać przepisów, aby nie zgubić celu i po kilku minutach dotarli do podziemnego parkingu jednego z supermarketów. Kittel zaparkował przy mieszczącej się tam myjni

samochodowej i poszedł do biura. Chwilę później jakiś chłopak tanecznym krokiem doskoczył do jego renault i wjechał na jedno ze stanowisk.

– Musiał być umówiony na godzinę – mruknął Szumny, zerkając na zegarek. – To najlepsza myjnia w mieście. Trzeba umawiać się z wyprzedzeniem, czasem nawet tygodniowym.

Zawadzka nie skomentowała. Zastanawiała się, czy ta sytuacja może mieć drugie dno. Ubłocone opony i nadkola w aucie ogrodnika nie stanowiły powodu do podejrzeń o jakiekolwiek niecne czyny, przyjazd na myjnię również, ale jego zachowanie już owszem.

Kittel wyszedł z części biurowej, znów nienaturalnie rozglądając się po parkingu. Zerknął na chłopaka, który już zdążył zabrać się do pracy, po czym skierował się do rozsuwanych drzwi supermarketu.

– Zostań w samochodzie – poleciła partnerowi. – Zobacz, co oni tam robią z tą renówką, a ja pójdę za nim.

Trzymała się na dystans, ale przez kolejne czterdzieści pięć minut nie zauważyła nic, co mogłoby ją zaniepokoić. Facet zrobił podstawowe zakupy, zajrzał do saloniku prasowego i przejrzał kilka gazet, ale żadnej nie kupił, w końcu ruszył z powrotem w stronę ruchomych schodów, a potem prosto do myjni. Dołączyła do Szumnego.

– I co? – zapytał.

– Nic – odparła. – Co z tym samochodem?

– Gruntowne czyszczenie. W środku też. Brzmi podejrzanie, co nie?

– Yhm…

– Co robimy?

Zawadzka poprawiła kucyk.

– Pójdziesz do tej myjni i upewnisz się, jaką dokładnie wziął usługę. Ja pojadę za nim – powiedziała.

– Ale jak? Tak na blachę?

– A nie potrafisz inaczej? – Posłała mu zgryźliwe spojrzenie. – Zrób to dyskretnie, Tomek, okej?

Szumny teatralnie przewrócił oczami. Nie skomentowała, tylko szturchnęła go, bo cel właśnie opuszczał myjnię. Zanim wsiadł do połyskującego świeżością samochodu, znów się rozejrzał. Teraz była prawie pewna, że facet coś ukrywa.

– Niepozorny ogrodnik z pana, panie Kittel – mruknęła do siebie, przekręcając kluczyk w stacyjce. Chwilę później ruszyła za nim na ulice miasta.

ROZDZIAŁ 23

Kłos zapiął rozporek. Wyciągnął papierosa i zapalił przy otwartym oknie. Patrzył, jak młoda dziewczyna odkasłuje pod drzewem spermę, którą zalał jej przełyk. Bojka naprawdę mu się podobała i pomyślał, że następnym razem wyrucha ją w tyłek, ale dziś nie miał czasu na takie harce. Tak naprawdę po otrzymanej kwadrans temu informacji już dawno powinien ruszyć na komendę, ale myśl, że jest na dobrej drodze, aby załatwić sprawę „Wampira", podnieciła go na tyle, że musiał sobie ulżyć.

– Chcesz jeszcze chusteczek? – zapytał, gdy zobaczył, że zwymiotowała.

– Tak – wyjąkała.

Podał jej paczkę i butelkę z resztką wody. Prostytutka szybko wyciągnęła kilka sztuk i wytarła sobie usta i brodę, a potem przepłukała gardło.

– Lubię cię, Bojka – powiedział. – Powiem Zbychowi, żeby kupił ci błyskotkę i wrzucił na jakąś chatę. Może być?

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Zerknął na zegarek. – Dobra, mała. Weź sobie godzinkę wolnego, a jakby koleżanki kręciły nosem, to powołaj się na mnie.

– Dziękuję – powtórzyła i dygnęła.

– Podrzucić cię do Drewutni?

Drewutnia była obskurnym parkingowym barem, z którego korzystali głównie kierowcy ciężarówek. W menu królowały grillowana kiełbasa, kaszanka i schabowy z kapustą, ale stary Franz, gruby jak bela właściciel tegoż przybytku, z każdej z tych potraw potrafił zrobić dzieło sztuki. Kłos pomyślał, że sam chętnie wrzuciłby coś na ząb, bo zwykle szybko głodniał, gdy już spuścił z krzyża.

– Wsiadasz czy nie? – powtórzył, widząc jej zawahanie.

Dziewczyna skinęła głową i wsiadła z powrotem do samochodu. Kłos wycofał, nawrócił i podjechał leśną drogą kilkaset metrów. Minął dwie kolejne skąpo ubrane kobiety, które najwyraźniej nie przykładały się do

pracy, bo zamiast kusić klientów, sterczały pod lasem i paliły papierosy. Gdy tylko go zobaczyły, pospiesznie skierowały się na parking, ale komisarz uznał, że tym razem im odpuści, zresztą poganianie do pracy leniwych kurew akurat nie należało do jego obowiązków. Wysadził Bojkę przy wyjeździe z lasu i zaparkował kilkanaście metrów dalej, jak najbliżej baru Franza.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się po okolicy. Parking tonął w szkarłatnej poświacie zachodzącego słońca. Ostatnie promienie przedzierały się między drzewami, posrebrzając rozgrzane maski samochodów. Nad ziemią unosiła się chmura kurzu wznieconego przez jedną z odjeżdżających ciężarówek. Pomimo późnej pory wciąż było gorąco i Kłos wyciągnął chusteczki, aby wytrzeć spocone czoło i skronie. Poprawił klejącą się do pleców koszulę, powachlował się wyciągniętą z tylnego siedzenia gazetą i zapalił papierosa. Wzdrygnął się, gdy poczuł w nozdrzach obrzydliwy odór moczu, gówna i resztek gnijącego jedzenia, które wymieszane z wszędobylskim smrodem spalonego oleju mogły przyprawiać o mdłości. Odkaszlnął i splunął. Z ogródka Drewutni unosiła się smużka dymu z wiecznie pracującego wielkiego grilla. Na placu stało sześć tirów i pięć osobówek, w tym dwie najbliżej kibli. Jakiś brzuchaty facet w przepoconej koszulce szczał kilka metrów obok. Kiwał się i podśpiewywał pod nosem, był ewidentnie pijany. Kłos zawahał się, po czym ruszył w jego kierunku. Podszedł akurat w momencie, gdy ten się odwracał, wciąż walcząc z rozporkiem. Mężczyzna nie zdążył go zapiąć, bo komisarz huknął go z otwartej dłoni w lewy policzek. Grubas padł w pobliskie krzaki jak w stos siana, prawie dokładnie tam, gdzie właśnie się wyszczał.

– Co do chuja? – burknął, szeroko otwierając oczy.

– Gówno, kurwa! – warknął Kłos i wyciągnął blachę. Przystawił mu ją do podrapanej od gałęzi twarzy. – Nie wiem, jak obrzydliwym i pozbawionym empatii knurem trzeba być, żeby szczać obok pustego kibla, ale właśnie przez takich oblechów jak ty zawsze cuchnie tu jak z kurwiej dupy.

– Spierdalaj, czło…

Facet nie dokończył, bo na jego odsłoniętej nerce wylądował silny kopniak. Niemal natychmiast zwymiotował.

– I teraz tak, kolego… – Kłos przykucnął, krzywiąc się paskudnie. – Nie dość, że straciłem czas, aby przywołać takiego śmiecia jak ty do porządku, to jeszcze obrzydziłeś mi myśl o tej pysznej kaszance, którą planowałem zjeść u grubego Franza. Chuj, jakoś to przeboleję i opierdolę schabowego,

ale jak wrócę, to wszystkie zalegające tu gówna mają być posprzątane. Rozumiemy się?

Facet nie zareagował. Kaszlał i charczał, od czasu do czasu wypluwając zalegające w gardle wymiociny.

– Rozumiemy się? – powtórzył komisarz i raz jeszcze kopnął grubasa, tym razem nieco lżej, wtedy ten kiwnął głową. – To rozumiem. Właśnie tak powinna wyglądać resocjalizacja. Aha, zapomniałbym… – Rzucił niedopałek na brzuch mężczyzny i przydepnął go. – Lubię zapach drzewa sandałowego, więc ma pachnieć pierdolonym drzewem sandałowym, jasne?

– Jasne, szefie – wyjąkał grubas.

Kłos splunął i poszedł do baru. Usiadł na skraju ogródka pod parasolem i u biuściastej, choć wyraźnie doświadczonej życiem kelnerki zamówił schabowego z ziemniakami i mizerią oraz butelkowe piwo. Zapalił i obciął kilku biesiadujących przy grillu tirowców.

Roztrząsali, czy Robert Lewandowski powinien dokończyć karierę w Bayernie Monachium i spróbować zaatakować kosmiczny rekord strzelecki Gerda Müllera, czy może skusić się na ofertę Realu Madryt albo Paris Saint-Germain. Rozmowa szybko została jednak sprowadzona do klubowego podwórka, a że wśród biesiadujących znaleźli się żarliwi kibice Lechii Gdańsk, Legii Warszawa i Lecha Poznań, dyskusja omal nie wymknęła się spod kontroli i kompani nie dali sobie po mordach. Na szczęście największy z nich, na którego wołali Kudłaty, opanował rozgrzane głowy i wszyscy znów zaczęli pić piwo i żreć kiełbasę i kaszankę.

Gdy kelnerka przyniosła piwo, od razu wypił pół butelki. Ubił komara na policzku i wytarł dłoń o drewniany blat, po czym opróżnił resztę piwa i od razu zamówił drugie. Poczuł, że mięśnie się rozluźniły, a adrenalina, która rozlała się po ciele jeszcze kilkadziesiąt minut temu, powoli zaczynała schodzić. Wspomniał rozmowę z Bojką.

– To ten – powiedziała mu – kilkadziesiąt minut wcześniej.

– Jesteś tego pewna?

– No…

– Tak czy nie?

– Raczej tak. Ciemno było, a to Wiera podeszła. Ale tak. Tak. To chyba on.

– Chyba czy nie chyba? Skup się do kurwy nędzy.

– Tak. To on.

Kłos poczuł rozlewające się po ciele ciepło. Niepozorny chujek. Kto by, kurwa, pomyślał? W pierwszej chwili chciał od razu pojechać na komendę, ale euforia sprawiła, że poczuł nagły przypływ żądzy i zaprosił Bojkę do środka. Nie musiał się spieszyć, poza tym lepiej było nie działać pod wpływem silnych emocji. Takie sprawy należało rozegrać na spokojnie i z rozmysłem. Szybki lód i zimne piwo potrafiły schłodzić głowę i uspokoić galopujące myśli. Zanim kelnerka przyniosła talerz ze schabowym, Kłos już miał plan. Uśmiechnął się szczerze, gdy odbierał zamówienie, a potem zaczął jeść, z każdym kolejnym kęsem utwierdzając się w przekonaniu, że jego pomysł jest genialny. Oczywiście, jeśli Bojka nie zmyślała, w co wątpił. Nie od dziś był psem i potrafił rozpoznać, kto konfabuluje, a kto wierzy w swoją wersję zdarzeń. Ona może i miała wątpliwości, ale kto w tego typu sytuacjach ich nie ma? Ile razy słuchał świadków, którzy choć widzieli sprawcę przestępstwa z odległości metra, to i tak na sali sądowej nie potrafili jednoznacznie potwierdzić, czy podejrzany to ten sam człowiek. Bojka zaś musiała zdawać sobie sprawę, że wskazując tego właśnie faceta, wydaje na niego wyrok.

Kiedy przeżuł ostatni kawałek schabowego, zerknął w kierunku parkingowych kibli. Było już prawie całkiem ciemno, ale wciąż mógł dostrzec kręcącego się w ich pobliżu grubasa. Chodził w tę i we w tę z papierem w ręku, od czasu do czasu schylając się przy krzakach po kolejne gówno. Kłos dopił piwo, beknął i wstał. Otrzepał się i zapalił kolejnego papierosa, po czym ruszył w kierunku samochodu. Oparł się o maskę i przez dłuższą chwilę obserwował podpitego tirowca. Ten w końcu wyrzucił do śmietnika ostatnie cuchnące zawiniątko i ich spojrzenia się spotkały. Facet rozłożył ręce w geście, który Kłos odczytał jako potwierdzenie wykonania zadania.

– Mam sprawdzić? – zapytał, choć wcale nie miał takiego zamiaru.

– Jak szef chce.

– To spierdalaj do kabiny, a jak wytrzeźwiejesz, to won z miasta. A jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, to będziesz czyścił cały parking szczoteczką do zębów. Zrozumiałeś?

Facet coś odburknął i chwiejnym krokiem ruszył do swojej ciężarówki. Kłos zgasił pod butem niedopałek, ostatni raz obrzucił spojrzeniem okolicę i wsiadł do samochodu. Gdy odjeżdżał, nie zwrócił uwagi na stojące za kiblami stare bmw. Brudny uruchomił silnik, dopiero gdy audi Kłosa wyjechało na główną ulicę. Potem spokojnie wychynął spomiędzy ciężarówek i również włączył się do ruchu.

ROZDZIAŁ 24

Dochodziła północ. Brudny właśnie dopijał resztkę soku z mango, gdy zabrzmiał dzwonek w jego smartfonie. Zerknął na wyświetlacz i odebrał.

– Cześć, Igor – przywitała się Julka.

– Cześć – mruknął.

– Gdzie jesteś?

– W pracy.

Przez chwilę zaległa cisza. Odczytał to w jedyny możliwy sposób. Julka musiała być mocno zaskoczona jego nieobecnością. Z powrotem przyłożył monokular do oka. Przymknął prawą powiekę i poprawił ostrość.

– Powiesz mi coś więcej? – zagadnęła.

– Powiem, gdy wrócę. Najpierw chcę się upewnić, czy mam rację odnośnie do jednego tematu.

– A kiedy zamierzasz wrócić?

– Udajesz zazdrosną żonę czy co?

– Ja pierdolę, Igor… – Westchnęła. – Co ja w tobie widzę, to naprawdę nie wiem. Zabrałeś broń, więc przynajmniej powiedz, czy mam się martwić.

– Buszujesz w moich szufladach?

– A ty chcesz mnie wkurzyć?

– Pracuję, kochanie. Zapomniałaś, że chcę być prywatnym detektywem?

– Doigrasz się. A teraz powiedz, czy powinnam się martwić.

– Nie ma czym. Ale jak chcesz pomóc, to sprawdź jeden adres. Nie znam numeru mieszkania, ale to kamienica przy Jedności, klatka 2B.

– Jedności nie ma dobrej renomy…

– Domyślam się.

– No dobra. – Zawadzka westchnęła. – Wrzucę adres na bęben, ale uważaj na siebie, okej? Ledwo chodzisz i…

– Po prostu zrób, o co cię proszę. A teraz muszę kończyć. Pa.

Brudny rozłączył się i odłożył smartfon na miejsce pasażera. Z powrotem skupił się na jednym z dwóch okien, gdzie paliło się światło. To w nim, krótko po tym, jak do bramy kamienicy wszedł Kłos, pojawił się jakiś chuderlawy typ i rozejrzawszy się po okolicy, zasunął żaluzje. Ogolony na łyso, obwieszony złotem, z tatuażami na ramionach i szyi zdecydowanie nie wzbudzał zaufania. Chwilę później w oknie udało mu się rozróżnić cienie trzech mężczyzn, w tym jednego o naprawdę sporych gabarytach. Biorąc pod uwagę, że w drugim oświetlonym oknie mignęła mu jakaś starsza kobieta z kotem, mógł założyć, że Kłos przebywa w tym pierwszym. Zdążył wypalić jeszcze jednego papierosa, gdy otworzyły się drzwi kamienicy. Kłos omiótł okolicę spojrzeniem i poszedł do samochodu. Brudny poczekał, aż policjant oddali się na bezpieczną odległość, i powoli ruszył za nim. Zrezygnował z obserwacji za podzielonogórskim Wilkanowem, gdzie komisarz skręcił w mało uczęszczaną drogę w kierunku Buchałowa. Dalsze śledzenie w takich warunkach wydawało się zbyt ryzykowne i nie było sensu wystawiać się już pierwszej nocy.

Do domu dotarł przed drugą. W salonie wciąż paliło się światło. Zaparkował jak najbliżej drzwi i wygramolił się na zewnątrz. Oparł się o maskę, wtedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich Julka. Miała na sobie krótkie spodenki i luźną koszulkę ze skrzyżowanymi rękawicami. Zaplotła ręce na klatce piersiowej.

– Jesteś niemożliwy, wiesz? – rzuciła, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Naprawdę tak bez słowa wziąłeś mój samochód i pojechałeś łapać bandytów, kiedy ledwo powłóczysz nogami?

– I jak tu babie dogodzić? – prychnął.

– Chodź tu, głupku. – Ruszyła w jego stronę i chwyciła go pod ramię, dając mu podparcie. – Mogłeś chociaż zadzwonić. To nic nie kosztuje i ujmy na honorze Igora Brudnego nie przynosi.

– Daj spokój, Julka.

– Jak ty w ogóle doszedłeś do samochodu?

Brudny nie odpowiedział i w milczeniu pokuśtykał do domu. Zawadzka odprowadziła go pod sam fotel. Komisarz padł nań bezwładnie, ciężko dysząc.

– Chcesz piwo czy whisky? – zapytała.

– Whisky – odparł.

Zawadzka wyciągnęła szklanki, wrzuciła lodu i nalała jamesona, po czym postawiła butelkę i oba drinki na stole. Usiadła na kanapie i oboje

wychylili po łyku.

– Teraz mi powiesz? – zagadnęła, nie odstawiając szklanki na blat.

– Nie będziesz zadowolona.

Zmarszczyła brwi.

– Złapałeś Wampira i chcesz mi odebrać chwilę chwały? – prychnęła.

– Pudło, Julka – odparł i wypił do dna. – Kłos jest skorumpowany. Współpracuje z gangiem sutenerów. Być może nawet gra pierwsze skrzypce.

– Co?! – Otworzyła szeroko oczy.

– Dostałem cynk od Aliny. Pamiętasz ją? To ta koleżanka z…

– Szlachetko. Z sierocińca. Tak, wiem, ale…

– Odeszła z branży w momencie, gdy gorzowski wydział do walki z przestępczością zorganizowaną rozbił szajkę tego całego Wiedźmina, co teraz żre przez rurkę. Wykorzystała szansę, poza tym kogoś poznała, zresztą nieważne. W każdym razie gdy pozamykano jego ludzi, nagle w branży zrobiła się próżnia, a ta branża próżni nie lubi. Nie doszło do walki o wpływy tylko dlatego, że ktoś przyklepał nową ekipę. I według Aliny tym kimś jest Kłos.

Zawadzka sięgnęła po paczkę papierosów. Nie spuszczając wzroku z partnera, wyciągnęła jednego i włożyła do ust. Zaciągnęła się mocno i potarła dłońmi skronie.

– Pomyślałem, że powęszę i przejechałem się tu i tam, w końcu wybrałem się na ten słynny parking na wylotówce na Krosno Odrzańskie – kontynuował Brudny. – Po dwóch godzinach pojawił się Kłos i od razu wziął jedną z dziewczyn do lasu. Wrócił po niecałej godzinie, zjadł w tym barze i na odchodne wpierdolił jeszcze jakiemuś podpitemu tirowcowi, przy okazji pieprząc coś o resocjalizacji.

Brudny wyciągnął się i chwycił butelkę. Nalał sobie jeszcze jednego i też zapalił. Przez chwilę nic nie mówił.

– Wielu gliniarzy bzyka prostytutki i choć mnie to mierzi, to jeszcze nie znaczy, że współpracują z bandytami. – Zawadzka wybuchła nerwowym śmiechem. – Ja pierdolę… – dodała, przygryzając dolną wargę.

– Pojechałem za nim z powrotem do miasta – kontynuował Brudny. – Tam wlazł do jakiejś bramy przy Jedności i prawie dwie godziny nawijał z dwoma podejrzanymi typami. Jeden chudy, podziarany, drugiego widziałem tylko przez żaluzje, ale raczej typowy kark. Dlatego chciałem, żebyś sprawdziła, kto może mieszkać w tej kamienicy.

Zawadzka potarła skronie i wypuściła z sykiem powietrze. Przez chwilę zbierała się, aby zacząć mówić.

– Ten adres to prawdopodobnie jedna z dziupli, w której trzymają kobiety – rzekła w końcu. – Niecałe pół roku temu pojawiło się kilka zgłoszeń o zakłócanie porządku, ale od jakiegoś czasu jest cicho. Lokatorzy wkurwiali się, że z jednego z mieszkań zrobiono burdel, ale najwyraźniej albo zostali zastraszeni, albo przekupieni.

– Kto jest właścicielem?

– Niejaka Ewa Sulima, pseudonim „Masza”, bardziej znana jako kobieta Sebastiana Pawlickiego, pseudonim „Góral”, urodzonego w Wałbrzychu, gdzie – a później także we Wrocławiu – był kilkakrotnie oskarżany o stręczycielstwo, raz skazany na cztery i pół roku za gwałt i pobicie. Facet ma brata Zbigniewa, pseudonim „Zbychu” albo „Chudy”. To znany na Dolnym Śląsku alfons, podejrzewany też o handel żywym towarem, ale pomimo kilku podejść nigdy nic mu nie udowodniono, a co za tym idzie, nie udało się go skazać.

– Czyli się zgadza.

– Co się zgadza?

– Nic ci nie mówi nazwisko Pawlicki?

– Niespecjalnie.

– Pawliccy to synalki Grażyny Pawlickiej.

– Poczekaj… – Zawadzka zmarszczyła brwi. – To ta z Wrocławia, czy tak?

– Bingo, Julka. Grażyna Pawlicka, pseudonim „Małpa”. Od dekady trzyma wszystkie burdele na Dolnym Śląsku. Podobno wredna sucz, a do tego musi mieć plecy, bo ze sprawy „dark party” wyszła nietknięta. No i współpracuje z Ruskimi, a wiesz, co to może oznaczać.

Zawadzka zaciągnęła się i przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu prychnęła niepysznie i zgasiła niedopałek w popielniczce.

– No to robi się grubo…

– No grubo, nawet bardzo grubo. – Brudny przechylił szklankę. – A teraz powiedz… Czy ja dobrze kojarzę, że Kłos wcześniej pracował we Wrocławiu?

Partnerka przytaknęła i sięgnęła po kolejnego papierosa. Widział, że te rewelacje mocno ją zdenerwowały, choć starała się to ukrywać.

– Przeniósł się kilkanaście lat temu – odparła, gdy znów się zaciągnęła. – Pracował tam może z dziesięć, a potem wrócił do Zielonej Góry. Podobno

na własne życzenie, bo zmarła mu matka i musiał zająć się gospodarstwem. I kalekim bratem.

– Kłos ma brata?

– Młodszego. Jeździ na wózku, bo przed laty miał jakiś wypadek. Chyba nawet stracił nogę, ale szczegółów nie znam. Mieszkają w Buchałowie pod Zieloną Górą.

Brudnemu od razu przypomniała się rozmowa z Aliną. „Nie chwal się, że jeździsz na wózku, powiedziała. Poszła jakaś dziwna fama i dziewczyny się boją". Chwilowo postanowił o tym nie wspominać.

– A co mówią na korytarzach?

– Mało kto wierzy, że wrócił z własnej woli, choć podobno w tym Buchałowie ma kawał ziemi wart kilka baniek. W każdym razie krążą plotki, że we Wrocławiu nie przestrzegał procedur, zwłaszcza nadużywał przemocy wobec podejrzanych, i w końcu go wyjebali.

– Mogło tak być… – Brudny się zamyślił, z tyłu głowy wciąż kołatały mu się słowa Aliny. – A gdy nadarzyła się okazja, to ściągnął do miasta starych ziomków z Wrocka i rozkręcili sobie mały biznes. Cwany gość z tego twojego koleżki.

– Jakiego koleżki, Igor? Co ty pierdolisz? – obruszyła się Julka. – Wiesz dobrze, że od początku nie miałam z nim po drodze i…

– Dobra już, dobra. Źle się wyraziłem.

Brudny zgasił papierosa w popielniczce i z powrotem oparł się o zagłówek fotela. Trwał tak przez chwilę, wsłuchując się w złorzeczenia partnerki. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę, jakie konsekwencje mogły wyniknąć z tej sytuacji, jeśli oczywiście ich przypuszczenia ostatecznie by się potwierdziły.

Morderstwa prostytutek. Zaniechania przy prowadzonych śledztwach. Psychopata odsysający krew z młodych kobiet i prawdopodobna współpraca policjanta z gangiem stręczycieli. Wszystko akurat w momencie zmiany warty.

Musiał się z tym przespać, poukładać sobie w głowie pewne kwestie. Szybki raport Julki na temat obserwacji tego ogrodnika dodatkowo zamieszał w tym kotle. Kim był Marian Kittel i dlaczego oddał samochód do gruntownego czyszczenia, z odkażaniem włącznie? Z doświadczenia wiedział, że tego typu ludzie rzadko wydają dwieście złotych w myjni, jeśli wiedzą, że dzień później na pace znów wyląduje kilka worków ziemi, sadzonki kwiatów czy stos brudnych szmat i rękawic.

Położyli się do łóżka przed czwartą nad ranem, a już dwie godziny później na skrzynki pocztowe lokalnych mediów trafił anonimowy list od „Dobrego Gliny”. „Dobry Glina” spieszył poinformować, że zielonogórska policja ukrywa przed obywatelami straszną prawdę o zamordowaniu młodej kobiety. Nie omieszkał dodać, że sprawca wyssał ofierze całą krew, więc operacja mająca na celu schwytanie mordercy otrzymała kryptonim „Wampir”.

ROZDZIAŁ 25

– Jeszcze dziś chcę wiedzieć, kto się, kurwa, rozpruł, jasne? – wycedził przez zęby Magiera. Był wściekły i z tymi świecącymi od potu zakolami przypominał Zawadzkiej wkurwionego szerszenia. – Macie zrobić listę wszystkich osób, które mogły mieć choćby minimalny kontakt ze śledztwem. Technicy, laboranci, posterunkowi – wyliczał. – I przyprowadźcie mi tu tego jebanego leśniczego. Pogadam z tym chłystkiem osobiście.

Zawadzka odebrała telefon kilka minut przed siódmą. Dzwonił Kłos, który poinformował ją, że Magiera zwołuje pilne spotkanie i za pół godziny ma być na komendzie. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi, ale na zebraniu mieli pojawić się wszyscy bez wyjątku. Szybko się ogarnęła, wzięła z lodówki kilka kabanosów i wyszła z domu. Gdy tylko wsiadła do samochodu i włączyła lokalną stację, od razu pogłośniła. Relacjonowała miejscowa dziennikarka Karolina Kaminowska.

– Przed godziną dostaliśmy anonimowy donos od człowieka podającego się za policjanta, który twierdzi, że w Zielonej Górze prowadzone jest utajnione śledztwo dotyczące morderstwa młodej kobiety. Według źródła operacja otrzymała kryptonim „Wampir”, gdyż sprawca wyssał z ofiary całą krew. „Dobry Glina”, jak przedstawia się nasz kontakt, zapewnia, że ma dowody na potwierdzenie swoich słów i jeśli zajdzie taka potrzeba, to je upubliczni. Cały czas próbujemy skontaktować się z komendą i prokuraturą, ale rzecznicy obu tych instytucji nabrali wody w usta i nie chcą udzielać żadnych informacji. Czy nasze miasto znów stało się domem dla psychopatycznego mordercy? Czy znów będziemy musieli oglądać się za siebie? I czy to możliwe, aby po ulicach grasował wampir?

W związku z ostatnimi rewelacjami Julia od razu pomyślała o Kłosie, ale szybko odrzuciła tę myśl. Facet byłby ostatnim, któremu mogło zależeć, aby doszło do przecieku, bo jeśli choć połowa z tego, co mówił Brudny, ocierała się o prawdę, to przy okazji relacjonowania bieżącego śledztwa prędzej czy później ktoś by się do tego całego syfu dokopał. Jeśli nie Kłos,

to kto? O raporcie z sekcji wiedziało wąskie grono osób, nie więcej niż dziesięć, może dwanaście, wliczając laborantkę i kilku techników od Boruckiej.

Nie miała zamiaru brać udziału w dyskusji mającej na celu namierzenie kreta. Wyczekała w milczeniu, aż atmosfera trochę się uspokoi i Magiera przejdzie do spraw stricte związanych z prowadzonym śledztwem. Ze sporządzonych raportów z obserwacji wytypowanych podejrzanych nie wynikało zbyt wiele. Tak naprawdę to właśnie ona miała do zaoferowania najwięcej. Ogrodnik szybko wzbudził emocje.

– Dlaczego od razu faceta nie zatrzymałaś? – zapytał Kłos z wyraźną pretensją.

– A niby na jakiej podstawie? – odparła zaczepnie.

– Rutynowej kontroli? Kurwa, nie wiem. Jeśli w samochodzie były jakieś ślady, to teraz już ich nie ma.

– Mieliśmy wyraźny rozkaz, aby ich obserwować – skontrowała. – Zresztą Szumny rzucił okiem do wnętrza bagażnika, zanim na myjni wzięli go w obroty. W raporcie masz czarno na białym, że nie było tam nic podejrzanego.

– Zwłaszcza widocznego gołym okiem DNA…

– Możesz się ode mnie odpierdolić?

Do rozmowy włączyła się Borucka z Kruszwicą, ale Magiera błyskawicznie wkroczył do akcji i schłodził rozgrzane głowy. Teoretycznie sprawa była dyskusyjna i gdyby się uprzeć, Zawadzka mogłaby faceta zatrzymać pod byle pretekstem. Według procedur nie miała sobie jednak nic do zarzucenia, tym bardziej że rozkazy były jasne i podczas obserwacji mieli się nie wychylać. Na szczęście prokurator tym razem musiał przyznać jej rację, a potem skupił uwagę na ekspertce kryminalistyki.

– Dziś po południu powinnam mieć wyniki przekazanych próbek – oznajmiła Borucka.

– Pogoń ich – skomentował Magiera. – Coś poza tym?

– Niestety, ale poczekajmy te kilka godzin. Materiał od Julii jest obiecujący.

– To znaczy?

– Z pewnością krowie odchody i roślinność nadrzeczna. To może zawęzić obszar poszukiwań.

– Jak wygląda sytuacja z tymi prostytutkami? – Magiera skierował uwagę na Kłosa.

– Rozpuściłem wici i trzymam rękę na pulsie. Może na dniach coś wypłynie.

Zawadzka pomyślała, że komisarz na pewno wie dużo więcej. Pytanie tylko, dlaczego nie chciał tego ujawnić. Korciło ją, aby publicznie zapytać tego gnoja, jak głęboko zapuszczał te swoje wici na parkingu i co robił wczoraj na tym kurwidołku. Na takie akcje było jednak zdecydowanie za wcześnie. Najpierw musiała znaleźć mocne dowody.

– Do tego czasu media rozerwą nas na strzępy – odparł po dłuższym namyśle Magiera. – Wyślij kilku ludzi i niech maksymalnie utrudnią im życie. Przejedź się po wszystkich kurwidołkach i wylotówkach z miasta. Jak trzeba, to pogroź palcem, w ostateczności zawiń na dołek kilka panienek. Jeśli ofiarą jest dziwka, to nie ma siły, one muszą coś wiedzieć.

– Co z pismakami?

– To, co zwykle. Gęba na kłódkę. I tak ja będę musiał zjeść to gówno. Po południu zwołam konferencję.

Zawadzka bacznie obserwowała Kłosa, który przyjął polecenie służbowe wyjątkowo spokojnie. Mogłaby się nawet pokusić o stwierdzenie, że się ucieszył. Zastanawiała się, co ten facet knuje i jaki ma w tym wszystkim udział. Gdyby na miejscu głównodowodzącego zamiast Magiery siedział Czarnecki, nie miałaby oporu, aby poinformować go o swoich podejrzeniach. Prokuratorowi nie ufała jednak za grosz, mało tego, potrafiła sobie wyobrazić, że jest w stanie czerpać korzyści z nowego układu, a może nawet z pełną premedytacją kryć Kłosa. Świadomość, że ta hipoteza nie jest zupełnie pozbawiona podstaw, przerażała ją nie mniej niż wyczyny mordercy.

Tymczasem do rozmowy włączył się Kruszwica z nowym pomysłem, który chwilę później podchwycił Aleksander Dobrowolski. Traseolog przyznał, że gdyby zgodnie z prawem udało się uzyskać odbicie każdej z opon samochodu tego ogrodnika, to z łatwością mógłby porównać jej bieżnik z zabezpieczonym fragmentem z lasu. Magiera zainteresował się tym wątkiem, ale bezprawne zdobycie podobnych dowodów łączyłoby się z ryzykiem, że sąd nie weźmie ich pod uwagę. Gdyby natomiast Marian Kittel rzeczywiście okazał się mordercą i zdołał wykryć zasadzkę, mógłby po prostu zniszczyć opony albo i cały samochód.

Gdy tak debatowali nad wyjściem z sytuacji, pięćdziesiąt kilometrów dalej, w okolicy niewielkiej wsi o swojsko brzmiącej nazwie Gostchorze, mały Franek siedział na jednej z nadodrzańskich główek i jadł przygoto-

waną mu przez mamę kanapkę z sałatą i żółtym serem. Miał dopiero osiem lat, ale dziadek Jurek zdążył już zaszczepić w nim miłość do wędkowania. Młody uwielbiał moczyć kij, a jedynym, co mu przeszkadzało podczas porannych wypraw na ryby, były wszechobecne komary. Właśnie ubił jednego na spryskanej offem dłoni i spojrzał na pluskające się w siatce okazy. Połów do tej pory nie był zbyt obfity i trochę żałował, że zapomniał zabrać zanęty, wobec czego od godziny łowił w silnym nurcie. Wtedy szczytówka kilkakrotnie zadrgała naprawdę mocno. Frankowi gwałtownie zabiło serce, więc od razu odłożył kanapkę i chwycił wędkę w obie dłonie. Zaciął i poczuł silny opór.

– Dziadek. Chyba mam dużą rybę! – krzyknął rozemocjonowany.

Dziadek Jurek był doświadczonym wędkarzem i szybko zorientował się, że na haku nie ma ryby. Podejrzewał płynący konar, ewentualnie wyrwany z prądem glon, w najgorszym wypadku kalosz albo wrzucony do rzeki śmieć. W żadnym razie nie spodziewał się, że wnuk zaraz wyciągnie zaczepioną o haczyk ludzką rękę.

ROZDZIAŁ 26

Krótko po przebudzeniu Brudny zjadł śniadanie i wypił kawę. Zanim włączył radio, przeanalizował wszystko, co do tej pory udało mu się ustalić, a następnie dopytał o kilka kwestii Klepacką. Niestety, nie była mu w stanie pomóc, nie przypomniała sobie nic ponad to, co powiedziała wcześniej. Gdy doczłapał się na balkon, aby zapalić, znienacka doskoczyła do niego z telefonem w ręku.

– Co się stało? – zapytał, marszcząc brwi.

– W radiu mówią, że w mieście grasuje jakiś wampir – rzuciła, niemal dławiąc się przełykaną śliną. – Podobno w lesie znaleźli jaką młodą kobietę, z której wyssano krew. Boże… boję się, że…

– Spokojnie – przerwał jej. – To nie jest twoja siostra.

– Skąd wiesz? – spytała roztrzęsiona.

– Julia prowadzi to śledztwo. Widziała zwłoki i ze stuprocentową pewnością nie należą one do twojej siostry.

– Boże Święty… – Klepacka położyła dłoń na piersi i opadła na krzesło. Wzięła kilka nerwowych wdechów. – Ja już… ja… Boże, nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. Czy coś…

– Poczekaj. – Brudny wstrzymał ją ruchem dłoni. – Daj mi posłuchać.

– Dobrze.

Klepacka podniosła się z krzesła i wróciła do salonu. Brudny włączył na swoim smartfonie Radio Zielona Góra i włożył słuchawki do uszu. Zaczął też przeglądać strony internetowe lokalnych mediów. „Wampir” rzeczywiście bił po oczach już niemal z każdej strony i tylko kwestią czasu było, gdy tak chodliwy towar trafi do ramówek ogólnopolskich stacji telewizyjnych. Pytanie brzmiało, komu zależało na tym, aby rozpętać medialne piekło. Na razie nie potrafił znaleźć odpowiedni na to pytanie. Bardziej martwił się o to, że na wierzch wypłynie sprawa kobiety ze szpitala. Wolał nawet sobie nie wyobrażać, co zaczęłoby się dziać w mieście, gdyby w ręce dziennikarzy trafiły utajnione zdjęcia pacjentki Gruszczyńskiego.

Przeszło mu przez myśl, żeby odwołać trening z Wojtkiem, ale ostatecznie postanowił tego nie robić. Niecałą godzinę później rehabilitant przyjechał i Brudny znów spocił się jak szczur. Wysiłek się opłacił. Zrobił kolejne postępy, wydzieliły się endorfiny i po zimnym prysznicu poczuł się jak nowo narodzony.

Gdy chwilę później zadzwoniła do niego Julka, pomyślał, że to świetny moment, aby zajrzeć w pewne miejsce.

– Z rzeki wyłowiono kobiece przedramię – poinformowała go.

– Gdzie?

– W okolicy Gostchorza. To wioska kilkadziesiąt kilometrów od Zielonej.

– Tylko rękę?

– Na razie, ale Magiera już organizuje ekipę do przeszukania koryta rzeki. Jestem w drodze na miejsce zdarzenia. Pech chciał, że rękę na wędkę wyłowił jakiś dzieciak.

– A Kłos?

– Też. Ma koordynować akcję na miejscu.

– Wyślesz mi jego dokładny adres?

– Muszę sprawdzić, ale… co ty planujesz, Igor?

– Chcę się rozejrzeć.

– Tylko uważaj na siebie, proszę.

– Jasne.

Pięć minut później dostał SMS z dokładnym adresem Kłosa. Jeśli facet miał koordynować akcję, to przynajmniej do wieczora powinien być zajęty. Brudny nie zastanawiał się ani chwili dłużej. Podjechał do samochodu partnerki, zapakował wózek do bagażnika i doczłapał się do drzwi od strony kierowcy. Później było już łatwiej, bo na tym etapie rehabilitacji z prowadzeniem nie miał już żadnego problemu i w drodze do Buchałowa zastanawiał się, czy nie powinien porozmawiać z Julką. Nowszy model patrola, który w ostatnim czasie sobie przywłaszczyła, przecież też miał automatyczną skrzynię biegów i w zasadzie prócz wysokiego progu nic już nie stało na przeszkodzie, aby z powrotem mógł przesiąść się do swojej terenówki.

Na miejsce dojechał po dwudziestu minutach. Buchałów był niewielką wioską oddaloną od miasta zaledwie o kilkanaście kilometrów. Zaraz przy wjeździe mieścił się mały sklepik, przy którym debatowało dwóch przygarbionych mężczyzn dzierżących puszki z piwem, jeden otyły, dumnie pre-

zentujący swój nagi brzuch, drugi chudy jak szkapa, w koszulce bez rękawów i czapce z daszkiem. Brudny zwolnił, aby im się przyjrzeć, ale nawet nie zwrócili na niego uwagi zbyt zajęci rozmową. Jechał powoli, przyglądając się kolejnym domostwom. Większość z nich stanowiły całkiem okazałe wille ze spadzistymi dachami pokrytymi czerwoną bądź granatową dachówką, ale nieco dalej ten obraz się zmienił i zaczęły dominować stare chałupy z czerwonej cegły z rozpadającymi się stodołami i obszczekującymi płoty kundlami. Otworzył okno, przez które do samochodu wdarła się mieszanka woni obornika i skoszonego zboża. Ujadanie psów się nasiliło, usłyszał ćwierkanie ptaków, a gdzieś daleko jednostajne buczenie pracującego traktora. Gdy przy drodze Brudny zobaczył spacerującą młodą dziewczynę z wózkiem, naszła go myśl, że to miejsce wygląda zbyt sielankowo.

Zatrzymał się i wyciągnął paczkę papierosów. Włożył jednego do ust i zapalił przy akompaniamencie głośnego muczenia z pobliskiej obory. Zerknął w tamtym kierunku. W obejściu stał wysoki mężczyzna i bacznie go obserwował. Miał na sobie tylko krótkie dżinsowe spodenki i wyblakłą, zielonkawą czapeczkę z daszkiem. Gdyby się uprzeć, można by mu policzyć wszystkie żebra. Jedną ręką opierał się o widły, a w drugiej trzymał tlącego się papierosa. Brudny wcisnął gaz i odjechał, nie chcąc wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Zerknął na nawigację. Gospodarstwo Kłosów znajdowało się niecały kilometr dalej, kilkaset metrów od zjazdu z szosy. Skręcił w drogę szutrową i minął kilka mniej efektownych domostw z drewnianymi oborami, człapiącymi po podwórzu kurami i obszczekującymi go kundlami. Mimo że jechał powoli, spod tylnych kół wzbijały się tumany kurzu. W końcu w zasięgu wzroku pojawił się cel podróży.

Gospodarstwo Kłosa nie wyróżniało się specjalnie na tle innych. Znajdowało się na lekkim wzniesieniu, z jednej strony otoczone nieużytkiem, z drugiej ścianą lasu. Stara chałupa była duża, skośny pokryty czerwoną dachówką dach wyglądał na solidny, a na kominie w promieniach słońca błyszczał talerz anteny satelitarnej. Obok stały dwa budynki gospodarcze i jakieś maszyny, które okres świetności miały już za sobą. Kilkanaście drzewek owocowych rosnących od zachodniej strony nie wyglądało na regularnie przycinane – choć ich gałęzie uginały się od owoców – raczej pozostawione same sobie rosły na dziko. Za siatką wałęsał się spasiony rottweiler, który najwyraźniej zainteresował się nadjeżdżającym samochodem, bo w pewnym momencie skoczył na ogrodzenie i zaczął kłapać zębami.

Brudny minął gospodarstwo i pojechał dalej drogą szutrową. Zatrzymał się dopiero pomiędzy drzewami. Las nie był tu bardzo gęsty, ale sam mógł czuć się bezpiecznie. Miał stosunkowo niezły widok, wobec czego zgasił silnik, zgniótł niedopałek w popielniczce i wyciągnął podręczny monokular. Przyłożył do oka i ustawił ostrość, skupiając się na leniwie człapiącym psie, który chwilę później położył się w cieniu drewutni. Raz jeszcze dokładnie obejrzał całe obejście. Nie zauważył nic specjalnego, ot, kolejne trochę zaniedbane gospodarstwo ze sporym kawałkiem ziemi. Musiał jednak przyznać, że widok na pola i lasy prezentował się atrakcyjnie i ktoś, kto lubi ciszę i spokój, mógłby znaleźć tu miejsce dla siebie. Podzielone działki po drugiej stronie drogi wyraźnie wskazywały, że ta część ziemi została już sprzedana. Zastanawiał się, jaką wartość może mieć obszar należący do Kłosa, ale był naprawdę rozległy i kilka milionów złotych rzeczywiście nie brzmiało jak suma wzięta z sufitu.

Skupił się ponownie na głównym budynku i przez parę minut obserwował okna. W pewnym momencie w jednym z nich pojawił się jakiś cień. Twarz należała do mężczyzny, ale zdawała się przypominać bardziej woskową maskę niż oblicze człowieka. Poprawił ostrość, ale gospodarz zniknął w głębi domu. Bez wątpienia jeździł na wózku inwalidzkim. Na obserwacji spędził jeszcze trzy godziny, w międzyczasie dzwoniąc do Julki.

– Jak sytuacja? – zapytał.

– Na razie nic nowego – odparła. – Mamy tylko tę rękę, ale ekipa nurków już działa. To może potrwać nawet kilka dni.

– A Kłos?

– Jest na miejscu. A co u ciebie?

– Też nic ciekawego. Tylko ten jego brat… – Cmoknął. – Widziałaś go kiedyś? Albo jego zdjęcia?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Nie jestem pewien… – Brudny zrobił krótką pauzę. – Dobra. Posiedzę tu jeszcze trochę i pogadamy wieczorem. Na razie.

– Uważaj na siebie.

Rozłączył się i ponownie skupił na budynku. W ciągu kolejnej godziny domownik przemknął w oknie jeszcze raz, ale nie zbliżył się do niego na tyle, aby Brudny mógł mu się bliżej przyjrzeć. Dodatkowo słońce zaczęło padać na szyby pod takim kątem, że odbijało promienie słoneczne, skutecznie go oślepiając. Gdy już zaczął myśleć o powrocie, dostrzegł jakiś ruch. Pies zerwał się i pobiegł wzdłuż muru w kierunku drzwi frontowych.

Ponownie poprawił ostrość, ale twarz mężczyzny na wózku jak na złość pozostawała w cieniu. Nie było jednak wątpliwości, że jedna z nóg gospodarza musiała zostać kiedyś amputowana.

Pies przystanął przed wejściem i przez chwilę merdał przyciętym kikutem ogona. W końcu chwycił w zęby podaną przez pana kość z resztkami mięsa i z powrotem pobiegł w okolice drewutni. Brudny skupił się na ciemnej otchłani w drzwiach. Wtedy mężczyzna wychynął z mroku.

Rozejrzał się po obejściu, ale z wyrazu jego twarzy niewiele można było wywnioskować. Tak naprawdę absolutnie nic, bo oblicze bardziej przypominało efekt charakteryzacji do taniego horroru. Brudny odruchowo odsunął oko od monokulara, ale szybko z powrotem je przystawił. Facet w zasadzie nie miał żadnych rysów. Twarz była jedną wielką blizną, przypominającą te po źle wykonanych przeszczepach. Skóra naciągnięta do granic możliwości, niemal zupełny brak brwi, warg i nosa, w miejscu którego zionęły dwie czarne dziury. Zgrubiałe blizny na szyi i nagim torsie sugerowały, że kiedyś musiał ulec bardzo ciężkiemu poparzeniu. W pewnej chwili spojrzał wprost na Brudnego. Z takiej odległości – nawet jeśli jego wzrok nie był uszkodzony – i tak nie miał prawa dostrzec go skrytego pomiędzy drzewami, mimo to komisarz poczuł dyskomfort. W końcu gospodarz wycofał się do wnętrza domu i zamknął za sobą drzwi.

Brudny odłożył monokular i sięgnął po butelkę z mrożoną herbatą. Nie była już nawet chłodna, ale i tak wypił całość. Wrócił myślami do wizyty w szpitalu psychiatrycznym. Przed oczami stanęło mu usiane bliznami ciało kobiety. Zaklął pod nosem i włączył silnik. Nie wierzył w zbiegi okoliczności. W drodze do domu prześladowała go jedna, wyjątkowo ponura hipoteza.

Maksymilian…

Nie mógł opędzić się od myśli, że cały ten deweloper to pic na wodę. Ale czy to, co chodziło mu po głowie, w ogóle było możliwe?

Przy wjeździe do miasta zmienił decyzję i na rondzie wybrał trzeci zjazd zamiast pierwszego. Tylko jedna osoba mogła rozwiać jego wątpliwości.

ROZDZIAŁ 27

Piątkowy wieczór był ciepły, a w pokoju roiło się od czyhających na swoją szansę komarów. Doktor Gruszczyński za późno się zorientował, że zdążył zużyć środek przeciwko tym upierdliwym owadom, a nie miał dodatkowych wkładów do wciśniętego w kontakt pojemnika. Z braku innego wyjścia musiał zająć się sprawą osobiście. Chwycił jeden z leżących na blacie biurka magazynów medycznych i utłukł kilka sztuk na ścianach, zostawiając czarno-czerwone plamki dla sprzątaczki. Gdy uznał, że chwilowo wyszedł z tej wojenki zwycięsko, z powrotem usiadł do komputera.

– Fascynacja krwią, czerwienią, fascynacja, fascynacja… – mruczał pod nosem, grzebiąc w swoich starych zapiskach.

Kiedy dziś rano usłyszał w radiu o śledztwie w sprawie „Wampira", przez resztę dnia nie mógł skupić się na wykonywanej pracy. Był przekonany, że kiedyś już spotkał się z podobnym przypadkiem. Niekoniecznie podczas własnej praktyki – to raczej by zapamiętał. Ale może na studiach albo w czasie robienia specjalizacji? Tak, to prędzej. Wtedy mógł usłyszeć o tych wszystkich rzadko spotykanych przypadkach pacjentów, którzy byli przekonani, że są kolejnymi wcieleniami Juliusza Cezara, afrykańskiej żaby albo właśnie wampira. Dwadzieścia lat to jednak szmat czasu i wspomnienie podobnych historii miało prawo się zatrzeć. Nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że kiedyś w jego obecności omawiano przypadek pacjenta, który w młodości był przekonany, że jest wampirem. Ubóstwiał wszystko, co wiązało się z czerwienią, okaleczał się, żeby pić własną krew, a kiedyś przyłapano go na wysysaniu jej ze złapanej na terenie szpitala myszy. Tylko czy aby na pewno był pacjentem tej placówki w Ciborzu? Może jednak innej, gdzieś na drugim końcu Polski?

Gruszczyński zamknął oczy i przetarł palcami spocone skronie. Grzebanie w notatkach sprzed prawie ćwierć wieku nie wyglądało na specjalnie rozsądne, zwłaszcza jak na faceta mającego na co dzień do czynienia z wszelkimi możliwymi zaburzeniami psychicznymi. Pomyślał, że chętnie

położyłby się teraz w łóżku i namówił Darię, poznaną kilka miesięcy temu młodą masażystkę, do zaprezentowania swoich możliwości. Daria była jednak na jakimś konwencie w Warszawie i pewnie robiła masaż dużo młodszemu i przystojniejszemu facetowi, a on – z racji tego, że umówili się na otwarty związek – nie mógł mieć do niej o to pretensji.

Odsunął myśl o jej silnych dłoniach na swoich barkach i z powrotem skupił się na zawartości plików. Fakt, że na koniec studiów wszystkie swoje notatki zapisał w formie cyfrowej, a następnie skatalogował i podzielił na odpowiednie foldery, przez większość jego byłych kolegów został potraktowany jako kolejne, nie do końca poznane jeszcze schorzenie, w związku z czym niejednokrotnie mu tu wypominali. On jednak wiedział swoje. Zawsze był skrupulatny i niczego nie pozostawiał przypadkowi. W ciągu ostatniej godziny znalazł Juliusza Cezara, o którym wcześniej myślał, afrykańską żabę, a do tego prezydentową, córkę Józefa Stalina, a nawet człowieka, który myślał, że jest pociągiem. Nie mógł jednak natrafić na wampira, a był stuprocentowo pewny, że podobny przypadek na wczesnym etapie jego kariery gdzieś mu się przewinął. Pomyślał o profesorze Bronisławie Kochanowskim. To on wykładał na zajęciach, na których omawiano najdziwniejsze i nietypowe przypadki, ale dziś pewnie dobiegał osiemdziesiątki, jeśli w ogóle jeszcze żył.

Postukał palcami w blat biurka i ubił kolejnego komara, tym razem na lewym przedramieniu. Znajdująca się na jego oddziale pacjentka w pewnym sensie też mogła pośrednio łączyć się ze sprawą „Wampira”, bo ten, który ją tak pociął, nie tylko musiał być sadystą i zwyrodnialcem, lecz także wykazywał wszelkie cechy fascynacji krwią jako taką. Biorąc pod uwagę, że policja prowadziła śledztwo w sprawie mordercy pozbawiającego swoje ofiary krwi, prawdopodobieństwo, że jego pacjentka może mieć z tym wszystkim coś wspólnego, rosło wykładniczo. Przeszło mu nawet przez myśl, aby podzielić się swoimi przypuszczeniami z prokuraturą, ale na razie nie miał na ich potwierdzenie żadnych dowodów, a Magiera najwyraźniej takowych od niego nie oczekiwał, bo nawet nie raczył go poinformować o prowadzonym śledztwie, o którym doktor dowiedział się dopiero z mediów.

Wstał od biurka i przeszedł do pokoju z minianeksem kuchennym. Nasypał ziaren kawy do młynka i zmielił je. Włączył czajnik elektryczny. Przez chwilę stał i czekał, aż woda się zagotuje, w końcu postanowił wykorzystać ten czas na parę ćwiczeń dla rozprostowania zastanych mięśni. Zrobił kilka

skłonów, wymachów rękami, zakręcił biodrami, po czym zalał kubek wrzątkiem. Pomieszczenie wypełnił intensywny aromat. Upił łyk i wrócił do swojego gabinetu. Jego myśli wciąż krążyły wokół „Wampira” i znajdującej się na oddziale pacjentki. W końcu zasiadł do komputera i wstukał dane profesora Kochanowskiego. Niestety, bez skutku. Przeleciał listę kontaktów i odnalazł kilka, które mogłyby być przydatne. Trzeci telefon do kolegi po fachu pozwolił mu uzyskać potrzebne informacje. Zaraz po zakończeniu rozmowy wybrał podany numer.

– Słucham… – Głos mężczyzny brzmiał jak tarcie papieru ściernego o metal.

– Dobry wieczór. Czy dodzwoniłem się do profesora Bronisława Kochanowskiego?

– A z kim mam przyjemność, jeśli można spytać?

– Kłania się doktor Waldemar Gruszczyński, ordynator oddziału Psychiatrii Sądowej Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Ciborzu. Czy mógłbym zająć panu chwilę?

Mężczyzna po drugiej stronie odchrząknął kilkakrotnie. Chciał coś powiedzieć, ale jedynie zacharczał. Gruszczyński cierpliwie czekał.

– Tak, tak – odparł rozmówca chrapliwie po dłuższej chwili. – Przepraszam za mój głos, ale zdrowie już nie to co kiedyś. Pięć lat temu dopadło mnie raczysko. Od palenia, cholera jasna. Ale póki co pokonałem sukinsyna… – Znów odchrząknął. – Proszę przypomnieć nazwisko…

– Gruszczyński. Jestem ordynatorem…

– Tak, tak. Słyszałem. Pracuje pan w Ciborzu. Świetna placówka. Niestety, proszę wybaczyć, ale nazwiska nie kojarzę.

– W latach dziewięćdziesiątych chodziłem na prowadzone przez profesora wykłady. Bardzo je lubiłem, bo potrafił pan zaciekawić studentów jak nikt inny.

– Dziękuję. Po tylu latach… ech… przepraszam, że nie kojarzę, ale przez moje wykłady przewinęło się wielu zdolnych studentów… – Mężczyzna przerwał i zacharczał, jakby chciał wypluć płuca. – Raz jeszcze przepraszam. Mam pewne ograniczenia i jeśli moglibyśmy przejść do meritum, to…

– Oczywiście. Dzwonię w konkretnej sprawie, bo mam na oddziale niecodzienny przypadek, który być może łączy się z innym, nie mniej interesującym.

– Cóż to za przypadek, panie…

– Gruszczyński.

– Tak… Gruszczyński.

– Chodzi o zaburzenie związane z krwią. Fascynacja krwią. Wyimaginowany wampiryzm.

– Taaak… – W tonie profesora dało się wyczuć zaciekawienie.

– Jestem przekonany, że kiedyś opowiadał pan o podobnym przypadku, ale nie jestem w stanie znaleźć swoich zapisków i pomyślałem, że może pan…

– Ooo, proszę pana… – Starszy mężczyzna zaśmiał się chrapliwie i kilka razy odkaszlnął. – Gdybym ja pamiętał tych wszystkich pacjentów… – Zrobił krótką przerwę, aby przełknąć ślinę. – Ale tak. Przypominam sobie tamto dziecko. Wprawdzie jak przez mgłę, bo pamięć już trochę zawodna, ale takie przypadki zostają z człowiekiem do końca jego dni.

– Wspaniale. Czy mógłby mi profesor odpowiedzieć na kilka pytań związanych z pacjentem?

– Nie chciałbym czegoś pokręcić. – Wypuścił powietrze ze świstem. – To było jeszcze za komuny. Tak. Dokładnie. Pamiętam, że kiedy jeździłem na oddział, kilka razy zakopałem się wtedy w zwałach śniegu podczas tej słynnej zimy stulecia. Koniec lat siedemdziesiątych? Prawie pół wieku temu. Ależ ten czas leci, drogi panie.

– Może jednak pan coś pamięta?

– No tak… przepraszam… Pamiętam, pamiętam, tylko szczerze mówiąc, nie do końca rozumiem, dlaczego pan dzwoni z tym do mnie.

– To od pana usłyszałem o tym przypadku.

– Niemniej sugeruję przespacerować się do archiwum.

– Do archiwum? – Gruszczyński zmarszczył brwi.

– Co prawda nie ma gwarancji, że karta pacjenta się zachowała, bo to było dziecko jakiegoś partyjniaka, ale chyba warto spróbować.

– Ale… nie rozumiem.

– Chyba macie jeszcze archiwum, prawda?

– Nooo tak…

– Zatem zachęcam do jego odwiedzenia. Mógł pan nie wiedzieć, bo w tamtym czasie był pan jeszcze szkrabem, ale tak – ten przypadek był leczony w szpitalu w Ciborzu.

Gruszczyński poczuł się jak głupek i wymieniwszy jeszcze kilka kurtuazyjnych zwrotów, rozłączył się. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta i archiwum dawno było już zamknięte, a taki stan rzeczy miał się utrzy-

mać przynajmniej do poniedziałku rano. Przez dłuższą chwilę siedział, zastanawiając się, co zrobić. Przypomniał sobie, że jutro mecz gra jego syn, a pojutrze umówił się z byłą żoną, że zabierze córkę na otwarty basen w Drzonkowie. Kilka kolejnych sekund analizował sytuację, w końcu zamknął laptop, chwycił kluczyki do samochodu i wyszedł z gabinetu. Pewnych rzeczy nie przeskoczę, pomyślał. „Wampir” będzie musiał poczekać do poniedziałku.

Gdy wyjeżdżał przez bramę szpitala, pewien mężczyzna siedział przed laptopem i czytając kolejne artykuły, nerwowo obgryzał paznokcie. Z trudem panował nad gonitwą myśli. Złapał się za głowę. Słyszał ją. Słyszał, jak mówi, co ma zrobić. Jak mu rozkazuje, ostrzega i karci. Miał wrażenie, że od tych głosów zaraz pęknie mu czaszka. Zrobił to, bo nie miał innego wyjścia. Jak koszerne mięso albo napompowanego wodą kuraka, powtarzał w myślach, gdy przed oczami stawało mu szlachtowane ciało kobiety. Jej skóra była jasna i aksamitna, a wnętrze delikatne i bladoróżowe niczym mięso zdrowego łososia. Mięso, mięso, mięso, to tylko cholerne mięso, powtarzał w kółko, a potem rąbał to ciało jak kawał świńskiej tuszy. W końcu to, co kiedyś było Galiną, a później tylko dwunastoma kawałkami koszernego mięsa z Galiny, zapakował do czarnych foliowych worków i jeszcze przed wschodem słońca wyrzucił w nurt rzeki.

Teraz te obrazy nawiedzały go bez ustanku. Radio wciąż grało, a on stale słyszał, jak te głosy o nim mówią. Policja i media już wpadły na jego trop, a gdy w radiu po raz kolejny padło słowo „wampir”, wyłączył je i ledwo się powstrzymał, aby nie roztrzaskać odbiornika o podłogę. Schował głowę w dłoniach i zamknął powieki. Wplótł palce we włosy, w końcu zacisnął je w pięść z taką siłą, że zatrzeszczały wszystkie ścięgna.

On też potrzebował krwi. Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Co za pierdolona ironia, pomyślał. Ta krew była kroplą w morzu jego potrzeb.

ROZDZIAŁ 28

Czarnecki się zasępił. To, co przed chwilą usłyszał z ust Brudnego, wyglądało gorzej niż źle. Kwestia pozwalania sobie na współżycie z prostytutkami była bolączką niemal każdego komisariatu w Polsce, ale tu sprawy zaszły zdecydowanie za daleko. Jeśli Kłos rzeczywiście wszedł w jakieś konszachty z szajką sutenerów (a inspektor nie miał żadnych powodów, aby wątpić w rewelacje komisarza), należało powiadomić Biuro Spraw Wewnętrznych. Sytuacja była jednak dużo bardziej skomplikowana, bo sprawa „Wampira" czysto teoretycznie mogła mieć z tym coś wspólnego. Wolał jednak nie wybiegać tak daleko w przyszłość.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek do drzwi. Podniósł się z kanapy, ale uprzedziła go żona. Chwilę później w przedpokoju rozległ się znajomy kobiecy głos. Czarnecki przywitał się z Zawadzką i wskazał jej miejsce na sofie. Usiadła obok Brudnego. Inspektor ściągnął okulary i przetarł oczy. Westchnął.

– Dobrze, że przyszliście z tym do mnie – powiedział. – Sprawa jest bardzo poważna i jak najszybciej trzeba znaleźć z niej jakieś wyjście.

– Co usłyszałeś? – zapytała komisarz.

Czarnecki w kilku zdaniach powtórzył to, co do przyjazdu Julki zdążył mu przekazać Brudny. Przyjął go prawie dwie godziny wcześniej, a Julka miała dotrzeć, gdy tylko skończy służbę. Musiała się sporo nagimnastykować, bo Magiera chciał jej wcisnąć jeszcze kilka godzin obserwacji, ale wymigała się rozwolnieniem.

– Co powinnam teraz zrobić? – podjęła, gdy skończył mówić.

– To zależy, czy chcesz działać według procedur.

– Sama nie wiem. – Pokiwała z niedowierzaniem głową. – Od pierwszego spotkania ten cały Kłos wydał mi się wrednym typem, ale nie spodziewałam się, że może robić takie rzeczy.

– Na razie to tylko hipoteza – wtrącił Brudny.

– Jedyna mająca sens, Igor. I bądźmy szczerzy, ale w tym całym śledztwie prawie nic do siebie nie pasuje. Mam wrażenie, jakby ktoś specjalnie w nim chachmęcił.

– Co dokładnie masz na myśli, Julio? – Czarnecki z powrotem założył okulary.

– Po pierwsze sprawa tamtej Białorusinki. – Zawadzka nachyliła się i uniosła kciuk. – Moim zdaniem śledztwo zostało położone. Nie wiem, ile w tym działań Kłosa, ale nawet po jego wypowiedziach można wnioskować, że niespecjalnie zależało mu na znalezieniu winnego. Co prawda była jakaś wymiana pomiędzy Zieloną i Gubinem, ci drudzy nawet się zaangażowali, bo przepytali kilkunastu świadków, ale gdy zeznania wykazały, że dziewczyna najprawdopodobniej pracowała dla kogoś u nas, sprawa stanęła w miejscu. To znaczy w papierach jest kilka protokołów z przesłuchań, ale wyglądają, jakby przesłuchania prowadził jakiś żółtodziób i to taki niezbyt rozgarnięty. Nikt nie przycisnął tych kobiet. Nikt nawet nie próbował z nich wydusić więcej niż „nic nie widziałam, nic nie słyszałam”.

– Prostytutki rzadko się zwierzają…

– Zgoda, ale wystarczyłoby, żebyś zerknął na protokoły z Gubina. Tam przynajmniej widać, że komuś zależało. Kłos zrobił tylko tyle, aby jakoś to wyglądało w papierach. Nic ponad to, aby zapewnić sobie dupochron.

– Akurat on zwykle nie unikał naginania procedur – skomentował Czarnecki. – I to raczej w złym tego słowa znaczeniu.

– Właśnie to mam na myśli.

Czarnecki znał Kłosa od początku jego kariery w komendzie. Z początku wydawał się całkiem dobrze rokującym młodym policjantem, ale szybko dał się poznać jako facet nieprzebierający w środkach. Potrafił pobić podejrzanego, nastraszyć świadka, a z czasem nawet zlecać zatrzymanym złodziejom odpowiednie zajęcie się interesującym go delikwentem w areszcie. Działał brutalnie, nie miał szacunku do ludzi, w tym kolegów z wydziału bądź tych niższych stopniem. Czarnecki nie akceptował takiego postępowania i miał do aspiranta w najlepszym razie ambiwalentny stosunek. Kolejni komendanci nie podzielali jednak podobnych rozterek, bo Kłos na swój sposób był skuteczny, w związku z czym Czarnecki nie wcinał się między wódkę a zakąskę i obaj panowie po prostu trzymali się od siebie z daleka. W końcu facet jednak przesadził i podczas jednego z przesłuchań połamał podejrzanemu żebra. Sprawa wypłynęła i nie dało się go obronić, wobec czego dostał naganę i został zmuszony do zmiany miejsca pracy. Niewąt-

pliwa skuteczność pozwoliła mu znaleźć bezpieczną przystań we Wrocławiu, gdzie nowy komendant, niejako przymuszony przez świeżo wybranego prezydenta do rozprawienia się z przestępczością (które to było jednym z głównych punktów jego kampanii), postanowił przyjąć go pod swoje skrzydła. Kłos dostał wolną rękę i szybko pokazał, na co go stać. Nie patyczkował się, ale zamknął kilku zbirów, najwyraźniej przy okazji samemu wikłając się w tajemne układy z półświatkiem. Wieczny smród, który się za nim ciągnął, nie przeszkodził mu z powrotem trafić do Zielonej Góry, choć wydatnie pomogła mu zmiana komendanta i wniosek, w którym zawarł wyjaśnienia mające na celu wytłumaczenie przełożonym, że po śmierci matki musi zająć się niepełnosprawnym bratem. Gdy nieco ponad pół roku temu nieoczekiwanie na emeryturę odszedł Czarnecki, a krótko później do miasta został ściągnięty Magiera, Kłos mógł otwierać szampana.

– Jakie macie wnioski? – zapytał po chwili namysłu Czarnecki.

– Typ trzyma łapę na biznesie – mruknął Brudny.

– Wczoraj sprawdziliśmy jego powiązania z szajką sutenerów z Wrocławia – dodała Zawadzka. – Na pewno ma z nimi jakiś układ. Ale jaki, tego na razie nie wiemy.

– Uważacie, że śledztwo w sprawie morderstw prostytutek może być przez niego w jakiś sposób sterowane?

Zawadzka głęboko westchnęła, Brudny tylko uniósł brwi. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały.

– Nie wykluczamy tego – odparła, z powrotem skupiając uwagę na inspektorze. – Ale dowodami na razie nie dysponujemy.

– Jest jeszcze coś. – Brudny upił łyk kawy. – Alina ostrzegła mnie, że jeśli chcę powęszyć na wylotówkach, to żebym nie wychylał się z tym, że jeżdżę na wózku, bo wśród dziewczyn poszła jakaś głupia fama…

– Jaka fama? Nie wspominałeś mi o tym. – Zawadzka posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie.

– Myślałem, że to nic istotnego – odparł szybko. – Do czasu gdy dowiedziałem się, że Kłos ma niepełnosprawnego brata. Dziś rzuciłem okiem na jego chałupę i okazuje się, że facet nie tylko jeździ na wózku, ale ma też gębę jak Freddy Krueger.

Czarnecki zwykle nie tolerował tego typu personalnych wycieczek nawet wobec ściganych przestępców, ale tym razem zdecydował się przymknąć oko. Poprawił się w fotelu i ponownie przetarł chusteczką okulary. W tym czasie do salonu weszła jego żona z tacką, na której stała filiżanka

białej kawy i talerzyk z pokrojonymi kawałkami sernika. Zawadzka podziękowała, a Jadwiga ulotniła się z powrotem do kuchni.

– Paweł Kłos miał w młodości poważny wypadek – zaczął Czarnecki, gdy żona się oddaliła. – Dopiero co przeniosłem się z Gorzowa do Zielonej Góry i to była jedna z tych paskudnych spraw, które nie wiadomo jak ugryźć. Ojciec i dwóch synów wracali z meczu żużlowego, ale nie wyrobili się na zakręcie i uderzyli w drzewo. Jednym z uczestników wypadku był Artur Kłos, który według ojca siedział na miejscu pasażera, ale… – Czarnecki westchnął głęboko, pochylił się nad stołem i obrzucił gości pełnym powagi spojrzeniem. – Ale moim zdaniem kierował nie ojciec, tylko syn.

– Grubo… – mruknęła Zawadzka.

– Późniejsze badanie wykazało, że ojciec w momencie wypadku miał prawie trzy promile, więc nie wyobrażam sobie, aby w ogóle był w stanie zasiąść za kierownicą – kontynuował inspektor. – Samochód stanął w płomieniach, a strażacy zeznali, że po przyjeździe na miejsce wypadku zobaczyli leżącego w rowie Kłosa seniora i wrzeszczącego wniebogłosy Artura, który błagał, aby ratowali mu brata. Paweł istotnie miał pecha, bo zaklinował się na tylnym siedzeniu i nie był w stanie wydostać się z płonącego pojazdu. Pożar został ostatecznie ugaszony, ale chłopak doznał bardzo poważnych poparzeń całego ciała, w tym twarzy. Ledwo udało się go uratować, jednak lekarze musieli amputować mu nogę.

– Kiedy to było?

– Kłos już pracował, ale był żółtodziobem. Po wszystkim dostał rok urlopu, ale ostatecznie podjął decyzję o powrocie do służby. Byłem temu absolutnie przeciwny, jednak to były lata dziewięćdziesiąte. Brakowało kadr, przestępczość kwitła, nikt nie chciał pracować za tak niskie wynagrodzenie. Nie mam pojęcia, kto ostatecznie podjął decyzję o przywróceniu go, ale moim zdaniem popełnił fatalny błąd.

– Uważasz, że trauma po wypadku mogła wpłynąć na jego postępowanie?

– Daleko mi do takich wniosków. Nie jestem psychiatrą, ale przed wypadkiem wydawał się rokującym policjantem. Niestety, po powrocie z urlopu zmienił się nie do poznania. W tamtych czasach policja mogła jednak pozwalać sobie na więcej i kolejni komendanci przymykali oko na jego wybryki. Broniła go skuteczność.

– I naprawdę żaden psychiatra go nie zdyskwalifikował?

– Musiał przejść testy, ale z oczywistych względów nie byłem informowany o ich wynikach. Poza tym w tamtym czasie też dopiero zaczynałem pracować na swoje nazwisko.

W salonie zapadła cisza. Wprawne ucho mogło wychwycić jedynie szum rozmów z nie do końca wyciszonego telewizora, na którego ekranie trwała jakaś dziennikarska debata dotycząca planów wprowadzenia nowych podatków. Kilka much obijało się o przymknięte drzwi balkonowe, w końcu jedna z nich poddała się, zmieniła plany i przysiadła na kawałku sernika. Czarnecki przegonił ją dłonią i sięgnął po chusteczkę.

– Muszę w końcu kupić ten wiatrak – bąknął i wytarł pot z czoła.

– Można zaufać Magierze? – zapytał Brudny.

– Karol nie jest człowiekiem bez wad, ale śmiem wątpić, aby próbował kryć takie historie. Owszem, jestem zdolny uwierzyć, że byłby w stanie przymknąć oko na drobne sprawy, ale nie na permanentną współpracę policjantów ze zorganizowaną grupą przestępczą. Moim zdaniem prokurator nic o tym nie wie.

– Ceni sobie współpracę z Kłosem… – zauważyła Zawadzka.

– Ale, za przeproszeniem, dupy za niego nadstawiać nie będzie. – Czarnecki złączył palce dłoni i zmarszczył brwi. Trwał przez chwilę w tej pozycji, wpatrując się w talerz z ciastem. – Zawsze możesz też poinformować Biuro Spraw Wewnętrznych. Wtedy nikt ci nie zarzuci łamania procedur.

– Jeśli mamy rację… – mruknęła.

Takie rozwiązanie wiązało się z ryzykiem innego rodzaju. Gdyby okazało się, że Alina jednak się pomyliła i Kłos nie ma nic wspólnego z gangiem sutenerów, a przykładowo był tam, bo prowadzi inne, utajnione śledztwo albo bandzior jest jego informatorem, taki donos prędzej czy później by wypłynął. W Polsce konfidenci nigdy nie mieli łatwego życia, a mentalność w szeregach policji niespecjalnie różniła się od tej wśród więźniów. Donoszenie na kolegów było traktowane jako jeden z najcięższych grzechów, zwłaszcza jeśli ostatecznie okazywało się jedynie pomówieniem. Gdyby Zawadzka i Brudny się pomylili, ona mogłaby pakować manatki i zapomnieć o dalszym pełnieniu służby, bo cała historia rozeszłaby się po wszystkich komendach z prędkością błyskawicy. Brudny, jako jej partner, wcale nie miałby łatwiejszego życia. Nawet jeśli ostatecznie zdecydowałby się oddać odznakę i podjąć pracę prywatnego detektywa, bo najpewniej środowisko traktowałoby go jak czarną owcę. Podsumowując, bez twardych dowodów to rozwiązanie raczej nie wchodziło w rachubę.

– Czyli jesteśmy w dupie – skwitował Brudny.

– Jaka jest twoja rada? – rzuciła Zawadzka.

– Uważam, że decyzję powinniście podjąć sami – odparł Czarnecki. – Powiedziałem wam, co wiem, ale nie jestem przy śledztwie. Nie widzę niuansów, które w ogólnym rozrachunku mogą mieć kluczowe znaczenie. Przykro mi.

– Dziękuję, Romek. I tak bardzo nam pomogłeś. – Zawadzka podniosła się z sofy. – Będziemy już lecieć. No, chyba że ty chcesz jeszcze zostać… – Posłała partnerowi pytające spojrzenie.

Brudny pokręcił głową, oparł się o blat stołu i wstał.

– A ciasto? – zapytał Czarnecki. – Nawet nie spróbowaliście…

– Weźmiemy na wynos. Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Macie szczęście, bo Jadźka by was stąd nie wypuściła.

– Potwierdzam! – dobiegło z kuchni.

Czarnecki na chwilę zniknął za rogiem. Wrócił z talerzem i folią aluminiową, a następnie szybko zapakował cztery kawałki sernika. Włożył je do siatki i doskoczył do przedpokoju.

– To niebezpieczna gra, Julio – rzekł, wręczając ciasto Zawadzkiej.

– Jeszcze to przemyślimy – odparła.

– W każdym razie uważajcie na siebie. Jeśli istotnie macie rację co do Kłosa, śledztwo w sprawie „Wampira” może wyglądać zupełnie inaczej niż… – Zamilkł. Ostatnie słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

– Damy radę – mruknął Brudny i na pożegnanie poklepał inspektora po plecach.

– Kto jak nie ty – odparł Czarnecki, uśmiechając się półgębkiem.

Chwilę później Brudny chwycił kule i wyszli z mieszkania. Julka odprowadziła go do swojej beemki, którą zaparkował tuż przy klatce na miejscu dla niepełnosprawnych.

– Korzystaj, póki możesz, bo czas dobroci dla zwierząt powoli się kończy – rzuciła zaczepnie i klepnęła go w tyłek.

– Takaś mądra? – Chciał ją do siebie przyciągnąć, ale uchyliła się i odeszła kilka kroków, a on niemal stracił równowagę i musiał oprzeć się o dach pojazdu. – To od jutra możesz zabierać tego swojego gruchota. I wszystkie płyty z tym rzępoleniem. Nie wiem, jak można tego słuchać.

– Nie ma szans. – Zawadzka obróciła się na palcach. – Z patrolem zdążyliśmy się polubić! – krzyknęła i pomachała w górze kluczykami.

– Yhm… – mruknął do siebie i wsiadł do samochodu.

W drodze do domu nie mógł opędzić się od myśli o Pawle Kłosie. Długo mu nie zajęło, aby zrozumieć, z czym ten facet musi się mierzyć na co dzień. Jeszcze kilka miesięcy temu chwilowo znalazł się w podobnej sytuacji i choć uważał się za człowieka mocnego psychicznie, omal nie stracił ochoty do życia. Miał jednak pełną opiekę, nadzieję na powrót do zdrowia, obie nogi i nie wyglądał jak potwór z bagien. Co zatem musiało dziać się w głowie tamtego faceta? To pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Nawet wolał sobie tego nie wyobrażać.

ROZDZIAŁ 29

Marian Kittel kiedyś nie nazywał się Kittel, tylko Żelichow i od najmłodszych lat nie miał łatwego życia. Wielu postronnych obywateli mogłoby nie zgodzić się z tym stwierdzeniem, wszak mały Marianek od urodzenia miał wszystkiego pod dostatkiem, co zwłaszcza w okresie schyłku lat sześćdziesiątych nie było normą w polskich rodzinach. Powodem tej niecodziennej jak na tamte czasy sytuacji materialnej rodziny Żelichowów był głównie dziadek Kazimierz, weteran drugiej wojny światowej, który młodzieńcze czasy spędził na froncie wschodnim, gdzie dzielnie walczył z niemieckim najeźdźcą, a w zasadzie każdym, kto nie podzielał jego marksistowskich poglądów, w które wierzył tak mocno, że za krytykę ich twórców zabijał bez mrugnięcia okiem. Zrobił to wielokrotnie, zwykle strzelając klęczącym jeńcom w tył głowy, choć też nie zawsze, a raz zdarzyło mu się podczas libacji wbić nóż w pierś mężczyzny, który Józefa Stalina nazwał warchołem.

Jego aktywna walka o dobrobyt nowo powstałej Polski Ludowej oraz zaangażowanie i święte przekonanie o wyższości ustroju komunistycznego nad zgniłym kapitalizmem już pod koniec lat czterdziestych zaprowadziły go do parlamentu, gdzie jako poseł i dwukrotnie minister pracował przez blisko dwadzieścia pięć lat, zanim zmarł na raka płuc, bo palił jak lokomotywa nawet trzy paczki mocnych papierosów dziennie. Zanim jednak do tego doszło, w wieku lat dwudziestu sześciu zdążył zostać ojcem córki, której nadał imię Aleksandra, bo w związku z Bolesławą z domu Lasocka tylko on podejmował ważne decyzje, czyli de facto wszystkie, które nie dotyczyły wyboru wzoru firanek albo koloru garnków. Rodzinie Żelichowów żyło się dobrze i niczego jej nie brakowało. Aleksandra z każdym rokiem rosła jak na drożdżach i piękniała, w związku z czym już w liceum trudno jej było opędzić się od kawalerów. Jeden z nich, przystojny niczym James Dean student z dumnej rodziny byłych żołnierzy Armii Krajowej, zdobył jej serce, gdy ukończyła lat szesnaście, co zaowocowało powiciem syna

w wieku lat siedemnastu. Kazimierz, jako że w związku z obowiązkami wobec ludowej ojczyzny często bywał w delegacjach i nie zawsze wystarczająco interesował się ogniskiem domowym, dowiedział się o ciąży córki, dopiero gdy jego pierworodna była już w siódmym miesiącu. Podobno bardzo się zdenerwował, na tyle, że ojciec dziecka pewnego dnia zniknął i już nikt go nigdy więcej nie widział.

Mały Marianek nieświadomy otaczającej go rzeczywistości dorastał w dostatku, choć dziadek zwykle patrzył na niego surowym wzrokiem i rzadko brał go na ręce. Matka wyrosła na zjawiskowo piękną kobietę o wielkich zielonych oczach, w związku z czym, po kilkuletnim okresie, który dzieliła pomiędzy naukę i opiekę nad synem, znów zapragnęła posmakować życia. W wieku lat dwudziestu dwóch na jej drodze stanął pewien przystojny młodzian, choć precyzyjnie rzecz ujmując, najpierw stanęło trzech, zdecydowanie mniej przystojnych i w sztok pijanych oraz nieco zbyt rozochoconych. Sama tego wieczoru też nie była trzeźwa, bo właśnie wracała z imprezy studenckiej i zamiast wziąć taksówkę, postanowiła się przewietrzyć, bo nie chciała, aby rodzice robili jej wyrzuty. Decyzja o wybraniu skrótu prowadzącego przez ciemną uliczkę okazała się fatalna w skutkach, także tych długoterminowych, gdyż zapoczątkowany tej feralnej nocy ciąg zdarzeń ostatecznie przypieczętował jej marny los, a także los małego Marianka.

Z początku nic na to nie wskazywało, bo Aleksandra wyszła z opresji jedynie z urwanym ramiączkiem sukienki i nieco potarganymi włosami. Wołała pomocy i nawet nie zarejestrowała, gdy wszyscy trzej napastnicy nagle znaleźli się na ziemi, jęcząc z bólu i wymiotując. Instynktownie odepchnęła wyciągniętą rękę swojego wybawcy, którym okazał się postawny, przystojny i szarmancki Tomasz Kittel, trzydziestoletni prokurator rejonowy i wielbiciel militariów. Jej zachowanie nie zniechęciło go i długo nalegał, aby odprowadzić ją do domu. Aleksandra w końcu uległa, a gdy w drzwiach ich domu stanął Kazimierz, w pierwszej chwili omal nie zatłukł chłopaka gołymi pięściami. Dopiero gdy powstrzymany przez córkę zdołał ochłonąć, a potem przy papierosie i szklance whisky poznał prawdę, powiedział:

– Mów, czego chcesz, chłopcze, a jutro będziesz to miał.

– Niczego nie chcę – odparł Kittel.

– Jak to niczego? Nie wypuszczę cię, dopóki nie spłacę zaciągniętego długu. Inaczej się nie godzi.

– W takim razie proszę o zgodę na zabranie pana córki do kina. Jeśli oczywiście Ola zechce zaszczycić mnie swoim towarzystwem.

Czternaście miesięcy później Tomasz Kittel i Aleksandra Żelichow stanęli na ślubnym kobiercu i powiedzieli sobie „tak”. Wesele było huczne, a Kazimierz wniebowzięty, bo w swojej ocenie lepszego zięcia nie mógł sobie wymarzyć. Nie przeszkadzał mu nawet fakt, że jego rodzina powiększyła się szybciej, niż mógł się tego spodziewać, bynajmniej nie z powodu przesadnej zażyłości narzeczonych.

– Jestem wdowcem i wychowuję córkę – przyznał się przyszłemu teściowi Kittel podczas drugiej wizyty w jego domu. – Matkę zabrała gruźlica. Trzy lata temu. Od tej pory zajmuję się Dagmarą sam.

W pierwszej chwili Kazimierz miał względem nowego ukochanego córki mieszane uczucia, ale ostatecznie uznał, że ten fakt działa na jego korzyść. Gdy przy wódce poruszyli tematy związane z polityką i dostrzegł u chłopaka nieudawaną fascynację pracami Marksa i Engelsa, jego głębokie przekonanie o nadrzędności systemu komunistycznego i wiarę w ogólnoświatową rewolucję, przyjął go do rodziny jak swojego, ponieważ sam syna nigdy nie miał, a przynajmniej nie z żoną Bolesławą, bo ewentualnymi następstwami delegacyjnych przygód nie przejmował się ani trochę.

Kazimierz zadbał, aby kariera zięcia nabrała rozpędu i prokurator rejonowy w trybie ekspresowym stał się okręgowym, następnie regionalnym i krajowym. W parlamencie znalazł się trzy lata później, akurat w momencie, gdy teść podupadł na zdrowiu. Odnalazł się błyskawicznie, oczarował wysokich rangą dygnitarzy i zabezpieczył swoje interesy. Niedługo później, mniej więcej między wakacyjnym wyjazdem na Kubę a kolejnym zjazdem KC PZPR, gdy siedział wygodnie w fotelu, pykając jedno z przywiezionych cygar, odwiedził go Kazimierz, po czym strasznie kaszląc, poprosił na stronę.

– Mam raka płuc – oznajmił, charcząc. – Konowały twierdzą, że zostały mi trzy miesiące życia. Nie mów Oli i obiecaj, że zadbasz o rodzinę.

– Obiecuję, ojcze.

Kazimierz rzeczywiście zmarł trzy miesiące później. Na pogrzebie Tomasz nie uronił ani jednej łzy, bo nie był zdolny do odczuwania empatii, która była mu obca, podobnie jak miłość, wierność, lojalność i inne uczucia cechujące ludzi. Nie wiedzieli o tym ani Kazimierz, ani żona Aleksandra, bo Tomasz od samego początku okłamywał ich i nimi manipulował, a związek z córką partyjnego dygnitarza traktował jak trampolinę do kariery

w polityce. I choć sam uważał, że najzwyczajniej w świecie jest po prostu sprytny, a przy tym wyznawał zasadę, że cel uświęca środki, to w rzeczywistości Tomasz był psychopatą z dziedzicznymi predyspozycjami do rozwoju choroby dwubiegunowej.

Naukowo udowodniono ponad wszelką wątpliwość, że obietnice składane przez psychopatów nie są warte funta kłaków, lecz Kazimierz – choć był bystrym i inteligentnym człowiekiem – nie dostrzegł niebezpieczeństwa, które sam, błogosławiąc związek Tomasza i swojej córki, na rodzinę sprowadził. Ale leżąc w grobie, nie miał już jak sprawdzić, czy zięć wziął sobie jego słowa do serca, więc Kazimierza dalej jadły robaki, a Tomasz po raz pierwszy w życiu mógł pokazać swoją prawdziwą twarz. Ta twarz nie była ani ładna, ani przyjemna i gdyby poprosić jakiegoś średniowiecznego artystę o zilustrowanie jej w formie malowidła, prawdopodobnie przedstawiałaby rogatego demona. Nie dłużej niż kilka dni po pogrzebie teścia Tomasz zaczął pić i chodzić na kurwy, wykorzystywał zdobytą pozycję, aby eliminować politycznych wrogów, a w domu regularnie maltretował żonę i jej syna, w związku z czym nierzadko krew lała się strumieniami. Choroba nasilała się z każdym rokiem, przez co życie dorastającego Mariana stało się nie do zniesienia, relacje rodzinne uległy rozpadowi, a gdy pewnego dnia Tomasz wrócił ze swoją córką od lekarza, zdenerwowany zatłukł żonę na śmierć gołymi rękoma. Z oczywistych względów prawda nigdy nie wyszła na jaw, a w dokumentach znalazła się jedynie wzmianka o wypadku na schodach. Od tego momentu życie Mariana Kittela zamieniło się w piekło.

Dziś wcale nie było lepiej i na samą myśl o tym, w co się wpakował, schował głowę w dłoniach. Przepity głos rozjuszonego ojczyma do tej pory wybrzmiewał mu w głowie, ale w ostatnim czasie głosów było więcej. To tylko kurwy, szeptały. Ukraińskie prostytutki i złodziejki. Dziwki i szmaty. Dziwki, szmaty i kurwy. Dziwki, szmaty, kurwy. Dziwki, szmaty, kurwy…

Kittel zatkał uszy. Zacisnął szczęki, jakby chciał pokruszyć sobie zęby. Nie chciał już słyszeć, jak do niego mówią, ale głosy nie ustawały. Wciąż diabolicznie szeptały, wybrzmiewały w najgłębszych zakamarkach mózgu, pastwiły się nad nim, jakby chciały go zamęczyć, a w końcu zniszczyć. Gdy wreszcie cichły, bał się spojrzeć w lustro, aby w odbiciu nie ujrzeć ojczyma. Ojczyma potwora.

Czy to właśnie głosy sprawiły, że nie usłyszał skradających się po schodach gości? Może, a może po prostu był już zmęczony i chciał, aby to się

skończyło, w każdym razie gdy wyważyli drzwi, nawet nie zdążył zarejestrować, co się stało. Nagle zadzwoniło mu w uszach, oczy zaczęły płonąć żywym ogniem, a salon wypełnił biały gryzący dym. Chwilę później już leżał przygnieciony kolanem do podłogi.

– Zachciało ci się kroić młode panny? – usłyszał męski głos tuż nad uchem.

Poczuł szarpnięcie i gwałtowny ból wykręcanych stawów, a potem ciasne i zimne obejmy na nadgarstkach. Kolejny kopniak w klatkę piersiową sprawił, że stracił dech, a z ust wylała się krwawa plwocina.

– Czysto!

– Czysto!

– Czysto!

Męskie głosy ledwo przebijały się przez pisk wywołany granatem hukowym. Próbował zrozumieć, co tak naprawdę się właśnie wydarzyło, ale szok nie pozwalał mu w pełni pojąć grozy sytuacji. Zabrakło mu tchu. Zaczął charczeć, ale nie był w stanie nabrać powietrza. Gdy zrobiło mu się ciemno przed oczami, ucisk na jego szyi lekko zelżał. W oparach białego dymu dostrzegł lśniące skórzane półbuty.

– Jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa trzech… – zaczął kucający przy nim mężczyzna. Mówił długo, ale Marian Kittel nie zdołał wysłuchać go do końca. W połowie zrozumiał, że to już koniec, i osunął się w mrok.

ROZDZIAŁ 30

– Dlaczego nikt mnie, kurwa, nie poinformował?!

– Proszę liczyć się ze słowami, komisarz Zawadzka!

W gabinecie prokuratora było chłodno, ale Julka aż się gotowała z wściekłości. Nie mogła zrozumieć, jak Magiera mógł wydać postanowienie o aresztowaniu faceta będącego pod jej obserwacją, w ogóle nie pytając jej o zdanie. W drodze do prokuratury analizowała wszystkie możliwe scenariusze. Świadomość, że akcję koordynował Kłos i to on spije całą śmietankę, nie pomagała ani trochę. Czym przekonał prokuratora? Jakie przedstawił dowody? Wycedziła przez zęby przeprosiny i wyartykułowała dręczące ją pytania.

– Komisarz Kłos dysponuje zeznaniami dwóch kobiet, które w podejrzanym rozpoznały poszukiwanego – rozwiał jej wątpliwości prokurator. – Obie potwierdziły, że Marian Kittel był ostatnią osobą, z którą widziano ofiarę. Pośrednim dowodem są również wyniki zebranych przez panią próbek z opon pojazdu podejrzanego. Wczoraj wieczorem laboratorium potwierdziło, że wykazują wszystkie cechy odpowiadające glebie i roślinności występującej nad Odrą.

Zawadzka zacisnęła zęby. Czekała, aż Magiera wytoczy przeciwko niej kolejne działa. Fakt, że nie zdecydowała się zatrzymać Kittela, zanim ten wyczyścił w myjni swój samochód, w obecnej sytuacji stawiał ją w jeszcze gorszym świetle. I w tej chwili nie miało już żadnego znaczenia, że po prostu wykonywała polecenia.

Prokurator postanowił ją oszczędzić. Uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Coś jeszcze, pani komisarz?

– Chciałabym przesłuchać podejrzanego – wypaliła.

– Przesłuchaniem zajmie się Artur, ale może pani wziąć w nim bierny udział. Potem zobaczymy.

Kolejny cios. Z trudem powstrzymała się, aby nie wygarnąć wszystkiego, co leży jej na wątrobie. Jakimś cudem zdołała się opanować. Musiała

być ostrożna. Nie mogła z góry zakładać, że Kłos miał złe intencje. Zdobył dowody i aresztował podejrzanego. Zrobił dokładnie to, czego od niego wymagano. Może rzeczywiście pojawił się w tym kurwidołku, żeby wyciągnąć od sutenerów potrzebne mu informacje? Nie mogła tego wykluczyć, a jeśliby się w swoich przypuszczeniach pomyliła, wyszłaby na kompletną idiotkę.

– Znaleziono w mieszkaniu inne dowody? – zapytała, próbując zachować spokój.

– Być może. Kilka rzeczy odesłano do laboratorium. Za godzinę Artur przekaże wszystkie informacje dotyczące aresztowania podejrzanego. Coś jeszcze, bo nie mam czasu na jałowe pogadanki?

Jałowe pogadanki? Co za skurwysyn, pomyślała. Rzuciła krótkie „nie” i wyszła z gabinetu, a następnie z budynku. Musiała zapalić i raz jeszcze wszystko przeanalizować.

Usiadła na zacienionej ławce przy małym parku przylegającym do skrzydła gmachu, w którym znajdowała się prokuratura. Otworzyła puszkę pepsi i napiła się, po czym wyciągnęła z kieszeni dżinsów paczkę LM-ów. Mocno się zaciągnęła i przez dłuższą chwilę trzymała dym w płucach.

– Kurwa mać! – mruknęła do siebie. – Co za jebany skurwysyn!

Przed oczami stanął jej Kłos. Odpicowany, wyprężony, w reprezentacyjnym mundurze odbierał odznakę od komendanta. Ta wizja wkurwiała ją nie dlatego, że facet mógł zebrać wszystkie pochwały, bo akurat to miała w dupie. Drażniło ją, że krótko po uroczystości pewnie pójdzie do swoich ziomków, ściągnie najlepsze kurwy i zabawi się w najlepsze. Pierdolony hipokryta, pomyślała i zdenerwowana zacisnęła pięść.

Zamknęła powieki, gdy dotarło do niej coś jeszcze. Może najzwyczajniej w świecie się co do niego pomyliła? Przecież nie musieli się kochać. W tak dużych organizacjach to było naturalne, że jedni się lubią, a inni nie. Może się zagalopowała, a on po prostu przyzwoicie wykonał swoją pracę? Ta możliwość już kompletnie popsuła jej humor. Czysto teoretycznie, nawet jeśli był najbardziej śliskim typem, z jakim miała do czynienia, to nie wykluczało, że mógł być dobrym gliną. Podobnie jak ona chodził własnymi ścieżkami, był ambitny i nawet jeśli często naginał procedury, to papiery nie kłamały – Kłos był ponadprzeciętnie skuteczny w łapaniu zbirów. Czy aż tak bardzo różnił się od niej? Albo od Igora? Przecież Brudny też nie był święty. Gdyby spojrzeć na niego z boku, to wydawał się jeszcze większym gburem, trzymał wszystkich na dystans, był raczej mało lubiany, jeśli

w ogóle. Na jego temat też krążyły różne plotki, czasem wręcz niestworzone historie, a on swoim milczeniem tylko je podsycał. Czy Igor nie miał swoich kontaktów w półświatku? Czy podczas działań operacyjnych nie odwiedzał burdeli albo typków spod ciemnej gwiazdy? Czy nie podejmował ryzykownych decyzji? Poczuła się jak idiotka. Czy aż tak mogła się pomylić w stosunku do Kłosa?

Otrząsnęła się z ponurych myśli. Kłos nie mógł równać się z Brudnym. Do pięt mu nie dorastał i sama myśl, że odważyła się ich ze sobą zestawić, wydała jej się obrzydliwa. Zresztą Igor miał na temat Kłosa podobne zdanie. A on się nie mylił. Posiadał to coś, czego nie da się nauczyć w szkole policyjnej. Z tym czymś trzeba się urodzić. Albo przeżyć piekło, poznać zło u źródła, zrozumieć je. Brudny rozumiał zło jak nikt inny. Całe swoje dzieciństwo spędził pośród demonów. Latami obserwował, jak się wykluwa, jak rośnie, jak odpowiednio dokarmiane w końcu potrafi eksplodować z niewiarygodną mocą. Tak, ona miałaby prawo do pomyłki, ale Brudny nie.

Nagle zapragnęła usłyszeć głos swojego faceta. Tak po prostu, nie chciała niczego więcej. Wyjęła smartfon i wybrała numer.

– Cześć, Igor – bąknęła.

– Cześć. Jesteś już po rozmowie z Magierą?

– Tak. Spuścił mnie na drzewo. Kłos podobno przedstawił mu dwóch świadków. A dokładnie dwie kobiety, prawdopodobnie prostytutki.

– Co nie zmienia faktu, że powinien cię poinformować o akcji.

– Dał mi odczuć coś zupełnie innego. Igor… – Westchnęła. Czuła się kompletnie rozbita.

– No…

– Myślisz, że możemy się mylić?

– W związku z czym?

– Chodzi mi o Kłosa. Może trochę się zagalopowaliśmy i…

– Kłos to kawał chuja – przerwał jej. – Znam ten typ ludzi, Julka. Mogą wydawać się mili i sympatyczni, mogą zakładać najróżniejsze maski, a nawet być skutecznymi policjantami, ale pewnych rzeczy nie są w stanie z siebie wyplenić. I Kłos właśnie taki jest. Gdyby miał choć odrobinę godności, to przed akcją by do ciebie zadzwonił. Nie zrobił tego z jakiejś przyczyny i powinnaś stanąć na głowie, aby ją poznać.

– Łatwo ci mówić…

– Nie przejmuj się i rób swoje.

– A ty? Co planujesz?

– Dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

– Igor…

– Sorry, Julka, ale właśnie wychodzę. Muszę kończyć.

– Poczekaj…

Brudny się rozłączył. Zawadzka nerwowo przygryzła dolną wargę i pokręciła z niedowierzaniem głową. Kochała go na zabój, ale był niereformowalny. Prychnęła, poprawiła kucyk i wstała z ławki. Spojrzała na zegarek. Przesłuchanie miało zacząć się za czterdzieści minut. Pomyślała, że do tego czasu musi coś zjeść. Wstała i poszła do kantyny.

* * *

Stała i popijając wodę z butelki, wpatrywała się w mężczyznę z dorodnym wąsem. Miał na sobie dżinsy i rozpiętą pod szyją koszulę w biało-niebieską kratę. Siedział po drugiej stronie lustra weneckiego, skuty i przerażony, blady jak ściana. Nerwowo przełykał ślinę, jego ręce drżały, a jedna z nóg bezwiednie tańczyła pod stołem, jakby należała do kogoś innego.

– Nie pierdol się z nim – mruknął Magiera i skinął na Kłosa, który od razu ruszył w kierunku drzwi. Wszedł do pokoju przesłuchań i usiadł naprzeciw podejrzanego Mariana Kittela. Mężczyzna wyprostował się, a z jego twarzy odpłynęły ostatnie krople krwi.

– Wiemy, że zabiłeś te kobiety – wypalił Kłos. – Mamy twarde dowody, więc nie próbuj konfabulować i mów jak na spowiedzi. Na chuj ci była ta krew?

Facet nie odpowiedział. Skrył twarz w dłoniach. Zawadzka pomyślała, że Kłos rzeczywiście zaczął z grubej rury, ale najwyraźniej trafił w punkt. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent podejrzanych na początku zawsze udaje niewiniątka i zaczyna się tłumaczyć, bardziej rozgarnięci od razu domagają się obecności adwokata. Sposoby są różne, ale póki taki delikwent nie zostanie przygnieciony naprawdę mocnymi dowodami, potrafi wciskać niewiarygodne kity. Marian Kittel nawet nie jęknął. Nie próbował zaprotestować. Nie powiedział, że to pomyłka. On po prostu schował twarz w dłoniach.

– Po co ci była ta krew, człowieku? – powtórzył Kłos, tym razem nieco łagodniej. – Naprawdę chciałeś ją oddać swojej córce? Naprawdę myślałeś, że dzięki temu zdołasz ją wyleczyć?

Czternastoletnia córka Kittela od czterech lat chorowała na białaczkę i musiała mieć regularnie przetaczaną krew. Szaleństwem było myśleć, że ojciec rzeczywiście odsysał ją mordowanym kobietom, aby oddawać ją córce, ale krótko po aresztowaniu w systemie natrafiono na adnotację, że facet był swego czasu leczony psychiatrycznie, w związku z czym podobna hipoteza wcale nie musiała brzmieć jak science fiction. Nikomu specjalnie się nie spieszyło, aby dogrzebać się do szczegółów, zanim podejrzany zostanie przesłuchany, bo jego adwokat mógłby to później wykorzystać w sądzie. Zlecenie do Ciborza miało zostać wysłane, ale dopiero po tym, jak gość przyzna się do zarzucanych mu czynów.

– Możesz się przyznać i dać sobie szansę, aby jeszcze kiedyś zobaczyć córkę na wolności, albo udawać świętego i dostać dożywocie bez prawa do wcześniejszego zwolnienia. Chciałbyś jeszcze zobaczyć córkę?

Kłos zmienił ton. Nachylił się nad stołem, ale wtedy po drugiej stronie lustra weneckiego zadzwonił smartfon Magiery. Prokurator odebrał i niemal od razu jego twarz przybrała wyraz maksymalnego wkurwienia. Tylko jedno mogło spowodować taką reakcję. Prokurator uderzył pięścią w stół i zapukał w szybę. Kłos, z początku nieco zaskoczony, po chwili wstał i wyszedł z sali przesłuchań. Zawadzka ugryzła jabłko w momencie, gdy drzwi od strony korytarza otwarły się na oścież i do pomieszczenia niczym huragan wparowała kobieta w granatowej garsonce.

– Koniec tego cyrku! – rzuciła. – Kto tu rządzi?

Prokurator odwrócił się w kierunku kobiety. Na jego twarzy malowała się wściekłość, ale nie miał żadnych argumentów. Pohamował się i wyciągnął rękę.

– Prokurator okręgowy Karol Magiera – przedstawił się. – Z kim mam przyjemność?

– Z kimś, kto zadba, aby pan oraz wszyscy, którzy brali udział w tym haniebnym zatrzymaniu, ponieśli surowe konsekwencje – odparła kobieta. Poprawiła okulary i uścisnęła dłoń Magiery. – Mecenas Amanda Burda. Proszę natychmiast zaprzestać tego nielegalnego przesłuchania i umożliwić mi kontakt z klientem.

– Po co te nerwy, mecenas Burda? – zapytał. – Dowody są mocne i…

– Może pan więc przekazać mi komplet dokumentów – przerwała mu. – Gdy się z nimi zapoznam, wrócimy do dyskusji. A teraz chcę porozmawiać z klientem. W cztery oczy.

Magiera skinął na swoich ludzi, którzy jeden po drugim zaczęli opuszczać pomieszczenie. Zawadzka minęła kobietę, rzucając jej krótkie spojrzenie. Kanciaste rysy, wyraz twarzy jak u żmii, ostry makijaż i sztuczne cycki, lśniące czarne włosy do ramion, wysokie szpilki. Wypisz wymaluj prokurator Arleta Winnicka, tylko że w wersji pięćdziesiąt plus. Prychnęła z niedowierzaniem, gdy zrozumiała, że mecenaska roztacza wokół siebie nawet podobny zapach. Przemknęła obok bez słowa i chwilę później stała już na korytarzu.

– Ktoś zna tę pindę? – zapytał Magiera, wodząc wzrokiem po swoich ludziach. Wszyscy pokręcili głowami, co jeszcze bardziej go zirytowało. – To kim ona, kurwa, jest? Pani komisarz… – Jego wzrok zatrzymał się na Zawadzkiej. Czuła, że padnie na nią, i się nie pomyliła. – Proszę prześwietlić tę całą Burdę. Chcę wiedzieć, skąd się wzięła i dlaczego ma zamiar bronić jakiegoś biedującego ogrodnika.

– Okej – mruknęła, odgryzając kolejny kawałek jabłka.

– I póki znajduje się w komendzie, nie będzie jej pani odstępować na krok – dodał wyraźnie poirytowany zaistniałą sytuacją. – Cała reszta skupia się na tym Kittelu. Jeśli okaże się, że się pomyliliśmy, to…

– Nie pomyliliśmy się – wtrącił Kłos.

– Nie będziemy ryzykować. Za kwadrans w moim gabinecie. Tam rozdzielimy zadania.

Zawadzka odprowadziła ich wzrokiem, po czym wyrzuciła ogryzek do kosza na śmieci. Świadomość, że będzie musiała być niańką dla jakiejś wrednej mecenaski, nie poprawiła jej humoru, ale w duchu musiała przyznać, że babka była niezła. Gdy wparowała do pomieszczenia, Julka nie omieszkała przyjrzeć się reakcji Kłosa. Komisarz był równie zaskoczony, jak cała reszta, ale z wyrazu jego twarzy przebijało coś jeszcze. To trwało tylko ułamek sekundy i Kłos zdołał nad tym zapanować, ale była pewna jednego. Przybycie tej kobiety jego wkurwiło najbardziej.

ROZDZIAŁ 31

Brudny zatrzymał samochód tuż pod lasem, kilkadziesiąt metrów od Drewutni mniej więcej pomiędzy toaletami a drogą pożarową. To właśnie tu najczęściej parkowali ci, którzy liczyli na coś ekstra. Nie musiał długo czekać. Jedna z dziewczyn zmaterializowała się przy patrolu, jakby potrafiła się teleportować. Otworzył szybę, a ona wspięła się na schodek i zajrzała przez okno.

– Czego potrzebujesz, przystojniaku? – zapytała łamaną polszczyzną. Miała duże brązowe oczy i lśniące czarne włosy.

– Jeszcze nie wiem – odparł, z pełną premedytacją zaglądając w jej mocno wyeksponowany biust.

– Podobają ci się moje cycki? – Kobieta chwyciła piersi w dłonie i potrząsnęła nimi. – Mogą być twoje za stówkę. Dobry hiszpan robię.

– A seks?

– Dwie stówki i będę cała twoja.

– Wskakuj.

Dziewczyna obeszła samochód i po chwili siedziała już na miejscu pasażera.

– Fajne auto – stwierdziła, gdy zamknęła drzwi.

– Dzięki – odparł Brudny, przekręcając kluczyk.

Wskazała mu prowadzącą w las drogę pożarową. Ruszył według jej wytycznych, po drodze mijając jej dwie koleżanki. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, a potem Brudny wjechał w las. Przemieścił się jeszcze około dwustu metrów i dziewczyna poleciła mu skręcić w ścieżkę przy niewielkim sosnowym młodniku. Zatrzymał się i wyłączył silnik.

– Jak masz na imię? – zapytał, wyciągając papierosa.

– Bojka. A ty?

– Igor.

– Igor? – Zmarszczyła brwi i przyjrzała mu się badawczo. – Czy my się czasem nie znamy? Jakoś tak mam wrażenie, że już cię gdzieś widziałam…

– Wątpię – odparł, ale dziewczyna nie odpuszczała.

– No nie wiem, nie wiem… – Przymknęła zawadiacko jedno oko i ułożyła usta w dzióbek.

– Działamy? – zapytał bardziej stanowczym tonem.

– Ech… – Cmoknęła. – Może i masz rację i tylko kogoś mi przypominasz. No to jak chcesz się zabawić, Igor? Podobasz mi się, więc jak dasz trzy stówki, to pozwolę ci włożyć w moją ciasną dupkę.

– Nie przepadam.

– No to jak? Wolisz w samochodzie czy na masce? Tu jest bezpiecznie. Ludzie nie chodzą.

– Zdecydowanie na tylnym siedzeniu.

– Okej, ale najpierw dziengi. Za loda sto, a za seks dwieście.

Kobieta wystawiła otwartą dłoń i puściła do niego oko. Brudny wygrzebał portfel i wyciągnął pieniądze. Położył jej dwa banknoty po sto złotych i skinął, żeby przeniosła się na tył samochodu. Schowała je do torebki i trochę niezgrabnie przecisnęła się pomiędzy siedzeniami. Chwilę później do niej dołączył. Od razu położyła mu rękę na kroczu i przysunęła się, aby go pocałować.

– Poczekaj – zatrzymał ją. – Spróbuję jeszcze rozłożyć tylne siedzenia.

– Dobry pomysł, kotku.

Cofnęła się, a Brudny wyciągnął rękę i odsłonił plandekę. Poprosił ją, aby pomogła mu z drugiej strony, bo na pace znajduje się coś, co musi przesunąć, aby móc rozłożyć chociaż jedno siedzenie. Wykonała jego polecenie i szarpnęła za gruby materiał.

– O kurwa! – syknęła zaskoczona.

– Co jest?

– To twój wózek? – Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

– Mój. Czasem go używam. Masz z tym jakiś problem?

– Nie będzie seksu.

– Dlaczego? Bojka… – Udał rozczarowanego.

– Nie obsługuję kalek. Przykro mi.

– Ale proszę cię. Właśnie dlatego przyjechałem i…

– Nie i koniec!

Szarpnęła za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Nerwowo okręciła się w siedzeniu.

– Otwórz drzwi, człowieku! – rozkazała.

– Ale dlaczego nie chcesz…

– Otwieraj, kurwa! Chcę wyjść!

– Przecież zapłaciłem ci za usługę.

Sięgnęła po torebkę i drżącą dłonią wyciągnęła dwieście złotych, po czym rzuciła pomięte banknoty na siedzenie.

– Masz, a teraz daj mi wysiąść.

– Najpierw porozmawiamy.

– Nie będę z tobą o niczym rozmawiać, człowieku. Otwieraj te pierdolone drzwi!

– Nie.

Kobieta szeroko otworzyła oczy. Dostrzegł w nich czysty strach. Ona naprawdę się bała. Włożyła dłoń do torebki, ale złapał ją za przegub i wytrącił smartfon, który wpadł pod fotel. Wtedy uderzyła go w twarz i rzuciła się pomiędzy przednie siedzenia. Szarpnął ją za rękę.

– Puszczaj, zboczeńcu! – Chciała się wyrwać, ale trzymał mocno.

– Czego tak się boisz? – warknął. – Dlaczego tak zareagowałaś na ten wózek? Dlaczego nie obsługujesz kalek?

– Zostaw mnie, człowieku! Zaraz przyjdą i tak ci wpierdolą, że…

– Przez najbliższy kwadrans nikt tu nie przyjdzie – przerwał jej stanowczo. – Później może, ale do tego czasu mogę zrobić z tobą wszystko, na co przyjdzie mi ochota. Rozumiesz, co mam na myśli?

Prostytutka nabrała powietrza, aby wrzasnąć, ale Brudny zatkał jej dłonią usta. Zrobił to wbrew sobie, ale uznał, że to jedyne wyjście. Jeśli chciał poznać prawdę, musiał zagrać va banque. Przez chwilę szarpała się, wydając nieartykułowane dźwięki, ale trzymał na tyle mocno, że po kilkunastu sekundach straciła zapał. Przycisnął ją do siebie, a gdy się uspokoiła, zbliżył usta do jej ucha.

– Czego tak się boisz, Bojka? – syknął jej do ucha. – Zdradź mi swój największy lęk – dodał i poluzował ucisk.

– Błagam… – jęknęła, a na nadgarstku poczuł jej łzy.

– Powiedz mi, czego tak się boisz?

– Nie chcę umierać… – kwiliła. – Błagam, nie zabijaj mnie jak…

– Jak Iwanki? – dokończył za nią.

Kobieta szarpnęła się i zawyła dziko, ale Brudny raz jeszcze przytknął jej dłoń do ust. Znał już odpowiedź. Teraz musiał tylko sprawić, aby zaczęła współpracować.

– Posłuchaj mnie, Bojka – powiedział, gdy przestała wierzgać. – Nic ci nie zrobię. Jestem prywatnym detektywem i jeśli obiecasz, że nie będziesz

krzyczeć, to cię puszczę. Jesteś w stanie mi to obiecać?

Poczuł, jak kobieta przełyka ślinę. Była skrajnie przerażona i już w tej chwili miał do siebie ogromną pretensję. Takie akcje nie były w jego stylu, ale nie miał czasu na półśrodki. Wiedział też, że gdyby od razu się przedstawił i po prostu zapytał, z pewnością pogoniłaby go w cholerę i, kierowana strachem, od razu zaalarmowała swoich opiekunów. Mógł się obawiać, że zrobi to tak czy inaczej, ale miał nadzieję, że gdy teraz zdradzi jej swoje personalia, Bojka da się przekonać i dostrzeże w nim sprzymierzeńca.

– Powiem ci, skąd mnie znasz – szepnął jej do ucha. – Nazywam się Igor Brudny i jestem tym gliną z telewizji, o którym najwyraźniej zdążyłaś usłyszeć. Przepraszam, że musiałem cię nastraszyć, ale nie miałem wyjścia, bo wiem, że w innym wypadku nic byś mi nie powiedziała, ponieważ jesteś przerażona tym, co może cię spotkać z rąk ludzi, którzy zmuszają cię do prostytuowania się. Wiem też, że tych bandytów kryje jeden z gliniarzy, ale ja nie mam z nim nic wspólnego i chcę, aby zarówno on, jak i twoi oprawcy odpowiedzieli za swoje czyny i trafili za kratki. Jeśli mi pomożesz, zadbam, abyś już nigdy nie musiała robić tego, do czego cię zmuszają, abyś mogła znów zobaczyć rodzinę i zacząć nowe życie. Czy zrozumiałaś, co powiedziałem? Czy jeśli cię puszczę, to zachowasz spokój?

Kobieta nieśmiało skinęła głową.

– Chcę ci pomóc, Bojka – dodał, próbując utwierdzić ją w przekonaniu, że z jego strony nic jej nie grozi. – A teraz powoli odsunę rękę od twoich ust. Nie mamy wiele czasu, więc proszę cię, żebyś odpowiedziała mi na kilka pytań.

Brudny zdjął dłoń z jej ust. Oddychała szybko, ale wydawała się spokojniejsza i bardziej opanowana niż kilkadziesiąt sekund temu. Dla pewności odczekał chwilę. Pozwolił jej się obrócić, aby mogła spojrzeć mu w oczy. Miała rozmazany makijaż, a jej broda drżała, jak dzieciakowi, który nagle zdał sobie sprawę, że stracił z oczu swoich opiekunów. Brudny wyciągnął chusteczkę i podał dziewczynie. Wciąż nie do końca przekonana, nieśmiało ją wzięła i wytarła policzki. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

– Czy mogę zacząć zadawać pytania?

– Ty… – Zawahała się. – Ty naprawdę jesteś ten policjant z telewizji. Ten, co był w śpiączce?

– To ja. Wstukaj w internet. Nie mam nic do ukrycia. Chcę ci pomóc.

– Nie mamy internetu. Nasi…

– Weź. – Wyciągnął swój smartfon, odblokował i włożył w drżące dłonie dziewczyny. Wzięła telefon i postukała w klawisze, a potem kilkakrotnie przeniosła wzrok z wyświetlacza na niego i z powrotem.

– Teraz mi zaufasz? – zapytał, gdy dostrzegł, jak nerwowo przełknęła ślinę.

Bojka nieśmiało skinęła i oddała mu smarfona. Nerwowo zerknęła przez ramię, czy nikt nie kręci się w pobliżu.

– Czy znałaś kobietę o imieniu Iwanka?

– Tak, proszę pana.

– Czy również była zmuszana do prostytuowania się przez tych samych ludzi, którzy zmuszają do tego ciebie? – Potwierdziła. – Czy wiesz, jak mogła zginąć?

Zacisnęła usta w linię. Jej rozbiegane oczy znów się zaszkliły.

– Czy wiesz, jak…

– Klient na wózku – szepnęła. – Ona nie była jedyna, ale tylko ona nie wróciła. A potem… – Znów rozejrzała się wokół siebie.

– Kto jeszcze go obsługiwał?

– Galina i Polina. I jeszcze jakieś, ale ich nie znam, bo zostały zabrane. Nie wiem gdzie.

– Kto je zabrał?

– Pan.

– Zbigniew Pawlicki? Sebastian Pawlicki?

Z oczu kobiety znów popłynęły łzy. Najwyraźniej obaj stręczyciele wzbudzali w niej nieprawdopodobny strach.

– Czy ten policjant, Artur Kłos, też ma w tym jakiś udział?

– Tak. To on je zabierał i… – Znów nerwowo popatrzyła w kierunku drogi pożarowej. – Proszę nic im nie mówić. Oni mnie zabiją, tak jak Iwankę. Błagam pana…

– Musisz mi uwierzyć, Bojka – powiedział, próbując wzbudzić jej zaufanie. – A Polina i Galina? Czy one też zostały zamordowane, bo jeździły do klienta na wózku?

Dziewczyna pokręciła głową.

– To facet z renaulta – powiedziała. – Taki wąsaty, starszy. Wiem, że panowie i policjant też go szukają. Mówią, że jak znajdą, to zabiją.

– A… – Zamilkł, bo ostatnia odpowiedź zbiła go z tropu. – Malwina Klepacka. Czy to imię i nazwisko coś ci mówi?

– Nie – odparła bez zastanowienia.

Brudny wygrzebał z kieszeni smartfon i wszedł do galerii. Szybko odszukał interesujące go zdjęcia.

– Czy kojarzysz tę kobietę? – zapytał. – Przyjrzyj się dobrze. Mogła nosić perukę albo inną fryzurę.

– Nie kojarzę – odpowiedziała po kilku sekundach wpatrywania się w fotografię starszej z sióstr Klepackich.

– Jesteś tego absolutnie pewna? Może pracowała na jakiejś domówce?

– Nigdy jej nie widziałam – powtórzyła Bojka. – Panowie nie pracują z Polkami.

Strasznie wkurwiało go nadużywanie zwrotu „pan” w stosunku do tych skurwysynów, ale nie pierwszy raz spotkał się z takim odnoszeniem się do stręczycieli. Pracujące dla nich kobiety zwykle błyskawicznie były zmuszane do uległości, często w sposób wyjątkowo brutalny, poprzez psychiczne znęcanie się, zbiorowe gwałty i bicie do nieprzytomności. Po kilku dniach ekstremalnie poniżających i bolesnych doświadczeń w głowach przyszłych prostytutek pojawiała się tak wielka wyrwa, że były gotowe na spełnianie każdego polecenia swoich oprawców, w nadziei że kilkudziesięciogodzinna gehenna już się nie powtórzy. Dlatego na ogół prostytutki nie chciały współpracować z policją, zwłaszcza że stosunkowo często ci, którzy powinni je chronić, zamiast walczyć z bandytami, woleli iść z nimi na cichy układ, aby od czasu do czasu móc pobzykać za darmo.

Brudny schował telefon do kieszeni spodni i przez chwilę zastanawiał się, co zrobić. Od początku wiedział, że nie będzie mógł jej pomóc już teraz. Musiała poczekać i trzymać buzię na kłódkę do czasu, aż znajdzie twarde dowody, żeby udupić Kłosa i jego kolegów alfonsów. Tylko czy takie znalazł? Jej odpowiedzi tak naprawdę prowokowały tylko więcej pytań, zdawały się chaotyczne, ale nie wyczuł, żeby próbowała go okłamywać. Bojka mówiła prawdę, ale to jedyne, czego mógł być w tej chwili pewien, nie licząc tego, skąd Kłos miał cynk w sprawie Kittela. Czyżby ten ogrodnik rzeczywiście mógł być mordercą?

A zamordowana i wrzucona do rzeki Iwanka? A torturowana pacjentka szpitala psychiatrycznego? Obie w ogóle nie pasowały do tej układanki. Nazwisko i twarz Klepackiej też niczego dziewczynie nie mówiły.

– Posłuchaj, Bojka… – zwrócił się do niej po dłuższej chwili zastanowienia. – Bardzo, ale to bardzo mi pomogłaś. W tej chwili nie mogę cię stąd zabrać i będziesz musiała wrócić na parking. – Kobieta nerwowo przygryzła dolną wargę, a po jej policzkach spłynęło kilka łez. Wytarł je chus-

teczką i poprawił opadły na oczy kosmyk czarnych włosów. Poczuł ucisk w gardle, ale kontynuował: – Musisz być dzielna. Musisz wytrzymać jeszcze kilka dni i w żadnym wypadku nie możesz wspominać o naszej rozmowie, bo wtedy cała sprawa się wysypie i nie dam rady ci pomóc. Czy rozumiesz, co powiedziałem?

– Tak, proszę pana – przytaknęła, odbierając chusteczkę z jego dłoni.

– Obiecuję, że pomogę ci się z tego wyrwać, ale musisz mi zaufać. Inaczej to nie zadziała. – Znów przytaknęła, a Brudny wziął głębszy oddech. – A teraz spróbuj się ogarnąć. Za pięć minut wrócimy na parking, wysadzę cię i odjadę w stronę miasta. Ty musisz się postarać, aby wyglądać i zachowywać się naturalnie. Mogę na ciebie liczyć, Bojka?

– Tak, tak – powtórzyła, próbując opanować targające nią emocje. – Pan naprawdę mi… pomoże…? – wydukała, broniąc się, aby znów nie zalać się łzami.

– Pomogę – odparł, choć doskonale wiedział, że nie powinien tego mówić. – Wytrzymaj jeszcze kilka dni, a niedługo zaczniesz nowe życie – dodał i delikatnie pchnął dziewczynę w kierunku przednich siedzeń.

Pięć minut później po raz ostatni przyjrzał się Bojce. Chwilę zajęło jej poprawienie makijażu, zdołała też wrócić do jakiej takiej równowagi psychicznej. Wierzył w nią. Wiedział, że te kobiety potrafią być twarde i są w stanie wytrzymać więcej upokorzeń, niż można sobie wyobrazić. Gdy wysiadała przy wyjeździe z lasu, pomyślał, że dokądkolwiek zaprowadzi go to śledztwo, i tak po nią wróci. Brudny – na wózku czy nie, z odznaką lub bez – zawsze dotrzymywał danego słowa.

* * *

Słońce powoli kryło się za linią lasu, barwiąc niebo na karmazynowy kolor. Brudny siedział na tarasie i trzymał szklankę z resztką whisky. Zerknął na pełną petów popielniczkę, wtedy Justyna zmaterializowała się, jakby czytała mu w myślach. Uśmiechnęła się i zabrała ją, w jej miejsce stawiając pustą.

– Wiesz, o której wróci Julia, bo nie wiem, czy mam robić kolację? – zapytała.

– Nie wiem – odparł zamyślony.

– Zrobię kanapki i zostawię na blacie. Dziś trochę gorzej się czuję i chciałabym się wcześniej położyć.

– Okej.

Czuł się lekko otumaniony, bo choć nie wypił dużo, to miał wrażenie, że nie jest w stanie skupić myśli. W ostatnich dniach zwaliło im się na głowę tysiąc niepotrzebnych problemów. Nie to, że żałował podjęcia się prywatnego śledztwa – bez niego odszedłby co najwyżej jeden kłopot. Nie przypominał sobie jednak sytuacji, w której wszystko zdawało się tak cholernie pogmatwane.

Cztery kobiety, trzy z nich martwe, jedna w izolatce szpitala psychiatrycznego z wyrytymi na skórze obelgami. Trzy zamordowane, ale każda inaczej. Pierwsza gwałcona, torturowana, w końcu uduszona i wrzucona do rzeki, druga wykrwawiona jak prosiak i zakopana w lesie, trzecia rozczłonkowana i według opinii patomorfolog sporządzonej na podstawie odnalezionej ręki wcześniej również pozbawiona krwi. Brak twardych dowodów na połączenie tych spraw i choćby cienia szansy na znalezienie modus operandi sprawcy. W tym wszystkim Magiera i Kłos – prokurator i komisarz, którym nie można ufać. Ten drugi z kontaktami w półświatku, współpracujący z gangiem sutenerów i prawie na pewno czerpiący z tego profity, być może osobiście korzystający z usług prostytutek i – według informacji dostarczonych przez Bojkę – prawdopodobnie dostarczający kobiety potwornie okaleczonemu bratu. W końcu pierwszy podejrzany – jakiś mało rozgarnięty ogrodnik opiekujący się ciężko chorą córką. Błyskawiczne zatrzymanie i aresztowanie po niejasnej interwencji Kłosa, faceta, który ewidentnie robi wszystko, aby utrudnić życie Julce…

O co tu, kurwa, chodzi? Brudny nie mógł tego poskładać w jakiś sensowny ciąg przyczynowo-skutkowy. Jeśli wcześniej zakładał, że Kłos może być w te morderstwa w jakiś sposób zamieszany, to słowa Bojki raczej temu przeczyły. Owszem, być może w przypadku Iwanki istniały ku temu przesłanki, ale jeśli chodzi o pozostałe kobiety, nic na to nie wskazywało, a dodatkowo – skoro według raportów komisarz dwukrotnie widział się z pacjentką w szpitalu psychiatrycznym – najwyraźniej nie obawiał się spotkania z nią twarzą w twarz. Tu musiał być ktoś trzeci, a niewykluczone, że w to szaleństwo mogło być zamieszanych więcej osób. Rytualne morderstwa? Spuszczanie krwi? Do sekty pasowało jak ulał, ale ten trop Brudnego nie przekonywał.

Z zamyślenia wyrwało go *Eye of the Tiger*. Poczuł ożywczy zastrzyk adrenaliny, gdy zobaczył, że na ekranie wyświetliło się imię i nazwisko szefowej kryminalistyków.

– Cześć, Anka – przywitał się.

– Cześć, Igor. Słuchaj… – Zawahała się, a on od razu wyczuł, że coś jest nie tak. – Dostałam wyniki z tych włosów, ale… jasna cholera, Igor…

– Czyli to siostry… – dokończył za nią.

– Tak. Tylko wiesz, co to oznacza…

– Wiem.

Od początku było wiadomo, że Borucka może mieć z tego powodu problemy. Formalnie nic nie stało na przeszkodzie, aby zleciła dodatkowe badanie i w normalnych okolicznościach nie nastręczyłoby to specjalnych problemów. Ale o przysługę poprosił ją Igor Brudny, partner zaangażowanej w śledztwo Julii i facet, który – choć czysto teoretycznie można było zakładać, że Zawadzka nie przekazywała mu tajemnic śledztwa – wie na ten temat więcej niż przeciętny Kowalski. Traktowanie tego jako zbiegu okoliczności oczywiście byłoby skrajnie głupią ucieczką od odpowiedzialności, w związku z czym należało spojrzeć prawdzie w oczy.

– I tak dostanę za to po dupie, ale teoretycznie jestem już po robocie i nie musiałam otwierać tego maila, więc mogę przetrzymać tę informację do rana. – Borucka westchnęła. – Choć szczerze mówiąc, wolałabym mieć to z głowy…

– Do jutra byłoby dobrze – odparł Brudny. – Chciałbym przegadać temat z Julką, bo sprawy mocno się skomplikowały.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

– No właśnie muszę to przegadać z Julką. Nie wiesz o wszystkim, Anka. I lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Będą z tego dodatkowe problemy?

– Romek kiedyś powiedział, że przyciągam je jak magnes – zażartował, ale nikomu nie było do śmiechu. – Tak poważnie, to naprawdę lepiej, żebyś nie zaprzątała sobie tym głowy. Gówno prędzej czy później wypłynie, więc lepiej trzymać się od tego z daleka.

– Dobra, w takim razie nie chcę słyszeć. I wolałabym nie wysyłać ci tych wyników, dopóki nie wyślę ich Magierze.

– Nie ma problemu. I tak bardzo mi pomogłaś.

Przez chwilę zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją Brudny.

– Macie coś naprawdę mocnego na tego ogrodnika?

– To już eskalacja żądań… – W głosie Boruckiej dało się słyszeć żartobliwy ton.

– Wiesz, że Julka i tak wszystko mi powie. A wpadłem na pewien trop i potrzebuję dodatkowych wskazówek, bo nie wiem, co o nim myśleć.

– Mamy włosy i stringi plus parę wątpliwych śmieci – odparła. – Najpóźniej pojutrze powinnam mieć wyniki badań DNA, więc sporo powinno się wyjaśnić.

Tyle Brudny już wiedział, bo Julka zadzwoniła do niego krótko po spotkaniu grupy dochodzeniowo-śledczej. Podczas nocnej akcji zatrzymania Kittela od razu drobiazgowo przeszukano jego mieszkanie, a gdy Kłos w jednej z szuflad znalazł czerwone stringi, te od razu trafiły do laboratorium.

– Masz jakieś przypuszczenia? – zapytał.

– Co konkretnie masz na myśli?

– No ogólnie, co sądzisz o tych próbkach?

– Wyczuwam drugie dno…

– Po prostu pytam. Ale dobra, nieważne. Jeszcze raz dzięki wielkie, Anka.

– Nie ma za co.

– To cześć.

– Igor…

– No?

– Nie zapominaj, że tu już nie rządzi Romek. Ani nawet Arleta…

– A szkoda. Na razie.

– Na razie.

Brudny rozłączył się i dopił resztkę rozwodnionej whisky. Zapalił i przez dłuższą chwilę analizował słowa Boruckiej. Nie mógł czuć się specjalnie zaskoczony. I w sumie nie był. Tylko co on miał teraz, do kurwy nędzy, zrobić?

Kątem oka dostrzegł krzątającą się w kuchni Justynę Klepacką. Przez chwilę obserwował, jak przygotowuje kanapki dla Julki. Ta dziewczyna była taka niewinna, taka uczciwa i spragniona życia. Gdy skończyła i schowała niewykorzystane produkty do lodówki, ich spojrzenia spotkały się na moment, a ona posłała mu szczery uśmiech i nieśmiało dygając, zniknęła na schodach. Brudny poczuł ukłucie żalu. Co za niesprawiedliwość, pomyślał. Zamknął oczy. Nie miał zielonego pojęcia, jak przekazać swojej klientce tę ponurą informację. Nie był na to gotowy. Ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Jego wzrok powędrował w stronę do połowy opróżnionej butelki jamesona.

Długo się nie zastanawiając, nalał sobie kolejną porcję. Tym razem bez lodu i do pełna.

ROZDZIAŁ 32

Zbudziły ją odgłosy burzy. Zawadzka otworzyła oczy. Odgarnęła włosy z twarzy i zerknęła na stojący na szafce nocnej zegarek. Dochodziła piąta rano. Z salonu dobiegało głośne chrapanie Brudnego, który zdawał się rywalizować z kolejnymi grzmotami.

Poprzedniego wieczora wróciła do domu później niż zwykle. Miała ciężki dzień, ale mimo że zaczął się kiepsko, ostatecznie zakończył się przyzwoicie. Gdy po kilku godzinach niańczenia nadętej pani adwokat w końcu usiadła do komputera, okazało się, że Burda nie spadła z księżyca, jak na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać.

– Że kim ona jest? – zapytał z niedowierzaniem Magiera.

– To przybrana siostra Kittela – odparła. – Nie chwaliła się, bo najwyraźniej nie widziała takiej potrzeby. Ich ojcem był Tomasz Kittel, a w zasadzie był ojcem Burdy, bo podejrzany przyjął od niego jedynie nazwisko i z Burdą nie łączą go więzy krwi. Prokurator, a następnie poseł, zmarły w dwa tysiące dziesiątym roku na alzheimera. W zasadzie od początku kariery nierozerwalnie związany z partią.

– Komuch – mruknął Magiera.

– Zatwardziały. Nie zagłębiałam się w szczegóły spraw, które prowadził, ale na pewno miał na koncie kilku opozycjonistów.

Prokurator odchylił się w fotelu i przetarł chusteczką spocone czoło.

– Córeczka tatusia z tej Burdy, co? – rzucił, przygryzając dolną wargę. – Rozmawiała z nią pani?

– Chwilę w toalecie. Raczej babskie sprawy, ale potwierdzam. Charakterek ma i raczej da nam popalić.

– W takim razie musimy się dobrze przygotować – skwitował. – Chcę, żeby to pani się tym zajęła.

– Co konkretnie ma pan na myśli? – Zmarszczyła brwi.

– Mamy dwóch świadków i raczej mocne dowody winy Kittela. Jeśli wyniki z laboratorium wykażą, że znalezione w mieszkaniu podejrzanego

bielizna i włosy należą do ofiar, będę miał wszelkie podstawy, aby wnieść oskarżenie i zawnioskować o dożywocie. W takiej sytuacji sąd musiałby go skazać, ale jeśli ten facet rzeczywiście był leczony psychiatrycznie, to możemy spodziewać się, że Burda na pewno to wykorzysta i będzie chciała przekonać sąd, że Kittel w momencie popełniania zbrodni był niepoczytalny. Pani zadaniem będzie dotarcie do ludzi, którzy go leczyli, bo chcę być przygotowany na każdą ewentualność. Pozostaje też kwestia tej… – prokurator zrobił krótką pauzę – …kobiety w Ciborzu. Skoro już pani zajęła się tą sprawą, to proszę wybadać lekarza prowadzącego, jaka jest szansa na bezpośrednią konfrontację z podejrzanym. Czy mogę na panią liczyć, komisarz Zawadzka?

Trochę zaskoczyło ją tak dalekie wybieganie w przyszłość, ale musiała przyznać, że rzeczywiście wszystkie poszlaki wskazywały na Kittela. Oczywiście zgodziła się tym zająć, bo po pierwsze, w końcu poczuła się doceniona, po drugie, chciała zmazać plamę za sprawę z myjnią, a po trzecie, miałaby swobodniejszy dostęp do pacjentki szpitala, co w przypadku prywatnego śledztwa Brudnego pozwalało planować ewentualne posunięcia bez stresu, że Magiera znów do czegoś się przyczepi.

Po powrocie do domu chciała się podzielić dobrą nowiną, ale zastała partnera leżącego na kanapie. Opróżniona butelka jamesona pozwalała sądzić, że nawet jeśli go obudzi, to raczej nie będzie miała z nim o czym rozmawiać. Wkurzyła się, bo nie spodziewała się zastać go w takim stanie, ale uznała, że nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem, i zostawiła go, jak leżał, po czym poszła wziąć prysznic i sama położyła się do łóżka.

Przez następną godzinę leżała, nawet nie próbując zasnąć. Analizowała wszystko, co do tej pory udało się ustalić, i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że te puzzle i tak do siebie nie pasują. Niby powoli zaczynał wyłaniać się z tego jakiś obrazek, ale przypominał co najwyżej dzieło kilkulatka, który kolejne elementy dociskał na siłę. Przed szóstą wstała i poszła do kuchni. Wstawiła wodę i otworzyła lodówkę, z której wyciągnęła serek homogenizowany. Zjadła go, zanim zagotowała się woda w czajniku.

– Mnie też zrób – usłyszała za plecami chrapliwy głos.

– No proszę… – rzuciła z drwiną w głosie. – Detektyw Igor Brudny raczył przemówić.

– Nie kpij. Która godzina?

– Dochodzi szósta. Jadłeś coś wczoraj?

Brudny zignorował pytanie. Usiadł i sięgnął po wymiętą paczkę papierosów. Włożył jednego do ust, ale nie był w stanie namierzyć zapalniczki. Ogień w końcu podała mu Julka, przy okazji wręczając kubek z kawą.

– To Malwina Klepacka – oznajmił, upiwszy pierwszy łyk.

Zawadzka pomyślała, że po otrzymaniu takiej informacji zapewne też skusiłaby się na coś mocniejszego. Usiadła obok Igora.

– To nie wszystko – kontynuował. – Mam już pewność, że Kłos siedzi w tym bagnie po uszy. I chyba wiem, dlaczego próbował storpedować śledztwo w prawie Iwanki.

– Nie jestem pewna, czy chcę to słyszeć. – Westchnęła i sama wygrzebała z paczki ostatniego papierosa.

– Udało mi się przekonać do mówienia jedną z prostytutek. Dziewczyna nazywa się Bojka i przyznała, że Kłos sprawuje pieczę nad całym biznesem.

– Jak ją przekonałeś?

– Mam swoje sposoby… – Brudny przetarł palcami kąciki oczu. – Obiecałem też, że ją z tego wyciągnę – dodał, krzywiąc się nieznacznie.

– Może zacznę mówić do ciebie Matko Tereso?

Brudny nie skomentował. Wciąż czuł się zaspany i myślał trochę chaotycznie. Zawadzka nie naciskała i oboje przez chwilę w milczeniu popijali kawę i palili papierosy. Komisarz wybudził się z letargu dopiero w momencie, gdy nadmiar popiołu spadł mu na dżinsy. Strzepnął go i odkaszlnął, po czym rzucił Julce niejasne spojrzenie i poszukał wzrokiem kul. Leżały na podłodze obok ławy. Sięgnął po nie i z trudem podniósł się z łóżka. Zawadzka odprowadziła go wzrokiem do łazienki, tym razem nie zamierzając dawać mu wsparcia. Ku jej zaskoczeniu poradził sobie całkiem dobrze i zanim się obejrzała, usłyszała dźwięk spuszczanej wody, a potem szum prysznica. Postanowiła, że w takim razie ona przygotuje jajecznicę.

Ulewa na dworze nie odpuszczała. Zawadzka włączyła telewizor, aby wysłuchać lokalnych wiadomości. Spodziewała się kolejnych podtopień, ale mówiono tylko o „Wampirze”. Postawiła talerze z jajecznicą i chlebem w momencie, gdy Brudny wyłonił się zza rogu. Usiedli na kanapie i zaczęli jeść, zerkając na jakiegoś młodego reportera, który relacjonował na żywo spod budynku zielonogórskiego aresztu. Zdawał się całkiem dobrze poinformowany, choć nawet nie próbował się krygować i zamiast słowa „podejrzany” używał określenia „Wampir”, którego pierwszą ofiarą miała być białoruska prostytutka o imieniu Iwanka.

– Bzdura – wycedził przez zęby Brudny.

– Co jest bzdurą?

– On jej nie zabił, Julka. To znaczy Iwanki. Nie wierzę w to.

– Więc kto?

– Uważam, że to sprawka Kłosa.

– Bo?

– Bo jest skorumpowanym chujem czerpiącym korzyści z cudzej krzywdy, a do tego musi mieszkać z kalekim bratem, który wygląda jak potwór z bagien.

– To nie za duża hiperbola?

Zawadzka odłożyła kanapkę na talerz i zwróciła się twarzą w stronę partnera. Domyślała się, do czego dąży, ale chciała się upewnić, czy jej tok rozumowania aby na pewno jest właściwy.

– Pamiętasz, co mówił Romek? O tym wypadku przed laty? – ciągnął Brudny.

– Pamiętam.

– No więc jeśli założymy, że ma rację i Kłos siedział wtedy za kółkiem, to cała ta historia musiała jakoś na niego wpłynąć. I wiem, że ludzie różnie odreagowują podobne tragedie, ale… – skrzywił się na wspomnienia z sierocińca – …z doświadczenia wiem, że większość sobie z takim piętnem nie radzi. Chcesz, żebym podał przykłady?

– Niekoniecznie.

– Tak myślałem. No więc ja to widzę tak. Kłos czuje się odpowiedzialny za spowodowanie wypadku i doprowadzenie do stanu, w jakim obecnie znajduje się jego brat. Nie jestem psychiatrą i trudno mi ocenić jego konstrukcję psychiczną, ale jestem prawie pewny, że stara mu się to jakoś wynagrodzić, może nawet podświadomie. I choćby dlatego przysyłał mu te wszystkie dziewczyny.

– To potwierdzone?

– Tak mówi Bojka. Według niej od dłuższego czasu zabierał dziewczyny do specjalnego klienta, w tym zamordowane Polinę i Iwankę. Generalnie dziewczyny kręciły nosem i nie chciały tam jeździć, Polina także, w związku z czym Kłos wysłał tam jedną na stałe. Trafiło na Iwankę, która nigdy już nie wróciła, a kilka tygodni później do koleżanek po fachu dotarła informacja, że jej ciało wyłowiono z rzeki. To wtedy na kobiety padł blady strach.

– Czyli… – Zawadzka zrobiła pauzę, jakby próbowała ostatecznie poskładać to do kupy – …sugerujesz, że Kłos zabrał Iwankę do swojego domu i tam ją więził jako niewolnicę seksualną mającą robić dobrze kalekiemu bratu?

– Mniej więcej. Pytanie, co się wydarzyło, że kobieta wylądowała w rzece?

– Chciała uciec?

– Możliwe. Gangi sutenerów czasem posuwają się do zabicia jednej z dziewczyn, aby dać przykład pozostałym. Ale w tym wypadku myślę, że wyglądało to inaczej.

– Sugerujesz, że Kłos ją zamordował?

– To bardziej prawdopodobne. Może zrobił to sam, a może zrobił to brat. Nie wiem, może po prostu w jego mniemaniu coś poszło nie tak i uznał, że najlepszą decyzją jest pozbycie się problemu. W każdym razie uważam, że jest w to zamieszany osobiście, a sposób, w jaki prowadził śledztwo w sprawie Iwanki, tylko mnie w tym utwierdza.

Zawadzka uniosła brwi i cmoknęła. Brudny rzadko się mylił, ale w świetle ostatnich wydarzeń jego hipoteza brzmiała dość osobliwie, jeśli nie fantastycznie. Nawet jeśli broniła się w przypadku Iwanki, to kompletnie rozłaziła się w szwach przy kolejnych dwóch ofiar, nie wspominając o przebywającej w szpitalu Malwinie Klepackiej. Przez dłuższą chwilę próbowała jakoś to sobie usystematyzować.

– W porządku. – Odłożyła widelec i wytarła usta chusteczką. – Załóżmy, że masz rację i Kłos jest odpowiedzialny za śmierć Iwanki. Jak więc wytłumaczysz śmierć kolejnych prostytutek, oczywiście zakładając, że ręka trzeciej ofiary należała do jednej z nich? Jaki widzisz sens w tym, że Kłos do spółki z gangiem morduje kury znoszące złote jaja, wcześniej odsysając z nich krew?

– Nie wiem.

– To trochę mało, Igor…

– Myślałem o jakimś naprawdę bogatym kliencie, kimś, kto jest w stanie zapłacić bardzo dużo za to, aby zrealizować swoje chore fantazje.

– Jak tamci Ruscy?

– Nie, Julka. Oni zarzynali kobiety dla pieniędzy. Gwałcili je, torturowali i zabijali tylko po to, aby nakręcić film, wrzucić go do darknetu i na tym zarobić. Ja myślałem o kimś… no nie wiem… jakimś koneserze, smakoszu, człowieku o wyszukanym, skrajnie wyrafinowanym guście.

– Coś jak… Hannibal Lecter?

– No, powiedzmy, ale… – Brudny podrapał się po brodzie. – No właśnie. Brzmi to kiepsko, nie sądzisz?

– Wilkołak też brzmiał kiepsko – mruknęła. – Do tej pory śni mi się gęba tego chłopaka.

– Yhy…

Przez dłuższą chwilę milczeli. Wspomnienie Norberta obojgu wyryło się w pamięci na tyle głęboko, że nie odrzucali nawet najbardziej nieprawdopodobnych hipotez.

– Marian Kittel raczej nie wpisuje mi się w ten wzorzec… – przerwała ciszę Julka.

– No nie. Tylko kto stoi za jego zatrzymaniem? I kto przeszukiwał jego mieszkanie?

Zawadzka znacząco pokiwała głową. Szansa, że Kłos mógł to wszystko zaaranżować, wydawała się raczej mało prawdopodobna, ale nie niemożliwa. Pozostawała jednak jeszcze jedna kwestia. I ta luka wydawała się najtrudniejsza do wypełnienia.

– Czysto teoretycznie załóżmy, że Kłos steruje śledztwem, bo w jakiś sposób, bezpośredni lub pośredni, jest w te morderstwa zamieszany. Załóżmy też, że mordercą jest jakiś bogaty ekscentryk psychopata, a Kittela wrabiają. Pozostaje Malwina Klepacka, która – również czysto teoretycznie – nawet całkiem dobrze wpisuje się w twój tok rozumowania jako niedoszła ofiara tego typu szaleńca. Tylko jak wytłumaczyć, że kobieta bierze udział w wypadku, w którym ginie kierowca zidentyfikowany jako złodziej i recydywista, niejaki Bartłomiej Kołłątaj, mający w bagażniku cały arsenał narzędzi mogących zostać wykorzystanych do tortur, a Kłos przyjeżdża na miejsce zbrodni i nie ma najmniejszych problemów z tym, żeby spojrzeć kobiecie w oczy? Poza tym ja też tam byłam, Igor. Widziałam jego reakcję i był tak samo zszokowany tym, co zobaczył, jak wszyscy inni. Nie jest tak dobrym aktorem. Nie wierzę, że mógłby tak świetnie odegrać swoją rolę. Po prostu w to nie wierzę.

– Nie musiał wiedzieć.

– Czego?

– Tego, co oprawca robił z ofiarą.

– Ale przecież facet zginął w wypadku. Jak to ma się do kolejnych ofiar?

Brudny złapał się za skronie i przez chwilę mocno je rozmasowywał. Nie czuł się najlepiej nawet po kąpieli i powoli dopadał go kac. Nagle zdał

sobie sprawę, jak nielogicznie brzmią wszystkie jego teorie.

– Nie wiem, Julka. Po prostu nie wiem. – Wypuścił z sykiem powietrze i bezradnie pokręcił głową. – Coś musieliśmy przeoczyć – dodał. – To wszystko musi się jakoś łączyć, ale nie umiem znaleźć powiązań. I jeszcze ten Maksymilian…

– Bogaty deweloper? – Uniosła brwi.

– Wpisywałby się w rolę ekscentrycznego świra.

– Tylko wciąż nic o nim nie wiemy.

– Tylko wciąż nic o nim nie wiemy…

Zamilkli, gdy na piętrze rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Chwilę później usłyszeli szum odkręconej wody.

– Dziś posiedzę nad tym Maksymilianem – powiedziała Zawadzka.

– Nie jedziesz na komendę?

– Nie zanosi się. Magiera ma podejrzanego i tylko czeka na wyniki z laboratorium, a Gruszczyński ma wolne do poniedziałku, więc i ja dałam sobie na luz.

– No chyba jednak nie…

– Co masz na myśli?

– Klepacka – mruknął. – Anka obiecała przetrzymać tę informację do rana, żebym mógł z tobą przegadać temat, ale… – Zerknął na zegarek. – Wygląda na to, że właśnie jest ranek i Magiera zaraz pozna tożsamość pacjentki.

Zawadzka zamknęła oczy i głębiej odetchnęła. Przed oczami od razu stanęło jej wściekłe oblicze prokuratora, który ruga ją za to, że ukrywała przed nim istnienie Justyny Klepackiej. Teoretycznie mogła się bronić, że śledztwo w sprawie zaginięcia jej siostry Brudny prowadził bez jej wiedzy, ale to brzmiałoby jak wymówka dla idioty. Takie tłumaczenie Magiera bez wątpienia odebrałby jako najgorszą obrazę. Tylko czy poznanie tożsamości pacjentki cokolwiek zmieni? Zwłaszcza jeśli Magiera ma już podejrzanego? Nagle poczuła się, jakby znalazła się nad przepaścią. Nie miała pomysłu, jak to rozegrać. Wszystkie te pokręcone hipotezy runęły na nią niczym zwały gruzu. Tu nic do siebie nie pasowało. Nic nie miało sensu.

Pomyślała, że znalazła się w czarnej dupie. Głębiej, niż kiedykolwiek mogłaby się tego spodziewać.

* * *

Nie pomyliła się, Magiera się wściekł. Najpierw przybrał kolor dorodnej czereśni, a później wybuchł, zapluwając własną marynarkę, miotając kurwami na lewo i prawo, grożąc jej naganą, zwolnieniem dyscyplinarnym, a nawet oskarżeniem o utrudnianie śledztwa. Już wcześniej zdecydowała, że nie będzie próbowała się tłumaczyć. Nie miała argumentów, a nawet jeśli miała, to nie dysponowała dowodami na ich poparcie.

– Jesteś odsunięta od śledztwa! Zejdź mi z oczu! – warknął na odchodne.

Pokornie przyjęła tę informację, a potem bez słowa opuściła jego gabinet. Po części nawet ucieszyła się z tego powodu, bo miała tej sprawy serdecznie dość. Nie zdążyła jednak przejść kilkunastu kroków, gdy drzwi biura prokuratora ponownie się otworzyły.

– Proszę tu wrócić, pani komisarz – rzucił Magiera.

Obejrzała się, czy aby na pewno zwraca się do niej, ale korytarz był pusty. Pojednawczym ruchem dłoni zachęcił ją, aby zawróciła. Mijając go w drzwiach, posłała mu gorzkie spojrzenie i z powrotem usiadła na krześle. Magiera wstawił wodę i zrobił kawę. Postawił przed nią elegancką filiżankę i usiadł w swoim fotelu po drugiej stronie biurka. Poprawił krawat i przetarł chusteczką spocone czoło.

– Razem z informacją o tożsamości pacjentki dostałem też wyniki próbek z mieszkania podejrzanego – oznajmił. – Badania DNA potwierdziły, że znaleziona na miejscu bielizna i włosy należą do Iwanki. Poza tym żadnych śladów łączących ją z kolejnymi ofiarami. Chciałbym poznać pani zdanie, pani komisarz.

– Co mam przez to rozumieć? – rzuciła oschle.

Prokurator westchnął i kilkakrotnie zamrugał.

– Przywracam panią do śledztwa – powiedział przepraszającym tonem. – Co pani o tym sądzi?

– Mogę zapytać, skąd ten nagły przypływ miłości?

Magiera wbił w nią surowe spojrzenie.

– Zawiodła mnie pani i dalej próbuje przeciągać linę na swoją stronę…

– Powiedzmy, że mam sporo wątpliwości.

– Wątpliwości… – powtórzył i zaczął bawić się leżącym na blacie długopisem. – W co pani gra, pani Julio?

– Chcę złapać skurwiela, który zabija te młode kobiety. Nic więcej.

– Ale nie pomylę się, jeśli zaryzykuję stwierdzenie, że wie pani więcej niż to, co znajduje się w raportach?

Zawadzka nie odpowiedziała. Potrzebowała chwili, aby zrozumieć tok jego rozumowania. Pobieżna ocena wskazywała, że Magiera wygląda na mocno pogubionego i równie zdezorientowanego, jak ona. To śledztwo zdawało się go przerastać i choć po otrzymaniu twardych dowodów winy Kittela mógłby odtrąbić pierwszy sukces, nie dostrzegała na jego twarzy specjalnej euforii. Był doświadczonym prokuratorem i jeśli nie maczał w tym palców, musiał widzieć, że śledztwo wymknęło mu się z rąk, a całość kryje drugie dno. Tylko czy mogła mu zaufać? Przypomniała sobie słowa Czarneckiego.

„Karol nie jest człowiekiem bez wad, ale śmiem wątpić, aby próbował kryć takie historie – radził. – Owszem, jestem zdolny uwierzyć, że byłby w stanie przymknąć oko na drobne grzeszki, ale nie na permanentną współpracę policjantów ze zorganizowaną grupą przestępczą. Moim zdaniem prokurator nic o tym nie wie”.

Wzrok Magiery wciąż był utkwiony w jej oczach. Spojrzenie nie było z tych, które przewiercały człowieka na wylot, raczej wołały o pomoc. Pomyślała, że facet musiał zdać sobie sprawę, że ktoś najzwyczajniej w świecie robi z niego durnia. I najwyraźniej nie miał na myśli jej, ale kogoś innego. A może to była tylko podpucha? Pożałowała, że odmówiła Brudnemu, gdy zaproponował, że będzie jej towarzyszyć. Wtedy pomyślała, że wyszłaby na idiotkę.

– Potrzebuję czterdziestu ośmiu godzin – odparła wymijająco, uznając, że w tej chwili to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji.

Magiera złączył palce i spuścił wzrok w okolice klawiatury. Przez chwilę zastanawiał się, jak wyartykułować myśli. W końcu spojrzał podwładnej w oczy.

– Czytałem pani akta, pani Julio – rzekł po dłuższym namyśle. – Zapoznałem się też z aktami komisarza Brudnego i zasięgnąłem języka u ludzi, dla których pracowaliście albo z którymi współpracowaliście przy poprzednich sprawach. I nie jestem idiotą, jak może się wydawać. Zdaję sobie sprawę, że w mieście dzieje się coś niedobrego, a jeden z moich ludzi siedzi w tym bagnie po uszy.

Zawadzka starała się zachować kamienną twarz, ale nie była pewna, czy jej się to udaje. Magiera zaskoczył ją tym wyznaniem, ale wiedziała, że nie może dać tego po sobie poznać. On też mógł prowadzić jakąś nieoczywistą grę. Prokurator kontynuował:

– Sprawa tej Białorusinki cuchnęła mi od samego początku. Nie jestem kretynem, żeby nie dostrzec, że raporty z działań operacyjnych były trefne. Pierwszy lepszy żółtodziób wykonałby lepszą robotę. Pracuję tu jednak od niedawna i nie mam na podorędziu zaufanych ludzi, w związku z czym musiałem improwizować. – Magiera upił łyk kawy i wyciągnął z szuflady paczkę papierosów. Zaskoczył ją, bo do tej pory nie widziała, żeby palił. Wyciągnął popielniczkę i poczęstował ją. – Obserwowałem panią od samego początku i uważam, że jest pani jedną z najlepszych policjantek, z jakimi miałem okazję pracować. Nie ukrywam też, że jestem pod wrażeniem pani poświęcenia przy każdym z ostatnich śledztw. Nie mogłem jednak zaufać pani, ot tak. Tak działają jedynie głupcy, a głupcy zwykle kończą marnie. Ja, wbrew pozorom, głupcem nie jestem.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Zakładam, że rozmawiała pani na mój temat z Romualdem – mówił dalej. – Ufam też, że jako człowiek honoru przekazał pani informacje na mój temat obiektywnie i nie muszę się niczego wstydzić. Do teraz…

Tym razem Zawadzka postanowiła nie komentować. Zaciągnęła się i wydmuchnęła dym ku górze.

– Z początku postawiłem na współpracę z komisarzem Kłosem, ale śledztwo w sprawie morderstwa Iwanki sprawiło, że zacząłem mieć wątpliwości. Gdy nadarzyła się okazja, aby przekazać je komuś innemu, wykorzystałem ją. Miałem nadzieję, że pani dotrze do czegoś, co mogłoby rzucić światło na tę tajemniczą śmierć, nie zamierzałem jednak naciskać ani czegokolwiek sugerować. Chciałem, żeby to wyszło od pani. Dlatego też zadbałem, aby to pani pierwsza znalazła się na miejscu odnalezienia ciała kolejnej ofiary, ale… – Magiera z niesmakiem zgasił do połowy wypalonego papierosa – …sprawy dość mocno się skomplikowały. Nikt nie sądził, ja również, że kolejna ofiara będzie pozbawiona krwi. I tu, muszę to otwarcie przyznać, nie byłem w pełni przekonany, jak na tę informację zareagować.

Zawadzka siedziała jak zahipnotyzowana. Miała wrażenie, że znajduje się w debilnym programie telewizyjnym i zaraz zza winkla wyskoczy jakiś pajac, który każe jej się uśmiechnąć do kamery. Czy Magiera rzeczywiście mógł być tak dobry? Czy byłby w stanie odegrać taki teatrzyk?

– Liczyłem na to, że pani wyjdzie z inicjatywą i zechce zainteresować się pacjentką w Ciborzu – kontynuował. – Nie zamknąłem tej sprawy, choć teoretycznie mogłem, bo lista narzędzi, jakie znaleziono w spalonym samo-

chodzie Kołłątaja, w pełni usatysfakcjonowałaby każdego, z prokuratorem generalnym włącznie, zwłaszcza że kierowca był kilkakrotnie notowany i skazywany. Nie mogłem jednak sobie pozwolić na błąd. Nie w takiej sprawie. Nie w takiej sprawie – powtórzył, mocno akcentując ostatnie słowa.

– Wygląda na to, że miał pan nosa – odparła, starając się, by jej głos brzmiał neutralnie.

– Gdy trzy miesiące później pojawiła się kolejna ofiara, zrozumiałem, że mamy do czynienia z kimś albo czymś absolutnie nadzwyczajnym. Pojąłem, że w mieście grasuje psychopata, o którym będą mówić nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Szaleniec, którego historia będzie w stanie przyćmić seryjnych morderców pokroju Teda Bundy'ego, Zodiaca czy samego Kuby Rozpruwacza. Zdaje sobie pani sprawę, że „Wampir" z Zielonej Góry kiedyś trafi do podręczników kryminologii? Podobnie jak śledczy, którzy go dopadną?

A więc o to chodzi, pomyślała. Przypomniała sobie inną wypowiedź Czarneckiego. Jest chorobliwie ambitny i lubi poklask, opisywał byłego współpracownika. Inspektor najwyraźniej trafił w sedno. Jasne było, że po złapaniu i osądzeniu – najlepiej w blasku fleszy – „Wampira" podupadła kariera Magiery mogła znów nabrać rozpędu, być może nawet wystrzelić w kosmos. Nietrudno było sobie wyobrazić, że prędzej czy później otrzymałby ofertę stanowiska w prokuraturze krajowej, a jeśli miał ambicje polityczne, to i ta droga nie byłaby dla niego zamknięta. Tylko dlaczego mówił jej to wszystko, skoro miał już podejrzanego i mocne dowody jego winy? Czyżby z góry zakładał, że aresztowali niewłaściwego człowieka? Przeszła jej przez myśl pewna wyjątkowo ponura koncepcja, ale to jeszcze nie był czas, aby wykładać karty na stół. Zaciągnęła się i zgasiła papierosa, próbując nie wychodzić z roli.

– Nie mogę zaufać panu, ot tak – rzekła z pełną premedytacją. – Ale doceniam to, co pan powiedział. Mimo to potrzebuję czterdziestu ośmiu godzin. W tym czasie chcę pełnego dostępu do raportów pozostałych członków grupy, zezwoleń, gdybym musiała skontaktować się z Malwiną Klepacką, oraz wolnej ręki w działaniu operacyjnym. I dla jasności. Będę pracować w porozumieniu z komisarzem Igorem Brudnym.

– Hmm…

Prokurator popatrzył na nią z wahaniem. Miał twardy orzech do zgryzienia, bo wymagała rzeczy, które w żadnym wypadku nie mieściły się w procedurach. Gra toczyła się jednak o najwyższą stawkę i jeśli chciał trafić do

podręczników kryminologii jako pogromca „Wampira” z Zielonej Góry, musiał podjąć ryzyko adekwatne do stawki. Prawda była taka, że potrzebował jej bardziej niż ona jego. I oboje doskonale o tym wiedzieli.

– Umowa stoi? – przycisnęła.

– Ma pani czterdzieści osiem godzin – odparł.

Zawadzka wstała i wyciągnęła rękę. Uścisnęli sobie dłonie, a potem opuściła jego gabinet i pospiesznie ruszyła do wyjścia. Na schodach naszły ją wątpliwości. Nagle zrozumiała, że nie jest już pewna absolutnie niczego.

* * *

Gdy Zawadzka i Brudny przygotowywali plan działania, Marian Kittel zastanawiał się w celi aresztu nad tym, co usłyszał od swojej przybranej siostry. Mecenas Amanda Burda nie miała dla niego dobrych wiadomości, bo dowody na jego winę były niepodważalne, a rokowania na wybronienie w sądzie wyjątkowo marne. Przedstawiła mu jedyną rozsądną linię obrony i wytłumaczyła, że czeka ich długi proces, podczas którego będzie musiał zmierzyć się z niewyobrażalnym, a sam udawać chorego psychicznie.

– Media będą chciały cię zniszczyć – mówiła. – Będą chciały zniszczyć nas. Zrobią z ciebie zwyrodnialca, wampira żądnego ludzkiej krwi, potwora z najgorszych koszmarów. Wydadzą wyrok i będą prześcigać się w wymyślaniu kolejnych okropieństw na twój temat. Musisz być na to przygotowany i musisz przygotować na to swoją córkę. Dziennikarskie hieny zrobią z niej córkę krwiopijcy.

– Ale ona, ale przecież…

– Ale nie poddamy się i wygramy tę batalię. Przetrwamy i udowodnimy, że to nie ty zabiłeś te kobiety. To będzie trudny, niewyobrażalnie trudny czas. Ewelinka będzie cierpieć razem z nami, ale jestem pewna, że ostatecznie zwyciężymy.

Marian Kittel nie miał aż tak silnego przekonania i gdy wrócił do celi, w żaden sposób nie mógł opędzić się od fatalistycznych wizji. Oczami wyobraźni widział, jak ten proces niszczy córkę, jak Ewelinka wykańcza się fizycznie i psychicznie. Dlatego musiał coś zrobić. Musiał ją chronić, bo teraz liczyła się już tylko ona. Wiedział, że Amanda zadba, aby nie cierpiała. Siostra od zawsze miała pieniądze i możliwości. Pomagała im od lat i na pewno będzie pomagać dalej. Obiecała mu to.

Czy z tej sytuacji było jeszcze jakiekolwiek wyjście? Czy mógł zachować się inaczej? Czy powinien? Myślał o tym bez ustanku i długo nie mógł zasnąć. Nie spał jednak prawie czterdzieści pięć godzin i jego organizm w końcu opadł z sił. Przed oczami zaczęły pojawiać się mroczki, wizje twarzy córki to wizualizowały się, to rozpływały jak miraż. W pewnym momencie nie odróżniał już snu od jawy. Gdy na jego szyi zacisnęła się pętla z prześcieradła, zdążył pomyśleć, że to w sumie jedyne rozsądne wyjście. Dlatego nie walczył i rano Mariana Kittela już nie było.

ROZDZIAŁ 33

– Kurwa mać! – zaklął Magiera. – Kuuurwa! Jak to się… nosz kurwa jego w dupę jebana mać!

Jeszcze przez kilkadziesiąt sekund klął jak szewc, w końcu rzucił smartfon na łóżko, ale ten odbił się i wylądował na kancie komody, a w końcu na podłodze. Podniósł go, dopiero gdy włożył świeżą bieliznę. Wysyczał kilka kolejnych przekleństw, kiedy okazało się, że wyświetlacz pokrywa gęsta siatka pęknięć. Poszedł do łazienki i w trybie ekspresowym umył się i ogolił. Wiedział, że musi dziś wyglądać dobrze, bo będzie występował przed kamerami. Nie miał tylko pojęcia, jak wybrnąć z tej katastrofalnej sytuacji.

W areszcie zjawił się po niecałych trzydziestu minutach. Za murem minął karawan, przy którym dwóch mężczyzn paliło papierosy. Kłos czekał na niego przy wejściu do budynku. Grzebał w telefonie i dostrzegł go dopiero w momencie, gdy prokurator omal na niego nie wpadł.

– Kto jeszcze o tym wie? – warknął Magiera.

– Kilku strażników, dyrektor aresztu, lekarz i… – zaczął wyliczać, otwierając prokuratorowi drzwi wejściowe.

– I że niby sam się powiesił, tak? – Prokurator rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Tak twierdzą.

– Lepiej, żeby to była, kurwa, prawda. Prowadź – rozkazał.

Mężczyźni weszli i skierowali się do odpowiedniego skrzydła aresztu. Cela, w której przebywał Marian Kittel, znajdowała się na drugim piętrze. Już na schodach widać było poruszenie. Ktoś pospiesznie schodził, ktoś inny wbiegał na górę. W miejscu rozwidlenia korytarza trzech umundurowanych strażników o czymś żywiołowo dyskutowało, ale gdy ich zobaczyli, od razu zamilkli. Magiera obrzucił ich lodowatym spojrzeniem i ruszył w kierunku jedynej otwartej celi. Przy masywnych drzwiach stał młody posterunkowy o twarzy nieskalnej myślą. Na jego widok od razu wyprężył się jak struna, ale widząc, że prokurator sunie w jego kierunku,

jakby chciał go rozdeptać, instynktownie usunął się w bok. Magiera zignorował jego spłoszone „dzień dobry” i bez słowa wkroczył do celi. Wbił wzrok w nieżyjącego Mariana Kittela. Mężczyzna znajdował się w pozycji półleżącej. Na szyi miał zadzierzgniętą pętlę ze skręconego prześcieradła, które zawiązane było na łączeniu szkieletu górnej pryczy.

– Gdzie Bielicki? – warknął, zbliżając się do zwłok.

– Kto? – zapytał policjant.

– Dyrektor aresztu, kurwa mać!

– Był jeszcze nied…

– Sprowadź go tu. Natychmiast!

Posterunkowemu nie trzeba było tego powtarzać i chwilę później po korytarzu poniósł się odgłos jego ciężkich kroków. Magiera przykucnął obok trupa i nerwowo przygryzł dolną wargę. Zwłoki jeszcze nie śmierdziały, ale wyglądały, jakby zaczynały już gnić. Głowa Kittela bezwładnie opadła na bok, twarz była blada, oczy otwarte, nieruchome, wpatrujące się w zakratowane okno, o które uporczywie obijała się wielka mucha. Z lekko rozchylonych ust wyzierał czubek języka. Prokurator naciągnął lateksowe rękawiczki i odchylił palcami materiał na szyi.

– Myślisz, że ktoś mu w tym pomógł? – zapytał Kłos, ale Magiera zupełnie go zignorował. Nie miał zamiaru dzielić się z nim swoimi spostrzeżeniami, choć nie trzeba było być medykiem sądowym, aby zrozumieć, że pętla jest zaciśnięta zbyt mocno jak na próbę samobójczą. Sprawdził jego dłonie i uniósł koszulkę, ale nie dostrzegł żadnych siniaków ani zadrapań. Spuchnięta twarz też nie zdradzała śladów walki. Przez chwilę wpatrywał się w jego puste źrenice, jakby liczył na to, że uda mu się wyczytać z nich prawdę o ostatniej nocy, po czym wstał i omiótł spojrzeniem całą celę.

– W ciągu godziny chcę mieć nagrania z monitoringu, wykaz wszystkich aresztantów i strażników pracujących na nocnej zmianie – rzekł stanowczym tonem. – Do południa w prokuraturze mają stawić się świadkowie, którzy odnaleźli zwłoki, i lekarz, który stwierdził zgon. I zadzwoń po Ankę. Jej ludzie mają przebadać każdy centymetr celi, zrozumiano?

– Ale o co tyle krzyku? – zapytał Kłos, wykrzywiając usta w niepewnym grymasie.

– O co tyle krzyku? O co, kurwa, tyle krzyku?! – powtórzył Magiera, po czym zbliżył się do Kłosa na odległość, z której mógł poczuć woń przetrawionego alkoholu. – Czy ty, Artur, zdajesz sobie sprawę, co ty w ogóle pierdolisz? Wiesz, co się wkrótce wydarzy?

– Nie przesadzasz, szefie? – skontrował Kłos, odruchowo cofając się kilkanaście centymetrów. – Facet zrozumiał swoje położenie i postanowił to zakończyć. Tyle w temacie. Będzie można zamknąć sprawę i…

– Skończ pierdolić! – syknął, ledwo panując nad tym, aby nie wpaść w furię. – Gość, który morduje prostytutki, wysysa z nich krew i rąbie je na kawałki, powiesił się, bo przesiedział kilkadziesiąt godzin w areszcie? I ty w to niby wierzysz?

– W zasadzie nie mam powodów, żeby nie wierzyć. Nie pierwszy i nie ostatni, który wybrał pętlę.

– A kiedy ostatnio ktoś się w tym areszcie powiesił?

– No…

– No właśnie. Nie pamiętasz. Więc po co pierdolisz takie farmazony?

Kłos rozchylił usta, ale ostatecznie nie zdecydował się wyartykułować tego, co leżało mu na wątrobie. Wyraźnie spuścił z tonu i było widać, że jest kompletnie zdezorientowany. Rozbiegany wzrok, szybszy oddech, tik nerwowy w kąciku prawego oka.

– Masz mi jeszcze coś do powiedzenia? – zapytał Magiera, ściągając z dłoni rękawiczki.

– Nie, tylko… – Komisarz zrobił pauzę, jakby ważył słowa, które chce wypowiedzieć. – Nie mówię, że na pewno tak to wyglądało. Zajmę się wszystkim osobiście i jeśli okaże się, że ktoś maczał w tym palce, to gwarantuję, że…

– Ty naprawdę chcesz mnie wkurwić jeszcze bardziej?

– Nie rozumiem. Czy ja…

– Nie mam teraz czasu na te bzdety – przerwał mu Magiera. – Jak załatwisz to, co powiedziałem, to zajmiesz się kontaktem z mediami. A teraz zejdź mi z oczu.

Kłos jeszcze przez chwilę wpatrywał się w Magierę, po czym teatralnie machnął ręką, odwrócił się na pięcie i bez słowa skierował się w stronę schodów.

– Dzwoń po Borucką! – krzyknął za nim i oparł się o ścianę. – Kutas pierdolony – dodał pod nosem, gdy komisarz zniknął za rogiem. Przez chwilę analizował fakty. Natłok myśli sprawił, że na kilkanaście sekund kompletnie się wyłączył. Z letargu wyrwał go odgłos kroków. Otworzył oczy i spojrzał w kierunku, skąd dochodziły. Ku niemu szło trzech mężczyzn, w tym znajomy posterunkowy. Obok niego maszerował pewnie

dyrektor zielonogórskiego aresztu Artur Bielicki i jeszcze ktoś trzeci, kogo w ogóle nie kojarzył.

– Dzień dobry, prokuratorze – przywitał się z pełną powagą Bielicki.

– Niezbyt on dobry – odparł Magiera i uścisnął wyciągniętą dłoń. Nie znał go dobrze, bo za krótko tu pracował, ale dwukrotnie mieli okazję się spotkać i zamienić kilka zdań.

– Czegoś pan potrzebuje? – zapytał dyrektor aresztu. – Mój asystent jest do pana dyspozycji.

– Jakie jest pana zdanie na ten temat?

– A jakie może być? – Bielicki uniósł brwi. – Facet zdał sobie sprawę, co go czeka, i postanowił ze sobą skończyć. Nie pierwszy i nie ostatni.

– Naprawdę pan tak myśli?

– A pan myśli inaczej?

Magiera ugryzł się w język. Oskarżanie podwładnych dyrektora bez cienia dowodów i to na terenie aresztu nie było najlepszym pomysłem, zwłaszcza biorąc pod uwagę konieczność nieuchronnej współpracy.

– Taką mam pracę, że muszę brać pod uwagę wszystkie potencjalne możliwości – odparł prokuratorskim tonem.

– No tak… – Bielicki zajrzał do celi i cmoknął niepysznie. – Dyżurujący lekarz potwierdził zgon o szóstej dwanaście. W chwili obecnej sporządza raport. Zamówiłem też karawan.

– Może go pan odwołać. Moi ludzie są w drodze. Zwłoki zabieramy bezpośrednio do prosektorium. Jeśli w celach obok są jacyś osadzeni, to sugeruję ich gdzieś przenieść, bo zaraz zaroi się tu od techników.

– Widzę, że podchodzi pan do obowiązków bardzo restrykcyjnie…

– Doskonale pan wie, kim jest ofiara, i nie muszę tłumaczyć, jakie śmierć tego człowieka powoduje konsekwencje dla śledztwa.

– Na moje oko będzie je można szybciej zamknąć. Nie rozumiem, po co ten cały teatrzyk z technikami.

– Chciałbym otrzymać też nagrania z monitoringu. – Magiera zignorował Bielickiego, który powoli zaczynał działać mu na nerwy. Rozumiał, że to jego podwórko i facet pewnie będzie robił wszystko, żeby nie upaćkać się gównem, ale najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że wpadł do szamba i jeśli nie wykaże się chęcią pomocy, to może w nim utonąć.

– Oczywiście udostępnimy – odparł ugodowo, co Magiera przyjął jako pierwszy mały sukces. – A teraz zapraszam do mojego biura, gdzie będzie mógł pan w spokoju poczekać na swoich ludzi. Sugeruję też zamknąć drzwi

do celi na czas przenoszenia aresztantów. Nie ma sensu wzbudzać wśród nich niepotrzebnej ciekawości. Zapewne pan wie, że w tego typu instytucjach przepływ informacji czasem bywa szybszy od światła.

Na schodach spotkali Kruszwicę i Zawadzką, którzy długimi susami pokonywali kolejne stopnie.

– Pilnujcie, żeby nikt niepowołany nie zbliżał się do ciała – polecił. – Macie strzec go jak oka w głowie. I najlepiej niczego nie dotykajcie do czasu, aż przyjedzie ekipa techników.

– Sugeruje pan, że… – zaczęła Zawadzka.

– Nie teraz, pani komisarz – uciął, nie mając zamiaru dyskutować przy dyrektorze aresztu. Nie ufał mu tak samo jak wszystkim innym. Skinął swoim ludziom i ruszył za Bielickim i jego asystentem. W drodze do gabinetu dotarło do niego, że wszystkie jego plany wzięły w łeb, a on został wyruchany w dupę. I to bez mydła.

* * *

Zawadzka wyszła z prosektorium. Na zewnątrz było bardzo parno, a powietrze zdawało się stać w miejscu. Na niebie kłębiły się ciemne chmury i wszystko wskazywało, że zaraz znów lunie jak z cebra. Wyciągnęła papierosa i wyjęła smartfon. Wybrała numer Brudnego, który odebrał, zanim do końca wybrzmiał pierwszy sygnał.

– I jak? – zapytał, nie siląc się na konwenanse.

– Chujnia. I to straszna.

– Ktoś go zamordował?

– Nawet nie ma o czym dyskutować. Co prawda na ciele nie widać śladów walki, ale pętla nie kłamie. Facet nie byłby w stanie sam jej sobie zacisnąć tak mocno.

– I co dalej?

– Nie mam pojęcia. Magiera chyba sam nie wie, co z tym począć, bo z jednej strony mógłby zamknąć śledztwo i odtrąbić sukces, ale z drugiej może wyjść na głupka, jeśli okaże się, że w przyszłości pojawią się kolejne ofiary. Do tego jeszcze ta cała Burda. Wparowała na sekcję w tych swoich szpilkach za kilka tysiaków i zrobiła taki rozpierdol, że teraz wszyscy mają pełne gacie.

– Trudno jej się dziwić. To w końcu nie tylko klient, ale także brat. Przyrodni, bo przyrodni, ale…

– Przybrany, to różnica.

– Nieważne. Technicy coś znaleźli?

– Coś tam mają, ale Anka nie jest nastawiona zbyt entuzjastycznie. Generalnie jedno wielkie zamieszanie, bo cela, w której siedział Kittel, nie była monitorowana, a podobno materiał z kamer na korytarzach też dużo nie wniesie.

– Trzeba przesłuchać strażników i osadzonych.

– Nie wiem, czy Magiera się na to zdecyduje. Z tego, co wiem, z początku taki był plan, ale chyba się z tego wycofał. Wiesz, jak to jest. Zaczną się pytania, zrobi się smród, w końcu sprawą zainteresuje się wewnętrzny. Magiera za wszelką cenę chciałby tego uniknąć.

– Medalu za takie partactwo to by raczej nie dostał.

– Właśnie. Poczekaj… – Zawadzka otworzyła samochód i wyciągnęła ze schowka butelkę wody. Ugasiła pragnienie i odczekała chwilę, widząc podążającą w kierunku swojego terenowego lexusa LX Amandę Burdę. Mimo szpilek stawiała bardzo pewne kroki, głowę nosiła wysoko i zdecydowanie nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt siedem lat. W pewnym momencie rzuciła jej przelotne spojrzenie, po czym wsiadła do samochodu.

– Jesteś? – upewnił się Brudny.

– Tak. To Burda, ale już wsiadła i odjeżdża. Ale wracając do tematu, to zaproponowałam Magierze, że można by spróbować nawiązać kontakt z Malwiną Klepacką.

Usłyszała ciężkie westchnięcie. Brudny już blisko dwa dni próbował przekazać swojej klientce gorzką prawdę, ale nie potrafił się na to zdobyć. Zresztą ona też nie miała sumienia. Ta sprawa wisiała nad nimi niczym katowski topór, który tylko czekał, żeby w końcu opaść i urżnąć im głowy. Chyba oboje podświadomie unikali tematu i robili wszystko, aby znaleźć wytłumaczenie dla swojej opieszałości, a cała ta kołomyja dawała im sposobność, żeby udawać, że tę sprawę można, a wręcz należy odwlec do momentu, gdy wszystko się wyjaśni.

– Spróbować można – rzekł w końcu Brudny. – Jeśli w jakiś niezrozumiały sposób reaguje na tamtą pielęgniarkę, to znaczy, że jednak kontaktuje. Zdjęcie oprawcy powinno wywołać jakąś reakcję.

– Tylko że Magiera kręci nosem. Nie chce działać w pośpiechu, aby później czegoś nie żałować. Gdyby okazało się, że Klepacka nie rozpozna w Kittelu swojego oprawcy, to miałby kolejny powód, żeby nie zamykać

śledztwa. A mam wrażenie, że on coraz bardziej skłania się ku pozbyciu się problemu.

– Nie chce taplać się w gównie z wewnętrznymi.

– I z mediami.

Usłyszała, że Brudny coś przełyka. Oboje mieli rację, bo z perspektywy policji czy prokuratury najłatwiej byłoby zakomunikować, że morderca został złapany, następnie przedstawić twarde dowody jego winy i przekonywać, że sprawca popełnił samobójstwo. Oczywiście trzeba by mieć na uwadze, że może znaleźć się jakiś nadgorliwiec, który zacznie doszukiwać się sensacji, trudno też było przewidzieć, jak zachowa się adwokat zmarłego podejrzanego, ale nawet biorąc pod uwagę obie te kwestie, zdecydowanie łatwiej było wybrnąć z tej sytuacji, zamykając śledztwo. Gdyby jednak Magiera podjął się wyjaśnienia śmierci Kittela i wprowadził do głównego nurtu narrację o możliwym udziale osób trzecich, błyskawicznie rozpętałby piekło. Media dostałyby pożywkę i z pewnością rzuciłyby się na niego jak stado wygłodniałych hien. Policja, prokuratura i służba więzienna znalazłyby się pod ostrzałem, a sprawą prędzej czy później zainteresowałoby się Biuro Spraw Wewnętrznych. Wielomiesięczne dochodzenie do prawdy powoli wykrwawiałoby wszystkich, a głośny finał sprawy też zapewne nie przyniósłby satysfakcji, prędzej – zwłaszcza z perspektywy Magiery – jedynie mnóstwo kolejnych problemów. Nietrudno było sobie wyobrazić sytuację, w której oficjalny wynik śledztwa wykazuje udział osób trzecich, a wtedy ludzie z BSW daliby do wiwatu komendantowi, a co za tym idzie także prokuratorowi. Sytuacja wydawała się więc patowa i Magiera musiał wybierać. Albo schować swoje aspiracje i zamieść sprawę pod dywan, albo próbować walczyć z całym systemem bez gwarancji zyskania czegokolwiek. I jeśli miał w sobie choć odrobinę pragmatyzmu, rozwiązanie takiego dylematu mogło być tylko jedno.

– Zamknie to śledztwo – mruknął w końcu Brudny. – Przestraszy się i je zamknie, a w mediach i tak postawi się w roli wybawcy miasta. Ma zamiar zwołać jakąś konferencję?

– Na razie odwołał tę o szesnastej – odparła. – Domyślam się, że właśnie z tego powodu.

– Zapytaj go o tę Klepacką, a potem może pojedziemy coś zjeść. Przy Justynie nie można normalnie pogadać.

– W porządku. Dam znać. Pa.

– Pa.

Gdy chowała telefon do kieszeni, z budynku prosektorium wysypali się pozostali członkowie grupy dochodzeniowo-śledczej. Magiera wymieniał jakieś uwagi z Kruszwicą, za nimi kroczył Kłos z telefonem przy uchu i żywiołowo gestykulował. Obserwowała całą trójkę. W końcu prokurator zerknął na zegarek i skinąwszy aspirantowi, szybkim krokiem skierował się do swojego samochodu. Wrzucił neseser na siedzenie pasażera i pospiesznie obszedł mercedesa, aby usiąść na miejscu kierowcy. Nagle złowił jej spojrzenie. Przez krótką chwilę odniosła wrażenie, że ją do siebie przywoła, ale tego nie zrobił. Pomyślała, że to nie najlepszy moment, aby przypominać mu o Klepackiej. Odezwie się do niego wieczorem, gdy prokurator ochłonie.

Poczuła na nosie kroplę, a chwilę później kolejne na czole, policzkach i odsłoniętych ramionach. Spojrzała w niebo. Ciemne, kłębiaste chmury i nagły podmuch silnego wiatru zwiastowały zmianę pogody. Gdy z zachodu dobiegł dźwięk pierwszych grzmotów, wyrzuciła niedopałek i przydeptała go butem. Nad Zieloną Górę nadciągała kolejna burza i Julia pomyślała, że nie wszyscy wyjdą z niej suchą nogą. Jeśli będzie trzeba, ona się o to postara.

ROZDZIAŁ 34

Mściwój Kruszwica wyciągnął dłoń. Buźka, wielki jak tur facet o poznaczonej pryszczami twarzy niesfornego nastolatka, ścisnął ją i z wydatną pomocą sparingpartnera podniósł się z maty.

– Kolejna gilotyna? Jak ty to, kurwa, robisz? – prychnął z niedowierzaniem. Ważył z piętnaście kilogramów więcej od rywala, co teoretycznie powinno mu zapewnić przewagę, ale na Kruszwicę nie było mocnych. Był szybki jak błyskawica i piekielnie silny. Mężczyźni poklepali się po plecach.

– Gdybym ci powiedział, to musiałbym cię zabić – szepnął mu do ucha Mściwój i z uśmiechem zamarkował kolejny cios.

Tak naprawdę w ogóle nie było mu do śmiechu. Od wczesnego wieczora humor miał do dupy, a może nawet bardziej niż do dupy. Właśnie dlatego dał sobie na treningu taki wycisk. A właściwie nie sobie, tylko pięciu kolegom z maty. Trzech z nich pokonał pięciokrotnie, każdego zmuszając do odklepania.

– Naprawdę powinieneś pomyśleć nad przejściem na zawodowstwo – bąknął Buźka, wciąż ciężko dysząc.

– Żebyś wiedział… – odparł Kruszwica. – Coraz częściej się nad tym zastanawiam.

– Nie ma nad czym. Ile zarabiasz w psiarni? Trzy koła? Trzy i pół? Za walkę w średnio popularnej organizacji dostaniesz pięć razy więcej za jedno starcie. W takiej formie za kilkanaście, góra kilkadziesiąt sekund. Poza tym na chuj ci to?

– Nie zrozumiesz, Buźka.

– A niby czemu nie zrozumiem?

– Bo sterydy ci już mózg wyżarły.

– Ej! – ożywił się mięśniak, ale Kruszwica już zdążył odwrócić się do niego plecami i powoli dreptał do szatni. – Na następnym treningu skopię ci

dupę! Zobaczysz! – krzyknął za nim jak zwykle to samo, gdy sobie wzajemnie dogryzali.

Gdy Buźka po chwili na złapanie oddechu zaczął rozglądać się za kolejnym partnerem do bitki, Kruszwica już stał pod silnym strumieniem zimnej wody. Lubił ten moment, gdy mógł spłukać z siebie ten cały gnój, który nawarstwił się danego dnia. Ostry trening, a później zimny prysznic pozwalały odreagować wszystko, z czym musiał mierzyć się w pracy. Nie był hipokrytą, żeby twierdzić, że mu źle. Lubił policyjną robotę. Tak naprawdę spełnił dziecięce marzenie, bo od najmłodszych lat uwielbiał bawić się w ściganie bandytów, a że był inteligentnym facetem, a do tego pojętnym uczniem i od szóstego roku życia trenował sztuki walki, szkołę w Pile skończył z wyróżnieniem. Przełożeni szybko dostrzegli drzemiący w nim potencjał i do pionu kryminalnego trafił już po roku od złożenia przysięgi. W wieku dwudziestu trzech lat brał udział w pierwszej akcji przeciwko zorganizowanej grupie przestępczej i wykazał się, łapiąc i obezwładniając dwóch bandytów. Później radził sobie równie dobrze. Był pracowity, chorobliwie ambitny i marzyło mu się, aby w końcu trafić pod skrzydła samego Romualda Czarneckiego. Zgubiła go porywczość, bo z racji ponadprzeciętnych umiejętności walki bywał wręcz zbyt pewny siebie, przez co ostatecznie nie znalazł uznania w oczach inspektora. Ten wziął go kiedyś na bok.

– Masz potencjał, jesteś ambitny i wiesz, czego chcesz w życiu – powiedział. – Nabierz doświadczenia i pokory, a przyjdzie twój czas.

Z początku Kruszwica nie mógł się z tym pogodzić, ale zaopiekował się nim starszy kolega Łukasz Warszawski, który swego czasu też nie należał do pokornych i musiał doświadczyć życiowej tragedii, aby zmądrzeć i odnaleźć prawdziwy sens życia. Kruszwica wziął sobie słowa Czarneckiego do serca, przemyślał priorytety, przyhamował, dzięki czemu stosunkowo szybko znalazł się w orbicie inspektora i krok po kroku zaczął zdobywać doświadczenie, w nadziei że przy ewentualnym powoływaniu grupy dochodzeniowo-śledczej Czarnecki w końcu weźmie jego kandydaturę pod uwagę. Przy ostatnich głośnych sprawach „Rzeźnika z Nietkowa”, „Kanibala” i „Zabójcy Policjantów” pod okiem Warszawskiego wykonał masę mrówczej roboty, po cichu obserwując faceta, który pojawiwszy się znikąd, z miejsca stał się jego idolem. Bynajmniej nie był nim Warszawski, któremu tyle zawdzięczał, którego tak cenił i którego śmierć podczas ostatniego ze śledztw przeżył bardziej, niż mógł się tego spodziewać. Imię

i nazwisko tego drugiego brzmiały nie mniej egzotycznie niż Mściwój Kruszwica. To imię i nazwisko brzmiało Igor Brudny.

Kiedy aspirant zakręcił wodę i zaczął się wycierać, pomyślał, że brudu osiadłego na nim przez ostatnie dni długo się nie pozbędzie. Odnosił wrażenie, że wżarł się w ciało. Czuł, że wszystko, czego do tej pory się nauczył, czym się kierował i do czego przez lata ciężkiej harówy dążył, nagle stało się gówno warte. Co gorsza, nie miał pojęcia, jak się teraz zachować. Gdy dwie godziny temu prowadzący śledztwo prokurator Magiera mailowo poinformował swoich ludzi, że śledztwo zostaje zamknięte, a jutro rano ma zostać zwołana konferencja prasowa, na której przekaże mediom swoją decyzję, tak się wściekł, że od razu pobiegł na salę, aby się wyżyć. Bo co miał teraz zrobić? Przejść nad tym do porządku dziennego? A może zareagować i narazić się na niebezpieczeństwo posądzenia o bycie konfidentem? Zwykle umiejętności z maty pozwalały mu torować sobie drogę i wychodzić z wielu podbramkowych sytuacji obronną ręką, ale akurat w tym wypadku na nic się nie przydawały.

Samo wspomnienie sprawiło, że krew znów zagotowała mu się w żyłach. W przypływie impulsu rąbnął pięścią w ścianę z taką siłą, że jeden z kafelków pokruszył się i kilka drobinek spadło mu pod nogi. Zdawszy sobie sprawę, co zrobił, zaklął pod nosem, a potem z lekkim poczuciem winy wyszedł z kabiny i skierował się z powrotem do szatni. W połowie drogi usłyszał dobiegający z szafki sygnał smartfona. W służbowym miał ustawiony charakterystyczny dzwonek przypominający stary analogowy aparat, w związku z czym jasne było, że dobija się ktoś z roboty. Nie miał ochoty odbierać. To prawie na pewno był Kłos, a ten chuj wzbudzał w nim odrazę i najchętniej przy pierwszej lepszej okazji spuściłby mu tęgi łomot. Niestety, choć widział, co widział, nie miał żadnych dowodów na potwierdzenie swoich podejrzeń. Z początku próbował to sobie tłumaczyć i interpretować na różne sposoby, w głębi duszy wiedział jednak, że w tym wypadku się nie myli.

Szarpnął drzwiczki szafki i wyciągnął uporczywie dzwoniący aparat. Zmarszczył brwi. Na ekranie wyświetlał się nieznany numer. Po chwili wahania odebrał.

– Mściwój Kruszwica? – Już gdzieś słyszał ten chropowaty głos.

– Zależy, kto pyta.

– Mówi komisarz Igor Brudny. Jestem partnerem Julki Zawadzkiej, z którą pracujesz.

– Wiem, kim jesteś, ale… – Zatkało go. Telefon od Igora Brudnego był ostatnią rzeczą, jakiej spodziewał się po wyjściu spod prysznica.

– Chciałbym przegadać jedną kwestię. Masz czas za godzinę?

– Znajdę.

– Gdzie możemy się spotkać?

Umówili się w jednej z knajp. Gdy Mściwój Kruszwica rozłączył się, poczuł przyjemny dopływ dopaminy, bynajmniej nie z powodu wycisku, jaki dał sobie na treningu.

* * *

Brudny i Zawadzka siedzieli w najbardziej oddalonym narożniku przyległego do kamienicy ogródka piwnego. Pub Kawon był jednym z najstarszych i najpopularniejszych miejsc do spędzania wolnego czasu w mieście, choćby z tego powodu, że w przeciwieństwie do innych tego typu przybytków regularnie odbywały się tu imprezy kulturalne, począwszy od koncertów, przez stand-upy, skończywszy na spotkaniach autorskich. Zamówili po piwie i czekali przy stoliku ustawionym najgłębiej i najdalej od wejścia do oszklonego ogródka.

– Jest – mruknęła Zawadzka i skinęła na mężczyznę, który pewnym krokiem zmierzał do drzwi wejściowych. Zgasiła papierosa i łyknęła piwa. Kiedy Kruszwica dotarł do ich stolika, wstali i uścisnęli sobie ręce. – Chcesz coś do picia? – zapytała.

Aspirant odmówił i wyciągnął z tylnej kieszeni butelkę z wodą. Postawił ją na stole i rozsiadł się w plastikowym krzesełku. Brudny przyjrzał mu się. Facet był szczupły, ale siatka żył na przedramionach nie pozostawiała złudzeń, że trzyma formę i jest silniejszy, niż mogłaby sugerować jego postura. Na pociągłej twarzy cieniem odznaczała się linia zarostu, lekko garbaty nos i duże ciemne oczy dodawały mu drapieżnego wyrazu. Z kolei włosy, które zaczesywał na bok, choć w tej chwili mokre i w lekkim nieładzie, nieco łagodziły odbiór całości. Miał bardzo przenikliwe spojrzenie, którym z pewnością mógł czarować kobiety, ale równie dobrze wywierać silną presję na przeciwniku.

– Domyślasz się, dlaczego chcieliśmy się z tobą spotkać? – zaczął Brudny, gdy uznał, że najwyższy czas przejść do meritum.

– Wolałbym nie bawić się w kalambury – odparł Kruszwica, zerkając to na niego, to na Zawadzką.

– Zatem do sedna.

Brudny odchrząknął i dał znać Julce. Cała trójka znów wymieniła się spojrzeniami.

– Pewnie już wiesz, że Magiera zamknął śledztwo… – rzuciła półgłosem Zawadzka.

– Wiem.

– I co o tym sądzisz?

Kruszwica nie odpowiedział. Przyglądał się kompanom, jakby nie do końca był przekonany, czy może im zaufać. Nie chciał wyjść na faceta, który przy pierwszej lepszej okazji zdradza obcym tajemnice śledztwa, ale decydując się na to spotkanie, doskonale wiedział, że rozmowa nie będzie dotyczyć pogody. I jeśli ostatecznie zjawił się na miejscu, to nie po to, aby próbować podważać wiarygodność rozmówców. Kredyt zaufania dostał w pakiecie.

Cmoknął i instynktownie rozejrzał się, czy nie ma nikogo w pobliżu.

– To lipa – wycedził przez zęby. – Magiera się przestraszył, bo nie chce mieć kłopotów.

– Wszyscy wiemy, że Kittelowi ktoś pomógł – dodała Zawadzka. – Dużo ryzykuje, próbując zamieść sprawę pod dywan.

– Mniej, niż gdyby próbował dogrzebać się do prawdy.

Cała trójka znów przez chwilę milczała. Wymienili kilka spojrzeń, jakby w oczekiwaniu, kto pierwszy zdecyduje się poruszyć najbardziej drażliwą kwestię. Brudny sięgnął do paczki po papierosa.

– Julka powiedziała, że jesteś w porządku, a jej ufam. – Przypalił fajkę i od razu mocno się zaciągnął. Wypuścił dym nosem i nachylił się w stronę rozmówcy. – Podejrzewamy, że Kłos maczał w tym swoje brudne paluchy. W ostatnich dniach trochę przy nim powęszyłem i dowiedziałem się, że typ w jakiś sposób współpracuje z gangiem sutenerów, niejakimi braćmi Pawlickimi, Zbychem albo Chudym i jego bratem Góralem. Wiesz coś na ten temat?

– To małe miasto. I jeszcze mniejsza klika…

– Konkretnie. Co wiesz?

Kruszwica znów odruchowo zerknął na szybę. Na zewnątrz było już całkiem ciemno, a w zasięgu wzroku ani żywej duszy.

– Niezbyt wiele – mruknął. – Nie lubię wtykać nosa w nie swoje sprawy. Wiem tyle, że lubi poruchać, ale przecież nie on jeden.

– Masz jakieś źródła w tym towarzystwie?

– Jak każdy glina. Ludzie gadają, ale to tylko plotki. Czasem trudno odróżnić prawdę od fałszu. A ja już mówiłem, że wolę skupić się na robocie i pilnować własnego nosa.

– Mimo wszystko zdecydowałeś się tu przyjść…

– Owszem.

– Dlaczego?

Kruszwica pociągnął nosem i przełknął ślinę. Powiódł wzrokiem po twarzach rozmówców, postukał palcami w blat stołu, cmoknął i spuścił głowę.

– Co widziałeś? – zachęciła go Zawadzka.

– Nie jestem pewien – odparł. – Ale… – Zawahał się.

– Ale co? – naciskał Brudny.

– Chodzi o moment aresztowania Kittela. – Aspirant oparł łokcie na blacie i nachylił się w kierunku rozmówców. – Wydaje mi się, że Kłos podrzucił te stringi. To znaczy nie jestem pewien… – zmitygował się i znów instynktownie zerknął w stronę szyby. – …ale widziałem, że gdy grzebał w szufladach, to w pewnym momencie wsunął rękę za pazuchę. Chwilę później z jednej z nich wyciągnął te majtki.

Zawadzka uniosła brwi, kierując wzrok na Brudnego. Ich spojrzenia spotkały się, a chwilę później znów skupili uwagę na Kruszwicy.

– Co ci podpowiada instynkt? – zapytał Brudny.

– Instynkt? – Aspirant się skrzywił.

– Chyba wiesz, co to instynkt…

– Tak, ale… kurwa… no nie wiem… – Kruszwica przeciągnął palcami po włosach. Odetchnął głęboko. – Głowy nie dam, ale powiedziałbym, że Kłos ordynarnie podrzucił dowody na miejsce zbrodni.

– Nie on pierwszy – mruknął Brudny.

– Tak. Znam historię z Lisem. – Złapał aluzję i nieco się ożywił. – Od razu sobie o nim przypomniałem, bo gdy tylko Kłos się odwrócił i zobaczył, że na niego patrzę, zaczął dziwnie się zachowywać. Śmiał się, coś tam gadał, zupełnie jak nie on. Generalnie pajacował, unikając mojego spojrzenia jak ognia.

– Rozmawiałeś z nim o tym później?

– Nie. Powiedzmy, że nie ma między nami chemii.

– A z Magierą?

Kruszwica potrząsnął głową i skrzywił się, jakby językiem chciał wydłubać coś spomiędzy zębów.

– W zasadzie nic do niego nie mam, ale wiem, że i tak nic by z tym nie zrobił. Dzisiejsza decyzja o zamknięciu śledztwa tylko to potwierdza.

– Jeszcze po południu nic na to nie wskazywało – wtrąciła Zawadzka. – Albo wydarzyło się coś, o czym nie wiemy, albo uznał, że to mu się opłaci.

– Prędzej spotkali się i przegadali temat – dodał Brudny. – Po naradzie wspólnie doszli do wniosku, że trzeba zminimalizować straty. Nie oni pierwsi kryją takie wałki.

Kruszwica lekko zmrużył oczy, ale nie podjął tematu. Brudny pomyślał, że zupełnie niepotrzebnie dodał ostatnią myśl, ale sytuacja z Berylem wciąż uwierała go niczym drzazga w oku.

– A ta cała Obojko? – zapytał, zbaczając z tematu. – Co napisała w raporcie z sekcji?

– Jeszcze nic, ale na upartego może przyklepać samobójstwo – odparła Zawadzka. – Na ciele Kittela nie ma śladów walki, żadnego naskórka pod paznokciami, praktycznie nic poza tym zasinieniem na szyi, które wydaje się… – cmoknęła z niesmakiem – …wiadomo jakie.

– Wątpię, aby Obojko stawała okoniem, gdy pojawią się naciski z góry – wtrącił Kruszwica.

– No dobra. – Brudny zgasił niedopałek w popielniczce i upił piwa. – Pozostaje temat tej mecenas. Ona pewnie nie odpuści. Klient to w końcu jej brat.

– Przybrany brat, Igor – poprawiła go. – I mam coraz więcej wątpliwości, czy rzeczywiście będzie cisnąć do samego końca.

– Też bym się nie napalał – mruknął Kruszwica. – Babka już nie za młoda, jakąś tam renomę ma, jest nadziana. Na razie jej poczynaniami kierują emocje, a gdy te opadną, to… – Uniósł brwi, jakby odpowiedź była oczywista. – Po co ma się babrać w takim gównie? I tak nic nie wróci jej brata, a będzie miała przeciwko sobie cały system i do tego żadnego wsparcia, choćby ze strony mediów. No bo pomyślcie. Kto będzie chciał bronić dobrego imienia „Wampira”, który dodatkowo „dostał za swoje”? – Kruszwica wykonał gest, jakby brał wybrane słowa w cudzysłów.

Brudny musiał przyznać, że młody ma głowę na karku. Facet trafił w sedno. Zawsze uważał, że kobiety podchodzą do różnych spraw, z początku zwykle kierując się emocjami. Dopiero gdy te opadną, zaczynają myśleć logicznie. Nie znał Amandy Burdy, ale z opowiadań Julki mógł wywnioskować, że to kobieta twardo stąpająca po ziemi, do tego mająca swoje lata, a co za tym idzie doświadczona i potrafiąca wyciągać wnioski.

Sporym błędem byłoby więc ulec przeświadczeniu, że po głębszej analizie będzie stawiać na szali swoją reputację, aby bronić dobrego imienia przybranego brata, dodatkowo nadając sprawie rozgłos w mediach, które – i tu nie było żadnych wątpliwości – nie stanęłyby po jej stronie. Ryzyko było zdecydowanie za duże i raczej należało zakładać, że nawet jeśli teraz jest taka harda, to za kilka dni, najpóźniej tygodni, po prostu pogodzi się z sytuacją, mało tego, może spróbować zrobić wszystko, aby sprawa ucichła, a jej nazwisko w żaden sposób nie było kojarzone z psychopatą odsysającym krew z młodych kobiet.

Słowa Kruszwicy zawisły nad stołem jak gęsta chmura dymu z cygara. Zawadzka posłała Brudnemu wymowne spojrzenie. Niewątpliwie argumenty aspiranta trafiły także i do niej. Wyciągnęła papierosa i po chwili nerwowo się zaciągnęła.

– Wychodzi na to, że zostaliśmy z tym sami, więc trzeba to jakoś podsumować – powiedział w końcu Brudny. – Magiera zamknął śledztwo i możemy założyć, że nie przyjmie już żadnych argumentów, a wszystkie próby podjęcia go na nowo są skazane na porażkę. My wiemy, że to lipa, a aresztowanie Kittela w świetle następujących po nim wydarzeń było co najmniej dyskusyjne. Ustaliliśmy też, że z dużą dozą prawdopodobieństwa Kłos podrzucił dowody do jego mieszkania, a później ktoś pomógł temu drugiemu przenieść się na tamten świat. Kto konkretnie? Tego nie wiemy, ale jeśli Kłos współpracuje z gangiem sutenerów i prawdopodobnie trzyma łapę na całym biznesie, może mieć też wtyki w areszcie. W końcu najważniejsze, i tu nie ma żadnych wątpliwości, że zamordowane kobiety należały do kierujących gangiem braci Pawlickich, a Kłos woził je do swojego kalekiego brata. Pierwsza ofiara, Białorusinka o imieniu Iwanka, nigdy stamtąd nie wróciła i kilka tygodni po tym, jak była widziana po raz ostatni, została wyłowiona z rzeki w okolicach Połęcka.

– Tego nie wiedziałem… – wtrącił Kruszwica, instynktownie zaciskając pięść.

– Nie wiesz też, że kilka godzin temu do Julki zadzwoniła Anka Borucka i powiedziała, że na znalezionych w mieszkaniu Kittela stringach i włosach Iwanki wykryła pozostałości po związkach chemicznych występujących jedynie w maściach i żelach koloidowych przeznaczonych dla ofiar poparzeń. – Twarz Kruszwicy stężała jeszcze bardziej. Bez wątpienia znał historię braci Kłosów. – Nie jest też tajemnicą, że Kłos to najzwyczajniej

w świecie kawał chuja, który, w mojej i Julki ocenie, jest zdolny do wszystkiego – dodał Brudny.

– Bez dwóch zdań – potwierdziła Zawadzka.

Atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej. Komisarz dopił piwo, nie tracąc kontaktu wzrokowego z Kruszwicą. Młody nie musiał odpowiadać. W tych ciemnych źrenicach już tlił się żywy ogień.

– I teraz musimy podjąć decyzję, czy kończymy zabawę, czy robimy to, co trzeba? – rzucił, odstawiając kufel na blat stołu. Kruszwica nachylił się i wbił spojrzenie w oczy Brudnego.

– Kim bym, kurwa, był, gdybym się wycofał? – wycedził w końcu. – Nigdy gnoja nie lubiłem. A teraz… – Zacisnął nerwowo zęby. – Bez zbędnego pierdolenia, Igor. Jasne, że w to wchodzę. Mówcie, jaki macie plan.

ROZDZIAŁ 35

Doktor Gruszczyński rozsiadł się wygodnie w fotelu i głęboko odetchnął. Od rana miał napięty grafik. Wizyta w prokuraturze, a następnie konieczność wystąpienia w roli biegłego w rozprawie sądowej dotyczącej jednego z jego podopiecznych sprawiły, że w szpitalu pojawił się dopiero po trzynastej. Nie zdążył nawet zjeść lunchu, a że nie lubił pracować o pustym żołądku, nie był w najlepszym nastroju. Spojrzał na leżący na talerzu kawałek żółtego sera i dwie parówki, które po drodze wyciągnął z lodówki w przyległym do jego gabinetu pomieszczeniu gospodarczym. Nie wyglądały zbyt apetycznie, ale nie miał wyboru. Zaparzył kawę i przez kwadrans obdzwaniał kolejne oddziały. Na szczęście obyło się bez ekscesów. Nikt nikomu nie wyrwał włosów, nie wydłubał oka ani nie próbował przebić głową ściany. Przez weekend nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, pacjenci byli spokojni, przewidywalni i nie sprawiali problemów.

Pomyślał, że to cisza przed burzą. Sam nie wiedział, skąd przyszło mu to do głowy, ale nie mógł opędzić się od przeczucia, że wkrótce coś się wydarzy. Teoretycznie kłóciło się to z tym, co działo się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin, wszak informacje, jakie usłyszał w prokuraturze, sugerowały zupełnie coś innego. W zasadzie przed wizytą u Magiery wiedział, czego się spodziewać. Już w sobotę trąbili w lokalnych mediach o schwytaniu „Wampira”, a fakt, że krótko później facet powiesił się w celi, można było uznać za następstwo aresztowania. On, psychiatra z długoletnim stażem, doskonale zdawał sobie sprawę, że decyzja Kittela o odebraniu sobie życia nie powinna być dla policji zaskoczeniem. W jego ocenie większość ludzi na jego miejscu przynajmniej raz pomyślałaby nad takim rozwiązaniem, a stąd już niedaleka droga, aby spróbować wprowadzić postanowienie w czyn. Taka, zdawałoby się niewinna próba polegająca na założeniu sobie pętli i lekkim podduszeniu bardzo łatwo mogła skończyć się tragicznie, bo większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, że po odcięciu tlenu i utracie przytomności wkracza się na drogę bez powrotu. Oczywiście,

gdyby szybko zareagowano, można by go odratować, w związku z czym trochę dziwiła go opieszałość strażników. W jego ocenie powinni otoczyć Kittela szczególną opieką, ale nie miał zamiaru wcinać się między wódkę a zakąskę, zwłaszcza zaś pouczać dyrektora aresztu czy prokuratora. Sam miał na głowie tysiące problemów, a ten drugi dołożył mu kolejny, bo prócz wiedzy na temat „Wampira" nabył też tę o tożsamości swojej pacjentki i świadomość, że będzie musiał towarzyszyć jej siostrze przy ostatecznej identyfikacji, nie nastrajała go entuzjastycznie.

Przekartkował jeszcze gazetę, wsłuchując się w dudnienie kropel o parapet. Pogoda też nie pomagała, bo od niedzieli lało prawie bez przerwy. Złapał się na tym, że beznamiętnie wpatruje się w jakąś reklamę na jednej ze stron. Zamknął magazyn i odłożył go na stertę podobnych. Wtedy usłyszał pukanie. A chwilę później drzwi się otworzyły i stanęła w nich jedna z pielęgniarek.

Niosła naręcze papierzysk, które zrzuciła na biurko Gruszczyńskiego. Gabinet błyskawicznie wypełnił zapach jej silnych perfum.

– Liczę na premię i tydzień w jakimś porządnym uzdrowisku – powiedziała. – Ile się tego kurzu nawdychałam, to moje. Ale proszę. Akta „Wampira".

– „Wampira"? – Gruszczyński zmarszczył brwi i uniósł wzrok.

– Nie inaczej – odparła. – Tylko że już chyba po ptakach, prawda? A mógłby pan zrobić na tym przypadku karierę, że ho, ho.

Gruszczyński podziękował i odesłał podwładną. Przez chwilę wpatrywał się w trzy grube segregatory. Miał dziś masę pracy i w związku z zaistniałą sytuacją grzebanie w przeszłości trupa nie miało już większego znaczenia, ale skoro zlecił pielęgniarce odszukanie akt pacjenta, a ona spędziła w podziemiach archiwum pół poniedziałku, to wypadało przynajmniej rzucić okiem. Wydął usta i postukał palcami o drewniany blat. Otworzył pierwszy z nich i omiótł tekst wzrokiem.

Nim się obejrzał, minęły dwie godziny. Przypadek młodego Mariana Kittela pochłonął go bez reszty. W dokumentach znajdowała się cała historia jego choroby. Silnie posunięta schizofrenia paranoidalna z omamami słuchowymi i wzrokowymi – tak pokrótce brzmiała diagnoza zespołu lekarzy pod przewodnictwem Bronisława Kochanowskiego. Dalej opisano kolejne próby leczenia, postępowanie diagnostyczne, nowatorskie terapie i oczywiście wszelakie, jakże niecodzienne, zachowania pacjenta. Z każdą kolejną stroną Gruszczyński przypominał sobie słowa swojego mentora,

miał wrażenie, jakby przeniósł się w czasie. W załącznikach brakowało tylko zdjęć, ale w przypadku pacjentów leczonych jeszcze w czasach słusznie minionych była to dość pospolita praktyka, zwłaszcza gdy wzięło się pod uwagę, że ojcem Kittela był podobno jakiś partyjniak, który mógł chcieć ukryć twarz syna, mało tego, Gruszczyński dałby sobie rękę uciąć, że mężczyzna o tym nazwisku kilkanaście lat temu leczył się w Ciborzu. Akurat nie on go prowadził, ale to charakterystyczne nazwisko z pewnością już kiedyś obiło mu się o uszy i raczej nie wzbudzało w pracownikach pozytywnych konotacji. Tak czy siak, fakt, że dokumenty w sprawie Mariana Kittela w ogóle się zachowały, świadczyły o tym, że był to niezwykły pacjent.

Gruszczyńskiego z zamyślenia wyrwał telefon. Odebrał i przez chwilę rozmawiał z oddziałową o jednej z pacjentek. Powiedział, że zaraz przyjdzie, ale gdy kilka minut później aparat rozdzwonił się ponownie, uznał, że przyjemności mogą poczekać. Wziął klucze, włożył fartuch i ruszył na oddział.

Zaszedł do dwóch pacjentek, zbadał je, sprawdził ich samopoczucie i wydał odpowiednie polecenia podwładnym. Do jednej z nich jechali właśnie rodzice, ale jej stan pogorszył się na tyle, że nie wyobrażał sobie, aby mogło dojść do widzenia.

– Zostawcie moją córkę! – krzyczała jeszcze kilka minut temu, trzymając w rękach wyimaginowane dziecko. – Wykłuję jej oczy, skurwysyny! Wykłuję, żeby nie musiała patrzeć na wasze zdradzieckie mordy!

Oczywiście pielęgniarze musieli ją unieruchomić i podać środki uspokajające. Teraz leżała przypięta pasami do łóżka. Karykaturalnie powyginane palce powoli się prostowały, żuchwa zdążyła opaść, z kącika ust sączyła się ślina. Patrząc na nią, zastanawiał się, czy ta praca ma sens. Owszem, wiele jednostek chorobowych można było leczyć, ale – choć w opinii lekarza psychiatry była to dość śmiała, wręcz niebezpieczna koncepcja – niektóre z chorób wymykały się możliwościom dzisiejszej medycyny. Z racji tego, że często zajmował się pacjentami wchodzącymi w konflikty z prawem, miał na myśli zwłaszcza psychopatię, która według wielu specjalistów była chorobą nieuleczalną. Nie pocieszał fakt, że według badań ludzie nią dotknięci stanowią około jednego procentu społeczeństwa, co oznacza, że każdy przeciętny obywatel spotyka na swojej drodze życiowej przynajmniej kilku z nich. Psychopatia – choć napisano o niej dziesiątki tysięcy prac naukowych – wciąż w jego ocenie pozostawała najtrudniejszą do rozpozna-

nia jednostką chorobową, jeśli w ogóle można ją było tak kwalifikować. Wynikało to głównie z tego, że psychopatia nie zawsze wpływała na człowieka nią dotkniętego destrukcyjnie, wszak nie wszyscy chorzy od razu musieli stawać się gwałcicielami albo mordercami. Zostało naukowo udowodnione, że psychopaci często zostają właścicielami wielkich koncernów, wybitnymi sportowcami czy naukowcami, a co najciekawsze, największy ich odsetek zwykle odnajduje się w polityce, gdzie prócz możliwości rządzenia jako takiego zwykle pozostają bezkarni, bo chroni ich immunitet – Święty Graal każdego psychopaty. Wystarczyło posłuchać polskiej klasy politycznej, przyjrzeć się ich twarzom, gestom, przeanalizować decyzje. Zdecydowana większość, zwłaszcza tych z obecnej ekipy rządzącej, spełniała wszystkie warunki klasyfikujące człowieka jako psychopatę. Klasyczny przypadek charakteryzował się narcystycznym podejściem do życia, poważnymi zaburzeniami w kwestiach odczuwania empatii, wyrzutów sumienia i poczucia winy. Tego typu ludzi cechowały również zdolność manipulacji i nieprawdopodobna wręcz umiejętność (czasem granicząca z bezczelnością) oszukiwania innych w niemal każdym aspekcie, gdy tylko uznają, że kłamstwo pozwoli im osiągnąć cel, do którego dążą.

Bo czy ktoś jest w stanie zrozumieć absurdalne decyzje polityków, którzy w tak ordynarny i pozbawiony jakichkolwiek skrupułów sposób na każdym kroku łżą w żywe oczy, choć wszyscy dookoła – z nimi samymi włącznie – wiedzą, że robią z ludzi idiotów? Ilu z nich kradnie na potęgę, nawet specjalnie się z tym nie kryjąc? Ilu ma zapędy dyktatorskie? Ilu z nich po dojściu do władzy jest gotowa złamać wszelkie zasady, aby utrzymać się przy korycie?

Czasem się zastanawiał, czy sam nie jest psychopatą. Lista cech diagnostycznych psychopatii sporządzona w latach trzydziestych przez kanadyjskiego psychiatrę Roberta Hare’a liczyła dwadzieścia punktów, z których przynajmniej dziesięć dawało mu powód do głębszej refleksji. Gdyby się nad tym zastanowić, to – jak każdy psychopata – potrafił robić świetne wrażenie, po troszku uważał się za lepszego od innych, potrzebował regularnej stymulacji, bo szybko się nudził, a podczas obu nieudanych małżeństw regularnie zdradzał swoje partnerki i wcale nie miał z tego powodu wielkich wyrzutów sumienia, a kłamstwa i manipulacje z tym związane przychodziły mu stosunkowo łatwo. Bywał też impulsywny, co najczęściej przejawiało się, gdy znajdował się za kierownicą i – zwłaszcza w ostatnim czasie – miał wrażenie, że zupełnie stracił zdolność odczuwania empatii,

zwłaszcza w stosunku do swoich pacjentów. Z jednej strony go to przerażało, z drugiej starał się to racjonalizować, wszak nawet jeśli miał potencjał psychopatyczny, to wykorzystywał go, nie łamiąc prawa. Wniosek mający na celu udowodnienie, że bycie psychopatą nie robi z człowieka potwora, bo tę przypadłość można przekuć w coś dobrego, zwykle poprawiał mu humor, ale rozmowy, które musiał prowadzić z mordercami jako biegły sądowy, szybko sprowadzały go na ziemię.

– Kim jesteś, żeby osądzać, kto jest normalny, a kto nienormalny? – zapytał go kiedyś facet, który w odstępie sześciu miesięcy zgwałcił, a następnie zadźgał nożem trzy nastolatki. – Ja lubię ruchać i zabijać, a ty przesiadywać w szpitalu w otoczeniu zaplutych, robiących pod siebie świrów. Tak naprawdę nic nas nie różni, może jedynie to, że ty masz inne upodobania, moim zdaniem bardziej pojebane.

Facet dostał dożywocie, kilku innych, z którymi miał wątpliwą przyjemność – również. Wielu z nich zadawało mu jednak podobne pytania i nie mógł uwolnić się od myśli, że w ich – wydawałoby się – chorym czy wręcz szalonym rozumowaniu jest jakiś sens. Tym, co odróżniało ich od pozostałych psychopatów, był jedynie brak zgody na zastosowanie się do narzuconych norm społecznych. Ale i to w pewnym sensie było rzeczą względną, choćby patrząc z perspektywy wychowania i tradycji w różnych kulturach. Bo czyż stosunek płciowy z małoletnią (czyli w kulturze europejskiej gwałt o podłożu pedofilskim) w krajach o silnie zakorzenionej kulturze islamu nie był uznawany za coś absolutnie mieszczącego się w granicach normy? Mało tego, surowe karanie żony, a nawet tak zwane zabójstwo honorowe w wielu kręgach było społecznie akceptowane. Tego typu rozważania sprawiały, że czasem sam się w tym wszystkim zapętlał, a nawet tracił wiarę w zdobycze medycyny.

Gdy wyszedł na korytarz, wrócił myślami do historii młodego „Wampira”. Niewiele mógł powiedzieć na temat dorosłego Mariana Kittela, tyle co z wiadomości, ale obraz człowieka kłócił mu się z klasycznym przykładem bezdusznego, pozbawionego jakichkolwiek hamulców narcyza mordującego młode kobiety, aby odsysać z nich krew. Owszem, fascynacja krwią jako taką według opisywanego procesu leczenia była niezaprzeczalna, ale – w jego ocenie – nieudolne próby łączenia jej przez dziennikarzy z chorą na białaczkę córką brzmiały co najwyżej groteskowo. Psychopatów rzadko interesowało cokolwiek innego niż ich własne potrzeby, więc długoletnia gehenna, jaką bezsprzecznie Kittel musiał znosić, opiekując się ciężko

chorą córką, pasowała do jego profilu psychologicznego jak pięść do nosa. Inną sprawą było, że facet cierpiał jednak na schizofrenię, która w połączeniu z osobowością psychopatyczną zwykle generowała najbardziej zwyrodniałe jednostki.

Kittel go fascynował i bardzo żałował, że nie będzie mu dane z nim porozmawiać. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że to wszystko rozłazi się w szwach. Dziwiło go również, że do tej pory nikt nie odezwał się w sprawie pacjentki, która od początku była kojarzona ze śledztwem jako niedoszła ofiara „Wampira". Dlaczego prokuratura nie podjęła odpowiednich działań?

Gruszczyński ocknął się, gdy podszedł do niego jeden z pielęgniarzy. Poinformował go, że pacjentka z izolatki wykazuje niecodzienną nadaktywność.

– Czyli co? – zapytał, wyrwany z letargu.

– Od rana nie może usiedzieć w miejscu. Chodzi od ściany do ściany, a nawet coś mruczy pod nosem. Niestety, mikrofony nie są w stanie wyłapać treści, a gdy wchodzimy, to od razu zastyga i milknie.

– Zawołaj Damiana i czekajcie w pogotowiu – zaordynował. – Zajrzę do niej. Chcę ją z czymś skonfrontować. A w zasadzie z kimś.

Pielęgniarz skinął i odszedł w poszukiwaniu kolegi, a Gruszczyński powoli ruszył ku ostatniej sali. Zajrzał przez okienko. Klepacka rzeczywiście chodziła, a raczej człapała tam i z powrotem. Ręce miała spuszczone wzdłuż tułowia, zupełnie nieruchomo, jakby górna część ciała należała do innej osoby. Doktor wyciągnął telefon i wyszukał najbardziej jego zdaniem czytelne zdjęcie Mariana Kittela. Gdy w korytarzu pojawili się pielęgniarze, przekręcił klucz i wszedł do izolatki.

Malwina Klepacka natychmiast się zatrzymała. Teraz stała jak słup soli, nie drgnąwszy choćby o milimetr. Doktor w milczeniu powoli pokonał dzielącą ich odległość. Przez chwilę zastanawiał się, czy ściągnąć jej maskę, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Pielęgniarze zaszli pacjentkę od tyłu, na tyle blisko, aby błyskawicznie móc zareagować. Wtedy Gruszczyński uniósł telefon na wysokość jej oczu. Źrenice kobiety w masce drgnęły nieznacznie. Przez dłuższą chwilę skupiły się na wyświetlaczu. Pacjentka nie zareagowała.

ROZDZIAŁ 36

Parking tonął w błocie, a deszcz wciąż nie odpuszczał. Nie lało już tak mocno jak nad ranem, ale fatalna aura najwyraźniej przegoniła wszystkich klientów Drewutni, bo pod lasem stała tylko jedna ciężarówka na białoruskich blachach, a na zewnątrz lokalu było pusto.

Brudny powoli podjechał w miejsce, gdzie zwykle stały prostytutki. Obawiał się, że w związku z zaistniałą sytuacją mogły dostać wolne, ale najwyraźniej ich szefowie niespecjalnie przejmowali się pogodą. Dwie z nich stały jak zmokłe kury, kryjąc się pod przezroczystymi deszczówkami. W jednej z nich rozpoznał Bojkę, która po krótkiej i dość gwałtownej wymianie zdań z koleżanką od razu ruszyła w jego stronę, groteskowo próbując omijać w szpilkach gęsto rozsiane kałuże. Otworzył jej drzwi i dziewczyna błyskawicznie wskoczyła na miejsce pasażera.

– Cześć – przywitał się, gdy już przymknęła drzwi.

– Cześć – odparła niepewnie. – Zjedź od razu do lasu, żeby nie wyglądało, że jakoś dziwnie gadamy – rzuciła nerwowo.

Brudny powoli dodał gazu, silnik warknął i patrol powoli ruszył z miejsca. Samochód bez problemu poradził sobie z przypominającą jezioro kałużą, która rozlała się przy zjeździe na drogę pożarową. Bojka kazała mu zaparkować w tym samym miejscu co zwykle, a on nie oponował.

– Nigdy nie dają wam odpocząć? – zagadnął komisarz.

– To nie wybieg dla modelek – odpowiedziała z wyrzutem. – Po co przyjechałeś?

– Aby dotrzymać umowy.

– Zabierzesz mnie stąd? – Jej oczy rozbłysły nadzieją, a ręka odruchowo powędrowała na jego kolano.

– Dziś będziesz mogła zacząć nowe życie, ale najpierw musisz zrobić dla mnie coś jeszcze.

Usta Bojki zacisnęły się w wąską linię. Spuściła wzrok i nerwowo przełknęła ślinę. Nadzieja jakby z niej uleciała. Brudny pomyślał, że nie do

końca mu ufa.

– Macie jakieś sygnały mające na celu wezwanie ochrony? – zapytał.

Bojka spojrzała na niego z przerażeniem w oczach. Jej ciemne tęczówki drżały.

– Dlaczego o to pytasz?

– Chciałbym, żebyś ich tu ściągnęła. Na pewno macie jakiś… – Pokiwała głową, choć Brudny odniósł wrażenie, że zaraz pęknie i zaleje się łzami. – Jaki to sygnał? – zapytał.

– Muszę przytrzymać te przyciski. – Bojka pokazała mu smartfon. – Wtedy panowie dostają wiadomość, że mają przyjechać.

Nie znosił, gdy tak określała tych śmieci, ale postanowił to zignorować.

– Jak szybko mogą tu się zjawić? – zapytał.

– Zwykle ktoś na stałe przesiaduje w barze, ale dziś nie ma ruchu i jesteśmy same.

– Czyli ile?

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Kilka, może kilkanaście minut. Ale dlaczego chcesz ich tu ściągnąć? Jesteś sam, a oni mają broń.

– Będziesz musiała mi zaufać.

– Ale…

– Posłuchaj mnie uważnie. – Brudny nakrył jej dłoń swoją. – Wezwiesz ich, a gdy przyjadą, dam się zaskoczyć. Wtedy powiesz im prawdę.

– Co?! – Jej oczy otworzyły się szeroko. – Jaką prawdę? Dlaczego chcesz dać się zaskoczyć? – Broda Bojki zadrżała jak małej dziewczynce, która w parku rozrywki straciła z oczu rodziców.

– Powiesz, że chciałem od ciebie wyciągnąć informację na temat Kłosa. Ogólnie wszystko, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Oczywiście, nie zdradzając, że to ukartowaliśmy.

– Oni cię zabiją! – zaoponowała.

– Nie zabiją.

– Skąd wiesz?

– Będą zainteresowani tym, co wiem ja. Jak ich rozgryzłem i… zresztą nieważne. Nie zabiją mnie, ale ty musisz wypaść wiarygodnie i udawać lojalną. To dość naturalne zachowanie, więc dadzą temu wiarę. Później, gdy już będą zajęci mną, jeśli będziesz mogła to zrobić bezpiecznie, najlepiej po cichu się ulotnij. Liczę na to, że sami cię odeślą, ale jeśli nie, wykorzystaj dogodną sytuację i po prostu zniknij.

– Jesteś samobójcą? Przecież nie masz szans…

– Musisz mi zaufać. Po prostu zrób, o co cię proszę, a jeszcze dziś będziesz wolną kobietą. Jesteś w stanie mi zaufać?

Kobieta zabrała rękę i przyłożyła do piersi. Drugą przytknęła do policzka, a następnie nerwowo zakryła usta, w końcu schowała twarz w dłoniach. Na palcach, szyi i dekolcie wciąż skrzyły się krople deszczu. Skąpy top, spod którego kusiły duże i jędrne piersi, też był częściowo mokry, podobnie jak końcówki włosów.

– Musisz mi obiecać, że zrobisz to, o co cię proszę – naciskał Brudny. – Muszę mieć pewność, że dasz radę. W przeciwnym razie nie zdołam ci pomóc.

Komisarz dał młodej kobiecie jeszcze kilkanaście sekund. Gdy już myślał, że jego plan weźmie w łeb, Bojka wsunęła dłoń do torebki. Wyciągnęła smartfon i starła z niego kilka kropel. Odetchnęła i spojrzała Brudnemu w oczy. Ucieszył się, gdy dostrzegł, że spojrzenie kobiety przepełnia determinacja, a nie tylko paniczny strach.

– Zrobię to – oznajmiła. – Mam nadzieję, że wiesz, w co nas pakujesz.

– W takim razie wezwij ich.

Kobieta wcisnęła dwa skrajne przyciski. Sygnał alarmowy został nadany.

* * *

Zawadzka lekko pokręciła głową, aby strącić z brwi drażniące ją krople deszczu. Było jej zimno i pomimo wodoodpornej odzieży miała wrażenie, że już przemokła do suchej nitki. Poprawiła pozycję w wykrocie po przewróconej sośnie i omal nie poślizgnęła się na błocie. Zaklęła w duchu.

Miejsce idealnie nadawało się na zasadzkę, ale ulewne deszcze sprawiły, że nasiąknięta wodą ziemia nie pomagała w utrzymaniu stabilnej pozycji. Co chwila musiała się poprawiać, aby nie zsunąć się głębiej, wbijała więc podeszwy głęboko w błoto, ale po jakimś czasie ziemia i tak zaczynała usuwać jej się spod butów. Mokre i śliskie korzenie od czasu do czasu nieprzyjemnie muskały jej policzki albo odsłonięty kark.

Odsunęła od oka monokular i spojrzała w punkt oddalony około pięćdziesięciu metrów na północny zachód. Mściwój Kruszwica skinął jej, że jest gotowy. Gdyby nie wiedziała, że znajduje się właśnie tam, z pewnością nie miałaby najmniejszych szans go dostrzec.

– To za blisko – oponowała, gdy planowali zasadzkę.

– Zaufaj mi. Trochę się na tym znam – odparł aspirant, posyłając jej zawadiackie spojrzenie.

Krótko później pokazał jej swój zestaw do kamuflażu. Farby, siatki i taśmy maskujące, torby, nerki, bransolety, dwa kompletne stroje, lunety i szereg karabinków ASG świadczyły, że nie należy do amatorów, a gdy przyznał, że od nastolatka corocznie jeździ na obozy szkoleniowe organizowane przez służby specjalne, uznała, że trafili na odpowiedniego człowieka. Z racji tego, że akcja była nieautoryzowana i nie mogli liczyć na wsparcie strzelców wyborowych, tym bardziej sami pobrać służbowego karabinu snajperskiego, Kruszwica ocenił, że aby Brudny mógł czuć się względnie bezpiecznie, on musi znaleźć się nie dalej niż trzydzieści metrów od miejsca, w którym komisarz zaparkuje swój pojazd. Biorąc pod uwagę prognozy i fakt, że będą tylko we dwójkę, musieli podjąć ryzyko i ulokować się na tyle blisko, żeby w razie potrzeby móc oddać celny strzał. Dzień wcześniej przyjechali na rozpoznanie. Mieli czas, aby spokojnie zaznajomić się z ukształtowaniem terenu, bo pogoda nie sprzyjała i pracujące na parkingu dziewczyny przez godzinę nie skusiły żadnego klienta. W końcu wybrali odpowiednie miejsca, a Julce przypadło to w nieodległym wykrocie, z którego mogła przybyć z pomocą od południa. W ogniu akcji niewyszkoleni alfonsi powinni dać się zaskoczyć i rozbroić, ale problemem był sam Kłos, bo to na jego obecność liczyli najbardziej. W razie gdyby doszło do wymiany ognia, mógłby być bardzo niebezpieczny, bo szybko by wykoncypował, że został rozpracowany, w związku z czym zapewne broniłby się do ostatniej kropli krwi. Brudny miał zadbać, aby pojawił się osobiście.

Zawadzka znów przyłożyła do oka monokular. Drugą dłonią sprawdziła, czy słuchawka jest w uchu dobrze umocowana, a następnie poprawiła narzuconą na głowę siatkę maskującą. Przez dłuższą chwilę obserwowała oddalony około trzystu metrów wjazd do lasu od strony parkingu. Od momentu gdy Bojka wszczęła alarm, minęło już prawie dziesięć minut, a do tej pory nikt się nie pojawił. Brak reakcji ze strony alfonsów był co najmniej dziwny. Droga z centrum miasta powinna im zająć maksymalnie piętnaście minut, wobec czego zostało jeszcze nieco ponad cztery.

Żałowała, że nie ma kontaktu z partnerem. Ukryty mikrofon pozwalał słyszeć każde jego słowo, ale kontakt w drugą stronę był niemożliwy. To nawet nie była ostrożność, ale oczywista oczywistość. Brudny nie mógł

korzystać ze słuchawki, bo szybko zostałby zdemaskowany. Trudno było jej się z tym pogodzić, ale nie chciał zmienić decyzji.

– Nie ma innej opcji, Julka. Nic mi nie zrobią, dopóki nie wyciągną ode mnie kompletu informacji – powiedział, gdy po raz kolejny przed snem podała w wątpliwość tę część planu.

– Nigdy tego nie wiesz – odparła, kładąc mu rękę na piersi.

– Chcesz się wycofać? – zapytał.

– Po prostu nie chcę, abyś się narażał. Ledwo chodzisz i…

– I to działa na naszą korzyść. – Nie dał jej dokończyć. – Nie będę dla nich żadnym zagrożeniem. Stracą czujność i może popełnią więcej błędów.

– Ty zawsze masz jakieś wytłumaczenie – prychnęła. – Czasem myślę, że podświadomie robisz wszystko, żeby szybciej zejść z tego świata.

– Ale na szczęście mam ciebie. – Posłał jej szelmowskie spojrzenie. – Zawsze jesteś dwa kroki za mną i w ostatniej chwili wyciągasz mnie z każdej opresji, mam rację? – dodał, siląc się na głupkowaty uśmiech.

– Kiedyś mogę nie zdążyć… – Skrzywiła się.

– Zawsze możemy założyć sklep zoologiczny. Albo przerzucić się na hodowlę motyli…

– Ha, ha, ha. Igor „Żartowniś” Brudny się znalazł. Hodowla, kurwa, motyli. Dobre sobie…

Brudny westchnął i obrócił się w jej stronę. Spojrzał partnerce w oczy.

– No to teraz poważnie, Julka. Dlaczego zostałaś gliną? – zapytał.

– Naprawdę?

– Odpowiedz.

Zawadzka odsunęła dłoń od jego klatki piersiowej. Przez dłuższą chwilę milczała.

– Żeby łapać tych złych i wsadzać ich za kratki – rzuciła z wyczuwalnym cynizmem. – I tak, wiem, do czego dążysz. Ale co wspólnego z tą akcją ma sprawa młodego Czabańskiego?

– Dobrze wiesz. – Brudny znów złowił jej spojrzenie. – Odpuściliśmy mu, choć nie powinniśmy. Pozwoliliśmy, aby temu gówniarzowi upiekło się tylko dlatego, że miał tatuśka na ministerialnym stołku.

– Ale co? Wolałbyś zginąć? – skontrowała. – Sam przyznałeś, że to nie nasza liga. Nie mieliśmy wyjścia, Igor. Tamten facet wyjaśnił ci to wystarczająco klarownie.

– Zmusił też do posłuszeństwa Beryla. I pal licho, czy go skorumpował, czy mu zagroził. Finał był taki, że komendant największej komendy w sto-

licy przestał realnie pełnić swoją funkcję. A dobrze wiesz, że ryba zawsze psuje się od głowy.

– Tylko jaki to ma związek z tym, co dzieje się tutaj?

– Taki, że jeśli odpuścimy także teraz, to już ani ty, ani ja nigdy więcej nie będziemy mogli spojrzeć w lustro. Sama widzisz, że po odejściu Romka od razu zrobił się gnój. Ktoś w tym mieście zabija młode kobiety, odsysa z nich krew, a potem zakopuje je w lesie albo szlachtuje i wyrzuca do rzeki. Ktoś, kurwa, wyrzyna im na skórze pierdolone szatańskie wersety! I nikt w tej zasranej komendzie specjalnie się tym nie przejmuje, mało tego, mamy prawo podejrzewać, że Kłos, a być może nawet Magiera mogą być w to w jakiś sposób zamieszani. Są jak zaraza i jeśli ich nie powstrzymamy, to za rok czy dwa każdy glina w tym mieście będzie jeść z dłoni Pawlickiej.

– Chcę dorwać tego, który im to robi, tak samo jak ty.

– Dlatego musimy to zrobić, bo tu wciąż możemy coś zrobić – podkreślił. – Kłos to gnida. Skurwiel najgorszego sortu i nie możemy pozwolić, żeby mu się upiekło. Musi odpowiedzieć za to, co robi tym kobietom. A innej drogi, żeby go przyszpilić, po prostu nie ma.

Przez chwilę oboje leżeli i milczeli. Zawadzka z powrotem przekręciła się na bok i położyła dłoń na piersi partnera. Przez chwilę kręciła kółka palcem na powierzchni blizny, będącej efektem tego, że przed laty zasłonił ją własnym ciałem podczas wymiany ognia.

– Czyli co? – zapytała, zadzierając głowę. – W końcu nie zakładamy tej hodowli motyli?

– Jesteśmy, jacy jesteśmy, Julka – odparł z pełną powagą. – Sami wybraliśmy tę robotę. Zdecydowaliśmy się ganiać tych złych i teraz jest czas, aby zrobić to, co należy.

– Tylko dlaczego to ty zawsze pchasz się w największe gówno?

– Bo ktoś musi.

Chciała coś odpowiedzieć, ale jej na to nie pozwolił. Pocałował ją, a potem ułożył jej głowę na swojej piersi i zasnęli. Kochali się dopiero nad ranem, namiętnie i drapieżnie zarazem, jakby chcieli przy okazji zrzucić z siebie całe towarzyszące im napięcie. Potem zjedli śniadanie i pojechali do mieszkania Kruszwicy, gdzie przeprowadzili ostatnie przygotowania. Raz jeszcze omówili wszystkie założenia i zasadniczo brzmiało to całkiem sensownie, gdyby nie fakt, że Brudny znów chciał robić za superbohatera. Przynęta – tak to ujął, ale zgadzając się na taką rolę, doskonale zdawał sobie sprawę, że znów wystawia się na wielkie niebezpieczeństwo. Bo co

z tego, że mieli plany A, B i C, jeśli wszystko mógł trafić szlag, bo któryś z tych gnojków będzie naćpany i zamiast zachować się przewidywalnie, po prostu strzeli mu od razu w łeb. Igor zbyt łatwo igrał ze śmiercią i zastanawiała się, czy to kiedykolwiek się zmieni, a oni będą mogli stworzyć w miarę zdrowy związek.

Ruch w monokularze sprawił, że w ułamku sekundy wróciła do rzeczywistości. Nagle na parkingu pojawiły się dwa czarne SUV-y, z których jeden nieśmiało wjechał na drogę pożarową, a drugi zablokował wyjazd z parkingu. Skupiła się na tu i teraz. W uszach słyszała przyspieszony oddech Bojki i słowa partnera, który po raz ostatni pouczał dziewczynę, jak ma się zachować. Poczuła, że mocniej zabiło jej serce. Wzdrygnęła się, gdy zabrzmiał głos Kruszwicy. Młody potwierdził pełną gotowość, a ona odpowiedziała, choć w głębi duszy miała wrażenie, że wcale nie jest gotowa. Dlaczego, do jasnej cholery, się na to zgodziła?

Wolna dłoń odruchowo powędrowała w kierunku kabury. Pistolet znajdował się na swoim miejscu. Wtedy czarny SUV nagle przyspieszył, a ona pomyślała, że to był naprawdę fatalny pomysł.

Bo jak ma spokojnie przyglądać się, gdy jej partner za chwilę będzie upokarzany i bity? Tak – dotarło do niej, że ten plan naprawdę jest do dupy. Chwilę później wyciągnęła i odbezpieczyła broń.

* * *

Brudny po raz ostatni spojrzał na twarz Bojki. Była przerażona, ale zdeterminowana. Gdy czarny SUV znajdował się już na tyle blisko, aby on mógł odegrać swój spektakl, włączył silnik i spróbował ruszyć akurat w momencie, gdy mercedes zatarasował mu drogę. Z samochodu błyskawicznie wyskoczyło trzech mężczyzn. Dwóch przypominało przerośnięte kartofle, a jeden – w nim od razu rozpoznał Zbycha – wyschnięty badyl kukurydzy.

– Wysiadaj! – ryknął alfons, ale Brudny wcisnął pedał gazu i patrol ruszył z miejsca. Bojka szarpnęła go za rękę i uwiesiła się na nim w próbie powstrzymania go, przez co gwałtownie skręcił i uderzył w bok mercedesa.
– Kurwa mać! – wrzasnął ponownie Zbychu i tym razem w jego ręku pojawił się pistolet. – Wysiadaj, bo cię zajebiemy! Słyszysz, pedale?

Drzwi jego patrola otworzyły się i łysy typ o twarzy przypominającej księżyc w pełni chwycił go za przedramię, a następnie gwałtownym szarpnięciem wyciągnął na zewnątrz. Brudny runął na ziemię i zarył twarzą

w błoto. Błyskawicznie otrzymał kopnięcie w brzuch. Było silniejsze, niż się spodziewał, i zwinął się z bólu do pozycji embrionalnej.

– Czekajcie! – wyrzęził i uniósł rękę, gdy na jego nogach wylądowały kolejne kopniaki.

– Na co mamy czekać? – warknął jeden z mężczyzn, a następnie zerknął na Zbycha. – Zrobił wgniota na szefa samochodzie. Walimy go chyba od razu, co nie? – zapytał, unosząc kij.

– Poczekaj – rzucił jego pryncypał i nachylił się nad zwiniętą w kłębek ofiarą. Gwałtownie odskoczył, gdy zobaczył, że zza paska wystaje rękojeść walthera. – Klamkę mu, kurwa, zabierzcie! – wrzasnął, celując komisarzowi w głowę.

Jeden z żołnierzy natychmiast wykonał rozkaz. Runął na niego całym swoim cielskiem, przyszpilając kolanem kark do gleby. Brudnemu aż odebrało dech, poczuł w ustach smak krwi i błotnistej brei. W tej pozycji kafar najpierw go rozbroił, a następnie dokładnie przeszukał. Upewniwszy się, że nie ma ukrytej dodatkowej broni, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni portfel i dokumenty, które od razu wręczył szefowi. Wtedy ucisk na szyję nieco zelżał, a Brudny łapczywie nabrał powietrza. Zerknął kątem oka na Zbycha, który zaczął przeglądać jego papiery. Nie trzeba było długo czekać, żeby na jego twarzy wykwitł wredny grymas.

– Ja chyba znam tego ryja, szefie – mruknął stojący obok mięśniak w opiętym białym T-shircie. – To przecież ten pies z telewizji. No, co tego wilkołaka zajebał. Ten, co w śpiączce był i…

– Zamknij się! – warknął Zbychu.

Przez chwilę Brudny słyszał tylko odgłos tłukących o glebę kropel. Wiedział, że teraz wszystko się rozstrzygnie. Kątem oka zerknął w stronę patrola. W środku wciąż siedziała rozczochrana Bojka. Musiała odegrać swoją rolę, w przeciwnym razie mógł się liczyć z tym, że w ruch pójdą kije bejsbolowe. Wtedy sytuacja mogłaby się wymknąć spod kontroli.

– Kurwa mać! – warknął nagle Zbychu i wściekle rzucił portfelem w kałużę. – Igor Brudny! Sam jebany Igor Brudny! Czego tu chcesz? – Zbliżył się do komisarza i przykucnął, muskając jego skroń lufą pistoletu. Miał pociągłą twarz, krzywy nos i wąskie usta. – Mów, na chuj tu węszysz, albo moi chłopcy zatłuką cię kijami jak psa.

– Naszła mnie chcica – odparł komisarz z kpiną w głosie.

– Chcica, tak? – Chudzielec poprawił wiszący na szyi łańcuch. Przygryzł dolną wargę z taką siłą, jakby chciał ją sobie odgryźć, a następnie wstał

i wymierzył komisarzowi kolejne kopnięcie w brzuch. Brudny zdążył się zaasekurować, ale udawał, że zwija się z bólu. – Czego on od ciebie chciał, Bojka? – rzucił Zbychu, odwracając się w kierunku patrola. Wyciągnął papierosa i zapalił go, nie spuszczając wzroku z dziewczyny. – I wyłaź na zewnątrz, a nie siedzisz tam, jakby ci dupa do fotela przyrosła. Mów, czego chciał – powtórzył zniecierpliwiony.

Prostytutka wygramoliła się z patrola i koślawym krokiem podeszła do Brudnego. Niespodziewanie też go kopnęła, celując w okolice klatki piersiowej. Gdy na niego splunęła, komisarz zwątpił, czy na pewno wciąż jest po jego stronie.

– Próbował wypytać mnie o pana Kłosa – oznajmiła. – Chyba sporo wie, bo chwalił się, że zaraz go dorwie. O inne dziewczyny też pytał. I o pana też – dodała, przenosząc wzrok na alfonsa.

Brudny teatralnie zaklął pod nosem, a gdy spróbował unieść głowę, potężna graba z powrotem wcisnęła mu ją w błoto. Znów opił się brudnej wody i zaczął żałować, że nie zdołał wymyślić lepszego planu. Spod ubłoconych powiek dostrzegł zarys nachylającego się nad nim mężczyzny. Chwilę później kościste palce Zbycha zacisnęły się na jego żuchwie.

– I właśnie tak skończy słynny Igor Brudny? – zapytał z drwiną alfons. – Bo dał się wyruchać jakiejś głupiej kurwie?

– Pierdol się.

– Hmm… – Alfons cmoknął i znów się zaciągnął. Wypuścił dym nosem. – Co ja mam z tobą zrobić? No powiedz, co?

– Zacznij od ściągnięcia ze mnie tego grubasa. Cuchnie szczochem.

– Szczochem, kurwa? – Dryblas zaperzył się i znów docisnął głowę komisarza do ziemi, ale na znak szefa odpuścił.

– Rzeczywiście twardy z ciebie zawodnik – przyznał Zbychu, zaciągając się głęboko. – Jesteś w czarnej dupie, a jednak zachowujesz się, jakbyś nie trzymał w niej głowy, tylko kutasa.

– Jak już go wyciągnę, to dam ci possać. A potem pogadam z chłopakami, żeby zajęli się tobą, gdy już wylądujesz w ciupie.

– Ja pierdolę – prychnął Zbychu z niedowierzaniem. Puknął go lufą w skroń, a potem próbował wcisnąć ją w okolice oka. Komisarz szarpnął się, ale nie miał zbyt wielkiego pola manewru. – Naprawdę kozak z ciebie, Brudny. I wiesz co? Mniej więcej tak sobie ciebie wyobrażałem. Ale przez myśl mi nie przeszło, że kiedykolwiek będę miał okazję stanąć oko w oko

z legendą. A tu proszę. Taka niespodzianka. Aż nie chce się wierzyć, jaki zaszczyt mnie kopnął.

– Zaraz przyjedzie tu setka policjantów i dopiero poczujesz znaczenie słowa kopnąć.

– Szczerze wątpię, ale doceniam twoje starania. Z tego, co wiem, nie jesteś zaangażowany w śledztwo, które zresztą i tak zostało zamknięte. Kłos też nic na ten temat nie wspominał. A skoro o wilku mowa, to chyba najwyższy czas, żeby się dowiedział, coś tu nawywijał.

Alfons zaciągnął się po raz ostatni i zgasił papierosa na policzku przyszpilonego do ziemi komisarza. Brudny syknął, ale żar błyskawicznie przygasł na mokrej skórze. Kątem oka dostrzegł, jak chudzielec wyciąga telefon, a następnie informuje szefa o zaistniałej sytuacji. Brudny odetchnął z ulgą. Plan zadziałał, a teraz zaczynał wchodzić w kluczową fazę. Wszystko wskazywało na to, że Kłos już jest w drodze.

– Skujcie go i przenieście do samochodu – zakomenderował swoim ludziom Zbychu, po czym zadarł głowę i spojrzał w zachmurzone niebo. – Szef chce z nim pogadać w bardziej komfortowych warunkach.

Brudny zamknął oczy i zacisnął zęby. Jednak się pomylił, bo plan A właśnie spalił na panewce. Mimo to pozwolił się skrępować. Mężczyźni opróżnili mu kieszenie, skąd wyciągnęli klucze, kilka wypłowiałych paragonów, wymiętą paczkę fajek i zapalniczkę. Ta ostatnia wzbudziła największe zainteresowanie.

– Ale, kurwa, wypas – mruknął młodszy z mięśniaków, otwierając pokrywkę. Sprawdził, czy działa. Gdy nacisnął przycisk, cztery elektrody zaiskrzyły plazmą, tworząc mały niebieski krzyżyk. – Pożegnaj się z nią, bo już ci nie będzie potrzebna – dodał i zadowolony schował ją do kieszeni.

W tym czasie drugi z nich przyniósł taśmę izolacyjną. Dopiero wtedy Brudny zaczął się szarpać, ale z rękami spiętymi trytytką nie miał żadnych szans. Mężczyźni zakleili mu usta, a potem wrzucili go do bagażnika jak worek ziemniaków. Do tego momentu miał cichą nadzieję, że wszystko potoczy się bardziej po jego myśli. Nie był zwolennikiem planu B. Plan B gwarantował, że będzie bardziej boleć.

ROZDZIAŁ 37

Romuald Czarnecki po raz kolejny poprawił się w siedzeniu kierowcy. Z trudem utrzymywał względny spokój, ale wiedział, że ani niczego nie przyspieszy, ani nie zmieni. Tak naprawdę brak sygnału mógł świadczyć, że wszystko poszło jak po maśle, ale on za długo żył na tym świecie, aby wierzyć, że taki numer przejdzie bez żadnych komplikacji.

Kiedy w poniedziałek wieczorem otworzył drzwi i zobaczył Igora Brudnego, Julię Zawadzką i Mściwoja Kruszwicę, z początku ucieszył się z niespodziewanej wizyty, ale nie zajęło mu wiele czasu, aby połapać się, że trójka policjantów nie przyszła do niego na herbatę i ciasto. Jego żona i tak ich ugościła, bo na podorędziu zawsze miała jakieś słodkości, ale ponure miny zwiastowały, że sprawa, z którą przyszli, jest tą większego kalibru.

– Tylko gdy nie załatwimy sprawy na miejscu – powtórzył mu Brudny, gdy już wstępnie przedstawił zarys pomysłu. – Julka i Mściwój będą słyszeć każde słowo, więc jeśli zostanie potwierdzone zaangażowanie Kłosa, będziesz mógł działać.

Znał wszystkich wystarczająco dobrze, aby nie próbować wpływać na zmianę ich zdania, wobec czego pozostało mu jedynie zgodzić się im pomóc. Jego rola ograniczała się do poinformowania naczelnika wydziału Marka Kotowicza, ewentualnie samego komendanta Wacława Niemca, gdyby plan A nie zadziałał.

Plan B zakładał, że Brudny zostanie wywieziony z miejsca przygotowywanej zasadzki, zanim dojdzie do kontaktu z Kłosem. Prawdopodobieństwo takiego rozwoju sytuacji Brudny ocenił mniej więcej pół na pół, bo choć zbiry pokroju Zbycha zwykle rozprawiały się z niepokornymi klientami na miejscu, Kłos mógł być ostrożniejszy i zechcieć go przesłuchać gdzieś, gdzie nie ma zagrożenia ze strony przypadkowych świadków.

– Póki nie wyciągnie ze mnie wszystkich informacji, poważniejsza krzywda mi się nie stanie – zapewniał komisarz. – Julka i Mściwój będą

mieli na mnie oko i jeśli okaże się, że Zbychu zabierze mnie z okolic parkingu, to oni od razu wsiądą do zaparkowanego w lesie jeepa.

– Ukryję go niedaleko. Będzie dobrze zamaskowany – wtrącił aspirant.

– Mój telefon zapewne wyłączą, ale Kłos będzie chciał trzymać rękę na pulsie – kontynuował komisarz. – Wystarczy, że ktoś z komendy namierzy sygnał jego smartfona. Gdy oba sygnały, to znaczy jego i Julki, spotkają się w jednym miejscu, będziesz miał dowód, aby przekonać Kotowicza do wysłania ludzi. Ona z Mściwojem oczywiście będą czekać na miejscu, a jeśli okoliczności pozwolą, to potwierdzą swoje pozycje.

– Chyba że… – zaczęła Zawadzka.

– Wtedy zrobicie, co uważacie za konieczne. – Brudny nie dał jej dokończyć. – Nie sądzę jednak, żeby Kłos chciał się mnie pozbyć, dopóki nie wyciągnie ze mnie informacji.

– Może chcieć cię torturować – zasugerował Czarnecki.

– Owszem – przyznał Brudny. – Ale nie dam mu na to szansy. Rozegram to tak, aby usłyszał to, co chce usłyszeć. Zyskam nam nieco czasu.

Czarnecki pokręcił z niedowierzaniem głową. Ten facet na pewno nie był do końca normalny, ale jeśli kiedykolwiek miałby wskazać najlepszego policjanta, z którym pracował, bez wątpienia wybór padłby na Igora Brudnego. Następnego dnia rano zadzwonił do naczelnika wydziału i komendanta. Poinformował ich, że chciałby z nimi porozmawiać w cztery oczy, w związku z czym umówił się z obydwoma mniej więcej na godzinę, w której planowo miała zacząć się zasadzka. Przygotował sobie temat zastępczy, gdyby jego interwencja nie była konieczna, i miał nadzieję, że będzie mógł go poruszyć, bo to oznaczałoby, że wszystko poszło zgodnie z planem: Brudny, Julka i Mściwój są bezpieczni, Kłos i banda sutenerów z kajdankami na nadgarstkach, a umęczone kobiety wolne i szczęśliwe.

Spojrzał na zegarek. Teoretycznie powinien właśnie pukać do drzwi Kotowicza. Do tej pory nigdy, ale to nigdy nie zdarzyło mu się spóźnić bez wcześniejszego uprzedzenia. Sięgnął po umocowany w chwytaku smartfon i popukał w ekran. Poprawił pozycję w siedzeniu. Pomyślał, że od dwudziestu minut wierci się, jakby nabawił się hemoroidów. Wtedy smartfon zadzwonił. Z nadzieją odebrał.

– Zabrali go – rzuciła Zawadzka. Wywnioskował, że biegnie, bo ciężko dyszała, a w tle dało się wyłowić charakterystyczne odgłosy lasu.

– Co z Kłosem? – zapytał.

– Temat potwierdzony. Wiozą go w nieznane miejsce, gdzie ma się z nim spotkać twarzą w twarz. Myślę, że możesz wprowadzać plan w życie. Poczekaj…

Czarnecki usłyszał serię szeleszczących dźwięków, głos Kruszwicy i trzask drzwi. Domyślił się, że właśnie zsunęli z samochodu młodego siatkę maskującą, a Zawadzka wsiadła do środka. Zawarczał silnik.

– Jadą na zachód w stronę granicy – kontynuowała. – Jak najszybciej namierz numer Kłosa, bo nie chcemy się na niego natknąć na trasie.

– Uważajcie na siebie – odparł i wysiadł z auta.

Przemknął przez plac i wbiegł na schody prowadzące do głównych drzwi. Dotarcie do gabinetu Kotowicza zajęło mu kolejne dwie minuty. Wszedł bez pukania. Naczelnik akurat podlewał imponującego fikusa. Odwrócił się leniwie i dostrzegłszy gościa, wymownie spojrzał na zegarek.

– Na starość zaczynasz się ślimaczyć – mruknął, poprawiając okulary. – I usiądź, bo widzę, że się spieszyłeś. Kawy czy może…

– Nie mam czasu na pierdoły, Marek.

– I przestałeś bawić się w konwenanse. Hmm, widzę, że emerytura ci służy…

– Marek. Ja nie żartuję.

– Hmm?

Tym razem naczelnik wyprostował się i odstawił szklankę. Czarnecki zbliżył się do starego kolegi. Grymas na jego twarzy świadczył, że to musi być coś poważnego.

– Wiem, że zabrzmi to dziwacznie, ale wołaj tu jakiegoś technicznego – oznajmił, jakby to on mógł w tym pokoju wydawać rozkazy.

– O co ci chodzi, Roman? – Kotowicz zmrużył oczy.

– Musimy natychmiast namierzyć sygnał z telefonu Kłosa.

– Kłosa?

– Zaraz wszystko ci wytłumaczę. Tylko najpierw zorganizuj człowieka. Najlepszego.

Kotowicz zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, co właściwie powinien zrobić. Znał się z Czarneckim od lat i cenił go jako wybitnego stróża prawa, ale inspektor był już tylko emerytowanym inspektorem, tymczasem wpadł do jego gabinetu jak wicher i od razu zażądał czegoś, co w żaden sposób nie mieściło się nie tylko w ramach zwyczajowego postępowania inspektora, ale w domyśle rzucało oskarżenie na jednego z jego najlepszych ludzi. Zawahał się, po czym sięgnął po słuchawkę leżącego na biurku apa-

ratu. Uniósł ją, ale przez kolejne kilka sekund ważył jeszcze wszystkie za i przeciw. Posłał Czarneckiemu ostatnie spojrzenie. W jego oczach dostrzegł to, co widywał przez ostatnie piętnaście lat wspólnej pracy – przekonanie o tym, że inspektor złapał mocny trop. A stał przed nim najlepszy policjant, z którym przyszło mu kiedykolwiek pracować. Ostatecznie nawiązał połączenie i wydał polecenia.

– Możesz mi teraz powiedzieć, o co ci chodzi? – zapytał, gdy odłożył słuchawkę z powrotem na miejsce.

– Wszystko wskazuje na to, że Kłos jest zamieszany w handel ludźmi.

Kotowicz posłał mu spojrzenie, jakby na głowie inspektora wyrósł właśnie słusznych rozmiarów kaktus.

– Rzucasz poważne oskarżenia, Roman – ostrzegł. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo moi ludzie nie uwierzyli w te bzdety o Kittelu i mimo że Magiera zamknął śledztwo, to zrobili to, co każdy porządny glina zrobić powinien.

– Twoi ludzie? – Naczelnik badawczo uniósł krzaczaste brwi. – Ty się na pewno dobrze czujesz, Roman?

– Mniejsza o nazewnictwo, ale tak. Oni…

– Roman, do jasnej cholery! Co ty mi tu pierdolisz?

– Wiesz dobrze, że Kittel sam się nie powiesił, mam rację?

– Tego już za wiele. Wybacz, ale…

– Ktoś mu pomógł, Marek. I tym kimś jest Kłos. To Kłos jest „Wampirem”.

Zanim Kotowicz zdążył odpowiedzieć, rozległo się donośne pukanie. Naczelnik zapowietrzył się, w końcu krzyknął „wejść”, a w drzwiach stanęło dwóch spoconych brodaczy z laptopami w rękach. Przeniósł spojrzenie z powrotem na byłego współpracownika.

– Niech cię diabli, Roman! – syknął i rozkazał im wejść.

* * *

Brudny odetchnął z ulgą, gdy samochód w końcu się zatrzymał. Przez ostatnie kilka kilometrów tłukł się po wertepach i dziurach, z których jedne przypominały uliczne zapadliska, a inne leje po bombach. Leżąc ze spętanymi rękoma i nogami, nie mógł znaleźć pozycji, która umożliwiałaby zaasekurowanie się przed bolesnymi stłuczeniami. Niedowład nóg też nie pomagał. W końcu jeden z dryblasów, do którego wołali Gimbus, otworzył

bagażnik i wyciągnął go na zewnątrz. Typ zdecydowanie nie grzeszył intelektem i Brudny nie zdziwiłby się, gdyby okazało się, że zakończył edukację właśnie na poziomie gimnazjum, zwłaszcza że jego pryszczata gęba zdradzała stosunkowo młody wiek. Gimbus potwierdził jego przypuszczenia, gdy zagroził, że jeśli Brudny nie będzie w stanie utrzymać się na nogach, to ten zaraz mu je połamie.

– Zanieście go do środka – polecił Zbychu, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Mężczyźni chwycili go pod pachy i pomogli mu wstać. Na drugiego wołali Góral, co oznaczało, że facet najprawdopodobniej nazywał się Sebastian Pawlicki i był bratem Zbycha. Przerośnięty jak Gimbus był jednak od niego sporo starszy i zdawał się bardziej rozgarnięty, a przy tym szef traktował go z większym szacunkiem.

Brudny ignorował ich zaczepki, zwłaszcza Gimbusa, który znalazł frajdę w próbach wyprowadzenia go z równowagi, na przemian drwiąc z niego i strasząc niemożebnym wpierdolem. Rechotał przy tym paskudnie i ogólnie sprawiał wrażenie opóźnionego w rozwoju. Nie był to dobry znak, bo tacy ludzie zwykle bywali nieobliczalni, zwłaszcza w momencie zagrożenia. Nie on był jednak teraz największym zmartwieniem komisarza, wobec czego Brudny starał się skupić na wszystkim, co mogłoby mu pomóc w późniejszej rozgrywce.

Nie miał pojęcia, gdzie są, ale podejrzewał, że przynajmniej kilkanaście kilometrów od drogi krajowej. Zaparkowali obok sporej hali, najprawdopodobniej starej kurzej fermy. Wyglądała na nieużywaną od lat. Tynk odchodził od ścian całymi płatami, upstrzone kiepskim graffiti mury w niektórych miejscach były wyraźnie skruszone, a lekko ukośny dach wydawał się w kilku miejscach dziurawy. Oprócz nich wokół nie było żywej duszy. Od strony, z której przyjechali, jak okiem sięgnąć ciągnęły się nieużytki, a z drugiej wyrastała ściana lasu. Wszędzie rosły wysokie trawy, które delikatnie falowały na wietrze, i można było odnieść wrażenie, że od lat nikt tu nie zaglądał. Brudny pomyślał, że to idealne miejsce na załatwianie takich spraw, choć to spostrzeżenie nie napełniło go optymizmem.

Zanim żołnierze Zbycha w końcu zaciągnęli go do wnętrza budynku, zobaczył kilka ptaków, które wyfrunęły przez jeden z otworów w dachu i odleciały w stronę pobliskich drzew. Na zachodzie zaczęło się przejaśniać i spomiędzy chmur wyłoniło się zachodzące słońce, które pomalowało niebo na krwistoczerwony kolor. Brudny pomyślał, że to raczej zły omen,

a gdy na miejscu rzucili go pod ścianę, gdzie w odległości kilku metrów dostrzegł zakrwawione łachy i kawał leżącego sznura, zrozumiał, że nie jest pierwszym, który trafił tu na przesłuchanie. Miał jeszcze chwilę, aby przemyśleć swoje postępowanie, i nagle poczuł się tym wszystkim cholernie zmęczony. Pomyślał, że bardzo chciałby mieć to już za sobą.

* * *

– I ty im na to pozwoliłeś? – warknął Kotowicz.

– Nie miałem żadnych argumentów, aby wybić im to z głowy – odparł Czarnecki. – Poza tym przekonali mnie. Mają mocne dowody.

– Niby jakie?

– Nie mam teraz czasu, żeby wszystko ci wyjaśnić, bo to dość skomplikowane. Ale wszystko wskazuje, że pierwsza z ofiar została zamordowana przez Kłosa.

– Dowody, Roman! Dowody!

– Są wystarczające, aby przekonać sąd. Po prostu mi zaufaj.

To było ryzykowne zagranie ze strony inspektora. Przynajmniej raz w pełni świadomie oszukał naczelnika wydziału, gdy zezwolił Brudnemu na nieautoryzowaną akcję podczas śledztwa w sprawie „Rzeźnika z Nietkowa”. Co prawda wszystko ostatecznie zakończyło się dobrze i późniejsze wyjaśnienia mające na celu uświadomienie przełożonym, dlaczego zdecydował się podjąć taką, a nie inną decyzję pozwoliły mu jakoś wybrnąć z całej sytuacji bez większych nieprzyjemności, ale nie mógł udawać, że rysa na ich piętnastoletniej współpracy nie istniała. Kotowicz nie odpowiedział, drgnęła mu za to górna warga.

– Nie wiem, dlaczego to robię. Jeśli masz rację, to będzie z tego gigantyczny chlew.

– Jeśli nie dostaną wsparcia, to i tak będzie. A jeśli nie zareagujesz, możesz mieć kilka nadprogramowych trupów.

– Wiele osób za to beknie.

– Może powinno.

Kotowicz zamilkł. Znając sytuację, nie miał wyjścia i musiał reagować. Nawet jeśli Czarnecki na stare lata przestał przejmować się procedurami, nigdy nie przyszedłby do niego, gdyby nie miał solidnych podstaw do wysnucia takiej hipotezy. To, że posypią się nagany, a być może i dyscyplinarki, było pewne jak to, że jutro wzejdzie słońce. Ale jeśli stary przyjaciel

miał rację, nie ich powinien się obawiać najbardziej. Wiedział, że zawalił, bo znał przeszłość Kłosa. Wszystkie jego mniejsze i większe grzeszki nie były dla niego tajemnicą. Owszem, broniły go wyniki, bo był skuteczny w łapaniu zbirów, ale miał swoje za uszami i należało wziąć pod uwagę, że zatrudnienie go kiedyś może sprowadzić mu na głowę kłopoty. Teraz cały ten gnój wyleje się na niego jak płynny beton z wypełnionej po brzegi betoniarki. Ale tego już nie dało się zatrzymać, należało działać i zrobić wszystko, aby ograniczyć skutki wszystkich dotychczasowych zaniedbań. Wykręcił bezpośredni numer do dowódcy grupy kontrterrorystów Rafała Kostyry i wydał odpowiednie rozkazy, po czym ponownie skupił uwagę na Czarneckim, który wykorzystał chwilę, aby sprawdzić, jak radzą sobie policyjni technicy. Nachylony nad nimi śledził ich poczynania na ekranach komputerów. Kotowicz rozłączył się akurat w momencie, gdy Czarnecki odebrał telefon.

– Tak, tak, rozumiem – rzucał do słuchawki, nie odrywając wzroku od obu laptopów. – Tak, to by się zgadzało. I tak, przekonałem go. Dostaniecie wsparcie.

Czarnecki rozłączył się i spojrzał wymownie na naczelnika wydziału. Skinął, aby ten podszedł i przyjrzał się wynikom działań łącznościowców.

– To jest Kłos. – Czarnecki wskazał palcem na migający punkt. Znajdował się w okolicy niewielkiej wsi o nazwie Bronków, leżącej kilkanaście kilometrów od drogi krajowej numer trzydzieści dwa z Zielonej Góry do przygranicznego Gubina. – A to pozycja komisarz Zawadzkiej i aspiranta Kruszwicy. – Czarnecki przesunął palec o kilka centymetrów w stronę podłużnego obiektu, następnie stuknął nim w ekran drugiego laptopa, gdzie widniało powiększone zdjęcie satelitarne starej fermy kurzej. – Brudny znajduje się w środku wraz z trzema bandytami. Potrzebujesz więcej dowodów?

Kotowicz z niesmakiem pokręcił głową. W końcu uniósł brwi i nabrał powietrza w płuca.

– Wszystkich nas za to wypierdolą – mruknął pod nosem.

– Może tak będzie najlepiej.

– Pierdol się, Roman.

– Wybacz, ale podziękuję. A ty dorwij Kłosa, to może jeszcze się wybronisz.

Kotowicz posłał mu żałosne spojrzenie i pomyślał, że chyba też powinien pomyśleć o przejściu na emeryturę. Gorzej, jeśli nie zdąży, a po

wszystkim wywalą go na zbity pysk.

ROZDZIAŁ 38

Przestronną halę wypełniał półmrok. Brudny siedział przywiązany do krzesła niemal na samym środku. Na policzku wciąż tkwił częściowo odklejony kawałek taśmy izolacyjnej, którą Zbychu zerwał, widząc, że komisarz ma problemy z oddychaniem. Miał wrażenie, że pod powieki dostał mu się piasek, a na twarzy wytworzyła się wyschnięta skorupa z błota. Ciągłe mruganie nie pomagało, bo w powietrzu unosiły się niezliczone drobinki kurzu, doskonale widoczne w wąskich smugach światła przebijających przez zbutwiałe deski, którymi zabito okna. Wokół walało się mnóstwo śmieci. Pety, stłuczone butelki, stare gazety, a nawet dwa radia jamniki, które swoje chwile chwały święciły głównie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Pod ścianami zalegał gruz i w większości puste już worki, w których przed laty zapewne składowano paszę dla kurczaków, wszystko zaś upstrzone było tysiącami szczurzych odchodów. Kilka gryzoni szeleściło przy włóknach raszlowych, jakby liczyły, że po tylu latach jeszcze uda się znaleźć parę zasuszonych ziaren.

Brudny odchrząknął i splunął na podłogę. Do czerwonej plwociny błyskawicznie doskoczyły dwa szczury, które powąchały ją i skorzystały z niespodziewanego prezentu. Jeden z nich uniósł główkę i czarnymi ślepiami zlustrował tkwiący na krześle obiekt.

– Głodne są – rzucił z kpiną w głosie siedzący na nieodległym pustaku Gimbus. W rękach trzymał smartfon i grał w jakąś gierkę, która po odgłosach, jakie sączyły się z urządzenia, wydawała się adekwatna do poziomu jego inteligencji. – Jest ich tu tyle, bo wiedzą, że czasem skapnie im to i owo – dodał, wykrzywiając nalaną mordę w grymasie mającym w założeniu przypominać uśmiech.

– Spierdalaj – bąknął Brudny.

– Ostatnio zajadały się paluszkami – ciągnął mięśniak.

– Co ty powiesz?

– No. Sam je takiemu jednemu ujebałem – oznajmił z nieskrywaną dumą. – Też przy Bojce cwaniakował, a teraz musi walić gruchę lewą ręką.

– Gratuluję. Masz co dopisać do swojego CV.

– Do czego? – Gimbus schował telefon do kieszeni i ociężale podniósł się z pustaka. – No powtórz, bo ci zaraz przypierdolę.

Brudny nic więcej nie dodał. Obserwował mężczyznę, który w pół drogi zatrzymał się, słysząc dochodzący z dworu warkot silnika. Rzucił Brudnemu kąśliwe spojrzenie i podszedł do zabitego deskami okna. Przystawił oko do jednej ze szpar i przez chwilę wypatrywał, co dzieje się na zewnątrz. Brudny nie musiał zgadywać. Zacisnął zęby i wziął kilka solidnych wdechów. Spuścił głowę i zamknął oczy. Chwilę później halę wypełniło echo kroków kilku mężczyzn.

Gdy z powrotem otworzył powieki, zobaczył stojącego przed nim Artura Kłosa. Asystowało mu – pomijając Zbycha i Górala – dwóch innych, którzy też nie wyglądali na chłopaków ze szkółki niedzielnej. Rośli, w średnim wieku, z wyjątkowo niewyjściowymi gębami i tatuażami na przedramionach rysami bardziej przypominali Rosjan niż Polaków. A może to byli Rosjanie? Na samą myśl skręciło go w żołądku. Z obywatelami akurat tego kraju nigdy nie miał najlepszych relacji.

Kłos skinął głową i Zbychu podszedł do niego z wykrywaczem podsłuchów. W odległości kilku centymetrów przejechał nim wzdłuż korpusu i kończyn komisarza. Urządzenie nie wydało z siebie żadnych alarmujących dźwięków. Dopiero wtedy Kłos, który w międzyczasie włożył parę czarnych skórzanych rękawiczek, podszedł do więźnia i bez ostrzeżenia uderzył go pięścią w twarz. Siła ciosu była tak duża, że Brudny zachwiał się z całym krzesłem, ledwo utrzymując równowagę. Zapluł się krwią, ale nawet nie jęknął.

– Twardy jesteś, Brudny – rzucił oschle policjant, wstrząsając przy tym obolałą dłonią. – Naprawdę kawał z ciebie twardego skurczybyka. Powiedziałbym, że tym razem renoma idzie w parze z charakterem.

Brudny pociągnął nosem, odchrząknął i ponownie splunął, omal nie trafiając w lśniące buty oprawcy.

– Nie doceniłem cię, przyznaję – ciągnął Kłos. – Tylko kto by na moim miejscu podejrzewał, że facet, który dopiero co zwlókł się z łóżka szpitalnego, mało tego, gość, który potrzebuje pierdolonego balkonika, aby trafić do kibla, zamiast spokojnie leżeć i z browcem w ręku oglądać mecze, od

razu zacznie węszyć? Masz jakiś pomysł, komisarzu Brudny, kto mógłby przewidzieć coś tak absurdalnego?

– Myślę, że Gimbus to mocny kandydat. – Brudny skinął na przypatrującego się mięśniaka, który zmarszczył brwi, a gdy Kłos posłał mu lodowate spojrzenie, uniósł dłonie i odruchowo cofnął się kilka centymetrów.

– Żartowniś z ciebie, co? – Chwycił komisarza za podbródek. Brudny się szarpnął, ale uległ. Spojrzeli sobie w oczy, w końcu Kłos puścił go i wyprostował się. Złączył palce dłoni i postukał nimi, jakby zastanawiał się nad rozwiązaniem poważnego dylematu. – Powiedz, co ci strzeliło do głowy, aby włazić z brudnymi buciorami w moje życie?

– Jestem gliną, a ty mordercą – wycedził z pogardą komisarz i znów splunął krwią.

– Doprawdy? – Kłos prychnął, jakby rozbawiony. – A niby kogo ja według ciebie zamordowałem?

– Jesteś psychopatą, którego miejsce jest za kratkami.

– Kogo według ciebie zamordowałem? – powtórzył, tym razem już bardziej oschle.

– Gówno ci powiem.

– No tak… – Kłos cmoknął i teatralnie kilka razy przygryzł górną wargę. – Chcesz bronić tę swoją dupeczkę. To zrozumiałe. Musisz jednak zdawać sobie sprawę, że nie mogę wrócić do komendy, nie zapoznawszy się z wszystkim, do czego się dokopałeś. No i… – poprawił rękawiczki – … bez informacji, co zdążyłeś przekazać jej na mój temat.

Kolejny cios był błyskawiczny i wylądował tuż pod prawym okiem. Głowa Brudnego odskoczyła, a on poczuł gwałtowny paroksyzm bólu, który rozlał się po chwili na całą głowę. Już po kilku sekundach pod okiem pojawiła się opuchlizna, która rosła z każdą kolejną sekundą.

– Powiesz mi wszystko, Brudny – rzucił Kłos z pełnym przekonaniem. – I tylko od ciebie zależy, jak bardzo będzie boleć, zanim z tobą skończę.

Brudny uniósł głowę, ale cios był na tyle silny, że nie był w stanie skupić wzroku. Obraz rozmazał się, ale po kilkunastu sekundach z powrotem wyostrzył na tyle, aby mógł dostrzec, że jeden z osiłków ściągnął z ramienia czarną sportową torbę, następnie przykucnął i włożył do niej obie ręce. Komisarz zamrugał, gdy w wiązce światła zobaczył błysk stali, a w dłoniach osiłka pojawiły się nożyce do cięcia metalowych prętów. Na skronie wystąpiły mu krople potu. Pomyślał, że Gimbus jednak nie kłamał, a on musi coś wykombinować, jeśli chce stąd wyjść w jednym kawałku.

* * *

– Wchodzimy! – syknęła Zawadzka. – Przecież oni go zaraz zatłuką.

– Nie dał znaku, więc czekamy – odparł ze spokojem Kruszwica. – Igor wie, co robi – dodał, podnosząc na duchu starszą koleżankę.

– Kurwa mać!

Oboje kryli się pomiędzy drzewami na skraju lasu. Grupa uderzeniowa Rafała Kostyry zajęła już pozycje w bezpiecznej odległości. Z Kotowiczem byli w ciągłym kontakcie i czekali na sygnał od Brudnego. Tylko co z tego, skoro ten wariat dalej igrał ze śmiercią. Przecież teoretycznie mieli już podstawy, aby wsadzić Kłosa na długie lata. Mogli mu postawić całą masę zarzutów, ale wciąż nie ten najważniejszy.

– Dopiero gdy przyzna się do morderstwa – ostrzegał Brudny, gdy przygotowywali plan. – Dopiero wtedy wejdziecie. Albo gdy uznam, że sytuacja stała się zbyt niebezpieczna.

Kiedy według Brudnego sytuacja miała stać się zbyt niebezpieczna? Zawadzką aż skręcało ze zdenerwowania. Do ścian budynku mieli nie więcej niż czterdzieści metrów, ale w żaden sposób nie mogli zobaczyć, co dzieje się w środku. To doprowadzało ją do białej gorączki. Oczami wyobraźni widziała każdy wymierzany cios, echem odbijał się każdy jęk. Marzyła, aby wpaść do tej hali i wystrzelać wszystkich tych skurwysynów jak kaczki. Wiedziała jednak, że musi utrzymać nerwy na wodzy. Igor sam zdecydował się na ten plan. Sam go wymyślił. Znał ryzyko i liczył się z tym, że może wyjść z tego mocno poobijany. Tylko czy tym razem się nie przeliczy? Zawsze wchodził tam, gdzie nie miał odwagi wejść nikt inny, zawsze robił to, co większość uznałaby za zbyt niebezpieczne albo nawet głupie. Ale zawsze jakoś mu się udawało, wychodził z opresji obronną ręką, nawet jeśli później musiał swoje decyzje odchorować. Myśl, że ostatnim razem o mało nie przelicytował, niemal ją paraliżowała.

Zacisnęła zęby i poprawiła słuchawkę w uchu. Oplotła mocniej palcami rękojeść glocka i z powrotem wsłuchała się w to, co działo się w hali.

– Zapytam po raz ostatni – usłyszała głos Kłosa. – Co wiesz na temat tych morderstw i ile z tego przekazałeś Zawadzkiej?

– Wystarczająco, aby wsadzić cię za kratki. Powiedz, działałeś w porozumieniu z Magierą?

– Z Magierą? – Kłos zarechotał. – Naprawdę myślisz, że Magiera mógłby wykombinować coś takiego?

Dobrze, dobrze, Igor, pomyślała. Wierzyła w niego. Był mistrzem manipulacji. Całe życie musiał manipulować ludźmi, aby przetrwać, i tę umiejętność opanował do perfekcji. Kłos z pewnością nie był w ciemię bity, ale do Brudnego się nie umywał.

– Ty mi powiedz. Mógłby?

– Magiera to frajer, ale widzę, że próbujesz mi tu grać na czas. – Zawadzka wstrzymała oddech, gdy usłyszała brzęk stali. Tylko jedno narzędzie mogło wydawać takie odgłosy. Oczami wyobraźni widziała, jak nożyce zbliżają się do twarzy partnera.

– Poczekaj – zaprotestował Brudny.

– Przytrzymajcie go, żeby się nie wyrywał.

Odgłosy szamotaniny, jęk partnera i rechot kilku mężczyzn.

– Czekaj! Czekaj, kurwa! – Brudny nawoływał, a ona paliła się, aby wyrwać z bloków startowych.

– Ostatnia szansa, Brudny. Mów, co wiesz.

– Powiem, tylko zabierz te nożyce. Powiem wszystko.

– Czyli jednak nie jesteś taki hardy, co?

– Mówiłem, że tylko cwaniakuje – dorzucił ktoś tubalnym głosem, a potem kilku mężczyzn zarechotało.

Zawadzka poczuła ulgę. Z trudem przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że jej gardło zamieniło się w piaski Sahary.

– A teraz mów, bo nie mam, kurwa, czasu na pierdoły.

– Iwanka – zaczął Brudny. – To od niej wszystko się zaczęło.

– Kontynuuj.

Zawadzka słuchała, jak Brudny przedstawia po kolei wszystkie poszlaki, które ostatecznie skierowały jego podejrzenia na Kłosa. Musiał być wiarygodny, więc nie pominął prawie niczego, począwszy od wizyty Justyny Klepackiej i przyjęcia zlecenia na odnalezienie jej siostry. Kłos od czasu do czasu wtrącał pytania, ale Brudny – ku jej niepomiernej uldze – więcej nie kusił losu i odpowiadał zgodnie z prawdą. Miał zacząć zadawać sobie pierwsze pytania, gdy dowiedział się od partnerki, że wedle jej oceny śledztwo w sprawie Iwanki zostało zawalone, a może nawet specjalnie storpedowane. Przeszedł do rozeznania w światku lokalnych prostytutek i chwycenia tropu, gdy dowiedział się, że boją się obsługiwać klientów niepełnosprawnych. To szybko zaprowadziło go do jego brata, a później zainteresował się historią samego Kłosa. Śledzenie go uznał za łatwe, za co niepotrzebnie zarobił dwa kolejne ciosy w twarz. Połączenie z gangiem sutene-

rów było już formalnością, a schwytanie Kittela i jego co najmniej wątpliwe samobójstwo tylko wzmogło podejrzenia względem Kłosa. Na koniec pośrednio włączył się w sprawę, a przeświadczenie o tym, że to właśnie Kłos jest mordercą, pojawiło się w momencie, gdy dwa dni wcześniej Anna Borucka poinformowała go, że na podrzuconych w mieszkaniu Kittela majtkach Iwanki znajdowały się śladowe ilości maści koloidowych przeznaczonych dla ofiar poparzeń. Na tym zakończył i w hali zapadła martwa cisza.

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie nieświadomy rzeczy dziejących się w opuszczonej kurzej farmie pod Bronkowem doktor Gruszczyński nalał sobie szklaneczkę rumu i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Nie mógł przestać myśleć o Malwinie Klepackiej. Dlaczego nie zareagowała, gdy podsunął jej zdjęcie z wizerunkiem oprawcy? I dlaczego wciąż tak panicznie zachowywała się wobec tej pielęgniarki?

Sięgnął po segregatory dokumentujące chorobę Mariana Kittela, odnalazł miejsce, w którym skończył, i jeden z nich położył sobie na kolanach. Z powrotem zatopił się w lekturze. Zaledwie po kilkunastu minutach trafił na coś, co mocno zbiło go z tropu. Nerwowo potarł brodę. Kojarzył to imię. A może jednak nie? Wrócił pamięcią do nie tak odległej przecież rozmowy z prokuratorem.

– Ewidentne samobójstwo – przekazał mu Magiera. – Facet zrozumiał, że jest w czarnej dupie, i uznał, że śmierć jest lepszym rozwiązaniem. W sumie rozumiem chłopa. Dowody na jego winę są niepodważalne.

– Jego prawniczka mogła powalczyć. Wie pan przecież, że ten mężczyzna leczył się psychiatrycznie.

– Może i mogła, ale nie zdążyła. Kittel wybrał. Zamykamy śledztwo.

Wtedy uznał, że nie ma zamiaru się wtrącać, choć jako lekarz nie mógł pogodzić się z faktem, że podejrzany, o którym było wiadomo, że leczył się psychiatrycznie, został pozostawiony w celi bez nadzoru. Prokurator też podszedł do jego śmierci zbyt lekko. Niby wspominał coś o przeprowadzeniu sekcji, zdjęciu odcisków i przejrzeniu zapisów z monitoringu, ale – choć wtedy doktor nie zwrócił na to uwagi – nie brzmiał zbyt przekonująco.

W głowie Gruszczyńskiego błyskawicznie zaczęły rysować się dziwaczne scenariusze. Zbieg okoliczności? Przypadek? A może przeoczenie?

Poczuł niepokój. Paskudne uczucie. Gorsze od strachu, który zawsze był sprecyzowany. Można było się bać zbira w ciemnej uliczce, utraty pracy albo wizyty wkurwionej teściowej. Niepokój był gorszy, bo sprawiał, że człowiek odczuwał jedynie brak bezpieczeństwa, nieokreślony dyskomfort, przez co nie do końca mógł ufać własnym zmysłom. Z trudem udawało mu się usystematyzować myśli, które bombardowały go niczym deszcz meteorów.

Gruszczyński wychylił szklankę w nadziei, że alkohol nieco rozjaśni mu umysł. Nie poczuł się ani trochę lepiej. Nerwowo przewertował kolejne kartki. Na stronie dwieście osiemdziesiątej ósmej znów pojawiła się pewna nieścisłość. Drobna, ale niebezpiecznie korespondująca z tym, co zauważył wcześniej. Chwilę później natrafił na kolejny błąd. Wtedy jego oddech przyspieszył. Nalał sobie kolejną porcję rumu i od razu wychylił całą zawartość szklanki. Gdy wstał, poczuł, że lekko zakręciło mu się w głowie. Podszedł do okna i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w spływające po szybie krople.

– Przecież to jakaś bzdura – mruknął do siebie, a potem pomyślał o Darii. Miała być za pół godziny. Stęsknił się za nią i miał nadzieję, że spędzą miły i upojny wieczór.

Odwrócił się i zerknął na leżący na ławie segregator. Tylko jedna osoba mogła potwierdzić jego ponure przypuszczenia. Pomyślał o pacjentce z bliznami, a potem że bardzo chciałby się mylić. Wyciągnął telefon, zawahał się i wybrał odpowiedni numer telefonu. Odczekał osiem sygnałów i zrezygnował. Profesor Kochanowski najwyraźniej był zajęty.

Może to i dobrze, przyznał w duchu. Pomyślał, że zadzwoni jutro rano. Dziś pragnął już tylko ciepła silnych dłoni Darii. Spojrzał na zegarek i lekko chwiejnym krokiem poszedł do łazienki.

ROZDZIAŁ 39

Kłos chodził zamyślony tam i z powrotem. Wyglądał na zdenerwowanego tym, co przed chwilą usłyszał z ust Brudnego, ale żaden z jego ludzi nie odważył się skomentować sprawy choćby słowem. Historia trzymała się kupy i nie zdołał przyłapać go na żadnej nieścisłości. Zaklął w duchu, ale zachował kamienny wyraz twarzy. Nie mógł okazać słabości. Ani się wycofać. W końcu przystanął i wyciągnął papierosa. Nerwowo potarł krzesiwo. Będąca na wyczerpaniu zapalniczka zaskoczyła dopiero po kilku nieudanych próbach. Przykucnął i wbił wzrok w zapuchnięte oczy Brudnego.

– Naprawdę jestem pod kurewsko wielkim wrażeniem – powiedział, gdy po raz pierwszy mocno się zaciągnął. Wydmuchnął dym w twarz komisarza. – Legendarny Igor Brudny we własnej osobie, nawet jeżdżąc na pierdolonym wózku inwalidzkim, jest lepszy od całych zastępów komendy miejskiej. Że też nie poznałem cię wcześniej. Moglibyśmy stworzyć naprawdę zgrany duet.

– Gdybyśmy się wcześniej poznali, to zaliczyłbyś niejeden duet, ale za kratkami. Zresztą prędzej czy później zaliczysz. Julka ci nie odpuści.

– Ty mnie fascynujesz, człowieku. Jesteś… – Kłos wyszczerzył zęby i pokręcił z niedowierzaniem głową – …jedyny w swoim rodzaju. Naprawdę żal będzie oddać ziemi takie indywiduum.

– Zapłacisz za to – odgryzł się Brudny. – I Magiera też, jeśli jest w to zamieszany. Zapłacicie obaj. Prędzej czy później.

– Magiera? Co ty, kurwa, z tym Magierą? – zapytał Kłos szczerze rozbawiony. – Magiera to pajac, ale rzeczywiście nie dałbym sobie ręki uciąć, że jest święty. Skoro taki jesteś mądry, to pewnie wywęszyłeś, że pół zawodowej kariery współpracował z tym cwelem Bolem. Bol był na tej waszej liście zboczuchów, mam rację?

Brudny nie pamiętał, aby to nazwisko występowało na liście ludzi zaangażowanych w udział na imprezach spod szyldu „dark party”, ale po pierwsze nie widział jej kompletnej, a po drugie miało to teraz trzeciorzędne zna-

czenie. Uznał, że może przyznać Kłosowi rację, dzięki czemu podleje mu paliwa do dalszych wynurzeń.

– Był – potwierdził, nieznacznie kiwając głową. – Co nie zmienia faktu, że to ty na wszystkim trzymasz łapę. Powiedz, Artur… Dlaczego zabijałeś te dziewczyny? To jakiś chory fetysz? Brandzlujesz się, taplając się we krwi?

– Pudło, przyjacielu. I zastanowiłbym się nad…

– Nie jestem twoim przyjacielem! – syknął Brudny.

– Owszem, nie jesteś – odparł spokojnie Kłos. – Ale jeśli jeszcze raz mi przerwiesz, to Mirek utnie ci ucho.

Brudny instynktownie zerknął w stronę mężczyzny trzymającego nożyce. Facet od blisko kwadransa nie odłożył ich ani na chwilę. Komisarz przełknął ślinę. Dalsze drażnienie Kłosa było w tej chwili bezcelowe.

– Wytłumacz mi tylko: dlaczego? – Brudny uderzył w kapitulanckie tony. Z powrotem złowił spojrzenie Kłosa. – Ty jesteś Maksymilianem, mam rację? – zapytał z rezygnacją w głosie

– Kim? – Kłos zmarszczył brwi.

– Maksymilianem. Przecież jakoś ściągacie tu te dziewczyny. A może jest nim któryś z twoich kundli? – Brudny omiótł pozostałych mężczyzn pogardliwym spojrzeniem.

Kłos przez chwilę analizował słowa komisarza. Zgasił peta pod butem i przeniósł wzrok na swoich ludzi, ale nikt nie zareagował w sposób sugerujący, że może się domyślać, o co chodzi. Pomyślał, że wyjaśni to później, bo najwyraźniej nie był o wszystkim informowany. Z powrotem skupił uwagę na więźniu, a następnie wyciągnął z kieszeni płaszcza paczkę papierosów. Wyjął dwa i jednego wcisnął w usta Brudnego.

– Zasługujesz, żeby przed śmiercią poznać prawdę – powiedział, nachylając się w jego stronę. – A prawda jest taka, że zabiłem tylko Iwankę. I nie dlatego, że chciałem, ale dlatego, że musiałem, bo mój głupi brat w akcie kolejnego napadu nienawiści do całego świata, zamiast poruchać jak człowiek, najpierw ją przydusił, a potem pociął tak, że pozostało ją jedynie dobić. Wyświadczyłem dziewczynie przysługę.

Kłos wyciągnął zapalniczkę i kilkakrotnie potarł krzesiwo, ale srebrna zippo tym razem odmówiła posłuszeństwa na dobre. Cmoknął z niesmakiem i wsadził ją z powrotem do kieszeni. Niemal natychmiast doskoczył do niego Gimbus.

– Proszę, szefie – zaoferował pomoc, zapalając swoje nowe cacko.

– Najpierw naszemu gościowi – rozkazał Kłos.

Brudny skorzystał i mocno się zaciągnął. Jego powieka nieznacznie drgnęła, kącik ust cofnął się w grymasie zadowolenia. Kłos również nabrał dymu w płuca, ale widząc nie do końca dla niego zrozumiałą reakcję komisarza, poczuł nagły przypływ niepokoju, który po chwili gwałtownie przybrał na sile. Przewiercił go wzrokiem, a chwilę później nieznacznie uniósł głowę. Wyszczerzył zęby.

– Skąd to masz? – wycedził do mięśniaka, który odruchowo zdążył zrobić krok w tył.

– Jemu zajebałem – odparł z dumą Gimbus. – Plazmowa. Działa nawet po wyjęciu z wody. Przeczytałem w internecie.

W jednej chwili wszystkie mięśnie na twarzy Kłosa stężały. Powoli skierował wzrok na Brudnego, który ponownie mocno się zaciągnął. Ich spojrzenia się spotkały. Ciemne tęczówki komisarza lśniły blaskiem triumfu.

– Ty debilu… – jęknął pod nosem Kłos.

– Mówiłem, że Gimbus to kandydat na lidera – zakpił Brudny.

– Ty jebany debilu! – Kłos wyprostował się i doskoczył do swojego człowieka. Wyrwał mu z ręki zapalniczkę i panicznie zaczął przyglądać się urządzeniu.

– Przegrałeś, Artur – mruknął Brudny, wydmuchując dym. – Każde twoje słowo zostało zarejestrowane. Bez wyjątku. Przyznałeś się do zabicia Iwanki przed całkiem sporym audytorium.

Kłos roztrzaskał zapalniczkę o podłogę, a chwilę później wyciągnął z kabury pistolet i podbiegł do zabitego deskami okna. Odruchowo odbezpieczył broń, ale widok leżącego twarzą do ziemi człowieka, który miał stać na czatach, i kilkunastu uzbrojonych po zęby kontrterrorystów obstawiających wszystkie wyjścia sprawił, że poczuł mdłości. Padły pierwsze ostrzeżenia. Kątem oka zobaczył, jak jego ludzie rozpierzchli się w panice w poszukiwaniu kryjówki, ale bliżej im było do bezgłowych kurczaków niż trzeźwo myślących bandytów. Kolejne komendy Kostyry sprawiły, że dwóch z nich odrzuciło broń i z rękoma za głową przyklękło na betonowej podłodze.

– Jebany Igor Brudny – bąknął pod nosem Kłos, a potem powtórzył to jeszcze kilka razy, głośniej i głośniej. Wtedy zawładnął nim niepohamowany gniew. Twarz przybrała bordowy kolor i niczym rozjuszony byk ruszył w kierunku siedzącego na krześle więźnia.

– Stój, bo strzelam! – rozległo się z drugiej strony hali.

Komisarz się nie zatrzymał. Uniósł rękę i wycelował w głowę Brudnego, ale wtedy halę rozdarła seria wystrzałów. Pięć z sześciu pocisków wbiło się w klatkę piersiową Artura Kłosa. Każdy przeszył jego ciało na wylot, tworząc wokół poszarpanego korpusu szkarłatną mgiełkę. Chwilę później ciało policjanta runęło na upstrzoną szczurzymi odchodami podłogę i szarpnięte kilkoma ostatnimi spazmami zamarło na zawsze.

Julia Zawadzka stała w wejściu z dymiącym pistoletem i płakała.

ROZDZIAŁ 40

4 dni później

Jechali w milczeniu.

Brudny ustawił stację, w której leciały jakieś spokojne kawałki. Nie znał ani tytułów, ani wykonawców, ale w jego ocenie wydawały się w miarę neutralne. Nie wiedział, czego się spodziewać. I dawno nie czuł się tak zagubiony.

– Chcielibyśmy z tobą porozmawiać – zagadnął Justynę Klepacką, gdy ta kilka godzin wcześniej zeszła do salonu. Tak naprawdę w ogóle nie chciał, ale wiedział, że tym razem nie ma wyjścia.

– Coś się stało? – Jego klientka uśmiechnęła się przyjaźnie, ale gdy dostrzegła poważne miny gospodarzy, wyraz jej twarzy się zmienił.

– Usiądź, proszę.

Dziewczyna przysiadła na brzegu sofy i położyła dłonie na kolanach. Błyskawicznie dotarło do niej, że Brudny nie ma dobrych wieści. Jej oczy się zaszkliły.

– Gdy zgodziłem się przyjąć to zlecenie, zaznaczyłem, że mogę nie podołać – zaczął komisarz. Obok siedziała jego partnerka, ale poprosił ją, aby nie wtrącała się, dopóki nie skończy mówić. – Nie chciałem rozbudzać w tobie niepotrzebnej nadziei, mimo to postanowiłem spróbować i… – Przełknął ślinę i przygryzł dolną wargę.

– Czy moja siostra… nie żyje? – Klepacka ledwo wyjąkała ostatnie słowa.

– Twoja siostra… – Brudny nabrał powietrza. – Twoja siostra… żyje, ale…

– Boże Przenajświętszy…

– Żyje, ale nie jest już tą samą osobą, którą znałaś wcześniej.

Wiedział, że gdy wypowie te słowa, znów wleje nadzieję w serce swojej klientki. Ale nie potrafił zacząć inaczej. Przez trzy noce układał sobie w głowie kolejne zdania, ale za każdym razem wychodziło fatalnie. Zaangażował się w tę sprawę bardziej, niżby chciał, i miał wrażenie, że nigdy nie zdoła wydusić z siebie ponurej prawdy.

– Gdzie się znajduje? Czy jest bezpieczna? Czy można się z nią zobaczyć? – dopytywała Klepacka, wyraźnie podekscytowana.

– Twoja siostra jest bezpieczna i będziesz mogła się z nią zobaczyć, ale…

– Dziękuję. Boże… – Rozpłakała się. – Dziękuję ci, Igor. Wiedziałam, że…

– Twoja siostra znajduje się w izolatce szpitala psychiatrycznego w Ciborzu, gdzie jako ofiara długotrwałych tortur jest poddawana leczeniu.

Brudny odetchnął i poczuł, że z serca spadł mu ogromny ciężar. Klepacka, która chwilę wcześniej poderwała się z sofy, zamarła. Zapadła cisza. Przez twarz jego klientki przemknął grymas niezrozumienia. Zmarszczyła brwi i lekko rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz zamknęła je z powrotem. Powtórzyła to kilka razy niczym wyciągnięta na powierzchnię ryba. Mięśnie jej twarzy drgnęły nienaturalnie w kilku miejscach, a jej prawa ręka powędrowała do klatki piersiowej.

– Torturowana? – wyjąkała, niemal dzieląc słowo na pojedyncze sylaby.

– Twoja siostra nie jest już tą samą osobą, którą była kiedyś – powtórzył Brudny. Chciał, aby ta informacja dotarła do niej jak najszybciej. – Znajduje się w stanie katatonii, ale jeśli chcesz ją zobaczyć, to umówiliśmy spotkanie z doktorem Gruszczyńskim na osiemnastą. Musisz być jednak przygotowana, że Malwina może cię nie rozpoznać albo w ogóle nie zareagować na twoją obecność.

– Na pewno mnie rozpozna. Jestem jej siostrą! – W jej tonie znów dało się wyczuć nutę nadziei.

– Twoja siostra bywa też agresywna. Jej stan jest bardzo ciężki. Doktor twierdzi, że wręcz ekstremalnie ciężki, w związku z czym prawdopodobnie będzie musiała pozostać w izolacji przez długi czas.

– Ale… ale… – Klepacka zacisnęła usta. – Po prostu chcę ją zobaczyć…

Od tamtej pory prawie nie rozmawiali. Godzinę przed wyjazdem plany uległy zmianie, bo do Julki zadzwonił Tomasz Wójt, inspektor z Biura Spraw Wewnętrznych, nadzorujący powstały w komendzie bałagan. Dzień

wcześniej jako jedyna została odwieszona i zastanawiała się, czy ten gest nie ma drugiego dna.

– Otrzymałem informację, że pani komisarz miała najlepszy kontakt z panią mecenas Amandą Burdą – powiedział, gdy już się przywitali.

– To określenie jest zdecydowanie na wyrost – odparła.

– Mimo wszystko chciałbym prosić panią o pomoc. Na adres komendy wpłynęło właśnie pismo od mecenas Burdy, w którym to pani mecenas stawia policji szereg zarzutów i chce zadośćuczynienia za wszystkie krzywdy wyrządzone jej klientowi. To długa litania i…

– I co ja mam z tym wspólnego? – weszła mu w słowo.

– Chciałbym, aby pani niezwłocznie pojechała i spróbowała nieco załagodzić sytuację. Mamy wystarczająco dużo problemów do rozwiązania i wolelibyśmy nie otwierać kolejnego frontu.

– Mam świecić oczami za Kłosa i jego bandę?

– Proszę tylko, aby pani spróbowała.

– Niczego nie obiecuję.

– Dziękuję.

Brudny nawet ucieszył się z takiego obrotu sprawy. W jego relacji z Justyną było coś intymnego, coś, co mogło w jakiś metafizyczny sposób połączyć jedynie dwoje doświadczonych przez życie sierot. To głównie z tego powodu wziął tę sprawę. W tej dziewczynie widział lustrzane odbicie wielu swoich koleżanek z sierocińca, które z różnych powodów po opuszczeniu piekła zgotowanego im przez Gwidonę nie poradziły sobie w dorosłym życiu.

Postanawiając jej pomóc, nie spodziewał się jednak, że konsekwencje jego decyzji będą tak tragiczne. Gdyby nie pojawiła się u niego w domu, prawdopodobnie nigdy nie zainteresowałby się losem jej siostry, Julka pewnie wspomniałaby o makabrycznym przypadku, a on przyjąłby to jako znak chorych czasów, w których przyszło im żyć. Tożsamość Malwiny Klepackiej zapewne pozostałaby tajemnicą, a Brudny nie zaangażowałby się w śledztwo, które ostatecznie doprowadziło ich do porażającej prawdy.

Gdy późną nocą po akcji na fermie – położył się do łóżka, długo nie mógł zasnąć. Nie dlatego, że bolał go każdy centymetr ciała, a śliwa pod okiem urosła do rozmiarów, których nie powstydziłby się rywal powalony na deski przez Mike’a Tysona. Brudny przeżył w życiu gorsze rzeczy i kilka nowych zadrapań czy siniaków nie robiło na nim większego wrażenia. Sen nie przychodził z zupełnie innego powodu.

– Myślisz, że więcej funkcjonariuszy może być w to zamieszanych? – zapytała go Julka, która kończyła rozczesywać włosy.

– Nie wiem, ale odnoszę wrażenie, że ta zaraza zaczyna się plenić wszędzie. Te skurwysyny z Wiejskiej podporządkowały sobie prokuraturę, a na stanowisko komendanta głównego awansowały uległego partii frajera, który dodatkowo jest arcydebilem. Korumpują na potęgę, kupczą stanowiskami, zastraszają i grożą wszystkim, którzy widzą ich machloje. Sprawy młodego Czabańskiego, a teraz Kłosa dobitnie pokazały, że policja nie jest już w stanie wypełniać swoich obowiązków względem obywateli.

– Dalej to w tobie siedzi?

– Nie chodzi o mnie, Julka. Chodzi o całokształt. O to, że żyjemy w chorym i niewydolnym kraju, na którego czele stoi człowiek chory psychicznie. Facet otoczył się bandą usłużnych psychopatów, którzy czują się zupełnie bezkarni. Kradną, urządzają sobie „dark party” i jeszcze do tego kryją księży, którzy gwałcą dzieci. Czy to jest, kurwa, normalne? Czy obywatele naprawdę tego nie widzą? Jak się później dziwić, że taki syn Czabańskiego morduje dziewczynę w toalecie i czuję się zupełnie bezkarny? Powiem ci, Julka. Bo doskonale wie, że tatuś zaraz zamiecie sprawę pod dywan.

– Świata nie zmienisz, Igor. – Westchnęła. – Sam mówiłeś, że wybraliśmy tę robotę, bo jesteśmy, jacy jesteśmy.

– Chcę powiedzieć, że przykład idzie z góry. Jeśli taki Magiera stoi po stronie władzy, to choćby udowodniono mu, że kroił te kobiety, to włos mu z głowy nie spadnie. Mam ci przypomnieć, kto odpowiedział za udział w Dark Heart?

Doskonale wiedziała, że nikt, choć na liście klientów organizacji założonej przez przychylnego władzy chirurga plastycznego z Sopotu, Ludwika Dostojnego, znajdowało się przynajmniej kilkanaście nazwisk ze świata polityki. Klub, w którym wykorzystywano młode kobiety i mężczyzn do skrajnie wyuzdanych praktyk seksualnych, często ocierających się o tortury, po przejęciu sprawy przez CBŚ po prostu zniknął, jakby go nigdy nie było. Brudny mógł się tylko domyślać, że służby miały pełne ręce roboty. Ich ludzie grozili, zastraszali, w najlepszym wypadku korumpowali wszystkich, którzy mogli mieć jakiekolwiek informacje na temat tego, co działo się w dark klubach. On sam miał pecha spotkać się z jednym z nich, gdy przypadkiem wpadł na trop mordercy młodej dziewczyny. Fakt, że na jego celowniku znalazł się syn wiceministra Bożydara Czabańskiego, sprowadził

na niego nie lada kłopoty i ostatecznie został zmuszony, aby młodemu odpuścić.

– Nie możesz ciągle żyć tamtą sprawą, Igor. – Zawadzka usiadła na brzegu łóżka. – Bez sensu się zadręczasz rzeczami, na które nie masz wpływu. W ogóle ostatnio zacząłeś wszystko brać za bardzo do siebie.

– Ale powiedz szczerze, Julka. – Posłał jej surowe spojrzenie. – Naprawdę myślisz, że Magiera za to odpowie? Albo ta cała Pawlicka?

– Jemu jeszcze niczego nie udowodniono, a to, że we Wrocławiu próbował robić karierę pod skrzydłami Bola, jeszcze nie znaczy, że po przyjeździe do Zielonej zaczął mordować prostytutki. Zresztą nie zgadzam się z twoją hipotezą. Moim zdaniem to nie on.

– Może tak, a może nie, ale to gość ściśle powiązany z władzą. I wcale nie twierdzę, że to on zabijał. Równie dobrze to mógł być jakiś klient Pawlickiej, a jeśli Magiera pracował we Wrocławiu na stanowisku prokuratora okręgowego piętnaście lat, a ona przez cały ten czas ani razu nie usłyszała zarzutów, to raczej nie świadczy o nim najlepiej.

– Nie wiem, Igor. – Westchnęła. – I może dajmy sobie dziś spokój. To już nie nasza sprawa.

– Pawlicka z łatwością wywinęła się ze sprawy dark klubów, bo od lat na imprezy dostarczała tym skurwysynom swoje panienki. I teraz też włos jej z głowy nie spadnie. Wspomnisz moje słowa, Julka.

Kolejne dni spędził w domu. Nie zdołał się całkiem odciąć, bo już dwa dni po akcji pojawili się u niego funkcjonariusze z BSW. Powiedział tyle, ile uznał za stosowne, a gdy usłyszeli o historii z zapalniczką, otworzyli usta ze zdumienia.

– To była jedyna możliwość, aby przejść kontrolę wykrywaczem podsłuchów – wyjaśnił Brudny. – Założyłem, że Kłos będzie ostrożny i upewni się, czy nie mam jakiegoś nadajnika. Tak naprawdę długo nie wiedzieliśmy, jak z tego wybrnąć. Ostatecznie na pomysł wpadł aspirant Mściwój Kruszwica. Jako uczestnik tych wszystkich szkoleń organizowanych przez służby specjalne ma wiele gadżetów, w tym plazmową zapalniczkę z nadajnikiem i mikrofonem. Taką odporną na każdą pogodę, co działa nawet po wyciągnięciu z wody. Uznaliśmy, że gdy ludzie Zbycha mnie dopadną, to najpierw opróżnią moje kieszenie i zabiorą zawartość. Tego typu zapalniczka to najnowszy gadżet i któryś z nich mógł się na taką połakomić. Plan zadziałał.

Wewnętrzni nie próbowali robić mu pod górkę. Gdyby się uparli, to pewnie by mogli, ale mu odpuścili, a jeden z nich na wychodne uścisnął mu rękę i powiedział:

– To zaszczyt móc poznać pana osobiście, komisarzu Brudny.

Brudny tylko skinął i odprowadził ich wzrokiem. Z relacji Julki, którą przesłuchali na komendzie, dowiedział się, że naczelnik wydziału Marek Kotowicz został zawieszony już dzień po akcji, a czterdzieści osiem godzin później to samo spotkało komendanta Wacława Niemca. Ku jego zaskoczeniu tego samego dnia Magiera również musiał – przynajmniej czasowo – spakować swoje graty, bo choć nagrany na kurzej fermie materiał nie był dla niego obciążający, to słowa Kłosa rzuciły cień podejrzeń, który trudno było zupełnie zignorować. Niestety, tajemnicą pozostawały dla niego działania wobec Grażyny Pawlickiej, bo choć sam Kłos nie mógł już zeznawać, to przed śmiercią zdążył zdradzić wystarczająco dużo, aby taki materiał mógł służyć za mocny dowód przeciwko osławionej Małpie. Do tej pory nie usłyszał o jej aresztowaniu i podejrzewał, że nigdy nie usłyszy, choć przecież za kratkami siedziało jej czterech ludzi, w tym dwóch synów, co też teoretycznie powinno zadziałać na korzyść prokuratury. Proces dochodzenia do prawdy mógł trwać miesiącami, bo należało podjąć wiele innych wątków, w tym rozwikłać sprawę śmierci Kittela, w którą mogło być zaangażowanych więcej osób, choćby skorumpowani strażnicy zielonogórskiego aresztu, a może nawet sam dyrektor. I pewnie nie przejąłby się tym wszystkim aż tak bardzo, gdyby nie jeden fakt, który do tej pory nie dawał mu spokoju.

„Prawda jest taka, że zabiłem tylko Iwankę” – powiedział mu wtedy Kłos i Brudny nie miał wątpliwości, że nie kłamał. Wystarczyło, aby wsadzić go na resztę życia za kratki, ale nie wyjaśniało, co stało się z dwoma kolejnymi kobietami. Mógł domniemywać, kto za tym stoi, ale to nie zmieniało faktu, że „Wampir” najprawdopodobniej wciąż znajdował się na wolności.

Maksymilian.

Bardzo by nie chciał uwierzyć w szczere zaskoczenie Kłosa, ale musiał przyznać, że ten gnojek naprawdę nie wiedział, o co chodzi. Postawienie hipotezy, że za morderstwami stał Magiera, miało co prawda pewne podstawy, ale w świetle dowodów nie było najmniejszych szans na obronienie jej w sądzie. Pawlicka? Ona z pewnością byłaby do tego zdolna, przynajmniej pośrednio, organizując młode kobiety dla wyjątkowo zwyrodniałego,

ale bardzo bogatego i wymagającego klienta. Ale czy wcześniej nie uprzedziłaby o tym swojego współpracownika z policji? Owszem, mogła nie chcieć informować o tego typu procederze nikogo, ale czy w związku z tym nie zadbałaby o usunięcie ciał zamordowanych kobiet? Brudny odnosił wrażenie, że zamiast przybliżać się do rozwiązania zagadki, z każdym kolejnym dniem oddala się od poznania prawdy.

Kim był ten cholerny Maksymilian?

Z zamyślenia wyrwał go sygnał smartfona. Odczytał wiadomość. Alert Rządowego Centrum Bezpieczeństwa ostrzegał przed gwałtownymi burzami, które miały nawiedzić zachodnią część kraju. Ulewne deszcze, gradobicie, a nawet trąby powietrzne – o tym usłyszał już w porannych wiadomościach. Wychylił się i omiótł wzrokiem niebo. Ciemne chmury rzeczywiście zwiastowały zmianę pogody, podobnie coraz mocniej szarpane wiatrem korony drzew.

Zerknął na pasażerkę. Justyna Klepacka siedziała na miejscu obok i podpierając brodę dłonią, wpatrywała się w mijane drzewa i wirujące liście. Gdy w oddali wyłoniła się tablica informująca o miejscu docelowym, na przednią szybę spadły pierwsze krople. Brudny włączył kierunkowskaz i skręcił w boczną drogę prowadzącą bezpośrednio do bramy Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego dla Nerwowo i Psychicznie Chorych.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Jego klientka wyrwała się z letargu i posłała mu zdawkowy uśmiech. Zupełnie niepotrzebnie poprawiła kołnierzyk koszuli. Widział, że bardzo się denerwuje.

Brudny zatrzymał się w tym samym miejscu, gdzie wcześniej, na małym parkingu pomiędzy strzelistymi sosnami. Spojrzał na zegarek. Byli siedem minut przed czasem. Kolejny podmuch wiatru strącił z drzew kilka szyszek, które zadudniły o dach patrola. Z głośników wciąż sączyła się muzyka. Nie kojarzył tego utworu, choć idealnie wpisywał się w melancholijną atmosferę. Odczekał jeszcze kilka sekund i wyłączył silnik. Muzyka ucichła.

– Na pewno czujesz się na siłach? – zapytał, spoglądając Klepackiej w oczy. Jej twarz zdawała się zupełnie bez wyrazu. Nie był w stanie odczytać z niej żadnych emocji.

– Tak – odparła. – Chodźmy już, proszę.

Brudny wygramolił się z pojazdu i wyciągnął kule. Zerknął w niebo. W oddali rozległ się grzmot. Powolnym krokiem ruszył do drzwi budynku numer czterdzieści osiem. Klepacka zadzwoniła domofonem i chwilę póź-

niej na schodach pojawiła się znajoma pielęgniarka. Wyglądała na rozdrażnioną faktem, że ktoś przerywa jej rutynowy cykl pracy. Jeszcze zza szyby posłała Brudnemu dwuznaczne spojrzenie. Skinął na powitanie, gdy otworzyła drzwi.

– Za mną, proszę – rzekła i ruszyła korytarzem w kierunku windy, pozostawiając za sobą snującą się smugę znajomego Black Opium.

W windzie nie odezwała się ani słowem, przez cały czas wpatrując się w zamknięte drzwi. Dopiero gdy się rozsunęły, znów rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Brudny olał to kompletnie, ale gdy wyszedł na korytarz, poczuł nagły przypływ niepokoju. Zwykle ufał swojej intuicji, ale tym razem tylko potrząsnął głową i ruszył śladami Ireny. Przystanął dopiero przed drzwiami prowadzącymi do biura doktora Gruszczyńskiego. Obejrzał się za siebie. Gdzieś z głębi oddziału niósł się odgłos płaczącej kobiety. A może mu się tylko wydawało?

– Czy coś się stało? – zapytała Irena, marszcząc wymuskane brwi.

– Nieee… – odparł, a potem z wolna przekroczył próg.

Doktor Gruszczyński właśnie zalewał kubki wrzątkiem. Wtedy instynkt znów dał o sobie znać. Brudny poczuł się nieswojo i zerknął na swoją klientkę. Wyciągnęła dłoń i dygnęła lekarzowi na powitanie. Maksymilian, przemknęło mu przez myśl. Maksymilian…

Pacjentka na oddziale. Stupor. Katatonia. Pielęgniarka?

Kątem oka zobaczył, że Irena nie spuszcza z niego wzroku. Ten zapach. Wzdrygnął się i odsunął od siebie myśl, która nagle wykiełkowała w jego głowie.

– Czarna, jeśli dobrze pamiętam – powiedział Gruszczyński, wręczając mu kubek z kawą. Brudny ją przyjął. – Gorąca, ale z panią Klepacką chwila nam zejdzie. Pani Irena odprowadzi pana do poczekalni.

– Mam opuścić gabinet? – upewnił się.

– Yhm. – Gruszczyński upił łyk kawy, wymownie unosząc brwi.

– Czy to konieczne?

– Tak.

– Wolałabym, żeby Igor został i… – włączyła się Klepacka, ale doktor nie dał jej dokończyć myśli.

– Porozmawiamy bez osób trzecich – przerwał jej w pół zdania. – Najpierw muszę ocenić, że jest pani w odpowiednim stanie psychicznym. Gdy uznam, że tak, przygotuję panią na to, czego powinna się pani spodziewać

po wejściu na oddział. Proszę mi wierzyć, że spotkanie z siostrą może okazać się dla pani dużym szokiem.

– Ale…

– Takie są procedury, pani Klepacka – wszedł jej w słowo. Jego ton był szorstki, nieznoszący sprzeciwu. – Nie mogę pozwolić sobie na takie ryzyko i nieprzewidzianą reakcję, która mogłaby zakłócić porządek na moim oddziale. Najpierw rozmowa w cztery oczy. Dopiero później wizyta w izolatce.

Brudny posłał klientce wymowne spojrzenie. Musiał przystać na warunki Gruszczyńskiego. Skinęła porozumiewawczo i komisarz odwrócił się w stronę pielęgniarki, która gestem dłoni zachęciła go do pójścia przodem. Na dworze już lało. Deszcz tłukł o szyby. Słyszał gwizd wzmagającego się wiatru. Irena uśmiechnęła się sztucznie. Brudny odpowiedział jej równie wymuszonym uśmiechem i poczłapał w kierunku korytarza, nie mogąc opędzić się od wrażenia, że coś jest nie tak.

Maksymilian…

Dlaczego teraz? Zapach jej perfum drażnił go. Źle mu się kojarzył. Arleta Winnicka. Eliza. One też go używały.

Szpital psychiatryczny.

Gdy wyszedł z powrotem na korytarz, uczucie niepokoju wzmogło się jeszcze bardziej. Było poparte czymś więcej, jakby w końcu uchwycił coś, co mu do tej pory umykało. Irytowało go, że nie jest w stanie określić, co konkretnie, ale czuł, że jest bliżej rozwiązania zagadki niż kiedykolwiek wcześniej. Siadając na krzesełku, nie miał pojęcia, że jej rozwiązanie ma na wyciągnięcie ręki.

ROZDZIAŁ 41

Droga do Łochowic minęła jej na słuchaniu ulubionych kapel spod znaku Guns N' Roses i AC/DC. Niewielka miejscowość znajdowała się nad urokliwym jeziorem, a w zasadzie siatką mniejszych i większych akwenów, otoczonych przez gęste liściaste lasy. Nawigacja z początku wyprowadziła ją w pole, ale gdy spytała jednego z mieszkańców o dom państwa Burdów, starszy mężczyzna od razu usłużnie wskazał jej drogę.

– Jaki to dom? To rezydencja jak u Carringtonów – rzekł z zachwytem w głosie. – Wie pani, tych z *Dynastii*, co to kiedyś leciała w telewizji. Oglądała pani?

– A kto nie oglądał? – Posłała mu przyjazny uśmiech. – Dziękuję panu bardzo.

– Nie ma za co. I proszę pozdrowić naszą dobrodziejkę od Giedymina. Dużo tu robi dla mieszkańców. Ostatnio zasponsorowała plac zabaw i nowe zjeżdżalnie na plaży dla dzieciaków.

– Na pewno pozdrowię.

Raz jeszcze się uśmiechnęła i z wolna ruszyła w kierunku, który wskazał jej mężczyzna. Jego słowa trochę ją zaskoczyły, bo Burda nie wyglądała na taką, która angażuje się w życie lokalnej społeczności. Jej wizerunek mógł być jednak mocno skrzywiony przez sytuację, w jakiej się poznały. Wzięła to za dobry znak, w nadziei że mecenaska w rzeczywistości nie jest aż taką jędzą i jeśli odpowiednio ją podejdzie, to może jednak uda się coś ugrać.

Do celu dotarła pięknie i równo wyasfaltowaną drogą, wijącą się przez kilka kilometrów pośród niewielkich jezior i okazałych dębów i buków. Nijak miała się ona do tych, którymi dotarła do Łochowic, i musiała zostać wylana na koszt Burdy. Zatrzymała się przy bogato zdobionej bramie. Słowa napotkanego mężczyzny nie były przesadzone. Teren ogrodzony był wysokim murem, który ciągnął się kilkadziesiąt metrów w każdą stronę, a do skrytej za drzewami willi prowadziła droga wyłożona dwukolorową kostką brukową. Julia przyjrzała się zamontowanej na zdobionej kolumnie

kamerze. Gospodyni nie spodziewała się jej wizyty, bo choć z początku Zawadzka chciała się zapowiedzieć, postanowiła tego nie robić, żeby mecenaska nie zdążyła się przygotować i na dzień dobry nie zasypać jej lawiną paragrafów. Pewnie mogłaby to zrobić tak czy inaczej, ale efekt zaskoczenia zawsze dawał jej ciut większą szansę na powodzenie misji. Gdyby Burdy nie zastała, wróciłaby do domu i spróbowała następnego dnia.

Wysiadła z samochodu akurat w momencie, gdy na zachodzie zagrzmiało. Spojrzała w tamtą stronę i niebo w oddali rozbłysło serią błyskawic. Okoliczne drzewa przechyliły się pod gwałtownym podmuchem wiatru. Gdy na twarzy poczuła pierwsze krople, postanowiła nie zwlekać i podeszła do domofonu. Nacisnęła przycisk i zerkając w kamerę, założyła kosmyk włosów za ucho. Urządzenie zatrzeszczało dopiero po szóstym sygnale.

– Pani komisarz? Nie spodziewałam się pani – dobiegło z głośnika. W tonie gospodyni dało się wyczuć niezobowiązujące tony.

– Dzień dobry, pani mecenas. Przyjechałam z panią porozmawiać.

– W jakiej sprawie, jeśli wolno zapytać?

– Nie zajmę pani dużo czasu.

– Mój czas jest cenny, pani komisarz. Poza tym nie sądzę, aby przyjechała tu pani z własnej woli – rzekła, wyraźnie kładąc akcent na ostatnie dwa słowa.

– Nie będę pani oszukiwać – odparła Zawadzka, uznając, że nie ma sensu udawać. Burda z niejednego pieca chleb jadła i pewnie spodziewała się, że komenda w jakiś sposób będzie chciała się z nią ułożyć. – Otworzy pani bramę, pani mecenas?

Głośnik zamilkł i przez kilkanaście sekund nic się nie działo. W pewnym momencie Zawadzka pomyślała, że Burda w ten mało elegancki sposób postanowiła się z nią pożegnać, ale wtedy mechanizm jęknął i brama z cichym brzękiem zaczęła powoli się rozsuwać. Gwałtowny podmuch zerwał z drzew liście, które zawirowały wokół jej samochodu. Zawadzka wsiadła z powrotem za kółko. Coraz silniejszy deszcz sprawił, że wycieraczki automatycznie zaczęły zbierać wodę z przedniej szyby, przy okazji pozbywając się też kilku opadłych liści.

Zaparkowała w specjalnie wyznaczonym miejscu przy jednym z dwóch garaży. Widok nowoczesnej bryły sprawił, że aż mruknęła. Nie spodziewała się takiego przepychu. Dwukondygnacyjny budynek na pierwszy rzut oka przypominał dzieło nie do końca ogarniętego architekta, ale ostateczny

efekt zwalał z nóg. Ściany z kilku nieregularnie nałożonych na siebie czworokątów były niemal w całości przeszklone, na piętrze znajdował się duży taras w kształcie litery „L” i dwa mniejsze, na wszystkich stały elegancko przycięte krzewy. Wbita klinem w środek budynku przeszklona klatka schodowa dodawała ekstrawagancji, podobnie jak część z podświetlonym basenem. Zawadzka nawet nie próbowała zastanawiać się, ile może kosztować taka nieruchomość, ale nie wątpiła, że grube miliony.

Wyskoczyła z samochodu i podbiegła w kierunku białych drzwi, które idealnie współgrały z jasnobeżową elewacją. Stanęła pod daszkiem. W tej chwili niebo było już niemal czarne od chmur burzowych i rozpadało się na dobre. Gdzieś w oddali gruchnął kolejny grzmot. Poszukała przycisku dzwonka, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich mecenas Burda. Gestem zaprosiła Julkę do wnętrza domu.

– Ma pani ochotę na kawę czy drinka? – zapytała, kierując się w stronę salonu.

– Kawa może być – odparła Julka.

– Choć pewnie wolałaby pani drinka – rzuciła. – Proszę się nie krępować. Wiem, że większość policjantów jeździ po alkoholu i obiecuję, że nie zadzwonię do komendanta, jeśli pani jednak się skusi. Mam doskonałą whisky. Lagavulin to niebo w gębie. Nalać?

– Podziękuję.

Nie miała pojęcia, co to za whisky, ale nazwa brzmiała dumnie i sądząc po rozmachu, jaki panował w salonie, jej cena zapewne nie składała się z trzech cyfr. Tak naprawdę chętnie by się napiła i przez następnych kilkanaście sekund poważnie rozważała taką możliwość, ale ostatecznie uznała, że nie powinna, nawet jeśli wspólny drink pomógłby przełamać lody. Usiadła w gustownym fotelu i obserwowała Burdę, która najpierw nastawiła połyskujący ekspres, a następnie sięgnęła po karafkę i dwie szklanki. Postawiła wszystko na ławie, ale nalała tylko sobie, a gdy ekspres skończył pracę, przyniosła jej filiżankę z kawą. Rozgościła się w fotelu naprzeciwko i założyła nogę na nogę. Biła od niej niewiarygodna pewność siebie i Zawadzka pomyślała, że jej misja jest z góry skazana na porażkę.

– Zwykle zaczęłabym od konwenansów, ale tym razem chyba sobie odpuścimy – rzekła i upiła łyk whisky.

– Myślę, że to rozsądne wyjście – odparła Zawadzka.

– To dobrze. – Burda w akompaniamencie brzęku kostek lodu odstawiła szklankę na ławę. – Rozumiem, że przysłało panią BSW. Czego ode mnie

chcą?

– Negocjować.

– Negocjować… – Burda zarechotała. Zawadzka odczytała to jako wyraz pełnej kontroli nad sytuacją. – Mój klient nie żyje i już nic mu życia nie wróci. Co niby te bufony chcą mi zaoferować? – Mecenas rozłożyła ręce, jakby chciała podkreślić, w jakim miejscu obecnie się znajdują. – Naprawdę myśli pani, że może przyjechać do mojego domu i coś mi zaoferować?

– Nie. Wcale tak nie myślę, pani mecenas. Wykonuję tylko swoją pracę.

– Może gdyby wykonywała ją pani lepiej, to nie doszłoby do śmierci mojego klienta, mam rację?

Zawadzka dopiero teraz chwyciła filiżankę. Wykorzystała ten moment, aby poszukać odpowiedzi. Burda właśnie ją obraziła, ale musiała zachować spokój.

– Gdybym wykonała ją gorzej, to człowiek, który najprawdopodobniej przyczynił się do śmierci pani klienta, dalej by żył – odparła, odstawiając filiżankę na ławę.

– Hmm…

– Może pani myśleć na mój temat, co chce, ale akurat w tej sytuacji jestem po pani stronie. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby dobrać się do skóry Kłosowi i jego ludziom, ale w życiu nie zawsze wszystko kończy się happy endem. Przykro mi z powodu śmierci pani klienta, bo wiem, że należał do…

– Wystarczy. – Burda uniosła dłoń, a przez jej twarz przemknął krótki tik nerwowy. Zawadzka pomyślała, że się zagalopowała.

– Przepraszam. Nie chciałam…

– Wystarczy, powiedziałam. – W tonie mecenas dało się wyczuć wrogość. Julka zaklęła w duchu. Musiała być znacznie bardziej ostrożna.

Burda odchyliła głowę i wzięła głęboki oddech. Jej rysy wyostrzyły się jeszcze bardziej, choć z wyrazu twarzy trudno było cokolwiek odczytać. Idealny profil, gładka skóra i perfekcyjny makijaż sprawiały, że wyglądała na nie więcej niż czterdzieści lat. Zawadzka nie miała wątpliwości, że gospodyni utopiła mnóstwo pieniędzy w gabinetach najdroższych chirurgów plastycznych. Jej wiek zdradzały co najwyżej zmarszczki na szyi i dłoniach i w nagłym przypływie zazdrości Julka pomyślała, że chciałaby tak wyglądać w jej wieku. Burda uśmiechnęła się, jakby wyczytała, co jej w duszy gra.

– Wybrnęła pani, pani komisarz – rzekła, gdy znów spojrzała jej w oczy. – Po prostu musiałam panią sprawdzić.

– Słucham?

– Zastrzeliła pani tego bydlaka. I tylko dlatego wpuściłam dziś panią do domu.

– Nie miałam innego wyjścia…

– Och, proszę już się tak nie krygować, pani komisarz. Co prawda ten chuj zasługiwał, aby drzeć z niego pasy, ale żyjemy w czasach, w jakich żyjemy. W każdym razie chyba powinnam pani podziękować.

Zawadzka prawie się uśmiechnęła. Zaskoczyły ją słowa Burdy, ale sposób, w jaki wyartykułowała ostatnią myśl, naprawdę ją rozbawił, a nawet połechtał ego. I nawet jeśli oficjalnie reprezentowała system prawny Rzeczypospolitej Polskiej, to prywatnie była dokładnie tego samego zdania. Kłos zasługiwał na najgorsze.

Pomyślała, że spróbuje skrócić dystans jeszcze bardziej.

– To może niech mi pani mecenas naleje odrobinę tego…

– Lagavulin. Rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty. Najlepsza szkocka na świecie, jak zwykł mawiać mój mąż. – Burda sięgnęła po karafkę i napełniła drugą szklankę niemal do połowy. Wręczyła ją Julce. – Za sprawiedliwość – wzniosła toast.

– Za sprawiedliwość – powtórzyła Zawadzka.

Obie upiły whisky, po czym Burda wstała i podeszła do imponującego okna. Na dworze szalała nawałnica. Zawadzka aż się zdziwiła, gdy zobaczyła, jak trzaskają pioruny, a korony rosnących wzdłuż płotu topoli uginają się niemal do pozycji poziomej. Choć w tle słyszała odgłosy burzy, to ściany wygłuszyły ich siłę zaskakująco mocno. Burda przez chwilę wpatrywała się w spływające po oknie krople.

– Lucy – rzuciła nagle, a Zawadzka zmarszczyła brwi.

– Słucham, pani mecenas? – rozległ się delikatny głos.

– Włącz coś spokojnego. Najlepiej z mojej listy.

– Czy mam pełną dowolność w wyborze repertuaru?

– Tak. Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Włącz też kominek. Dziękuję.

Burda odwróciła się w momencie, gdy z głośników popłynęły pierwsze dźwięki pianina. Chwilę później zapłonął ogień w kominku. Spojrzała na skonfundowaną Zawadzką, która siedziała ze szklanką w dłoni i lekko rozdziawionymi ustami.

– To Lucy – rzekła nieco rozbawiona. – Moja prywatna asystentka. Przydaje się, gdy jestem sama, a tak się składa, że ostatnio… – westchnęła – … często bywam sama.

– Ma pani na myśli komputerową asystentkę?

– Ostatnio na Zachodzie to zrobiło się modne. I muszę przyznać, że to naprawdę fajna rzecz. Znacznie ułatwia życie.

– Pewnie droga ta zabawka…

– Jak dla kogo.

Burda z powrotem usiadła w fotelu. Upiła whisky i spojrzała w oczy Zawadzkiej.

– Nie zrezygnuję z dochodzenia moich roszczeń, ale mogę odsunąć to w czasie – rzekła, zmieniwszy ton na poważniejszy. – Jestem tym wszystkim koszmarnie zmęczona i niedługo planuję wybrać się na dłuższy urlop, w związku z czym wewnętrzni będą mieli kilka miesięcy, aby posprzątać ten bałagan. To, jakie poczynię kroki po powrocie, będzie zależeć od wyników ich pracy.

– Brzmi rozsądnie.

– Może też pani przekazać swoim przełożonym, że mój klient ma zostać oczyszczony z zarzutów, a we wszystkich najważniejszych mediach, także ogólnopolskich, ma pojawić się informacja ze sprostowaniem i przeprosinami.

Zawadzka uniosła brwi. To brzmiało już trochę gorzej, raczej jak pokaz siły, której może użyć, jeśli jej warunki nie zostaną spełnione. W ustach doświadczonej prawniczki brzmiało to trochę mało profesjonalnie, bo Burda doskonale musiała zdawać sobie sprawę, że nikt nie przyzna się do błędu, dopóki ten nie zostanie udowodniony. To natomiast, zważywszy na masę utrudnień i poziom komplikacji śledztw, mogło potrwać dłużej niż jej urlop.

Upiła łyk i poczuła przyjemne łaskotanie w żołądku. Trunek rzeczywiście był zacny i zastanawiała się, czy kiedykolwiek piła coś szlachetniejszego. Skinęła na znak, że przyjęła do wiadomości słowa Burdy i zerknęła przez ramię. Burza nie ustępowała, a niebo raz za razem rozświetlały pajęczyny błyskawic. Wtedy gruchnęło z taką siłą, że aż podskoczyła w fotelu.

– Cholerne pioruny – mruknęła Burda, gdy z głębi domu rozległo się psie skomlenie. – Przepraszam, ale musiałam je zamknąć w innym pomieszczeniu, bo bywają nachalne, a podczas burzy nawet agresywne. Od śmierci męża nie wiem, co z nimi zrobić.

– Jaka to rasa? – zapytała Zawadzka.

– Charty. Piękne, ale nie jestem dla nich żadnym autorytetem. I serce mi się kraje na myśl, że miałabym je komuś oddać.

Gdy walnęło po raz drugi, psy zaczęły wyć i drapać drzwi. Burda skrzywiła się i przewróciła oczami, a potem wstała i ruszyła w stronę, skąd dochodziły odgłosy cierpiących zwierząt. Zawadzka również podniosła się z fotela. W zasadzie jej misja dobiegła końca i mogła wracać z tarczą. Musiała jednak uczciwie przyznać, że całkiem miło spędzała tu czas, a Burda okazała się nie taką straszną jędzą, jak można było sądzić. Owszem, była kobietą zasadniczą, surową i stanowczą, ale w tej sytuacji to akurat świadczyło jedynie o jej profesjonalizmie.

Burda nie wracała i najwyraźniej miała problem, żeby uspokoić psy, bo te skomlały i wyły, jakby ktoś je obdzierał ze skóry. Julka postanowiła, że przejdzie się po salonie i przyjrzy się z bliska temu oceanowi luksusu. Jej uwagę od razu przykuło stojące na półce urządzenie przypominające kulę bilardową na stojaku. To na nie zerknęła gospodyni, gdy wspominała o asystentce. Nie wyglądało specjalnie efektownie. W centralnej części miało małą kamerę, która migała niebieskim światełkiem, i to w zasadzie byłoby na tyle. Wtedy kula nieznacznie się poruszyła i Zawadzka odruchowo cofnęła się o krok. Nagle poczuła się nieswojo i pomyślała, że chyba jednak nie chciałaby w swoim domu takiego ustrojstwa. Prychnęła i ruszyła w stronę kominka, na którym stało kilka fotografii. Prawie wszystkie zostały zrobione podczas wakacji i na każdej znajdowała się tylko Burda. Trochę ją zdziwiło, że nie ma na nich męża, ale uznała, że psychologowie wymyślają najróżniejsze terapie mające pomóc uporać się z demonami przeszłości, zwłaszcza zaś utratą najbliższej osoby. Mająca miliony Burda z pewnością była dla nich łakomym kąskiem i Zawadzka nie wątpiła, że są w stanie wcisnąć jej każdy kit, aby tylko przyszła do nich na kolejną wizytę. Przyglądała się zdjęciom. Burda na plaży, Burda na jachcie, Burda na koniu. W końcu jej oko przykuła fotografia, na której stała na tle białych murów jakiegoś zamczyska. Zmrużyła oczy. Była pewna, że gdzieś już widziała to miejsce, ale w tej chwili nie była w stanie sobie przypomnieć. Dopiero gdy przyjrzała się bliżej, na uchwyconej w kadr małej drewnianej tabliczce odczytała nazwę. Ją też już gdzieś widziała.

Wtedy usłyszała dochodzący z korytarza stukot szpilek. Pomyślała o asystentce, której kamera była wycelowana wprost w nią i nagle odniosła wrażenie, jakby nadużyła gościnności. Cofnęła się kilka kroków i dla nie-

poznaki zapatrzyła się w wiszący na ścianie obraz przedstawiający malowniczy krajobraz jeziora skąpanego w promieniach słońca.

– Namalował go jeden z lokalnych twórców – powiedziała Burda, gdy wyszła zza rogu. – Mało znany, ale niezwykle utalentowany. Staram się go promować, a to jest widok na pobliskie jezioro.

– Naprawdę niesamowity – skonstatowała Zawadzka i w jej słowach nie było krzty przesady.

– Psom dodałam do karmy tabletki uspokajające, więc może przestaną wariować. Nalać jeszcze jednego?

Zawadzka z zaskoczeniem przyjęła do wiadomości, że w dłoni trzyma prawie pustą szklankę. Kostki lodu nie zdążyły się rozpuścić nawet do połowy. Lekko zmieszana uśmiechnęła się i odstawiła ją na blat stołu.

– Wystarczy. Dziękuję.

– Ale chyba nie wyjdzie pani w tej chwili? Widzi pani, co się dzieje za oknem…

– Mimo wszystko dziękuję. Kawę z przyjemnością dopiję.

Siadając z powrotem w fotelu, pomyślała o Brudnym i poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Ona tu popija whisky za kilka tysięcy, a on mierzy się z horrorem sióstr Klepackich. Brzmiało rzeczywiście kiepsko, choć nie wiedziała, że sprawy mają się jednak trochę inaczej.

ROZDZIAŁ 42

Szpitalny korytarz był pusty. Brudny siedział na jednym z krzeseł, wsłuchując się w odgłosy burzy. Nie mógł opędzić się od paskudnego uczucia, które zawładnęło nim kilka minut wcześniej. Mógł się oszukiwać, że to efekt miejsca, w którym się znajduje, ale instynkt nigdy go nie zawodził. Pomiędzy grzmotami wychwycił kolejny odgłos z głębi szpitala. Jedna z kobiet jęczała, jakby spotkała ją jakaś straszliwa strata. Jej głos niósł się z czeluści szpitalnych korytarzy i było w nim coś wyjątkowo tragicznego.

Upił łyk podanej mu przez doktora kawy. Była mocna i gorzka, dokładnie taka jak lubił. Zachciało mu się zapalić, ale z oczywistych względów nie mógł tego zrobić. Scenariusz, który zaczął sobie układać, wydawał się absurdalny, ale i tak pożałował, że broń zostawił w schowku. Od początku nie podobał mu się ani Gruszczyński, ani ta jego demoniczna pielęgniarka. Ale czy oni mogli…

Nie. To bzdura! Na potwierdzenie tych przypuszczeń nie miał żadnych dowodów. Ale czy znaleziony w spalonym samochodzie Bartłomiej Kołłątaj nie leczył się w Ciborzu? W młodości dwukrotnie odwiedził tę placówkę. Raz spędził trzy miesiące na oddziale dla narkomanów, a rok później pół roku na skutek zdiagnozowanej depresji. Kilka lat po Kittelu. Znalezione w jego samochodzie narzędzia – choć nie dało się z nich uzyskać materiału genetycznego – przynajmniej w części mogły być użyte także do pracy w ogrodzie. Przypadek? Trudny do sprawdzenia, bo teraz facet był trupem spalonym na wiór. Z jego samochodu jak z katapulty wystrzeliła jednak Malwina Klepacka, miesiącami bestialsko torturowana. Kolejny przypadek? Wszystkie te trzy osoby łączyło miejsce, w którym właśnie się znajdował. Kittel, Kołłątaj, Klepacka. Narzędzia, ogrodnik, blizny.

Brudny wyciągnął smartfon i wklepał w niego dane Gruszczyńskiego. Nie musiał długo szukać. W latach osiemdziesiątych zaczynał karierę na Oddziale Terapii Uzależnień od Substancji Psychoaktywnych, następnie na Oddziale Leczenia Zespołów Abstynencyjnych oraz Oddziale Psychiatrycz-

nym Ogólnym, gdzie – jak założył – leczono ludzi z pomniejszymi schorzeniami, jak choćby depresja. Kittel, Kołłątaj, Klepacka i… Gruszczyński. Irena? Nie wyglądała na taką, która co tydzień daje na tacę. Poznał ten typ kobiet już wcześniej. Nawet te jej cholerne perfumy. Arleta i Eliza używały dokładnie takich samych. Pieprzone Black Opium Yves Saint Laurent. Perfumy dla wiedźm.

Wtedy poczuł kolejne ukłucie niepokoju. Tym razem było silniejsze, niczym zastrzyk adrenaliny. Następny grzmot. I znowu to zawodzenie. Kobiecy głos sączył się przez szpary w drzwiach, niósł się echem rurami, pełzł po ścianach.

– Wszystko w porządku, komisarzu?

Brudny wzdrygnął się na widok stojącej obok Ireny. Oblał dłoń kawą, skóra zapiekła, ale zacisnął zęby. Odstawił kubek na podłogę, a pielęgniarka wyciągnęła chusteczkę i wręczyła mu ją, przewiercając go wzrokiem.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie chciałam pana wystraszyć, komisarzu.

– Nie wystraszyła mnie pani – odparł, wycierając dłoń.

– Mogę zobaczyć?

– Co?

– Pana rękę. Jeśli kawa była gorąca, to mogą pojawić się bolesne bąble.

– Dziękuję. Nie była aż tak gorąca.

– Przecież widzę, że skóra jest czerwona. Jestem pielęgniarką i…

– Nie trzeba. Dziękuję – powtórzył i zabrał rękę.

Irena położyła dłonie na biodrach i wymownie pokiwała głową.

– Faceci… – bąknęła. – Wszyscy tacy sami. Superbohaterowie z kreskówek.

– Słucham? – Brudny się zirytował.

– Nic takiego, komisarzu. Gdyby pan jednak zechciał, żebym opatrzyła pana dłoń, to jestem w pokoju obok. Nie gryzę…

Posłała mu dwuznaczne spojrzenie i obróciła się, a potem powolnym krokiem modelki ruszyła w stronę drzwi z napisem „Pomieszczenie gospodarcze”. Kolejny piorun gruchnął niczym młot Thora, bo budynek niemal zatrząsł się w posadach. Brudny podniósł kubek i upił łyk kawy, a później przyjrzał się oparzonej dłoni. Pomyślał, że rzeczywiście przydałby się przynajmniej zimny okład, ale uznał, że już za późno i zmianę decyzji Irena może odebrać w sposób, którego by nie chciał. Wtedy drzwi gabinetu doktora Gruszczyńskiego otwarły się i stanęła w nich jego klientka.

– Myślę, że możemy iść na oddział – powiedział psychiatra, który wyłonił się zza jej pleców.

– W takim razie chodźmy – odparł Brudny i podparłszy się kulami, wstał z miejsca.

Zjechali windą piętro niżej, gdzie znajdował się Oddział dla Umysłowo Chorych. Po drodze zaszli do sali, w której dwóch rosłych pielęgniarzy umilało sobie czas grą w karty. Gruszczyński zawołał ich i otworzył kluczami zamek drzwi oddziału. Korytarz był jasno oświetlony, ale pusty. Wszystkie drzwi do innych sal były pozamykane, ale z jednego pokoju wciąż sączyło się to upiorne zawodzenie. Kobieta to płakała, to wołała imię Boga i nieistniejącego dziecka. A może kiedyś je miała, w jakiś sposób utraciła, w końcu oszalała z tęsknoty? Gruszczyński zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na jej lament. Brudny pomyślał, że podobnie zachowywała się Gwidona – pozbawiona jakiejkolwiek empatii okrutnica rządząca sierocińcem, w którym się wychował. Gruszczyński – Gwidona…

– Jest pani gotowa, pani Justyno? – Doktor spojrzał dziewczynie w oczy. Klepacka potwierdziła skinieniem głowy. – Proszę pamiętać o tym, co pani powiedziałem w gabinecie – dodał i z powrotem sięgnął do kieszeni fartucha w poszukiwaniu kluczy.

Kolejny grzmot wstrząsnął fasadami budynku. Brudny pomyślał, że zdecydowanie nie jest to najlepszy moment na tego typu spotkanie, ale Gruszczyński zdawał się nie zauważać tej ponurej korelacji. Komisarz chciał go o to zapytać, ale uznał, że jest już za późno i jego klientka musi zmierzyć się z brutalną prawdą. Burza nie miała tu żadnego znaczenia, była niczym w porównaniu z horrorem, jaki zaraz stanie się jej udziałem.

Gruszczyński po raz ostatni zajrzał przez lufcik, a następnie przekręcił zamek i otworzył drzwi. Te z lekkim skrzypnięciem otwarły się, a ze środka buchnęło nieświeże, zastane powietrze. Wszedł do środka pierwszy, a za nim próg izolatki przekroczyła Klepacka.

Brudny rzucił nieufne spojrzenie dwóm stojącym przy nim pielęgniarzom. Obaj byli wyżsi i potężniejsi od niego. Uśmiechnęli się krzywo w odpowiedzi, a jeden z nich skinął głową w stronę otwartych drzwi. Komisarz wszedł do środka trzeci. W jego głowie wszystkie myśli krążyły wokół jednego imienia.

Maksymilian.

ROZDZIAŁ 43

Nawałnica nie odpuszczała.

Zawadzka siedziała w luksusowym apartamencie i dopijała kawę, całkiem miło gawędząc z gospodynią. Kobiety przedyskutowały już kilka tematów, w tym samego Brudnego, którego – ku jej zdumieniu – mecenas Burda najwyraźniej nie tylko bardzo ceniła, ale wręcz podziwiała.

– Należy do wymierającego gatunku – mówiła z nieskrywanym zachwytem. – Silny, inteligentny, wierny, dążący do celu bez względu na okoliczności.

– Taki właśnie jest. – Zawadzka po raz pierwszy od momentu przybycia poczuła się dowartościowana.

– Jak to było z tym jego dzieciństwem? Media nie przesadzają?

– Igor nie miał szczęśliwego dzieciństwa, to na pewno. Ale nie lubi o tym rozmawiać nawet ze mną. To introwertyk. Woli kisić emocje w sobie.

– Lepszy taki niż te wszystkie lekkoduchy – prychnęła i upiła whisky. Tym razem nie odstawiła jej na ławę, a kostki lodu zadźwięczały, gdy poruszyła dłonią. – Większość facetów myśli nie tą głową co trzeba. Ale cóż… Chyba taka ich natura.

– Igor jest inny – odparła i od razu zdała sobie sprawę, że nie zabrzmiało to najlepiej.

– Nie wątpię. Jak się teraz czuje?

– Powoli wraca do zdrowia.

– To dobrze. Muszę pani przyznać, że od momentu gdy tylko zaczęło być o pani partnerze głośno w związku z tym jego… wie pani… – Zawadzka skinęła na potwierdzenie. Najwyraźniej Burda też była ostrożna. Pewne słowa nie musiały padać, aby dobrze się zrozumiały. – W każdym razie śledziłam przebieg sprawy „Rzeźnika z Nietkowa”. Potem cały szum, który zrobił się wokół komisarza Brudnego. A gdy w Zielonej Górze pojawił się ten cały wilkołak… – Znów upiła łyk whisky. – Z początku bawiły

mnie te medialne doniesienia, ale jak widać, życie potrafi pisać najbardziej pokręcone scenariusze.

– Coś o tym wiem…

– „Zabójca Policjantów” wstrząsnął mną natomiast do głębi. Znałam Arletę Winnicką. Może nie byłyśmy zbyt blisko, ale mimo wszystko. Zresztą jakiś tam kontakt miałam nie tylko z nią. I gdy komisarz Brudny poświęcił się dla bratanicy… Tam na dole, w tych podziemiach klasztoru… – Burda z niedowierzaniem pokręciła głową. – Nie wiem, ile prawdy jest w tych wszystkich artykułach, które napisali o pani partnerze, ale jeśli jest on choć w połowie takim mężczyzną, jak jest przedstawiany, to zazdroszczę pani szczęścia.

Zawadzka poczuła, że się rumieni, i pomyślała, że nie wszystko można kupić za pieniądze. Okazało się też, że Burda jest naprawdę w porządku. Nie spodziewała się tego po mecenasce, bo pierwsze wrażenie, jakie odniosła po spotkaniu w komendzie, było co najmniej słabe. Arogancka, wredna żmija – tak sobie wtedy o niej pomyślała, choć zaplusowała tym, w jaki sposób zgasiła Magierę i Kłosa. Miała wobec niej ambiwalentne uczucia, a jadąc tu, spodziewała się, że zostanie zmiażdżona paragrafami, a następnie pogoniona w diabły. Tymczasem Burda okazała się całkiem sympatyczną babką, tym bardziej nie widziała przeszkód, aby posiedzieć w jej salonie jeszcze chwilę, przynajmniej dopóki aura nie poprawi się na tyle, żeby można było wyjść i nie zmoknąć. Miała jednak opory, aby kontynuować ten temat, bo w takich sytuacjach prędzej czy później druga strona też musiała się uzewnętrznić i powiedzieć coś o swoim partnerze, a doskonale wiedziała, że Burda jest wdową, gdyż jej mąż niecałe dwa lata temu zginął w wypadku samochodowym.

– A pani, pani mecenas? – Dopiła resztkę kawy. – Mieszka pani zupełnie sama w tak wielkim domu?

– Mam psy. – Uśmiechnęła się markotnie. – Co trzy dni przychodzi pani Ela, która dba o czystość. Raz w tygodniu przychodził też… – Westchnęła, a Zawadzka pomyślała, że jednak niepotrzebnie zadała to pytanie.

Przez chwilę obie kobiety milczały. Na dworze lało chyba jeszcze mocniej niż wcześniej, choć nie grzmiało już tak potężnie. Burza najwidoczniej powoli przesuwała się na wschód. Zawadzka zerknęła przez ramię. Topole wciąż uginały się pod naporem wiatru, ale też jakby mniej. Burda wciąż milczała i nagle zrobiło się niezręcznie. Komisarz od dłuższego czasu czuła

parcie na pęcherz i pomyślała, że to jest właśnie ten moment, aby przeprosić i na chwilę wymknąć się do toalety. Zapytała o drogę.

– Drugie drzwi na lewo – poinstruowała ją Burda.

Łazienka była przestronna i wykończona niemal jak te na jachtach katarskich szejków. Wszystko wyglądało na wykonane z najwyższą precyzją i cholernie drogie. Ogromna kabina prysznicowa i wanna z jacuzzi w kształcie nieregularnej chmury, wszystko podświetlane ledami, dwie umywalki z pokaźnymi lustrami, brodzik do mycia stóp i widok z okna na targane wichrem wody leżącego u stóp wzgórza jeziora. Załatwiła się, chłonąc te wszystkie luksusy, a następnie odkręciła wodę w kranie i przejrzała się w lustrze. Blizna po oparzeniu nagle wydała jej się jeszcze bardziej szpetna. Dotknęła jej i skrzywiła się. Zaklęła pod nosem. Wtedy jej wzrok przykuł gustowny pojemnik w kształcie kwiatu róży. Zapamiętała go, bo kiedyś zrobił na niej duże wrażenie, choć z racji koszmarnie wysokiej ceny nigdy nie myślała, że będzie miała okazję zobaczyć go na żywo.

Marzyła o tym kremie. La Rosa Immortale. Jeden z najdroższych kremów do twarzy na świecie, którego małe opakowanie mogło kosztować nawet pięć tysięcy dolarów. Nawilżający, ujędrniający, wygładzający, wzbogacony o najwyższej jakości osocze bogatopłytkowe. Podobno potrafił działać cuda. Kiedyś, gdy jeszcze znajdowała się w fazie powolnej akceptacji, często zaglądała do internetu w poszukiwaniu podobnych specyfików. Przypadkiem natknęła się na ten produkt i pokazała go Brudnemu, a on – sam będąc na etapie negacji wszystkiego – po przeczytaniu składu, w którym producent chwalił się pozyskiwaniem osocza z ludzkich embrionów, zachował się jak gbur i po prostu ją wyśmiał.

„Naprawdę chcesz wsmarowywać sobie w twarz niemowlaki?” – zadrwił, a ona prawie się popłakała. Przeprosił ją dopiero po czasie, a gdy już oboje nabrali do wszystkiego większego dystansu, zdarzało mu się powtarzać tę kwestię, gdy korzystała z kremów i innych dobrodziejstw firm farmaceutycznych.

Znów usłyszała psy. Tym razem nie skomlały, tylko szczekały. Zerknęła za okno. Burza jakby odrobinę odpuściła. Po korytarzu niósł się stukot szpilek Burdy. Zawadzka uznała, że idzie uspokoić psy. Zakręciła kurek z wodą i wbiła łakomy wzrok w gustowny pojemnik w kształcie róży. Wahała się tylko chwilę. Odkręciła pokrywkę i nałożyła na palec odrobinę kremu. Miał niesamowitą konsystencję i roztaczał obłędny zapach. Delikatnie wsmarowała krem w oszpecony blizną policzek.

– Marzenie ściętej głowy – mruknęła, widząc swoje skwaszone odbicie.

Wtedy jej wzrok przykuło coś jeszcze. Mały, niepozorny czarny flakonik nie był tak efektowny jak La Rosa Immortale, ale nagle z jakiegoś powodu stał się istotny. Nie potrafiła tego jednoznacznie określić. Tak po prostu. Wtedy przez głowę przemknęła jej pewna myśl. Skrzywiła się i to samo zrobiła kobieta w lustrze.

Black Opium Yves Saint Laurent.

Wyciągnęła z kieszeni smartfon i wybrała numer do Brudnego. Gdy nie usłyszała żadnego dźwięku, ze zdziwieniem spojrzała na wyświetlacz. Zero kresek. Poczuła niepokój i raz jeszcze zerknęła za okno. Efekt burzy? Może. A może nie. Zaklęła pod nosem. Nagle poczuła niezwykłą potrzebę porozmawiania z partnerem. Pomyślała, że najwyższy czas podziękować mecenas Burdzie za gościnę, i wyszła z łazienki.

Na korytarzu czekała na nią gospodyni. Na krótkich smyczach trzymała dwa smukłe charty.

– Oto ukochane psy mojego męża. Maks i Milan. Piękne, prawda? – przedstawiła je.

– Piękne – odparła Julka, w swoim zachwycie nie przesadzając ani trochę. Tylko co z tego, gdy odniosła wrażenie, że wszystkie sześcioro oczu wpatrują się w nią jak w kolejny posiłek.

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie w jednym z niewielkich mieszkań w bloku z wielkiej płyty na obrzeżach Poznania profesor Bronisław Kochanowski sięgnął po smartfon, bo musiał w pewnej sprawie zadzwonić do syna. Był już stary i rzadko używał telefonu, a do tego miał problemy z jego obsługą i odczytywaniem wiadomości tekstowych, więc zwykle trzymał go na komodzie i korzystał z urządzenia tylko wtedy, kiedy naprawdę była taka potrzeba. Zmarszczył brwi, gdy się zorientował, że ktoś od trzech dni próbował się z nim skontaktować. Rzadko dzwonił do niego ktoś inny niż syn i pomyślał, że to musi być coś ważnego, bo naliczył aż pięć nieodebranych połączeń. Wysłany przez ordynatora szpitala w Ciborzu SMS również brzmiał alarmująco. Odczekał jeszcze chwilę, próbując zebrać myśli, i przypomnieć sobie czego dotyczyła ich ostatnia rozmowa. Mruknął, gdy pamięć wróciła, następnie odchrząknął i drżącym palcem nacisnął zieloną słuchawkę.

ROZDZIAŁ 44

Izolatka była niemal zupełnie wygłuszona. Jedynie w tle, jakby z oddali albo innego wymiaru, przebijały grzmoty piorunów. Brudny stał oparty o ścianę i przypatrywał się niemal nierealnej scenie ponownego spotkania obu sióstr znad Soliny. Pomyślał, że przeznaczenie potrafi zaskakiwać wszystkich bez wyjątku.

Kątem oka obserwował pilnujących drzwi pielęgniarzy, którzy wyglądali, jakby tylko czekali, aby przystąpić do działania. Justyna wpatrywała się w siedzącą na łóżku kobietę z mieszaniną niedowierzania i przerażenia. Dopiero gdy doktor Gruszczyński ostrożnie odpiął pacjentce maskę, z oczu dziewczyny popłynęły łzy.

– Boże… – szepnęła, ale lekarz posłał jej wymowne spojrzenie. Brudny nie wiedział, o czym rozmawiali w jego gabinecie, ale mógł się domyślić, że Gruszczyński zasugerował zachowanie możliwie pełnej kontroli nad emocjami. Musiał przyznać, że jego klientka jak na te okoliczności trzymała się całkiem nieźle.

Justyna Klepacka zbliżyła się do siostry, która wydawała się zupełnie nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje. Przykucnęła i chwyciła jej prawą dłoń, ale Malwina nie zareagowała. Jej pokiereszowana bliznami twarz wyglądała na zastygłą i tylko lśniące odbitym światłem lampy tęczówki świadczyły, że w tym ciele wciąż tli się życie.

– Czy ona… mnie słyszy? – wyjąkała.

– Słyszy, ale mózg prawdopodobnie nie przetwarza sygnałów. Słyszy, ale nie słucha – wyjaśnił Gruszczyński.

Młodsza z sióstr Klepackich zbliżyła drugą dłoń do podbródka pacjentki. Musnęła fragment zgrubiałej skóry, a potem dotknęła policzka.

– Malwa – szepnęła. – To ja, Justa. Twoja młodsza siostra.

Nic. Zero reakcji. Tęczówki pacjentki nie poruszyły się choćby o milimetr. Brudny przypomniał sobie moment, gdy to on spojrzał jej w oczy. Wtedy nastąpiła reakcja, choć zdaniem doktora raczej nieświadoma.

– Już w porządku, kochanie. Już w porządku. Jestem przy tobie. Daj mi tylko jakiś znak, że mnie słyszysz. Proszę, proszę cię. Malwa…

Brudny przysłuchiwał się temu rozpaczliwemu monologowi, nie tracąc czujności. Złe przeczucie go nie opuszczało, tak jakby wyszedł z domu i nagle zdał sobie sprawę, że nie wyłączył żelazka albo kuchenki gazowej, tylko podniesione do sześcianu. Prawie to miał, prawie tego dotknął, ale wciąż mu umykało.

Kittel, Kołłątaj, Klepacka, Gruszczyński…

Kittel, Kołłątaj, Klepacka, Gruszczyński…

Kittel, Kołłątaj, Klepacka, Gruszczyński…

To nie mógł być zbieg okoliczności. Coś mu jednak umykało. Jakieś powiązanie. Bez tego nie było w tym rozumowaniu żadnej logiki. Dlaczego ktoś z tej czwórki miałby zabijać te kobiety? Kittel wydawał się nazbyt oczywisty. Leczony w psychiatryku jako dzieciak, który po latach znów wpada w koszmar obłędu. Ale ten facet był tylko ogrodnikiem. Nie miał charyzmy ani pieniędzy. Na pewno nie był człowiekiem ze zdjęcia. Nie był Maksymilianem. Kołłątaj? Nawet jeśli, to spłonął w aucie, więc kto zabił te dwie prostytutki? Klepacka? Absurd. Gruszczyński?

Brudny spojrzał na postawnego mężczyznę w kitlu. Wysoki, silny, przystojny. Na pewno mógł się podobać kobietom. Ordynator największego szpitala dla umysłowo chorych w zachodniej Polsce z pewnością zarabiał przyzwoicie. Czy miał żonę? Tego Brudny nie sprawdził, ale bez wątpienia Gruszczyński mógł mieć kontakt z pozostałą trójką. Klepacka była na jego łasce. Mógł ją faszerować, czymkolwiek chciał, aby utrzymywać stan ciągłej katatonii. Tylko czy ten facet byłby do tego zdolny? I ta jego pielęgniarka na kilometr cuchnąca cholernym Black Opium…

– Wystarczy, pani Klepacka – odezwał się, zmuszając komisarza, aby ten powrócił do rzeczywistości.

– Jeszcze chwila. Może Malwa potrzebuje czasu i…

– Na dziś koniec. Będzie pani mogła wrócić jutro.

– Ale…

– Powiedziałem. Zbyt dużo bodźców jak na jeden raz może źle wpłynąć na proces leczenia. Może pani siostrze zaszkodzić.

Justyna Klepacka wytarła policzki i puściła dłoń siostry. Wstała i zacisnęła usta, a z kącików oczu popłynęły kolejne łzy. Gruszczyński z powrotem założył pacjentce maskę i ułożył jej sztywne ciało na łóżku, a następnie wskazał im drogę do drzwi. Zamknął je z powrotem na klucz, wydał kilka

poleceń pielęgniarzom i poprosił, aby Brudny i Klepacka poszli z nim do jego biura.

Gdy tylko opuścił windę, kieszonka na piersi jego fartucha rozbłysła niebieskim światłem. Wyciągnął smartfon i tłumacząc, że to pilny telefon, odszedł kilka kroków i odebrał. Po paru kluczowych frazach Brudny zorientował się, że rozmowa dotyczyła Kittela i jego przeszłości w Ciborzu. Gruszczyński miał jakieś wątpliwości, które rozmówca najwyraźniej próbował rozwiać. Kim był facet po drugiej stronie? W pewnym momencie lekarz nagle zmarszczył brwi, jakby coś mocno go zaskoczyło.

– Jest pan tego absolutnie pewien, profesorze?

Przerwa.

– Tak. Wiem, że ojciec pacjenta przed laty był człowiekiem na wysokim stanowisku i mógł sobie pozwolić nawet na ingerowanie w kartę choroby, ale…

Przerwa.

– Tak, tak. Spreparowanie…

Przerwa.

– Może rzeczywiście nie posłużyłem się terminem „chłopiec”. Nie pamiętam, szczerze mówiąc.

Przerwa. Brudny nadstawił uszu, ale choć dało się wyłowić chrapliwy głos rozmówcy, to szum deszczu i kolejnych gromów nie pozwalał zrozumieć poszczególnych słów.

– Dobrze. Dziękuję, profesorze. Pozwoli pan, że oddzwonię w późniejszym terminie, bo teraz mam ważne spotkanie.

Przerwa.

– Raz jeszcze dziękuję. Do widzenia, profesorze.

Gruszczyński odłożył smartfon na biurko. Rzucił nerwowe spojrzenie Brudnemu, gorączkowo podrapał się po brodzie i ponownie spojrzał na leżący na blacie telefon.

– Jasna cholera… – mruknął, spuszczając głowę.

– Co jest? – zapytał Brudny.

– Chodzi o Kittela.

– Co konkretnie?

– Kilka dni temu w dokumentacji z leczenia Mariana Kittela dostrzegłem dziwne nieścisłości. Myślałem, że to jakiś błąd, chochlik, ktoś był zmęczony i niechcący się pomylił, ale potem zobaczyłem, że końcówki też były inne…

– Jakie końcówki? Jaki błąd? – Brudny czuł, że kolejne puzzle zaczynają wskakiwać w swoje miejsca.

– W sprawie wyjaśnienia wątpliwości skontaktowałem się z profesorem Kochanowskim, który jeszcze za czasów komuny prowadził przypadek Kittela. Właśnie oddzwonił i… – Gruszczyński nerwowo przeczesał palcami włosy. – To przecież wszystko zmienia…

– Konkretnie! Co powiedział?

– Że leczone dziecko nosiło nazwisko Kittel, ale nie było płci męskiej. Pacjent nie nazywał się Marian, tylko Dagmara.

– Dagmara?

– Dagmara Amanda Kittel. W Ciborzu leczono nie chłopca, lecz dziewczynkę.

Brudny poczuł potężny zastrzyk adrenaliny. Nagle wszystko złożyło się w idealnie pasującą do siebie całość. Zrobiło mu się gorąco, jakby przez żyły przetoczyła się rozpalona magma.

Nerwowo wyciągnął z kieszeni swój smartfon i wybrał numer Julki. Zaklął, gdy usłyszał automatyczną sekretarkę. Jej telefon był poza zasięgiem.

ROZDZIAŁ 45

– Hej, Maks, hej, Milan.

Zawadzka przykucnęła i przyjaźnie wyciągnęła dłoń, aby pogłaskać charty. W głowie szalało tornado myśli. Maks i Milan, ulubione psy zmarłego męża, bogatego dewelopera. Zapach Black Opium, którego używała pielęgniarka. I ten zamek na zdjęciu? Instynktownie cofnęła rękę, gdy jeden z chartów wychylił łeb, aby ją polizać.

– Spokojnie, nie ugryzą – rzekła Burda. – No, chyba że wydam im takie polecenie.

– Chyba pani tego nie planuje? – Zawadzka uśmiechnęła się sztucznie, zbyt sztucznie.

– To psy myśliwskie, pani komisarz. Szkolone do ścigania zwierzyny, ale bardzo karne.

To nie była odpowiedź na zadane pytanie. Zawadzka poczuła, że jej serce przyspieszyło. Maks i Milan. Black Opium. Pogłaskała najpierw jednego, a potem drugiego. Wydawały się niespecjalnie reagować na jej pieszczoty.

– Naprawdę imponujące zwierzęta – przyznała, wstając z kucek. – Ale chyba już zajęłam pani wystarczająco wiele czasu.

– Wciąż jeszcze pada. Zmoknie pani, pani komisarz.

– Z cukru nie jestem.

Posłała Burdzie wymuszony uśmiech, w odpowiedzi dostając dokładnie taki sam.

– Cóż, nalegać nie będę – rzekła Burda. – Ale nie wypuszczę pani komisarz bez prezentu…

– Prezentu? – Julka zmarszczyła brwi.

– Przecież czuję. La Rosa Immortale zaraz po użyciu roztacza bardzo intensywny zapach. Użyła go pani, będąc w łazience, prawda?

Pod Zawadzką ugięły się nogi. Nie dlatego, że poczuła się jak idiotka, ale nagle połączyła wszystkie kropki. To było jak uderzenie pioruna.

La Rosa Immortale.

Luksusowy krem odmładzający na bazie ludzkich embrionów. Na bazie osocza. Osocza z krwi.

Gdy z zakamarków pamięci wyłoniła się prawda o zamczysku z fotografii, poczuła, że serce podeszło jej do gardła. Wycieczka do twierdzy w Čachticach nie mogła być dziełem przypadku. Nie tym razem. Nie, jeśli czterysta lat temu mury zamku zamieszkiwała sama Elżbieta Batory.

* * *

– To Burda! – wycedził Brudny, gdy połączył wszystkie kropki. – To nie Marian Kittel, tylko Amanda Burda!

– Ta mecenas Kittela?

Brudny nie miał czasu tłumaczyć doktorowi swojego toku rozumowania. Jeśli facet zapoznał się z historią choroby Amandy Burdy, musiał zdawać sobie sprawę, że ta kobieta to wariatka. Świadomość, że Julka znajduje się teraz w jej domu, a on nie może się do niej dodzwonić, sprawiała, że cały się trząsł. Wykręcił alarmowy, ale okazało się, że nie ma sygnału. Zero kresek. Zero szans na złapanie kontaktu ze światem.

– Mój też nie ma zasięgu – oznajmił Gruszczyński. – Pewnie wichura albo piorun uszkodziły maszt i…

– Pomóż mi dojść do samochodu!

Kiedy już Brudny wsiadł do patrola, rzucił kule na tylne siedzenie. Uruchomił silnik i gwałtownie wycofał, pakując się przy okazji na jakąś ławkę. Deski chrupnęły pod ciężarem pojazdu, a gdy komisarz dodał gazu, koła błyskawicznie złapały przyczepność.

Na dworze trwało piekło. Nie dość, że wiało i biły pioruny, to zaczął też sypać grad. Tłukł w karoserię niemiłosiernie, nie dając Brudnemu szans na uspokojenie myśli. Przy wyjeździe na główną odruchowo skręcił w przeciwnym kierunku, z którego przyjechał. Nawigacja nie działała, ale drogę z Ciborza do Łochowic sprawdził jeszcze przed wyjazdem. Zawsze tak robił. To był odruch. Przebiegała przez dwadzieścia osiem kilometrów dziurawej asfaltówki wijącej się wśród lasów. Zła wiadomość była taka, że na trasie nie było żadnego dużego ośrodka miejskiego, gdzie można by złapać sygnał.

Miał czas, aby raz jeszcze to wszystko sobie poukładać. Całość wciąż jawiła się jeszcze dość mgliście, ale nie miał żadnych wątpliwości, że to

właśnie Burda odpowiada za morderstwa prostytutek. Dlatego Kłos był zdziwiony. On nie miał nic wspólnego ze śmiercią Poliny i Galiny, a sam Kittel mógł mieć w tym jakiś udział. Ale to nie on mordował. To nie on odsysał krew. Robiła to Amanda Burda, schizofreniczka od najmłodszych lat cierpiąca na urojenia, zafascynowana krwią i wampiryzmem. Dlaczego jednak ojciec zdecydował się ją kryć i spreparował historię choroby, a w miejsce jej danych wpisał dane brata? Bardziej ją kochał? Chciał ukryć przypadłość córki, aby otworzyć jej drogę do kariery prawnika? To wszystko należało wyjaśnić, ale bez wątpienia miał władzę i pieniądze, aby to zrobić.

Droga na przedmieścia Łochowic zajęła mu niecałe piętnaście minut. Dwa powalone drzewa, dziesiątki połamanych gałęzi, siekący deszcz i grad, trzaskające pioruny. Patrol nic sobie z tego nie robił, choć widoczność była koszmarna i na ostrych zakrętach Brudny kilkakrotnie omal nie wylądował w rowie. Od czasu do czasu zerkał na telefon, ale jedna kreska pojawiła się dopiero wtedy, gdy dotarł do pierwszych zabudowań. Od razu zadzwonił do Julki, ale znów nie uzyskał połączenia. Wybrał numer alarmowy, gdzie w kilku słowach wytłumaczył kobiecie, że jedna z funkcjonariuszek jest w niebezpieczeństwie i natychmiast muszą przysłać wsparcie. Połączenia rwało, ale przyjęła zgłoszenie. Nie uspokoiło go to jednak ani trochę. Irytacja wzrosła, gdy nagle zdał sobie sprawę, że nie zna adresu Burdy.

– Musi pan wyjechać ze wsi i zjechać w taką ładną drogę, wyasfaltowaną, że ho, ho! – wykrzyczała mu starsza kobieta, kryjąca się przed nawałnicą pod daszkiem przystanku autobusowego.

Nawet nie podziękował, tylko wyrwał do przodu, kierując się wskazówkami mieszkanki Łochowic. Miał fatalne przeczucie. Jeszcze nigdy nie było tak złe.

* * *

Elżbieta Batory. Krwawa hrabina. Najsłynniejsza morderczyni w historii. Przypisuje się jej ponad sześćset ofiar, w większości młodych służek, które najpierw torturowała, a potem mordowała i kąpała się w ich krwi. Zawadzka wpatrywała się w coraz zimniejsze i ostrzejsze rysy Amandy Burdy. Bruzdy wokół ust pogłębiły się nieznacznie. Ona już wiedziała. Stara raszpla wyczuwała jej strach i się nim syciła.

– Przepraszam – wyjąkała Julka, odruchowo zerkając na warujące charty. – Okropnie mi głupio i…

– Ależ proszę nie przepraszać – weszła jej w słowo Burda. – Proszę mi wierzyć, że nie mam z tym najmniejszego problemu. Wszystkie jesteśmy kobietami. I wszystkie jesteśmy takie same. Chcemy być piękne, czyż nie?

Zawadzka przełknęła ślinę. Jak na złość broń zostawiła w schowku, choć nawet jeśli teraz mogłaby sięgnąć do kabury, to taka decyzja wcale nie musiałaby zakończyć się dla niej pomyślnie. Jedno słowo Burdy i charty rozerwałyby ją na strzępy.

– Może jednak zostanie pani jeszcze chwilę i o tym porozmawiamy? – ciągnęła mecenas.

– Może przy innej okazji – zaryzykowała po raz ostatni.

– Myśli pani, że jeszcze nadarzy się okazja?

Burda nieco poluzowała smycze. Kilka, może kilkanaście centymetrów, ale psy natychmiast to wychwyciły i podniosły się na cztery łapy.

– Naprawdę zdecydowanie nadużyłam pani gościnności, pani mecenas. Nie czuję się z tym dobrze.

– Mimo wszystko nalegam.

Musiała się ewakuować. Burda była obłąkana. Odgrywała ten teatrzyk, napawając się swoją przewagą i jej bezsilnością. Panowała nad sytuacją. Tak jak każdy psychopata wielbiła stan, w którym mogła dominować nad ofiarą. Zawadzka pomyślała, że nie ma sensu tego ciągnąć. Skinęła i powoli ruszyła w stronę salonu. Mimowolnie zerknęła na stojącą na kominku fotografię i zajęła miejsce.

Burda wydała komendę i oba charty przysiadły przy fotelu Julki. Nie warczały, nie toczyły piany z pyska, tylko bacznie ją obserwowały. Sama poszła do lodówki i wyciągnęła drugą karafkę. Postawiła ją na stole i rozgościła się w fotelu. Zawadzka pomyślała, że to co najmniej dziwne, że trzyma karafkę w lodówce.

– Ma pani przy sobie broń, pani komisarz? – zapytała bez ogródek. Najwyraźniej i ona zdecydowała się zakończyć tę maskaradę.

– Nie – odparła Julka.

– Rozumie pani, że nawet jeśli nie mówi pani prawdy, to Maks i Milan dopadną do pani gardła, zanim zdąży pani nacisnąć spust?

– Nie wątpię.

– Zatem skoro najważniejszą sprawę mamy wyjaśnioną, to może przejdźmy do konkretów. Jak pani wpadła na mój trop?

Zawadzka nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie miała broni, zasięgu w telefonie, nikt też na nią nie czekał. Znalazła się w pułapce i mogła liczyć tylko na siebie. Przed oczami stanęła jej usiana bliznami twarz Malwiny Klepackiej.

– Dlaczego pani to robi? – Spróbowała zmienić temat. Jeśli chciała mieć jakąkolwiek szansę, musiała grać na czas.

Burda prychnęła.

– Dlaczego każda zadaje to durne pytanie? Odpowiedź jest prosta. Bo mogę.

– Zabija pani młode kobiety, bo może?

– Bo mogę. Bo one nie zasługują na to, co mają. Bo są zarazą na zdrowym organizmie naszego społeczeństwa, zwykłymi kurwami, które rozłożyłyby nogi przed każdym facetem, byle tylko dostać na nową kieckę od Versace.

– Tak jak Malwina Klepacka?

Górna warga Burdy uniosła się w pogardzie.

– Tak jak ta mała kurwa Malwina Klepacka – wycedziła, szczerząc rząd białych równych zębów.

– Maks i Milan… – Zawadzka pokręciła głową z niedowierzaniem. – To do niego tu przyjechała. Maksymilian to pseudonim pani byłego męża, mam rację? Jego też pani zabiła?

Burda zaśmiała się nieszczerze. Wydęła usta i przez chwilę zastygła w jakimś letargu.

– Kochałam Andrzeja – rzekła w końcu. – Robiłam dla niego wszystko. Dbałam o siebie, katowałam się na siłowni, wydawałam setki tysięcy w tych wszystkich klinikach chirurgii plastycznej, aby tylko mu się podobać. Dla niego nawet zrezygnowałam z kariery zawodowej. A gdy tylko nadarzyła się okazja, to ten gnój przygruchał sobie jakąś małolatę… – Zrobiła pauzę i chwilowo skupiła wzrok na siedzącym bliżej zwierzęciu. Pogłaskała charta po głowie, a on polizał jej pomarszczoną dłoń. – Pierdolił się z nią w naszym łóżku – kontynuowała. – W naszej pościeli. Rżnął tę małą dziwkę, jakby była jakąś gwiazdą porno. Jakąś… – Zrobiła krótką pauzę, a przez jej naciągniętą twarz przemknął grymas odrazy. – Mnie nigdy tak nie rżnął. Mnie nie rżnął w ogóle…

– I dlatego jej to pani zrobiła? – Zawadzka postanowiła uderzyć w bardziej koncyliacyjne tony. Musiała ją zagadać i ciągnąć rozmowę jak najdłu-

żej. – Dlatego pocięła jej pani twarz? Całe ciało? Wyryła te wszystkie obelgi?

– Przyłapałam ich na gorącym uczynku. Nawet mnie nie spostrzegli. Stałam w drzwiach i patrzyłam, jak ją rżnie. W cipę, w dupę, w usta. Ciągle zmieniali pozycje. Andrzej chlastał ją pejczem, a ona jęczała i błagała, aby rżnął ją jeszcze mocniej. Co by pani zrobiła na moim miejscu? Co by pani zrobiła, gdyby zobaczyła, jak pani partner pieprzy w pani łóżku jakąś małolatę?

Igor właśnie teraz był z Justyną. Mimo to nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Pomyślała, że może właśnie z tego powodu. Jak ona by się zachowała w podobnej sytuacji?

– Pewnie bym się wściekła – przyznała.

– Wściekła? – Burda prychnęła. – Niech będzie, że się wściekłam. A więc wściekłam się i poszłam do garażu po młotek. Nie zauważyli mnie nawet w momencie, gdy stanęłam w odległości metra od nich. Kopulowali jak jakieś dzikie zwierzęta. Nie wytrzymałam i rąbnęłam go w głowę, a potem walnęłam ją.

– I upozorowała pani wypadek samochodowy…

– Wyrżnęłam go za mocno i nie wiedziałam, co zrobić, ale krótko później pojawił się Marian. Pomógł mi. Zawsze był trochę przygłupi, ale doskonale wiedział, że jeśli tego nie zrobi, a ja trafię do więzienia, to przestanę pomagać mu w opiece nad córką. Tę małą pizdę zamknęłam w piwnicy. Ona zasługiwała na coś więcej…

– Na to, co jej pani zrobiła?

– Ta gówniara zabiła mi męża! – syknęła, jakby to miało usprawiedliwić jej szaleństwo. – Nie ja. Ona to zrobiła. Weszła w nasze życie w tych swoich czerwonych szpilkach za stówę i je zniszczyła. Zasłużyła na wszystko, co jej zrobiłam. A gdy przy okazji odkryłam też pewne… hmm… – jej błędne spojrzenie powędrowało w górę, jakby zatopiła się w przyjemnych wspomnieniach – …pewne właściwości, zrozumiałam, że nie mogę jej puścić. Jej krew… – mruknęła – …była naprawdę wyjątkowa.

Zawadzka głośno przełknęła ślinę. Czy Burda naprawdę miała na myśli to samo, co ona? Skręciło jej wnętrzności. Spięła się, aby opanować kłucie w żołądku. Musiała trzymać nerwy na wodzy i przeciągać rozmowę.

– Pewnie zatrzymałabym ją na dłużej, ale ten głupi złodziej musiał spróbować szczęścia i pod moją nieobecność przypadkiem wlazł do piwnicy –

ciągnęła Burda. – Może pani sobie wyobrazić, co przeżywałam, gdy dowiedziałam się o włamaniu?

– Kołłątaj… – Zawadzka przełknęła ślinę. – Zabrał Klepacką, ale w drodze do miasta nie wyrobił się na zakręcie…

– Byłam pewna, że to koniec. Chciałam uciec z kraju, ale policja się nie zjawiła. Nikt nie próbował mnie szukać, nikt nawet nie zadzwonił. Dzień później dowiedziałam się od Mariana o tym wypadku i połączyłam fakty.

– Oficjalnie nie było tematu Klepackiej.

– Oficjalnie nie. Nieoficjalnie krążyły plotki. Opłaciłam kogo trzeba i dowiedziałam się, że ta mała suka przeżyła i że w stanie katatonii umieścili ją w Ciborzu. Nie wzbudziło to podejrzeń, bo od lat, gdy jeszcze pracowałam na własny rachunek, opłacałam wielu podrzędnych gliniarzy. Chciałam się pozbyć tej kurwy i nawet znalazłam słabe ogniwo. Pielęgniarkę, która wychowuje dziecko chore na raka. Przelałam jej na zagraniczne konto trzy bańki, bo tyle kosztowała terapia, ale coś nie zagrało. Jakby ta mała kurewka podskórnie wyczuła, że coś jest nie tak. Nie tolerowała jej, a nawet ją zaatakowała. Potem zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

– Mimo to zabijała pani dalej…

Burda przymknęła oczy, a kąciki jej ust uniosły się w szyderczym uśmiechu, następnie uniosła karafkę i napełniła szklanki.

– Gdy raz skosztujesz prawdziwego nektaru, trudno zapomnieć jego smak… – mruknęła, zaplatając palce na jednej z nich.

Zawadzka przyjrzała się zawartości szklanki. Ciecz przypominała czerwone wino, ale była gęstsza i nie wydzielała żadnego aromatu.

– Wypij, a przekonasz się, że nie ma w tym krzty przesady – dodała i wychyliła do dna. Wytarła chusteczką usta. – Młoda krew, pani komisarz. Najlepsza jest świeża i ciepła, ale nie co dzień mamy święto. W każdym razie na świecie nie znajdzie pani nic lepszego, aby utrzymać zdrowie i urodę przez długie lata.

– Pani jest chora… – Zawadzka straciła kontrolę. – Pani… pani… – Nie była w stanie dobrać odpowiednich słów. To wykraczało poza granice jej pojmowania. – Pani zabija młode kobiety i pije ich krew, bo myśli, że zachowa urodę?

– Nie ja pierwsza, pani komisarz. I zapewne nie ostatnia. – Burda nachyliła się nad ławą i wbiła w Julkę drapieżne spojrzenie. – A teraz pij swoją porcję…

– Nie ma mowy – zaprotestowała Julka.

– Pij, kurwo, bo…

– Nie!

– Maks! Milan!

Psy błyskawicznie przyjęły pozycję do ataku. Wyszczerzyły zęby. Zawadzka poczuła na dłoni ich ciepłe oddechy. Spojrzała w ciemne oczy Burdy. W tęczówkach odbijały się płomienie z kominka, nadając jej demoniczny wyraz.

– Piiij – wysyczała.

Zawadzka chwyciła szklankę w dłoń. Wiedziała, że Burda czwarty raz nie powtórzy.

* * *

– I co? Prawda, że wyjątkowa? – Burda podała Zawadzkiej chusteczkę. Julce się cofnęło, ale powstrzymała gwałtowną reakcję organizmu.

– I co teraz? – odwarknęła, powstrzymując łzy, które napłynęły jej do oczu. – Pojedziemy razem na polowanie? Wybierzemy sobie jakąś młodą dziewczynę i wspólnie upuścimy krwi?

– Nie. Teraz założysz te bransoletki. – Burda rzuciła jej na kolana wyjęte z torebki kajdanki.

– A jeśli tego nie zrobię?

Burda uniosła górną wargę i powiodła wzrokiem na psy. Wyglądała, jakby zaczęła tracić cierpliwość.

– Zakładaj – syknęła.

Zawadzka skuła sobie dłonie. Wciąż zbierało się jej na wymioty. Świadomość, co przed chwilą wypiła, napawała ją skrajnym obrzydzeniem. W jej żołądku znajdowała się teraz ludzka krew. Krew kogoś, kto miał imię Galina. Przeszło jej przez myśl, że dalsze drażnienie tej wariatki byłoby zbyt niebezpieczne, ale czy jeśli będzie wykonywać jej polecenia, to poprawi swoją sytuację? Wątpiła w to. Znalazła się w potrzasku.

– A teraz wstawaj – warknęła Burda. – Przejedziemy się.

– Nigdzie nie idę.

Usta Burdy wykrzywiły się w grymasie wściekłości. Julka nie zareagowała. Miała dość. Pomyślała, że po tym, co przed chwilą zrobiła, gorzej już być nie może. Przestało jej zależeć. Miała to w dupie.

– Nie utrudniaj – ostrzegła Burda.

– Spierdalaj – odparowała Julka. – Cokolwiek mi zrobisz, i tak już po tobie. Wszyscy wiedzą, że tu przyjechałam. Jak wytłumaczysz im moje zniknięcie, co?

– O to nie musisz się martwić.

– Masz nasrane w głowie, kobieto. Jesteś kompletnie popierdolona. Nie masz najmniejszych szans. Najmniejszych!

– Zamknij się!

– Wsadzą cię do izolatki na resztę życia. Nigdy jej nie opuścisz. Trafisz do świrów, gdzie twoje miejsce. Do wariatkowa.

Burda zerwała się z kanapy i uderzyła Zawadzką otwartą dłonią w twarz. Charty wyszczerzyły kły.

– Mylisz się – odparła ze spokojem. – Jeszcze dziś sprawa „Wampira” zostanie ostatecznie rozwiązana.

– Masz omamy.

– Wypiłaś krew Galiny. Masz ją w sobie. Jej DNA znajdą też w bagażniku twojego samochodu, gdy już wylądujesz w jeziorze. Zresztą tej drugiej też. – Wykrzywiła usta w podkowę. – Popatrz na zewnątrz. Deszcz, grad, pioruny. Łatwo o wypadek. Jak myślisz, co powiedzą śledczy, gdy podczas sekcji odkryją w twoim żołądku krew jednej z ofiar?

Zawadzka zamilkła. Jebana papuga, pomyślała. Mogła przewidzieć, że ta cała maskarada ma jakiś ukryty cel. Brak śladów walki, krew ofiar na tapicerce jej samochodu i w żołądku, przypadkowy wypadek na znanej z masy niebezpiecznych zakrętów drodze krajowej numer trzydzieści dwa. Już raz jej się udało. Przerabiała to z mężem. Śledczy nawet nie próbowaliby grzebać głębiej, a Julka zapisałaby się w historii kryminologii – jako morderczyni pijąca krew swoich ofiar. Wampirzyca Julia Zawadzka. Obłąkana policjantka. Psychopatka z najgorszych koszmarów. Kurwa mać! To nie mogło się tak skończyć.

– Niby jak mnie zmusisz, żebym wsiadła do samochodu? – zapytała, zerkając na pyski obu chartów. Ich ślina skapywała spomiędzy zębów na podłokietnik fotela.

– To akurat najmniejszy problem, pani komisarz.

Burda podeszła do jednej z szafek i wyciągnęła strzykawkę oraz jakiś flakonik. Wbiła igłę do wnętrza pojemnika i zaciągnęła zawartość, a potem zwróciła spojrzenie na zastygłą w bezruchu Julkę. Podeszła do niej i wolną dłonią pogłaskała po głowach pilnujące jej zwierzęta.

– Mam nadzieję, że nie będzie się pani opierać, pani komisarz – rzekła, lekko dociskając tłok. Z igły wystrzeliła wąska strużka bezbarwnego płynu.

– Co to jest?

– Nie zabije cię. Po prostu uśniesz.

– Nie uda ci się – syknęła Julka.

– Może tak, a może nie, ale… – Płynnie nachyliła się w stronę ofiary. – Tego już nigdy się nie dowiesz. Dobranoc, pani komisarz – dodała i wbiła igłę w jej przedramię.

Zawadzka szarpnęła się, ale Burda trzymała mocno. Wstrzymała się z dociśnięciem tłoku, gdy dostrzegła, że charty gwałtownie postawiły uszy. Zmarszczyła brwi. Narastający ryk zwiastował, że jej plan właśnie runął w gruzach.

* * *

Wstrzymał oddech.

Patrol wybił się na niewielkim murku i roztrzaskując frontową szybę, wdarł się do salonu. Drobinki szkła i kryształki gradu wystrzeliły w powietrze, rozsypując się na podłodze niczym niezliczone bezbarwne korale. Z mebli, które stanęły na drodze rozpędzonej terenówki, zostały drzazgi. Brudny wcisnął hamulec w momencie, gdy Burda z szeroko otwartymi ustami rzuciła się w kierunku korytarza. Chwilę później wbił się w skórzaną sofę.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Julki. Świdrujący pisk alarmu mieszał się ze skomleniem psa, który nie zdążył umknąć przed nadjeżdżającym niebezpieczeństwem. Rozjechał go? Zmiażdżył? Na białej sofie lśnił rozbryzg krwi i przez ułamek sekundy zwątpił, czy aby na pewno Julka zdołała uskoczyć. Odetchnął, widząc, jak wygrzebuje się spod przewróconej palmy. Podniosła się i otrzepała z drobinek szkła i ziemi z rozbitej donicy. Otworzył drzwi.

– Wskakuj! – krzyknął, a ona wgramoliła się i błyskawicznie przemknęła na miejsce pasażera. Nie czekając ani chwili dłużej, wrzucił wsteczny i miażdżąc wszystko, co znalazło się pod potężnymi oponami patrola, zaczął wycofywać.

– Kocham cię, wiesz? – rzuciła, posyłając mu szelmowski uśmiech.

– Ja myślę – odparł i docisnął gaz.

– Skąd wiedziałeś?

– To ona, a nie Kittel, była leczona w Ciborzu. I to cholerne Black Opium. Klepacka nie tolerowała tej pielęgniarki, bo przypominała jej zapach Burdy. Używały tych samych perfum. Połączyłem fakty za późno, ale…

– *Good enough for me, baby*.

– Co?

– Nieważne. Jedź!

Ryk silnika, wycie alarmu i gasnące odgłosy burzy zlały się w jeden wielki jazgot. Patrol zdawał się bezlitosny. Rozrywał, rozgniatał, łamał i kruszył absolutnie wszystko, co przypadkiem znalazło się pod kołami. Momentami podskakiwał, gdy najechał na przewróconą szafkę, szezlong czy obaloną lampę, ale prędzej czy później każdy mebel poddawał się brutalnej sile. W końcu samochód znów znalazł się na zewnątrz. Brudny pokonał jeszcze półmetrowy murek, rozjeżdżając do reszty częściowo już zmasakrowane krzewy róży, po czym odjechał kilkadziesiąt metrów w głąb rozległego podwórza. Zatrzymał się, ale nie zgasił silnika.

– Nic ci nie jest? – zapytał, gdy uznał, że są wystarczająco bezpieczni.

– Jestem cała.

Julka chwyciła go za policzki i przyssała się do jego ust. Pocałunek był równie namiętny, co krótki. Spojrzeli sobie w oczy, a potem puściła go i otworzyła schowek. Wyciągnęła jego walthera, odbezpieczyła i przeładowała.

– Zostaw ją, Julka – powiedział spokojnie Brudny. – Zaraz przyjedzie wsparcie. Oni się nią zajmą. Burda nie ma żadnych szans.

– Ta suka jest moja – odparła, odgarniając przedramieniem potargane włosy z twarzy.

– Nie ucieknie.

– To na pewno. Rozkuj mnie.

Brudny nakrył swoją dłonią tę, w której Julka trzymała broń. Drżała, jak ona cała. W kilku miejscach na skórze partnerki dostrzegł zadrapania i wbite drobinki szkła. Z żyły na przedramieniu sączyła się cienka strużka krwi.

– Zdążyła ci coś wstrzyknąć? – zapytał.

– Chyba nie. Nie wiem.

Julka dotknęła miejsca, gdzie skóra była naderwana przez gwałtownie wyrwaną igłę. Z niewielkiej rany wyciekło kilka kropel. Wtedy targnęła nią seria spazmów i otworzywszy drzwi, zwymiotowała na trawnik. Powtórzyła

tę czynność jeszcze kilka razy, wpychając sobie palce głęboko do gardła. Kolor wymiocin zaniepokoił Brudnego.

– Trzeba cię zawieźć do szpitala – zauważył w obawie, że mogła doznać jakichś obrażeń wewnętrznych, ale ona tylko pokręciła głową. – Wymiotujesz krwią, Julka. Nie możesz tak…

– Nic mi nie jest – weszła mu w słowo. – To nie moja krew.

– Jak to nie twoja? – Brudnemu drgnęła powieka. Nie rozumiał.

– No, nie moja, kurwa!

– To, kurwa, czyja?

Zawadzka się wyprostowała się i posłała mu drażliwe spojrzenie. Wyciągnęła ręce.

– Teraz nie czas na wyjaśnienia, Igor – rzekła. – Rozkuj mnie i nie próbuj zatrzymać. Ta suka jest moja. Zajebię ją!

– Ej!

Deszcz padał nieprzerwanie, a wycieraczki wciąż zbierały wodę z przedniej szyby. Topole rosnące wzdłuż muru ogradzającego posesję chwiały się pod naporem wiatru, ale już lżej, a błyskawice rozświetlały teraz ciemne niebo gdzieś nad miastem. Nawałnica powoli przesuwała się na wschód.

Odebrał jej broń. Zabezpieczył i odłożył do wnęki przy dźwigni zmiany biegów. Powiodła wzrokiem za jego dłonią.

– To już koniec, Julka – wyszeptał. – Chociaż raz zostawmy trochę roboty innym.

– Nie wiesz, kim ona jest. To wariatka, a do tego adwokat. Jest bogata. Wykręci się z tego. Uda chorą psychicznie albo…

– Ona jest chora, Julka. Zawsze była chora.

– Kurwa mać! – Zawadzka zamknęła oczy i nabrała powietrza w płuca. Oparła się o zagłówek i przez chwilę trwała w bezruchu. Brudny przeniósł wzrok na posesję. Jeden z chartów przez chwilę biegał zdezorientowany tam i z powrotem, aż w końcu zniknął we wnętrzu domu. Komisarz wyciągnął z paczki papierosa i poczęstował Julkę, ale nie chciała. Uchylił okno, zapalił i zaciągnął się.

– Poczekamy na wsparcie – oznajmił i wydmuchnął dym przez szparę. – A potem będziesz mogła ją aresztować.

– Tylko że ona… – Zawadzka urwała w pół zdania. – Igor… Ona… – Nerwowo zacisnęła pięści.

– To już nie ma znaczenia.

– Zmusiła mnie, żebym…

– Wiem.

Objął ją. Domyślił się. Burda nie miała już jednak żadnej możliwości, aby się wymknąć. Zapewne siedziała gdzieś teraz skulona w kącie, jak zapędzony w pułapkę szczur, w obwarowanej wysokim murem posesji za kilka milionów, struchlała i przerażona, bez szans na ucieczkę. W oddali rozległy się policyjne syreny, a chwilę później na horyzoncie za zniszczoną bramą wjazdową zaczęły pojawiać się sylwetki nadjeżdżających radiowozów.

– Nie chcę, żeby ludzie się dowiedzieli – szepnęła, a z jej oczu popłynęły łzy.

– Nie powiemy im.

– Ona…

Zamilkła, gdy brama garażowa, obok której zaparkowała swoje bmw, zaczęła powoli się unosić. Wymienili spojrzenia, a chwilę później Brudny zerknął przez ramię na mieniące się w oddali niebiesko-czerwone światła policyjnych kogutów.

Powoli położył dłoń na dźwigni zmiany biegów i zacisnął na niej palce. Wyrzucił papierosa za okno. Wydmuchał dym. Wrzucił jedynkę. Gdy usłyszał kliknięcie potwierdzające, że Julka zapięła pas, dodał lekko gazu, a potężny sześciolitrowy silnik V8 mruknął z zadowolenia.

– Nie pozwól jej…

Puścił sprzęgło i wcisnął gaz dokładnie w momencie, gdy czarny lexus LX Amandy Burdy z piskiem opon wyrwał z wnętrza garażu. Koła patrola zryły namokły grunt i błyskawicznie złapały przyczepność. W pół drogi do celu Brudny wrzucił dwójkę i wcisnął gaz do dechy. Oba pojazdy spotkały się dwie sekundy później. Zdążyli tylko dostrzec potarganą grzywę Burdy, jej wściekły grymas twarzy i rozdziawione w niemym krzyku usta. Potem patrol wbił się niczym taran w boczne drzwi rozpędzonego SUV-a.

Trzask. Szarpnięcie. Sypiące się szkło. Ryk silników.

Brutalna siła wytrąciła samochód z obranej ścieżki i zepchnęła w kierunku murowanej fontanny. Lexus podskoczył na murku i stracił kontakt z podłożem. Zadziałały prawa fizyki i dwukrotnie przekoziołkował, aż wylądował na dachu.

Chwilę później pojazd otoczyły radiowozy, a na zachodzie przebiły się przez chmury krwawe promienie zachodzącego słońca. Brudny pomyślał, że to chyba dobrze, i wyłączył silnik. Oparł się o zagłówek i zamknął oczy. Potrzebował odpoczynku.

ROZDZIAŁ 46

Dwa miesiące później

– Maski, maski, najlepsze maski na Halloween!

Brudny obejrzał się, gdy ktoś szturchnął go w plecy. Nikogo nie dostrzegł, ale gdy z powrotem przekręcił głowę, przed jego twarzą zmaterializowała się Amanda Burda.

– O cholera! – Odskoczył jak oparzony. – Co do… – Zmarszczył brwi, widząc niewysoką brunetkę w masce. – Dziękuję, ale nie trzeba. Może innym razem.

Miał czapkę i ciemne okulary, choć od trzech dni niebo trzymało promienie słoneczne w uścisku stalowych chmur. Dziewczyna trzymająca w garści pęk halloweenowych masek najwyraźniej go nie rozpoznała, bo bez słowa odskoczyła zaczepić innego przechodnia.

– Mało brakowało, aby na tych karykaturach była moja podobizna – skonstatowała Zawadzka, nieco rozbawiona zaistniałą sytuacją.

– Może wtedy bym się skusił – odparł z przekąsem jej partner.

– Głupek.

Do Święta Zmarłych pozostało kilka dni, a na ulicach Zielonej Góry największą popularnością cieszyły się maski z wizerunkiem Amandy Burdy. Oczywiście karykatura została mocno przerysowana, z potarganymi włosami i ociekającymi krwią kłami, ale podobieństwo było zauważalne. Chodliwe były też skórzane maski w stylu BDSM, kudłate mordy wilkołaków i nakrycia głowy zrobione z worków raszlowych. Wszyscy zachęcali, aby spędzić Halloween w Zielonej Górze, a lokalne dyskoteki prześcigały się w pomysłach, jak stworzyć niezapomniane show. Nawet prezydent miasta, zamiast wściekać się, że w każdej ogólnopolskiej telewizji znów trąbią o Mieście Zbrodni, wyluzował się i przyłączył do większości.

Brudny myślał o tym inaczej. Zielona Góra nie różniła się od wielu innych miast w Polsce. Tutaj po prostu szambo wybiło. Począwszy od dalekosiężnych skutków koszmarnego wychowania przez siostry zakonne w sierocińcu hieronimek, skończywszy na zarazie trawiącej polską władzę. Nie uzurpował sobie prawa do tego, aby stawiać się w roli faceta, który jako jedyny w kraju robi swoją robotę należycie, ale musiał uczciwie przyznać, że efekty tego, co dzieje się na samej górze, nie pozostają bez wpływu na to, co dzieje się na dole. Przez osiemnaście lat życia w klasztorze i prawie dwadzieścia służby zdążył się nauczyć, że świat pełen jest jednostek chorych, pozbawionych wszelkich hamulców, zwyrodniałych i złych do szpiku kości. Nie trzeba ich było szukać akurat w Zielonej Górze. Wystarczyło włączyć wiadomości albo poczytać rządowe lub policyjne statystyki.

Ileż to dzieci znika w kraju w ciągu miesiąca? Ile dziewcząt wychodzi do szkoły albo do sklepu i już nigdy nie wraca do domu? Nikt o tym nie mówi, może czasem, gdy rodzice zadbają, aby sprawa przebiła się do głównych mediów, a jakiś dziennikarz uzna, że może właśnie nakręci materiał o tej czy tamtej Iksińskiej. Większość ludzkich tragedii zwykle przemyka jednak bez echa, a porywane dzieci, kobiety, ale także mężczyźni trafiają w łapska pedofilów, stręczycieli czy mafiosów, ludzi z półświatka często mających bliskie kontakty ze światem polityki. Jakim w ogóle prawem Kościół postanowił nie ujawniać dokumentów na temat przypadków pedofilii? Za kogo ci ludzie się uważają, skoro w tak bezczelny sposób traktują resztę społeczeństwa? Dlaczego w jawny sposób morduje się świadków politycznego rozpasania posłów w burdelach, a prokuratura nie wszczyna śledztw albo je błyskawicznie umarza?

Nie, bo nie. Nie, bo my mamy władzę, więc spierdalajcie na drzewo.

Taki jest przekaz. Jedni kryją drugich, drudzy trzecich, często wszyscy ze sobą współpracują. Wszystko w oparach kolejnych skandali i korupcji na niewyobrażalną skalę. Nie rozumiał, dlaczego ludzie na to pozwalają. Nie rozumiał, jak tak łatwo dają się kupić, a potem pozwalają sobą manipulować, oglądając w kółko rządowe media, w których ogłupia się ich jeszcze bardziej.

Co to znaczy dla ofiar? Cierpienie, ból, często śmierć. Dla reszty? Kompletnie nic. Dla społeczeństwa przestają istnieć. Wiele z nich po prostu znika, jakby nigdy ich nie było, pozostawiając najbliższych w żałobie i nadziei, że może naprawdę uciekły i gdzieś tam układają sobie życie na nowo. Najdobitniej ukazała mu to sprawa „dark klubów”, w którą zaanga-

żowanych było przynajmniej kilkudziesięciu ludzi, obywateli znanych i szanowanych, często absurdalnie bogatych i mających mniejszą lub większą władzę. Wątek rosyjskich rzeźników tworzących snuffy na zamówienie tylko utwierdził go w przekonaniu, że świat schodzi na psy.

Sprawa morderstw prostytutek tylko pozornie nie miała z tym nic wspólnego. Powiązania, do jakich doszli wewnętrzni, musiały być porażające, bo choć Brudny nigdy nie ujrzał wyników pracy BSW na oczy, potrafił czytać między wierszami. Tak jak się spodziewał, Grażyna Pawlicka nie usłyszała zarzutów, a jej synowie dostali najlepszych prawników, którzy nie dość, że doprowadzili do zwolnienia ich z aresztu za kaucją, to jeszcze zasypali policję oskarżeniami o nadużywanie przez Kłosa władzy i przymuszanie ich klientów pod groźbą śmierci do współpracy. Co prawda niedawno zostały one wycofane, co niewątpliwie było kolejnym zgniłym układem pomiędzy tymi, którzy kryli Pawlicką, a tymi, którzy udawali, że rzeczywiście coś robią w tej sprawie. Sam Kłos nie mógł się już bronić, więc cały gnój wylał się na niego, a Magierze szybko zapomniano tchórzliwą decyzję o zamknięciu śledztwa w sprawie „Wampira”, mało tego, był na tyle bezczelny, że przykleił się do sukcesu innych, gdy sprawa ostatecznie się wyjaśniła.

Amanda Burda, też skażona przez ojca, prokuratora i polityka epoki słusznie minionej, psychopatę, u którego dodatkowo rozwinęła się choroba dwubiegunowa, z powrotem trafiła do Ciborza. Przeżyła dachowanie, a gdy pierwszy z posterunkowych podszedł sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy, omal nie zwymiotował.

„Była naga i cała we krwi – zeznał w protokole. – Jakby dopiero co się w niej wykąpała. Nigdy czegoś takiego nie widziałem”.

Po tym jak Brudny wyłamał bramę i rozpędzony wjechał wprost do salonu, najwyraźniej zupełnie straciła kontrolę. Jeśli taką kiedykolwiek miała, bo diagnoza Gruszczyńskiego była jednoznaczna – daleko posunięta schizofrenia paranoidalna z silnymi omamami wzrokowymi i słuchowymi, oparta na fascynacji krwią i przekonaniu, że krew młodych kobiet powstrzymuje proces starzenia. W jego ocenie pacjentka nie odróżniała dobra od zła. Nie odróżniała normalnego życia od tego, które toczyło się w jej głowie, nawet jeśli czasami przybierała maskę surowej i pewnej siebie pani adwokat, którą kiedyś bez wątpienia była. W każdym razie ustalono, że krótko po wtargnięciu Brudnego pobiegła do piwnicy, gdzie w lodówkach przetrzymywała krew swoich ofiar, a następnie rozebrała się i oblała zawartością pojemników.

– W mojej ocenie ubzdurała sobie, że krew ją ochroni, ewentualnie nawet w zamknięciu pozwoli zachować urodę i młodość przez długi czas – powiedział Gruszczyński. – Prawdopodobnie od lat nie brała leków. Przyłapanie męża na zdradzie, a następnie zabójstwo, którego się dopuściła, z pewnością przyspieszyły postęp choroby. W połączeniu z gniewem i chęcią zemsty na Malwinie Klepackiej doprowadziły do zachowań ekstremalnie brutalnych. Te wszystkie obelgi, które miesiącami wycinała na ciele więzionej ofiary, nakręcały ją coraz bardziej, a picie krwi sprawiło, że poczuła się niezniszczalna. Dlatego zaczęła mordować. Nie dopuszczała myśli, że może zostać złapana i ukarana. Naprawdę myślała, że jest kimś na wzór kolejnego wcielenia Elżbiety Batory. A może nawet nią samą.

Nigdy by do tego nie doszło, gdyby jej ojciec, kliniczny przypadek psychopaty, człowiek bezwzględny i okrutny, nie spreparował raportów z leczenia swojej córki, w jej miejsce wpisawszy dane przybranego syna Mariana Żelichowa, syna Aleksandry Żelichow i młodego, bezimiennego studenta, który zapłacił za jego pojawienie się na świecie najwyższą cenę. Wychowana w domu pełnym kłamstwa i przemocy, zwłaszcza zaś przemocy wymierzonej w Mariana, teraz już Kittela, który to znalazł się w tej rodzinie tylko dlatego, że przypadkiem stanął na drodze kroczącego do władzy ojczyma, dodatkowo obarczona dziedziczną skłonnością do rozwoju psychopatii i schizofrenii, Burda stała się kobietą równie bezwzględną jak ojciec, a do tego zaborczą i zapatrzoną w siebie. Ślub z Andrzejem Burdą, bogatym deweloperem, który w latach dziewięćdziesiątych przy wsparciu służb powiązanych z Tomaszem Kittelem wzbogacił się na hurtowym przemycie papierosów do Niemiec, a potem za ukradzione pieniądze zbudował firmę, szybko okazał się farsą, gdyż Amanda nie była zdolna do miłości, a jedynie chorobliwej zazdrości. Fikcyjne małżeństwo utrzymywało się przez lata tylko dlatego, że ojciec panny młodej zadbał, aby w razie nieporozumień większość majątku, w tym firma, przypadła córce, a nie zięciowi, wobec czego Andrzej Burda znosił ją i płacił za wszelkie zachcianki, bo nie miał innego wyjścia. Pocieszenia szukał w ramionach Malwiny Klepackiej i chociaż znał podły charakter swojej żony, nie wyobrażał sobie, jakie nieszczęście ściągnie na siebie, zwłaszcza zaś na młodą kochankę znad Soliny, którą nieopatrznie zaprosił do swojego życia.

Korupcja, korupcja powiązana z władzą, władza powiązana z półświatkiem, wszechobecność krążących niczym sępy nad padliną psychopatów w każdym z tych światów. Nie było lekarstwa na tę zarazę, można było

tylko improwizować, przyklejać plaster na ropiejące rany w nadziei, że uda się utrzymać pacjenta przy życiu jeszcze trochę dłużej. Proces gnilny państwa przyspieszył jednak w zastraszającym tempie i Brudnemu zbierało się na wymioty, gdy po raz któryś z rzędu widział w telewizji te same mordy, wypacykowane, uśmiechnięte, udające niewiniątka ciężko pracujące na rzecz obywateli. Prawie wszyscy byli psychopatami, zakłamanymi sukinsynami, którzy sprzedaliby własną matkę, aby tylko utrzymać się przy korycie. Cały ten świat to była jedna wielka pierdolona kpina.

– Musimy robić swoje, komisarzu Brudny – odparł doktor Gruszczyński, gdy Brudnemu przypadkiem ulało się w jego obecności. – Statystycznie rzecz biorąc, to właśnie w polityce funkcjonuje największy odsetek psychopatów. Jej ojciec – wskazał na skuloną w kącie Burdę – którego pod koniec życia leczył mój kolega, jest jednym z najbardziej jaskrawych przykładów.

Brudny pojawił się w Ciborzu kilka tygodni po schwytaniu i aresztowaniu Amandy Burdy. Pojechał tam z Justyną Klepacką, która regularnie odwiedzała siostrę. W ocenie Gruszczyńskiego jej wizyty przynosiły efekty, a stan pacjentki zaczynał się powoli, acz systematycznie poprawiać. On sam czuł potrzebę porozmawiania z lekarzem, dzięki którego dociekliwości udało się wychwycić błąd w papierach, a tym samym wydedukować, kto jest prawdziwym „Wampirem”. Bez jego pomocy Brudny pewnie nie odkryłby prawdy tak szybko (jeśli w ogóle) i nie zdążyłby uratować Julki.

– W tym wypadku statystyka nie kłamie – odparł Brudny, nie kończąc myśli i pozostawiając ją w sferze domysłów doktora.

Jeszcze przez kilka minut rozmawiali o przypadku Burdy. W izolatce bez okien nie przypominała twardej, stanowczej i apodyktycznej pani mecenas, o której wspominała Julka. Tak naprawdę nigdy nie miał okazji jej poznać. Nie mógł uwierzyć, że ta wymizerowana i pomarszczona istota w nieco za dużej piżamie, z rozbieganym wzrokiem i wiecznie poobgryzanymi paznokciami, mogła kiedyś samą swoją obecnością gasić Magierę i Kłosa.

– Przyznała się, że przymuszała Kittela do pomocy w zbrodniach – tłumaczył Gruszczyński. – Słaby, uległy, podatny na sugestie mężczyzna, ponad wszystko kochający ciężko chorą córkę, był w stanie zrobić wszystko, aby ratować dziecko. A gdy podjął pierwszą złą decyzję i pomógł jej zainscenizować wypadek męża, nie miał wyjścia i musiał wypełniać jej kolejne polecenia, bo w innym wypadku trafiłby do więzienia razem z nią. Z jej zeznań wynika, że nie brał czynnego udziału w zabójstwach, głównie

zajmował się pozbywaniem zwłok. Wykorzystała go bardzo perfidnie, a gdy siedział w areszcie, dodatkowo wzbudziła w nim poczucie winy.

– Czyli?

– Wyjaśniła mu, że jego i jego córkę czeka sądowy horror, a medialnie i tak został już skazany. Między wierszami dodała, że jest też inne, lepsze wyjście…

– Sugeruje pan, że popchnęła go do popełnienia samobójstwa?

– To tylko jeden z możliwych scenariuszy, ale czy rzeczywiście tak było? Moim zdaniem taki przebieg wydarzeń jest bardzo prawdopodobny. Kittel mógł uznać, że biorąc winę na siebie, uchroni przed więzieniem Burdę, a śmierć podejrzanego sprawi, że śledztwo zostanie zamknięte, tym samym uniknie burzy medialnej i szykan, które w związku z zaistniałą sytuacją mogły dotknąć jego córkę. Może najzwyczajniej w świecie uwierzył siostrze, że ta zaopiekuje się pasierbicą? Nie potrafię udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Wnioski wyciągam jedynie na podstawie tego, co przekazała mi pacjentka, a dojście do prawdy to już wasza działka.

Drugi pacjent znajdował się w izolatce obok. Paweł Kłos, młodszy brat Artura, również został aresztowany, ale biegli szybko ustalili, że jego stan psychiczny kwalifikuje go do zamknięcia w ośrodku dla umysłowo chorych. Gruszczyński był podobnego zdania.

– Nigdy nie pozbierał się po wypadku – tłumaczył. – Z jednej strony to zrozumiałe, bo obrażenia, jakich doznał, musiały odcisnąć na nim niezmazywalne piętno. Nie pogodził się z tym. Znienawidził brata, ale po śmierci matki stał się od niego w stu procentach uzależniony. To go zżerało od środka. Jego psychoza się pogłębiała, zaczął szantażować go emocjonalnie, wykorzystywał jego poczucie winy. To była bomba z opóźnionym zapłonem, która w końcu wybuchła, gdy poszlachtował tę prostytutkę.

– Mówił dlaczego?

– Za to, że widziała w nim potwora. Dokładnie tak to ujął. Potwora.

– A on w to uwierzył…

– Mniej więcej.

Zawadzka objęła Brudnego, gdy przysiedli na ławce obok ratusza. Położyła głowę na jego ramieniu i wspólnie obserwowali karmione przez dwójkę kilkuletnich chłopców gołębie. Rzucali im kawałki pączków i najpierw czekali, aż ptaki podejdą, a potem z dziką rozkoszą straszyli je i ganiali. W pewnym momencie w oknie jednej z kamienic pojawiła się jakaś nastroszona starsza kobieta, która nawymyślała siedzącym w pobliżu

rodzicom rozbisurmanionych pędraków. Dzieciaki zwyzywała od sadystów i morderców, a rodzicom zasugerowała, żeby gówniarzom porządnie wlali albo zawieźli ich na leczenie, a jeśli nie, to zadzwoni na policję i oskarży ich o znęcanie się nad zwierzętami. Ojciec maluchów w odpowiedzi pokazał jej środkowy palec i nie bacząc na obecność synów i dziesiątków innych przechodniów, zwyzywał ją od starych kościelnych kurew, czym oczywiście rozjuszył ją do reszty. Chwilę później zaczęła się wymiana niewybrednych obelg.

– Co się dzieje z tymi ludźmi? – mruknął Brudny, niechętnie zerkając w kierunku, skąd dochodziły krzyki. Nie zdziwił się specjalnie, gdy w zamkniętym skrzydle okna zobaczył wielki obraz Matki Boskiej.

– Nie wiem, Igor, ale kiepsko widzę przyszłość tego kraju.

– Yhm.

– I wiesz co?

– Co?

– Jestem głodna. Poza tym nie mogę tego słuchać. Chodźmy coś zjeść.

– Koloseum? – Brudny uniósł brwi.

– Ja stawiam, ale bierzemy „Śmierć na arenie”.

– Wolę „Wielkie igrzyska”.

– Wiesz, że tam jest bekon. I jeszcze tony cebuli…

– Nie wiesz, co dobre.

– Chyba ty nie wiesz.

– Głupi jesteś.

– Ale cię kocham.

– Masz szczęście, bo ja ciebie też.

Gdy Brudny i Zawadzka jedli pizzę, gdzieś w Polsce ktoś siedział w fotelu i oglądał program publicystyczny. Właśnie skończył trening i sączył napój z dodatkiem elektrolitów. Jak zwykle dał z siebie wszystko. Na nagim torsie i ramionach wciąż skrzyły się krople potu, oddech był jednak spokojny i miarowy. Drgnął, gdy zobaczył na ekranie kolejnego gościa programu. Górna warga uniosła się lekko, gdy prowadząca blondynka przedstawiła drugiego zaproszonego. Nieszczere uśmiechy wzbudzały w nim skrajną pogardę.

Wysłuchał debaty, po czym wstał i w milczeniu zbliżył się do ściany, na której wisiała drewniana tablica. Panował półmrok, nie odsłaniał żaluzji od miesięcy, ale żółtawe światło lampki nocnej pozwalało dostrzec, że sękate drewno w wielu miejscach było podziurawione. Wciągnął w nozdrza

zastane powietrze i omiótł spojrzeniem wszystkie przypięte do tablicy fotografie. Przy każdej zatrzymywał się na kilka sekund. Chłonął je, jak zwykł to robić każdego dnia przez siedem lat.

Siedem długich lat.

Siedem długich lat przygotowań. Siedem długich lat zniewag, podłych czynów i upokorzeń. Siedem długich lat karmienia się nienawiścią, która teraz przepełniała każdą komórkę jego ciała. Wiedział, że właśnie osiągnęła punkt krytyczny.

Dziś wszystko było gotowe. Dopracowane w najdrobniejszych szczegółach i zapięte na ostatni guzik. Zadbał o to. Zajęło mu to siedem długich lat.

Jego wzrok powędrował w kierunku połyskującego ostrza. Myśliwski nóż tkwił w drewnie, wbity w czoło jednej z postaci ze zdjęcia. To oblicze wzbudzało w nim największą odrazę. Nienawidził tego człowieka. Siedem długich lat marzył, co mu zrobi, gdy przyjdzie czas.

Owinął palce wokół drewnianej rękojeści i wyszarpał nóż. Odwrócił się i powoli ruszył w kierunku przeciwległej ściany. Myślał o nich. O tych, których kochał, i o tych, których nienawidził. Z każdym kolejnym krokiem czuł, że wzbiera w nich potężny gniew. Pielęgnował go przez siedem długich lat.

Zatrzymał się. Zamknął oczy. Odetchnął.

Pomyślał, że nadszedł czas, a potem odwrócił się gwałtownie i wypuścił nóż. Ostrze z cichym świstem przecięło powietrze i wbiło się w cel. Otworzył oczy. Lekko drgając, tkwiło w tym samym miejscu, z którego je wyciągnął.

Wypuścił powietrze. Uśmiechnął się na myśl, że to już jutro. Jutro w końcu wyruszy na upragnione łowy.

KONIEC

OD AUTORA

Mam nadzieję, że mi wybaczycie, bo już pisząc ostatnią scenę *Cheruba*, wiedziałem, że prędzej czy później wrócę do Igora Brudnego. Z pełną premedytacją zostawiłem sobie otwartą furtkę, ale nic o tym nie mówiłem ani nie pisałem, bo najzwyczajniej w świecie potrzebowałem nowych wyzwań. Miałem w głowie wiele pomysłów, z których nie wszystkie wpasowywały się w klimat trylogii (teraz już chyba możemy mówić o serii). Mało tego – należało podejść do nich zupełnie inaczej, począwszy od stylu, a na narracji skończywszy. Chciałem też chwilowo wyrwać się z tego mrocznego, przesiąkniętego złem świata Igora, spróbować stworzyć nowych bohaterów, opowiedzieć inne historie. Stąd decyzja o napisaniu *Krwi z krwi* oraz *Matni*, które – jak zapewne zdążyliście zauważyć – diametralnie różnią się od trylogii.

Chyba każdy pisarz czasem musi zrobić skok w bok, ale przecież nie można wiecznie skakać z kwiatka na kwiatek. Już pod koniec pisania *Matni* czułem wręcz niepohamowaną potrzebę, aby wrócić do tego ciężkiego, mrocznego świata. Pragnąłem spotkać starych przyjaciół i wyruszyć z nimi na wyprawę w poszukiwaniu kolejnego zwyrodniałego psychopaty. Nie mogłem się powstrzymać, aby w epilogu ostatniej powieści nie zostawić Wam tej małej niespodzianki, bo *Zaraza* już wtedy istniała w mojej głowie i głośno domagała się przelania na papier. I – uwaga – początki wbrew pozorom okazały się cholernie trudne, bo nagle zdałem sobie sprawę, że muszę stworzyć Igora Brudnego na nowo. Komisarz jak każdy człowiek ewoluuje, podjęte w przeszłości decyzje mają swoje konsekwencje, interakcje z otoczeniem sprawiają, że jego życie zmienia się tak jak nasze. A relacja Brudnego z Julką to już w ogóle inna sprawa. Może to zabrzmieć trochę dziwnie, ale Igor naprawdę czasem podejmuje decyzje za mnie, jakby żył własnym życiem, a ja tylko spisuję to, co mi szepce do ucha. Czy ich związek wytrzyma próbę czasu? Z jakimś szaleńcem Igor będzie musiał się

zmierzyć w kolejnej części? Zdradzę Wam, że ja już trochę na ten temat wiem.

Wracając do *Zarazy* – mam nadzieję, że kolejna historia z Igorem i Julką przypadła Wam do gustu. Starałem się, aby znów była zupełnie inna, na swój sposób wyjątkowa, ale żeby zarazem zachowała ten mroczny klimat poprzednich części. Tym razem postawiłem na maksymalne pogmatwanie tropów, aby postać zabójcy do samego końca była dla Was tajemnicą. Czy mi się to udało? Czy sprostałem Waszym oczekiwaniom? Wbrew pozorom czuję jeszcze większy stres niż przed wydaniem *Krwi z krwi* czy *Matni*, bo w tym przypadku wszelkie porównania do poprzednich części będą jak najbardziej uzasadnione, a wręcz wskazane. Uwierzcie mi, że drżę, bo wiem, że tym razem nie mam już absolutnie żadnych wymówek.

Tradycyjnie pragnę też podziękować wszystkim ludziom, którzy w jakiś sposób przyczynili się do powstania *Zarazy*, zwłaszcza: byłemu inspektorowi Romanowi Czarneckiemu, na którego zawsze mogę liczyć w kwestii spraw proceduralnych oraz tych bezpośrednio łączących się z prowadzeniem policyjnego śledztwa; Tomaszowi Trochanowskiemu, lekarzowi rehabilitacji, który pilnował, aby Brudny w naturalnym trybie wracał do zdrowia; Robertowi Krzywulskiemu, patomorfologowi, który zawsze służy pomocą przy książkowych sekcjach, oraz Krzysztofowi Woźniakowi, lekarzowi psychiatrze, który pozwolił mi na wizytę w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Ciborzu. Doktor Woźniak poświęcił swój czas, aby omówić wszystkie zagadnienia dotyczące katatonii oraz szeregu schorzeń, na które mogły cierpieć bohaterki i bohaterowie *Zarazy*.

Dziękuję również moim pierwszym recenzentom: rodzicom oraz serdecznym przyjaciołom Grzegorzowi Sikorze i Krzysztofowi Figurze, którzy szczerze ocenili *Zarazę*, nie szczędząc krytyki, ale doceniając też jej walory i motywując do wytężonej pracy przy kolejnych tytułach.

Oczywiście z całego serca dziękuję Wydawnictwu Czarna Owca, w szczególności: Bartkowi Nawrockiemu, Adamowi Dzikowi, Beacie Nowak, Laurze Kusiak oraz Markowi Korczakowi, którzy otoczyli mnie opieką, dzielnie znoszą wszystkie moje telefony i zawsze służą pomocą.

Dziękuję również genialnemu grafikowi Piotrowi Cieślińskiemu za te wszystkie fantastyczne okładki tak mocno określające serię z Igorem Brudnym.

Na koniec chciałbym podziękować Tobie, Drogi Czytelniku, że zdecydowałeś się sięgnąć po *Zarazę* i dobrnąć do końca tej historii. Mam nadzieję, że powieść odkładasz usatysfakcjonowany.

Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniłem z imienia i nazwiska, a którzy przyczynili się do powstania *Zarazy* w jej ostatecznej wersji.

Jeszcze raz wszystkim Wam dziękuję.

Przemysław Piotrowski